

# 1.

Obserwowali, jak pierwszy pociąg minął ich i z mozołem zaczął piąć się pod górę, wypływając kłęby czarnego dymu i rozżarzone węgle. Była to istna forteca na kołach. Skład otwierał opancerzony wagon, zbudowany z grubych stalowych płyt pociętych szczelinami otworów strzelniczych, z obrotową wieżyczką wyposażoną w szybkostrzelne działko kalibru 57 mm. Pchała go z łańcem lokomotywa, która ciągnęła za sobą jeszcze dwie platformy z umieszczonymi na nich metalowymi barykadami i wałami z wypełnionych piaskiem worków. Spoza nich ośmiu ludzi, uzbrojonych w karabiny maszynowe, obserwowało gęste zarośla po obu stronach toru.

Był to przygotowany na wszystko eszelon-zabójca, wywiadowca, który miał zapewnić bezpieczny przejazd drugiemu, odległemu o tysiąc metrów pociągowi, utrzymującemu tę samą prędkość wzdłuż południowo-zachodniego wybrzeża Związku Południowej Afryki. W opancerzonym wagonie drugiego pociągu spoczywał opasy sejf, opatrzony trzema zamkami, przyśrubowany do podłogi i owinięty łańcuchami. Wewnątrz znajdowała się torbka z potrójną warstwą wodoodpornej foczej skóry, w torbie zaś – brylanty o wartości przekraczającej miliard dolarów. Ponad sto zapierających dech w piersiach, ogromnych, doskonale oszlifowanych kamieni, zmierzających do ufortyfikowanych sklepów odgródzonej murami enklawy Amsterdamu.

Diamenty wysyłano zwykle bezpośrednio z Kapsztadu, a przynajmniej właściciele kopalń przekonywali, że tak jest. Mogły być

one także ekspediowane z Port Elizabeth lub East London, czy nawet z portów Durban i Maputo, położonych dalej na południowo-wschodnim wybrzeżu. Transportom takim zawsze towarzyszyły oddziały uzbrojonych po zęby żołnierzy – a przynajmniej wszyscy mieli tak myśleć. Puszczano więc w obieg pogłoski, że w konwoju wiezione jest złoto, a atakowanie transportów złota eskortowanych przez małe armie byłoby przykładem syzyfowej pracy, jeśli nie przejawem głupoty; nie tylko ze względu na siłę ognia ochrony, ale także objętość i wagę samego kruszcu.

Przewożenie brylantów łączyło się z grą forteli. Jeden człowiek mógł nosić przy sobie większą fortunę w brylantach niż kilka wagonów wypchanych sztabami złota, a posunięcia Christiana Vlotmana, Afrykanera odpowiedzialnego za bezpieczeństwo tych transportów, były zaskakujące i trudne do przewidzenia.

To właśnie on wysłał dwa pociągi na północ w kierunku Zatoki Aleksandra, wzdłuż granicy Namibii, dawniej noszącej nazwę Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej. Zatoka Aleksandra leży u ujścia rzeki Oranje. Na rozkaz Vlotmana pogłębiono wejście do zatoki, by mógł w niej oczekiwać dobrze uzbrojony krążownik, który miał powieźć ładunek do Amsterdamu.

Kapitanowi krążownika przypadło jednak w udziale długie i bezowocne oczekiwanie.

Gdy pierwszy z pociągów, ze strażnikami gotowymi w każdej chwili otworzyć ogień, wyszedł z zakrętu i wtoczył się na most ponad położonym kilkaset metrów niżej skalistym korytem rzeczonym, mężczyzna ukrywający się wśród otoczek na pobliskim zboczu przekręcił dźwignię zapalnika. Sto kilogramów dynamitu, umocowane kablami do masywnych drewnianych belek mostu, znikło w gwałtownym rozbłysku i potężnym wstrząsie. Grube belki rozpadły się na drzazgi, rozerwały konstrukcję i jeszcze zanim zagaśł blask wybuchu, most zaczął się chylić pod ciężarem pociągu. Grzmot potoczył się korytem rzeki, odbijając się od otaczających ją wzgórz, a pociąg w straszliwie zwolnionym tempie przechylił się i zatrząśł niczym w konwulsjach. Wątle okrzyki przebiły się przez narastający łomot walącej się konstrukcji. W przepaść zaczęły wpadać wagony, z których wysypywali się bezwładnie pasażerowie.

Ziemia zawibrowała od eksplozji, ponownie zadrżała od powracających fal wybuchu i wydała z siebie bolesne westchnienie, gdy lokomotywa i ciężki opancerzony wagon roztrzaskały się na

głazach. Kłęby dymu i kurzu wzbiły się w powietrze, kocioł eksplodował, a echa wybuchu potoczyły się po wzgórzach.

Ziemia zafalowała nawet w znacznej odległości od miejsca katastrofy. Szyny pod drugim pociągiem poruszyły się niczym odcedzane spaghetti. Pociąg przetrzymał fale uderzeniowe i nie wykoleił się, ale nie było wątpliwości co do katastrofy, jaka spotkała ekipę pilotującą. Maszyniści natychmiast rozpoczęli hamowanie. Spomiędzy stalowych szyn i ślizgających się po nich stalowych kół sypnęły się strumienie iskier. Główny maszynista pociągnął za linkę, uwalniając wraz z parą przeraźliwy gwizd, aby zawiadomić wszystkich pasażerów o niebezpieczeństwie, jakie na nich czyhało. Chwilę później pociąg stał już w miejscu, łagodnie posapując.

Kiedy strażnicy obejrzeni się za siebie, zauważyli, jak pułapka się zamyka – seria ognistych wybuchów rozerwała tor w miejscu, po którym przed chwilą przejechali. Pociąg nie mógł jechać naprzód, bo przed nim nie było już mostu. Nie mógł też się wycofać, gdyż szyny za nim przestały istnieć. Spoczywał niczym przedwieczny dinozaur, zamiast zabójczych kolców strosząc lufy karabinów maszynowych, tak jak ów największy drapieżnik unieruchomiony przez swą własną masę. Strażnicy z pełną świadomością czekali na zbliżający się atak.

Nie usłyszeli świstu kul ani huku moździerzy. Nie spadły bomby. Zamiast nich z górskich grani od strony ładu spłynął biały dym i przetaczając swe tumany po wzgórzach, spowił cały pociąg.

Ludzie wdychali dym, który nie był dymem. Krztusili się i kasłali, chwyтали się za gardła i piersi, gdy fosgen wlewał im się do ust i nozdrzy, czyniąc spustoszenie w ich płucach. Przesycona słodczą woń świeżego siana opanowała atmosferę; słodki zapach duszącej śmierci, gazu paraliżującego mięśnie i nerwy. Strażnicy padali w konwulsjach na ziemię i umierali.

Gaz bojowy fosgen w trwałej postaci przestaje być szkodliwy po upływie trzydziestu minut, lecz ludzie na wzgórzach nie mieli czasu do stracenia. Pułkownik Hans Stumpf rozmawiał spokojnie, ale z werwą z ludźmi oczekującymi jego rozporządzeń; każdy z nich otrzymał rozkazy drogą radiową przez słuchawki.

– Naprzód! – warknął Stumpf. Jego ludzie wypadli z ukrycia, chronieni przez niepotrzebne już kamizelki kuloodporne i maski gazowe, by uniknąć wdychania pozostałości fosgenu. Zeszli ze skarpy nie łamiąc perfekcyjnego szyku.

Ciężkie drzwi opancerzonego wagonu wysadzono niewielkimi ładunkami nitrogliceryny. Gdy napastnicy weszli do wnętrza z karabinami gotowymi do strzału, znaleźli powykręcane ciała ośmiu uduszonych ludzi. Po odciągnięciu na bok jednego z nich i założeniu materiałów wybuchowych przy sejfie wycofali się na zewnątrz. Ponownie przekręcono dźwignię zapalnika i z pancerki dobiegł stłumiony odgłos eksplozji. Napastnicy natychmiast weszli do środka, ignorując buchający ze środka dym.

Drzwi sejfu trzymały się tylko na jednym zawiasie. Jeden z mężczyzn wyjął z niego stalowe pudełko i wyłamał wieko. Wewnątrz, w aksamitnych woreczkach, spoczywał ich łup. Skrzący się, istic cesarski okup w ogromnych, różnokolorowych brylantach. Człowiek klęczący przy sejfie i przyglądający się fortunie sprawiał wrażenie sparaliżowanego. Powodem nie były drogie kamienie, lecz skromny sześcian o bokach długości około ośmiu centymetrów, na którym widniały wryte dziwne symbole. Kostka błyszczała jak wypolerowany brąz. Przy pomocy innego mężczyzny szybko umieścił brylanty i sześcian w zapieczętowanych wodoszczelnych torbach. Dowodzący nakazał coś gestem jednemu ze swych ludzi, po czym wszyscy trzej ruszyli w dół zbocza. Nad brzegiem rzeki czekał na nich pułkownik Stumpf. Wskazał na wodoszczelne torby.

– Macie wszystko? – spytał twardym, choć teraz podwyższonym z emocji tonem.

Jego ludzie poodejmowali maski gazowe.

– Tak jest! Wszystko, co było w sejfie, mamy tu.

– A co z, hm, przesyłką specjalną?

Dłoń w rękawicy poklepała torbę.

– Też jest tutaj.

Pułkownik wysilił się na coś w rodzaju uśmiechu, potem zaciął usta.

– Znakomicie. W Berlinie będą zadowoleni. Ruszamy.

Pomaszerowali w kierunku ukrytego w zatoczce pontonu.

– Zmiercha się – powiedział Stumpf, rozglądając się po niebie. – Niech reszta dokończy dzieło. Za dwadzieścia minut wszyscy mają być w pontonach gotowi do wypłynięcia.

Żołnierze, którzy zostali przy pociągu, zakładali nowe ładunki i zapalniki. Operację przeprowadzili szybko i sprawnie, i wkrótce dołączyli do swoich towarzyszy na nabrzeżu. Nadciągała noc. Pułkownik Stumpf obserwował morze przez lornetkę.

– O! – wykrzyknął. – Widzę sygnał. Wypływamy. Ruszać się! Cztery pontony przemierzyły ponad trzykilometrowy dystans, jaki dzielił je od majaczącego w mroku kiosku łodzi podwodnej. Nie wynurzając się całkowicie, łódź pochłonięła grupę uderzeniową. Stumpf jako ostatni wślizgnął się w czeluść otwartego wjazdu. Zatrzymał się i obrócił, by spojrzeć na ledwie widoczny już w ciemnościach pociąg, i nacisnął przycisk detonatora radiowego. Seria potężnych eksplozji uniosła w górę ogromne, poszarpane szczątki pociągu i ludzkich ciał. W chwilę potem ogień przeczucił się na zarośla rosnące wzdłuż nasypu. Stumpf kiwnął z satysfakcją głową i wrzucił detonator do wody, zatapiając go w mrocznych głębinach razem z pontonami, które przebito ostrzami noży. Niedługo później po łodzi podwodnej nie pozostał żaden ślad.

Pociąg ratunkowy przybył dwie godziny później. Jego obsługa z niedowierzaniem patrzyła na ogromniszczeń, jaki zastała na miejscu katastrofy.

Następnego dnia rano...

Około stu dwudziestu kilometrów na południowy zachód od przylądka Dernburg, pod szarym, sztormowym niebem nad powierzchnię wynurzyła się nieznacznie łódź podwodna. Z kiosku wypuszczono balon z przyczepioną do niego anteną radiową. Osiągnąwszy wysokość siedemdziesięciu metrów balon zatrzymał się i naprężył antenę emitującą sygnał naprowadzający.

Wachtowy zawołał pułkownika Stumpha.

– Samolot na lewej burcie! Leci nisko nad horyzontem i kieruje się wprost na nas!

Stumpf podniósł lornetkę do oczu. Nie miał zamiaru podejmować ryzyka. Jeśli to nie jest „Rohrbach Romar” z Deutsches Aero Lloyd, rozsieją go ogniem karabinów maszynowych i popłyną dalej zanurzeni.

Charakterystyczny dźwięk silników dużego hydroplanu był nie do pomylenia; śmigła pracowały trochę asynchronicznie. Utrzymując niski pułap, okrążył on łódź podwodną, potwierdził swą tożsamość zakodowanym przekazem radiowym. Pułkownik Stumpf zwrócił się do kapitana łodzi:

– Zasłona dymna, kapitanie.

Kapitan skinął głową i krzyknął do załogi:

– Dwa granaty dymne! *Schnell!*

Dwóch marynarzy odbezpieczyło granaty i położyło je na pokładzie. Zaszcząły płomienie i dym zakotłował się w powietrzu, ukazując prędkość i kierunek wiatru. Hydroplan zawrócił w oddali i przygotowywał się do wodowania pod wiatr. Pułkownik Stumpf spoglądał z dumą na wielki górnopłat, który idealnie nadawał się do obecnej misji. Wznoszące się ponad wyprofilowanym dnem burty steranego kadłuba były płaskie, a rozpiętość skrzydeł przekraczała trzydzieści metrów. W pomruku trzech potężnych silników typu BMW VLuz słyszało się drzemiącą w nich ogromną moc. Czteropłatowe drewniane śmigła, grube i masywne, gwałtownie biły powietrze. Stumpf wiedział, że to von Moreau siedzi za sterami. Panowanie nad ważącym prawie dwie tony monstrem ponad otwartym morzem wymagało najwyższych umiejętności, a on był najlepszy. „Romar” podchodził do wodowania delikatnie muskając powierzchnię, potem zaś zanurzył się głębiej, gdy Moreau zmniejszył moc. Wreszcie zbliżył się do łodzi podwodnej, ale zachował bezpieczny dystans. Majtkowie opuścili na wodę ponton i przytrzymywali go za linki.

Trzej ludzie z oddziału szturmowego wyszli na pokład. Jeden z nich niósł wodoszczelną torbę. Stumpf pokazał im, żeby poczekali na niego w pontonie, sam zaś zwrócił się do kapitana:

– Dziękuję, kapitanie Loerzer. Zgranie w czasie, cała akcja, wszystko było godne pochwały.

Mężczyźni podali sobie ręce. Loerzer uśmiechnął się.

– Kiedy pomyślę, jakiej korzyści to przysporzy naszemu niemiecom... – pokiwał głową, nie kryjąc emocji.

Stumpf zasalutował szybko i wszedł do pontonu.

– Do wiosła! – warknął. Jego ludzie wiosłowali równo i mocno i wkrótce dobili do czekającego na nich „Romara”. Gdy weszli już na pokład, Stumpf odwrócił się i zatopił ponton kilkoma strzałami z pistoletu.

Rozpoznał von Moreau wyglądającego z kokpitu.

– Erhard, przyjacielu! – wykrzyknął. – Nie traćmy czasu!

Von Moreau pomachał mu ręką, jednocześnie kiwając głową. Chwilę później niski grzmot przetoczył się po mrocznej powierzchni oceanu. Z łodzi podwodnej strzeliły race, co zapewniło von Moreau widoczność przy starcie. Kiedy race, wolno opadające na spadochronach, z sykiem zgasły w wodzie, olbrzymi „Rohrbach” od dawna już był w powietrzu i wspinał się w gó-

rę. Na wysokości dwustu pięćdziesięciu metrów von Moreau wyrównał lot i wszedł w zakręt, by oddalić się o co najmniej sto pięćdziesiąt kilometrów od wybrzeża Związku Południowej Afryki. Nikt nie spodziewał się tu w nocy hydroplanu, a już z pewnością jakiegokolwiek samolotu kierującego się na południe, w odległości stu pięćdziesięciu kilometrów od Kapsztadu. Dopiero później rozpoczną swą długą podróż na wschód, a potem zmieniają kurs na północny wschód.

Stumpf udał się do kabiny pilotów.

– Jak stoimy z paliwem?! – musiał podnieść głos, by przekrzykować hałas silników.

– Znakomicie! – odparł von Moreau. – Bez kompletu załogi i bez ładunku dodatkowe zbiorniki dają nam zasięg ponad trzech tysięcy kilometrów. Złapiemy statek o czasie i pozostanie nam jeszcze sporo rezerwy.

Dłoń Stumpha zacisnęła się na ramieniu przyjaciela.

– Dziękuję. Teraz trochę się zdrzemnę. Obudź mnie, jeśli zajdzie coś nieprzewidzianego.

Siedemnaście godzin później...

– Statek znajduje się około ośmiu kilometrów przed nami – zameldował drugi pilot Franz Gottler *Flugkapitänowi* Erhardowi von Moreau. – Współrzędne trzy pięć dwa stopnie. Nawiązałem już kontakt i statek ustawia się właśnie pod wiatr jako nasz punkt odniesienia.

Von Moreau skinął głową. Stłumił ziewnięcie: większość ostatnich dwudziestu ośmiu godzin spędził za sterami. Teraz ponownie natężył uwagę, nieznacznie skrzył „Romarem” w lewo i delikatnie zaczął przymykać wszystkie trzy przepustnice, których dźwignie znajdowały się pod jego prawą ręką. Ogromny hydroplan obniżył pułap i idealnie osiadł na wydłużonych wypukłościach fal, wzbijając przy tym pióropusz kropel i nieskazitelną falę rufową. Von Moreau podpłynął do statku handlowego. Między statkiem a jego maszyną na dwóch szalupach uwijali się marynarze z kijami o opatrzonych gumą końcach. Załoga „Romara” wyłowiła z wody gumowego węża i szybko uzupełniała baki i rezerwę oleju. Podano im szczelnie zamknięte pojemniki z gorącą żywnością i kilka baryłek ciemnego piwa. Wreszcie von Moreau otrzymał kartkę od kapitana statku:

Startujcie, gdy tylko będziecie gotowi. Kiedy znajdziecie się już w powietrzu, odnotuję w dzienniku pozycję i raport o locie 977 kompanii Aero Lloyd z Jeziora Wiktorii, z waszą maszyną na jego miejsce. Gratulacje z okazji wizyty na południu. Tu na dole rozpętało się istne piekło. *Hals und Beinbruch!*

Von Moreau uśmiechnął się. „Złam kark i nogę”. Kapitan musiał w przeszłości być lotnikiem, skoro znał pozdrowienie pilotów wyruszających do boju. Wychylił się z okna kokpitu, dostrzegł kapitana i pomachał do niego ręką. Kilka minut później oderwali się od statku, ustawili w pozycji startowej pod wiatr i z łoskotem wzbili się w ciemniejące niebo. Teraz von Moreau wspiał się na wyższy pułap. Im mniej ludzi mogło się przyjrzeć „Rohrbachowi” w drodze do Niemiec, tym lepiej. Wzniósł maszynę na cztery tysiące dziewięćset metrów, zbliżając się do granicy możliwości ciężkiego hydroplanu. Skinął na siedzącego po prawej stronie Gottlera:

– Przejmij stery. Ja się prześpię. Obudź mnie, jeśli zajdzie coś nieprzewidzianego, nawet gdyby wydawało się to błahostką.

– Tak jest.

Chwilę potem von Moreau już spał. Hydroplan z hukiem silników podążył na północ.

Czternaście godzin później *Flugkapitän* Erhard von Moreau pokiwał z zadowoleniem głową i stuknął palcem w mapę Morza Śródziemnego, spoczywającą na jego kolanach. Zerknął na drugiego pilota.

– Jesteśmy dokładnie o czasie – oznajmił z nieukrywaną przyjemnością. – Niebyszały lot! Kto by pomyślał, że przelecimy w nocy nad Ugandą, Sudanem i całą Libią bez napotykania po drodze żadnych przeszkód.

Gottler uśmiechnął się w odpowiedzi:

– Pod nami tylko woda. Jaka jest nasza dokładna pozycja, kapitanie?

Von Moreau uniósł mapę.

– To wybrzeże Libii, o tu. Przelecieliśmy nad El Agheila, pokonaliśmy Golfo Di Sidra, następnie Morze Śródziemne i teraz – postukał w mapę – jesteśmy, hm, tutaj. Trzydzieści pięć stopni szerokości północnej i osiemnaście stopni długości zachodniej. Przed nami Sycylia i Włochy, i jeśli utrzymamy obecny kurs, przelecimy



nad Cieśniną Messyńską, tutaj, a potem nad Livorno i dalej prosto do domu.

Von Moreau trzymał mapę w górze, by drugi pilot mógł lepiej zobaczyć trasę. Teraz, gdy ją składał, ujrzał coś przez grubego wiatrochron. Powoli opuścił mapę, patrząc w niebo z malującym się nad twarzy wyrazem zaskoczenia.

– Franz! Popatrz uważnie. Niemal na wprost nas, trzydzieści stopni nad linią horyzontu.

Słońce odbijało się z oślepiającym błyskiem od jakiegoś obiektu.

– Kapitanie, to coś wygląda jak... jak zeppelin! Ale to jest ogromne! – Gottler wytrzymał wzrok. – Leci bardzo wysoko, a odblask jest tak silny, że...

– Utrzymać kurs i wysokość – uciał von Moreau. – Obejrzyjmy to sobie. – Sięgnął do kieszeni ze swoimi przyrządami i wy dobył silną lornetkę. Ustawił ostrość i zaklął pod nosem.

– *Mein Gott...*

– Co to jest, kapitanie? – nie wytrzymał Gottler.

– Coś w kształcie torpedy. Ma chyba z pięćset metrów długości, ale... – Mówił teraz zarówno do siebie, jak i do drugiego pilota. – Ale wtedy były co najmniej dwa razy większy niż największy zeppelin, jaki kiedykolwiek zbudowaliśmy! Z początku myślałem, że to „Graf Zeppelin”. Już od dwóch lat odbywa rejsy nad Atlantykiem.

– Kapitanie, jesteśmy na pięciu tysiącach...

– Tak, tak, wiem. Cokolwiek to jest, znajduje się co najmniej dwa razy wyżej niż my, a zeppelin tak wysoko nie latają! Poza tym – przerwał sam sobie – przejmę stery, Franz. Powiedz mi, co ty widzisz.

Gottler podniósł lornetkę do oczu:

– Obiekt jest tak wielki, jak pan twierdził. Ale... poszycie nie jest z materiału, jak u „Grafa”. Ten statek jest od dziobu po rufę pokryty metalem.

– Co jeszcze?! – naciskał von Moreau, za wszelką cenę pragnąc albo potwierdzenia tego, co przed chwilą widział, albo informacji, że jego oczy spletały mu figła.

– Silniki, kapitanie. To znaczy – Gottler zająknął się z niedowierzania – nie ma ich. Nie widzę nawet śladu silników, a to przecież niemożliwe. Proszę spojrzeć, obiera kurs przecinający naszą drogę lotu. I chociaż jest dużo wyżej, wyraźnie zamierza nas prze-

chwycić. Ale jak... jak to jest możliwe bez silników? – Opuścił lornetkę i popatrzył na von Moreau. – Kapitanie, nie rozumiem...

– Do diabła z rozumieniem! Zapisuj wszystko, co widzisz, jasne? Rób notatki!

Von Moreau pochylił się na prawo i obrócił w kierunku stanowiska radiooperatora.

– Stryker! – wrzasnął – Dasz radę złapać Hamburg na krótkich falach? Próbuj!

Zwrócił się ponownie do Gottlera:

– Co jeszcze dostrzegasz?

– To niewiarygodne, kapitanie, ale nawet z tej odległości wyraźnie widać, że obiekt zwiększył prędkość. Z całą pewnością porusza się szybciej i... kapitanie! Od obiektu oddzieliło się kilka mniejszych! Widzi je pan? Strasznie błyszczą w tym słońcu... Pierwszy raz w życiu widzę coś takiego. Jaki mają kształt, kapitanie! Są jak... jak półksiężycy. Ależ szybko się poruszają! To... to niesamowite, kapitanie! Nie mają silników ani śmigieł!

Von Moreau złapał swoją lornetkę.

– Przejmij stery – warknął do Gottlera. – Utrzymaj kurs i wysokość. Stryker! Co z tym Hamburgiem?

Radiooperator Albert Stryker wpadł do kokpitu.

– Kapitanie, nasze transmisje są blokowane. Słyszę tylko zakłócenia. Ktoś nas rozmyślnie zagłusza.

– Próbowales innych systemów?

– Próbowalem na każdej częstotliwości. Nic się nie przedostaje. – Stryker wyglądał teraz przez szybę; spostrzegł trzy świecące, półksiężycowate obiekty, które zbliżały się do nich, szybko obniżając wysokość. Otworzył usta ze zdumienia.

– Co... co to są za...

– Wracaj do radiostacji, Stryker! – rozkazał von Moreau. – Próbuj dalej, choćby i zębami, bylebyś nawiązał łączność.

– Tak jest! Zrobię, co w mojej mocy, kapitanie. – Stryker popieszył do sprzętu radiowego.

– Pierwszy raz widzę coś takiego – powiedział von Moreau do drugiego pilota. – To zadziwiające. Najpierw olbrzymia torpeda, teraz te pędzące po niebie półksiężycy... Wyciągają chyba z siedemset albo osiemset na godzinę. – Potrząsnął z niedowierzaniem głową. – Coś musi je napędzać. Ale co? Skąd pochodzą? Kim są ich piloci? I po co przybyli? – wyrzucał z siebie pytania bez odpowiedzi.

Stryker ponownie wpadł do kokpitu:

– Kapitanie! Ci tam w górze... – trzęsącą się ręką wskazał skrzący się półksiężyc, który minął ich z ogromną prędkością i zakręcił bez najmniejszego wysiłku, jakby za sprawą czarów. Pozostałe dwa zajęły pozycje, po jednym przy każdym skrzydle „Romara”.

– Nawiązali z nami kontakt, kapitanie.

Von Moreau wbił wzrok w Strykera.

– W jakim języku, człowieku?

– W naszym, kapitanie. Po niemiecku.

– I co mówią?

Stryker przełknął ślinę, zanim się odezwał:

– Rozkazują nam natychmiast wodować albo nas zestrzelać.

Von Moreau szybko ocenił groźbę sytuacji, w jakiej się znaleźli. Olbrzymi kształt nad nimi to z pewnością statek macierzysty, latający lotniskowiec. Przy takim kształcie, rozmiarach i osiągnięciach nie miał prawa istnieć, ale jednak tam był. A te jeszcze bardziej niesamowite półksiężyce, połyskliwe, niewiarygodnie szybkie i bez widocznego napędu. O tyle wyprzedzały ich „Romara”, że równie dobrze mogłoby płynąć łodzią wiosłową. Nie miał wątpliwości, że groźba zestrzelenia była prawdziwa.

– Przekaż im, że się dostosujemy – powiedział von Moreau. Gottler patrzył na niego z niedowierzaniem.

– Nie mogę, kapitanie – odparł Stryker. – Rozkazali nam schodzić do wodowania natychmiast. Powiedzieli też, że nie będę mógł im przekazać odpowiedzi.

Von Moreau nie miał wątpliwości. Instynkt zrodzony z doświadczenia nabytego podczas misji bojowych, lata pracy na wielkich samolotach rejsowych i to, co zobaczył podczas tego niezziemskiego pokazu – wszystko to złożyło się teraz na intuicyjną decyzję. Prawą ręką przyciągnął dźwignie przepustnic, zmniejszył moc, obniżył nos i rozpoczął manewr wodowania.

Nie mogli nawiązać z nikim łączności radiowej, ale von Moreau wiedział, że postępy w ich locie są nanoszone na mapy w Hamburgu i Berlinie, i jeśli nie wylądują w pobliżu Catanii na Sycylii, która leży bezpośrednio na zamierzonym przez nich kursie, podniesie się alarm.

– Stryker, nie przestawaj wysyłać sygnału o pomoc razem z naszymi współrzędnymi. Transmituj na wszystkich częstotliwościach. Wiem, że nas zagłuszają, ale zawsze może się coś wydarzyć. Może

zmiana wysokości jakoś na to wpłynie. W każdym razie postaraj się.

– Tak jest.

Von Moreau skupił się na przyrządach, przygotowując maszynę do wodowania. Gottler usiłował dostrzec coś w oddali.

– Z zachodu nadciągają niskie chmury, kapitanie – zaraportował. – Wkrótce możemy mieć mgłę nad powierzchnią.

– Liczę na to – powiedział gorzko von Moreau. – Wcale mi się to nie podoba. Czuję się jak szczur w pułapce.

– Tak jest.

Osiedli już na wodzie, z nosem hydroplanu ustawionym do przybierającego na sile wiatru, który pchał w ich stronę chmury i owinał samolot pierwszymi wstęgami mgły. Widoczność była jeszcze na tyle dobra, że widzieli, jak potężny statek, wiszący nad nimi, także obniża lot, kierując się bezpośrednio na ich maszynę.

– Wiesz, Franz, kiedy już wydostaniemy się z tej opresji – jeśli się w ogóle wydostaniemy – i opowiemy innym, co się tu wydarzyło, to nikt, ale to nikt nam nie uwierzy.

– Jestem przekonany, kapitanie, że nie mamy się o co martwić. Nie z takim ładunkiem. Ci z Berlina bez zwłoki rozpoczną poszukiwania i nie cofną się przed niczym, póki nas nie znajdą.

Von Moreau popatrzył na nadciągającą ponurą pogodę; olbrzymi kształt nad nimi nadal rósł.

– Tyle że nikt nie wie, gdzie jesteśmy i że patrzymy na coś, co nie powinno istnieć. Poza tym, młodzieńcze, nie mamy chyba powodów do zmartwień, co?

Franz Gottler nawet nie starał się znaleźć odpowiedzi.

## 2.

Ależ się postarzał. Dobry Boże, lata nie były dla staruszka łaskawe. W życiu do głowy by mi nie przyszło, że go zobaczę na wózku. Chyba że – profesor Henry Jones uśmiechnął się do własnych myśli – miałby do niego przyczepiony silnik raketowy i go niłby jak szatan wśród tych szacownych murów.

Jones w pełni akceptował osobę doktora Pencrofta. Mimo podeszłego wieku siedemdziesięciu lat i wózka inwalidzkiego, Pencroft nadal roztaczał wokół siebie aurę władzy i dominacji. Dziekanem Wydziału Archeologii Uniwersytetu Londyńskiego został dawniej, niż większość ludzi sięgała pamięcią, lecz nawet teraz, z latami gromadzącymi mu się na karku, z burzą siwych włosów nad oczami błyskającymi spoza grubych szkieleł, nie było wątpliwości, że panuje nad swoim urzędem. Okulary zdawały się wyszczuplać jego twarz bardziej niż ściągnięta, podobna do pergaminu skóra. Po takim ciele spodziewano się zwykle słabego głosu; każdego, kto tak myślał, wprawiała w zdumienie siła i energia Pencrofta, kiedy mówił. Nikt nie śmiał kwestionować jego doświadczenia czy autorytetu.

Profesor Henry Jones – który przedkładał nad swe imię przydomek Indiana – podziwiał i szanował starego Pencrofta. Pencroft natomiast miał dychotomiczne podejście do Jonesa. Pozornie nie tolerował go z powodu dużo młodszego wieku i niewybaczalnego grzechu bycia Amerykaninem, intruzem przybyłym z niegdysiejszych kolonii. Doceniał jednak entuzjazm i wiedzę Jonesa, jego graniczącą z bezmyślnością chęć pogoni za wytyczonym mu ce-

lem. Sam niegdyś zachowywał się podobnie. Niejeden raz Pencroft rozpraszał zbierające się nad głową Jonesa czarne chmury, gdy zarząd uniwersytetu chciał go usunąć spośród grona wykładowców i wysłać z powrotem za ocean, „gdzie jego miejsce, wśród ignorancji i grubiańskich manier Amerykanów”. Profesor Jones może i był obcokrajowcem, ale za to obcokrajowcem o wyjątkowym umyśle i niesamowitej intuicji do znajdowania wśród tajemnic przeszłości tego, czego szukał. Pencroft nigdy by się nie przyznał, że bawiło go występowanie w roli obrońcy Jonesa; Jones przypominał mu jego samego dziesiątki lat temu.

Służący Pencrofta zatrzymał wózek dokładnie dwa metry od profesora Jonesa. Przez długą chwilę obaj milczeli. Tak właśnie postępował Pencroft; najpierw zwykł analizować sytuację, jeśli była odmienna od tych, w których się już w życiu znalazł. Zbierał myśli, węszył pismo nosem i zachowywał milczenie, dopóki nie wykoncytował sobie replik nie tylko na daną chwilę, ale i na kilka posunięć naprzód. A z tego, czego dowiedział się podczas bardzo prywatnej rozmowy, słowo „odmienna” nie zostało tu użyte w znaczeniu podawanym przez jego wewnętrzny słownik.

Szczerze mówiąc, Pencroft nie uwierzył w ani jedno słowo. Uznał to, co usłyszał, za stek bzdur i andronów. Opowieści o duchach i upiorkach do straszenia dziatwy i nic więcej. Był kompletnie zaskoczony, kiedy ludzie wysłani spod numeru dziesiątego na Downing Street spotkali się z nim, a im dłużej mówili, w tym większe wprawiali go zdumienie, i to nawet nie samą opowieścią, ale faktem, że najwyższe szczeble rządowe mogłyby sobie zawracać głowę takimi bredniami. Oznajmił im to zresztą, przy czym użył niedwuznacznych sformułowań. Nie zważając na to, że są bądź co bądź wysłannikami premiera, omal nie oskarżył swych gości o alkoholizm.

Przełknęli to gładko, co samo w sobie wiele powiedziało sprytnemu Pencroftowi. Natychmiast stało się dla niego jasne, że mają już za sobą podobny proces myślowy jak on, gdy słuchał tej niewiarygodnej historii. Nie żartowali więc, a jeśli zstąpili ze swych biurokratycznych wyżyn, by odwiedzić profesora Pencrofta, musieli być przyparci do muru.

To zmusiło go do odszukania Jonesa. A dokładniej, Indiany Jonesa, człowieka z niedorzecznym mianem, które sam przybrał. Wiedział, że najbliżsi przyjaciele profesora skracali to imię, zwracając się do niego po prostu „Indy”, ale Pencroft nie potrafił zniżyć się do robienia czegoś takiego. Teraz odsunął te myśli na bok.

– Co w tej chwili robisz? – napadł niespodziewanie na Jonesa. Ledwie wyrzekł te słowa, a już żałował ich niestarannego doboru. Jones uwielbiał łapać ludzi za słowa.

– O ile nie tkwię w straszliwym błędzie – odciął się natychmiast – znajduję się obecnie w tym korytarzu, tak jak i pan. To raczej nie najlepsze miejsce na randkę, jak sądzę.

– Do diabła z twoim osądem! – warknął Pencroft. Przechylił głowę na bok. – Posłuchaj mnie, gagatku – kontynuował z nutką szorstkiej sympatii. – Przyjdź do mojego biura za dziesięć minut i ani sekundy później.

– Mam zajęcia z klasą – odparł cicho Indiana Jones, wiedząc że Pencroft zna rozkład jego zajęć.

– Masz zajęcia z klasą, ale sam jesteś bez klasy – zadrwił Pencroft. – Za dziesięć minut. – Uśmiech spełznął z jego twarzy. Pencroft boleśnie zakasłał i uczynił słaby gest ręką. – Mówię poważnie, Indiana.

To przesądziło sprawę. Kiedy Pencroft używał tego imienia publicznie, był jak najdalszy od żartów. Jones skinął głową.

– Poszukam kogoś na zastępstwo – powiedział. – Przyjdę.

– Już to załatwiłem – oznajmił Pencroft, ucieszony tą drobną przewagą. Pokazał służącemu, by zawiózł go do jego biura. Jones obserwował, jak obaj skręcili w jeden z bocznych korytarzy.

Indy poczuł się zaintrygowany wyraźnym rozdrażnieniem Pencrofta. To nie było w jego stylu. Gdyby nie znał go dobrze, pomyślałby, że starszkiem wstrząsnęło to, co kazało mu zdezorganizować plan profesorskiego dnia. W tej krynicy edukacji prędeziej zabijano własnego psa, niż zmieniano dzienny rozkład pracy. Jedno wydawało się oczywiste: coś dużego wisiało w powietrzu. Pencroft jednak nie uchylił przed nim nawet rąbka tajemnicy. Cóż, wkrótce wszystko stanie się jasne.

Jones szybkim krokiem podążył do swego biura i dziarsko przemaszzerował przez poczekalnię, gdzie jego sekretarka, Frances Smythe, wyciągnęła ku niemu rękę z plikiem zostawionych dla niego wiadomości. Opędził się od nich gestem.

– Żadnych rozmów, nic, rozumiemy się?

Ciemnowłosa kobieta pokiwała przecząco głową.

– Nie, nie rozumiemy się. Mogę prosić o naświetlenie sytuacji?

– Nie bądź taka przewrażliwiona, Fran.

– Nie mam pojęcia, co się dzieje. To twoja wina – odparowała. – Wiem, wiem. Za kilka minut w gabinecie Pencrofta. Dzwoni-

li tu. To bardzo tajemnicze. Nawet mieli już dla ciebie przygotowane zastępstwo. Czy kiedy będę robiła ci kawę, mógłbyś mi powiedzieć, o co chodzi?

– Dzięki za kawę. Może być letnia. Nie ma czasu na gorącą. Mówiąc szczerze – westchnął Jones – to nie mam bladego pojęcia, co jest grane.

Kubek z kawą znalazł się w jego rękach niemal natychmiast. Pozostawało dla niego zagadką, jak ona to robiła, że zawsze dostawał kawę o temperaturze, o jaką prosił. Sprawdził, czy wziął ze sobą okulary.

– Dlaczego nie kupisz sobie jakichś ładniejszych oprawek – zagderała Frances. – W tych czarnych druczianych wyglądasz jak mangusta.

– Pomagają utrzymać stosowny dystans między mną i pięknymi młodymi damami – roześmiał się Jones. Rzucił okiem na zegarek. – Dzięki. – Oddał jej kubek. – Czas odmaszerować.

– Powodzenia.

Zatrzymał się w pół kroku.

– Co?

Zmieszała się.

– Indiana – powiedziała miękko; zabrzmiało to niemal intymnie. – Ostatnim razem, kiedy Pencroft wezwał cię do siebie w ten sposób, no, wiesz, chodziło o wyprawę do Amazonii i...

– Nie mówmy o tym – uciął szorstko Jones. Nie potrzebował, żeby przypominano mu o fantastycznej dziewczynie, której mężem był tak krótko. Boże, zadumał się po drodze do gabinetu Pencrofta. Od śmierci Deirdre minęły cztery lata, a nadal boli tak, jakby to było wczoraj...

Skoncentrował myśli na tym, co usłyszy od Pencrofta, usuwając wszystko inne na dalszy plan, i wszedł do przedpokoju jego biura.

– Proszę od razu do gabinetu – rzuciła mu Sally Strickland. Najwyraźniej sekretarce także udzieliło się ogólne podekscytowanie. Poskąpiła mu nawet uśmiechu i przyjaznego pozdrowienia, co nie zdarzało się często. Dostosował się do powagi chwili, skinął głową i wszedł do biura Pencrofta.

– Zamknij drzwi – powiedział niepotrzebnie Pencroft. Indy domknął je obcasem. Staruszek miał jakieś powody do irytacji, i był to także znak dla Indy'ego: uwaga, zachowaj czujność. Otakował wzrokiem trzeciego mężczyznę w pokoju.



Gdyby Jones miał jednym słowem opisać nieznanego, nie wahałby się ani chwili przed użyciem określenia: bezwzględny. Człowiek ten, kimkolwiek był, zachowywał się jak prawdziwy zawodowiec. Postawa, pewność siebie, przenikliwe oczy, krój garnituru, kocie rozleniwienie połączone z pełną gotowością, tak psychiczną jak i fizyczną... wszystko to mieściło się w jednym człowieku, który potrafił zburzyć opanowanie Pencrofta.

– Profesor Henry Jones – przedstawił sztywno Pencroft. – A to pan Thomas Treadwell. Pan Treadwell...

Treadwell wstał i wyprostował się jednym płynnym ruchem, po czym wyciągnął rękę na powitanie. Indy ponownie odczuł siłę jego osobowości. Przez kilka cennych sekund zbierał wszystkie swoje spostrzeżenia, wycierając jednocześnie chusteczką soczewki okularów.

– Treadwell, tak? – powtórzył niedbale. – Czy to pańskie prawdziwe nazwisko, panie... – zawiesił znacząco głos.

– Jak dla pana, wystarczająco prawdziwe – odparł Treadwell. Ton jego głosu zdradzał, że ma wszystkie niezbędne papiery, które „dowodziły” ponad wszelką wątpliwość, iż nazywa się Treadwell.

– Widzę, że bawimy się tu w kotka i myszkę – powiedział Indy do obu mężczyzn. Potem skierował swój wzrok na Pencrofta. – Czy wolno mi wiedzieć, kim jest nasz gość?

Pencroft skinął głową. Sam miał jedynie strzępki informacji i bynajmniej mu się to nie podobało. W pokoju dawała się wyczuć, także dosłownie, obecność służb bezpieczeństwa. Ktoś, kto wzięłby Pencrofta za stetryczalonego starego profesorka, popełniłby poważny błąd. Na długo przed objęciem stanowiska na uniwersytecie wiernie służył w armii brytyjskiej, dosługując się podczas pół tuzina wojen szarży brygadiera i odchodząc do cywila po odniesieniu liczby ran, która mogłaby uśmiercić kilku ludzi. Tak jak Indiana Jones, potrafił rozpoznać profesjonalistę.

– Nie mam zamiaru pana zwodzić, profesorze Jones – odrzekł Treadwell. – Pracuję dla wywiadu wojskowego. Nie dla Scotland Yardu, jak się już pan zapewne domyślił. Pańskie zachowanie jest dosyć czytelne.

Indy uśmiechnął się i kiwnął głową.

– To, co panowie za chwilę usłyszą, musi być utrzymane w ścisłej tajemnicy – Treadwell podjął wątek. – Wiadomo mi, że jest pan obywatelem amerykańskim, ale oszczędźmy sobie biurokracji i formalnych gadek. Wystarczy pańskie słowo.

– Zaraz, zaraz – wtrącił się Pencroft. – Niech mnie kule biją, jeśli będę tu siedział o suchym gardle.

Nacisnął przycisk na biurku.

– Sally, przynieś herbatę. I brandy. Jedno i drugie w odpowiednich ilościach.

Poczekali, aż nalana do naczyń herbata zostanie wymieszana z brandy, i sekretarka Pencrofta opuścił gabinet. Nagle w przedpokoju ryknęło radio. Indy uniósł brew, sygnalizując Pencroftowi zdziwienie, na co ten odpowiedział uśmiechem. W takim hałasie nikt nie podsłucha ich rozmowy.

– Zaczniemy od tego – zagaił Treadwell – że wcale się nie spodziewam, iż uwierzysz panowie w moje słowa.

Dwadzieścia minut później Indy bezwarunkowo przyznał mu rację.

Treadwell opowiedział historię tak fantastyczną, że nawet Indy był zaskoczony. A przecież tropił już indiańskie duchy w Ameryce Południowej, czołgał się wąskimi korytarzami piramid, stawiał czoło szamanom *voodoo*, dokonującym czynów, które nauka uznalaby nie tyle za niewiarygodne, co niemożliwe. Widział duchy starożytnych olbrzymów w Stonehenge, przekraczał wątle i mgliste granice oddzielające ten świat od innych wymiarów. Przebywał... hej, nie uważasz, przywołał sam siebie do porządku.

Treadwell zapoznał ich ze szczegółami napadu w Związku Południowej Afryki, nie pomijając użycia gazu bojowego i karności grupy paramilitarnej, która zostawiła po sobie wrażenie absolutnego profesjonalizmu. Wartość zrabowanych brylantów oszacowano na miliard dolarów, ale Indy'ego poruszyła dopiero wzmianka Treadwella o starożytnym przedmiocie pokrytym jakimś symbolami – przedmiocie, który nie mógł być dziełem przyrody ani ludzkich rąk, jeżeli uczeni nie pomylili się przy ocenie jego wieku. Indy powstrzymał się na razie od przemyśleń; Treadwell kontynuował:

– Wiemy, że była to niemiecka operacja. Wskazuje na to nie tylko iście teutońska skuteczność – wyjaśnił. – Obserwujemy, jak Niemcy z pobitego państwa wyrastają na nową potęgę. Oficjalnie to oczywiście nonsens, bo nasi przywódcy nadal wierzą, że wszyscy ludzie, z Niemcami włącznie, są dobrzy, którego to poglądu ja osobiście nie podzielam. Niemcy są zbyt zajęci przekuwaniem le-

mieszcy na broń. Stworzyli zupełnie nową tajną organizację. Wiemy, że Hermann Göring przeprowadza inspekcje fabryk. Wszystko wskazuje na to, że zbrojenia są w toku.

– A skradzione brylanty – wtrącił Indy – miały zapewne pokryć koszty ich nowej armii.

Treadwell skinął głową.

– Ale nie wszystko ułożyło się po ich myśli, profesorze Jones. – Coś w jego tonie powiedziało Indy’emu, że wkrótce pozna powody, dla których go tu w tak konspiracyjny sposób wezwano.

Pencroft ożywił się.

– Jakie macie dowody, że Niemcy maczali w tym palce?

– Oprócz tego, że mamy w kartotece akta pewnych osobników – odrzekł szybko Treadwell – odnotowujemy każdy niemiecki ruch na obszarze Afryki. Bezczelnie zmierzają oni do przejścia kontroli nad większością lub nawet całym kontynentem, tak jak dążą do tego pod przykrywką linii powietrznych Condor i innych kompanii w Ameryce Południowej. Nie chcę za bardzo odchodzić od tematu, ale jeśli przekonam panów, że znamy posunięcia Niemiec, łatwiej zrozumieją panowie to, co zaraz usłyszą.

Wiemy, że pewien niemiecki pilot, kapitan von Moreau, siedział za sterami hydroplanu „Rohrbach”, odbywającego regularny lot komercyjny na trasie Niemcy – Związek Południowej Afryki. Udało nam się, hm, zdobyć listę pasażerów bez wiedzy Aero Lloyd...

– No proszę, mamy też intrygę – wtrącił Pencroft z uśmiechem.

– Można tak powiedzieć. Chodzi o to, że sprawdziliśmy kilkoro z tych pasażerów. Żadnego z nich nie było na pokładzie. Ich nazwiska, rezerwacje, numery paszportów i tak dalej, wszystko było w porządku, tyle że oni po prostu nigdy nie wsiadli do tego samolotu. Najwyraźniej wygląda to na jakąś tajną operację. Nawiazaliśmy także współpracę z ludźmi z Południowej Afryki, którzy badali miejsce katastrofy pociągów. Ich i naszym chemikom udało się wspólnie dojść tropem materiałów wybuchowych aż do zakładów chemicznych, w których je wyprodukowano. Nikt inny nie wytwarza dokładnie takich samych substancji. Ustaliliśmy to ponad wszelką wątpliwość.

– Słyszałem, że było coś jeszcze – powiedział ostrożnie Indy.

– Słyszał pan o tej sprawie, zanim pan tu wszedł? – Treadwell stał się nieprzyjemny.

– Nie do końca. Ale możliwe, że zachodzi tu jakiś związek.

– Czy wobec tego mógłby pan, profesorze... – drążył Treadwell.

– To żadna tajemnica, zarówno dla naszego uniwersytetu, jak i dla naszych współpracowników z Wydziału Archeologii Uniwersytetu Związku Południowej Afryki, że w jednej z kopalń diamentów prawdopodobnie dokonano epokowego odkrycia. Są duże trudności z dostępem do tych kopalń, ale znalezisko jest tak niesłychane, że zarząd kopalni, chcąc nie chcąc, próbował, z zachowaniem dyskrecji, dowiedzieć się czegoś o tym przedmiocie. Muszę pana ostrzec, że może to się okazać jedynie plotką, lecz w naszym fachu, panie Treadwell, nie lekceważy się nawet najdrobniejszych poszlak.

– Jakiego rodzaju jest to znalezisko, profesorze Jones?

– Sześcian pokryty nieznanymi symbolami.

Pencroft wtrącił się do rozmowy, wyraźnie zasmucony:

– Nic o tym nie wiem, Indiana. Musisz mnie lepiej informować.

– Może to tylko stek bzdur i andronów – odparł Jones, używając jednego z ulubionych sformułowań Pencrofta. – Podobno sześcian wydobyto z nowo wyfiedrowanego szybu, z bardzo dużej głębokości. Inżynierowie oceniają wiek kwarcu w odwiercie na mieszczący się w przedziale od stu tysięcy do kilku milionów lat.

– A skąd – kontynuował Indy spokojnie – w żyłe diamentowej wziął się sześcian zapisany znakami przypominającymi pismo klinowe, kiedy w tym czasie ludzkość zajęta była schodzeniem z drzew?

– Jest pan pewien datowania? – spytał Treadwell.

– Ależ skąd! – odparował Indy. – Nie zostało to jeszcze potwierdzone. W normalnych okolicznościach nikt nie zajmowałby się tak podejrzaną sprawą. Ale ten sześcian, jeżeli istnieje naprawdę, może pochodzić sprzed zaledwie tysiąca lat. Lub też, jak uważają niektórzy ludzie z Rzymu, sprzed dwóch tysięcy.

Treadwell był zbity z tropu.

– Z Rzymu? Sprzed dwóch tysięcy lat?

– Mniej więcej z tego samego okresu, co Chrystus – powiedział z nutką zadowolenia w głosie Pencroft. – Słyszał pan o nim, panie Treadwell? Znany jest między innymi jako Jehoszua, Jezus, Zbawiciel. Co do Rzymu zaś, z pewnością wiadomo panu, gdzie znajduje się Watykan.

– Dlatego właśnie – dodał Indy – nawet najwątlesza poszlaka, choćby i cień prawdopodobieństwa, że ten sześcian istnieje, że

jest pokryty inskrypcjami klinowymi, że może pochodzić sprzed dwóch tysięcy lat lub też mieć jakiś związek z Jezusem, najwyraźniej spędza sen z powiek ludziom z najwyższych szczebli Watykanu, którzy podobno za wszelką cenę pragną zdobyć ten przedmiot. Jeżeli on oczywiście istnieje i spełnia wszystkie te warunki, które przed chwilą wymieniałem.

Treadwell z powrotem zagłębił się w fotelu. Wreszcie podniósł wzrok, najpierw na Pencrofta, potem na Indianę.

– To, co pan właśnie powiedział, czyni historię, jaką chcę panów uraczyć, jeszcze bardziej niewiarygodną.

– Dość tych popisów retorycznych – ponaglił Indy niecierpliwie. – Proszę się streszczać.

– Tak, tak – nalegał Pencroft. – Skończyła mi się herbata z brandy, a w moim wieku to ważniejsze niż ta rozmowa, której końca nie widać. – Indy wiedział, że stary profesor zmagał się z bólem, lecz ukrywał to pod obcesowym zachowaniem.

Treadwell odetchnął głęboko.

– „Rohrbach”, ten hydroplan wiozący brylanty i prawdopodobnie także ów zagadkowy sześcian, nigdy nie dotarł do Niemiec! Słyszac tę nowinę, Indy i Pencroft zdwoili uwagę.

– Proszę nie sugerować, że ktoś uprowadził ten niemiecki liniowiec! – Pencroft był bliski wybuchnięcia śmiechem.

– Co się stało? – spytał Indy cicho.

– O tym, co zaszło, dowiedzieliśmy się od... – Treadwell zaważał się.

– Wykrztuś pan to wreszcie! – krzyknął Pencroft.

– Rozmawialiśmy z pewnym człowiekiem – Treadwell mówił wolno i ostrożnie – który podobno był na pokładzie „Rohrbacha”. Jako jedyny przeżył atak na samolot. Powiedział nam, że w ciągu nocy przelecieli nad Afryką. Pilot prowadził maszynę wysoko, pięć kilometrów nad ziemią, co jest górnym pułapem dla liniowca z pełnym zapasem paliwa. Mówił także o zimnie na tej wysokości i że część załogi cierpiała na bóle głowy spowodowane brakiem tlenu.

– Tak, tak – poganiał Pencroft. – Co dalej?

– W kokpicie zrobiła się nerwowa atmosfera. Widział radiooperatora – nazywali go Stryker i potwierdziliśmy to – i ten Stryker denerwował się, że radio nawala, a potem, po ponownym zamieszaniu w kabinie pilotów, kiedy znajdowali się pośrodku Morza Śródziemnego, von Moreau zszedł do wodowania.

– Nie powiedział pan, dlaczego to zrobił – skrytykował Indy. – Nie bawmy się w zgadywanki, czy chodziło o paliwo, czy silnik wysiadł, czy jeszcze co innego. Dlaczego pilot sprowadził maszynę na dół?

– Ten człowiek...

– Chwileczkę – wpadł mu w słowo Pencroft. – Wspomniał pan, że jako jedyny uratował się z katastrofy. Skąd go wytrzasnęliście?

– Załoga lecącego nisko z powodu zachmurzenia francuskiego samolotu zauważyła ogień na morzu. Nie mieli pojęcia, skąd się wziął. Płomienie mogły pochodzić z rozbitego samolotu lub statku. Natychmiast wezwali pomoc. Na szczęście w pobliżu znajdowała się akurat jednostka brytyjska, która niezwłocznie udała się na wskazane przez Francuzów miejsce wypadku. W wodzie znajdowały się szczątki jakiejś maszyny, a reflektory wyłowiły z mroku człowieka uczonego kawałka drewna. Był ciężko poraniony; miał połamane kości, poparzenia i był w szoku. Zajęli się nim najlepiej, jak mogli, a płatnik\* dowiedział się od niego, że nikt więcej nie ocalał.

– Niech pan mówi dalej. Co jeszcze powiedział? – pogańał Indy.

Treadwell wziął głęboki wdech.

– Twierdził, że jakiś ogromny, srebrzysty, połyskliwy obiekt latający zmusił ich do wodowania. Że miał on prawie tysiąc metrów długości, poruszał się bardzo szybko...

– To nie mógł być sterowiec – mruknął Pencroft. – Przy tych rozmiarach... – Indy pokazał na migi Pencroftowi, by pozwolił Treadwellowi kontynuować.

– Wiele z tego, co mówił, brzmiało jak majaczenie i oczywiście cierpiał z powodu odniesionych obrażeń i ran. Ale płatnik twierdzi, że upierał się on co do statku i jego rozmiarów, szybkości i tego, że kilku członków załogi zwróciło uwagę na fakt, iż nie miał on silników.

– Opisał nam pan niezłą latającą parówkę. – Indy nie krył niedowierzania.

– To nie ja opisałem. Ja panom tylko przekazałem, co usłyszeliśmy od tego człowieka. To jeszcze nie wszystko.

– Słuchamy, słuchamy – popędział Pencroft.

---

\* Oficer na statku zajmujący się księgowością (przyp. tłum.).

– Z tego wielkiego obiektu wyleciało kilka srebrzystych lub złotawych, ten człowiek nie miał co do tego pewności, mniejszych pojazdów. Kształtem przypominały szable tureckie. Albo półksiężycy, względnie bumerangi. Czymkolwiek były, poruszały się z ogromną prędkością, krążąc wokół „Rohrbacha”, jakby ten ugrzązł w błocie. – Treadwell zawiesił głos. – One także nie miały silników.

– Dlaczego liniowiec wodował? – zapytał Indy.

– Najwidoczniej z większego statku wydano im przez radio rozkaz wodowania pod groźbą zestrzelenia. Potem te dziwne statki uformowały eskortę „Rohrbacha”. Po wodowaniu na morzu większy obiekt zszedł bardzo nisko i opuściły się z niego do samolotu postaci przypominające ludzi. Najpierw przestrzeliły skrzydła, a następnie otworzyły ogień do załogi. Obaj piloci zginęli na miejscu. To wszystko, co wiedział ten człowiek. Został trafiony i wpadł do wody. Miał na sobie napompowywaną kamizelkę, ale nie użył jej od razu. W chwilę później, jak twierdził, wodnopląt stanął w płomieniach i eksplodował. W wyniku wybuchu facet został poparzony i z trudem zdołał aktywować kamizelkę, zanim zemdlął.

– Co stało się z tym ogromnym statkiem i małymi latającymi bez silników?

– Tego nie wiemy.

– Skąd pewność, że to nie bajeczka? – Indy napadł na Treadwella.

– Profesorze Jones, mamy trzydzieści dwa trupy, dwa zniszczone pociągi i obrócony w perzynę wiadukt. W Afryce odchodzą od zmysłów na myśl o stracie szlachetnych kamieni o wartości miliarda dolarów. Hydroplan „Rohrbach” został unicestwiony, a nawet jeśli nie, to zaginął wraz z załogą. Mamy naocznego świadka, który opowiada niesamowite historie o tym, co rzekomo widział, że nie wspomnę o rejewachu, jaki rozpętał się w Niemczech z powodu całej sprawy. A co do plotek z Afryki, to dotarły one do uszu Watykanu; papież i najwyżsi dostojnicy Kościoła aż podrygują na myśl o artefakcie.

– Czy mógłbym porozmawiać z tym ocalonym? – spytał głośno Indy.

– Sam bym z nim chętnie pogadał – odparł Treadwell z rozczarowaniem w głosie. – Niestety, nie przeżył. W tej chwili nasi ludzie w Niemczech pracują nad ustaleniem jego tożsamości, je-

żeli to jeszcze możliwe. Jak pan się może domyśla, Niemcy ściśle utajnili całą sprawę. Mało nie chodzą po ścianach.

– Pomiął pan coś – zauważył Indy.

– Mianowicie?

– Nie powiedział pan, kim byli ludzie w tym wielkim latającym... czymś-tam. A także w tych szablonopodobnych statkach.

– Nie mamy najmniejszego pojęcia, profesorze Jones.

– Czy jest pan świadom – wtrącił się Pencroft – że pojazdy, o których nam pan opowiedział, nie istnieją? Żaden ze znanych nam krajów nie wyprodukował maszyn odpowiadających temu opisowi.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Pencroft wykorzystał tę chwilę, by poprosić sekretarkę o kolejną dostawę herbaty i brandy. Potem nastąpiła faza, którą Indiana nazwałaby „wyłożeniem kawy na ławę”.

– Mam kilka pytań, jeśli pan łaskaw – zagaił Pencroft, by wrócić do tematu.

– Oczywiście – zgodził się Treadwell.

– To nie przypadek, że przyszedł pan z tym do nas.

– Zgadza się.

– Domyślam się, że przybył pan tu specjalnie, by odszukać i zapewnić sobie w ten czy inny sposób usługi profesora Jonesa.

– To także się zgadza.

– Kto pana przysłał?

Treadwell nabrał powietrza w płuca.

– M.I. Dwa\*.

Pencroft uniósł brwi na potwierdzenie udziału tak wysokiego szczebla rządu brytyjskiego. Po wymianie spojrzeń z Indym zwrócił się z powrotem do Treadwella.

– Teraz zatem – powiedział wolno – staracie się o usługi naszego świętego wykładowcy archeologii.

– Nie zaprzeczam.

– W tym – wyrwał się Indy – jest tyle samo sensu, co w pańskich historyjkach o latających diabłach czy też podniebnych piratach, kimkolwiek by byli – o ile w ogóle istnieją. Ludzie po takich przejściach jak eksplozja, poparzenie i wpadnięcie do morza są w stanie zobaczyć różne rzeczy. Ale zostawmy to na razie. Panie

---

\* (ang.) Military Intelligence – wywiad wojskowy (przyp. tłum.).



Treadwell, jestem na urlopie badawczym udzielonym mi przez uniwersytet w Princeton...

– Na którym wykładu pan kulturę i literaturę średniowiecza – dokończył za niego Treadwell.

– Jest pan dobrze przygotowany do zajęć – Indy skinął głową. – Co świadczy o tym, że personel pańskiego biura potrafi korzystać z uniwersyteckiej książki telefonicznej. Ale kontynuujmy. Obecnie wykładam archeologię celtycką. Nie jest to moja pierwsza posada na tym uniwersytecie.

– Już go raz wyrzuciliśmy – Pencroft zachichotał. – Jego wersja brzmi, że miał dosyć skostniałego i apodyktycznego brytyjskiego systemu akademickiego i odszedł na własną prośbę. Szczerze mówiąc, jest nie do zniesienia, łamie przepisy, wypuszcza się na wyprawę po kury znoszące złote jajka, ale – Pencroft spowaźniał – często udaje mu się powrócić z jajkami złożonymi przez te kury. Takimi jak na przykład delfijski Omfalos, którego szukaliśmy od dziesiątków lat w przekonaniu, że był on w jakiś sposób powiązany ze Stonehenge. Mieliśmy rację, ale dreptaliśmy w miejscu. Nasz wyalienowany badacz – wskazał głową na Indianę – dokonał cudu, złamał wszystkie reguły, ale zrobił to, co nam wydawało się zupełnie niemożliwe.

Treadwell nie pozostawał w tyle.

– W zachowaniu profesora Jonesa jest metoda.

– Tak? – zdziwił się Indy.

– Tak. Cierpi na rzadką chorobę, którą Amerykanie nazywają biurowstrętem. Nie jest w stanie wytrzymać zbyt długiego studiowania i kiedy miarka się przebierze, z zapalem wyrusza, aby buszować wśród starożytnych okazów sztuki, czy to w pustyni, górach czy dżungli. Przepraszam pana – tu zwrócił się bezpośrednio do Indy'ego – jeżeli uznał pan to za zlekceważenie śmierci pańskiej żony kilka lat temu. Nie chciałem pana urazić.

– Nie uraził pan – odparł Indy chłodno. – Pragnę panu przypomnieć, że czas mojego pobytu tutaj jest ograniczony. Mam zamiar wracać do Princeton lub na inny uniwersytet prowadzący wykopaliska w terenie.

– Nie wydaje mi się, by pan tak postąpił – powiedział Treadwell.

– Zdziwiał mnie pan, panie Treadwell. Zaledwie garstka ludzi wypowiedziała się z takim przekonaniem o mojej przyszłości.

Treadwell roześmiał się.

– Nikt pana nie będzie do niczego zmuszał. By użyć określenia zza oceanu, chyba mamy dla pana propozycję nie do odrzucenia.

Nachylił się ku swoim dwóm rozmówcom, którzy zrozumieli, że zmierza do sedna sprawy.

– Pragniemy, by profesor Jones postarał się zbadać sprawę nieznaną obiektów latających, o których rozmawialiśmy. Aby dowiedział się o nich jak najwięcej i odkrył, skąd pochodzą. Jesteśmy przekonani, że ta sprawa to coś więcej niż tylko majaczenia ocalałego z katastrofy człowieka. Z powodów, które wnet staną się jasne, byłoby pożądane, aby profesor Jones nie zrywał oficjalnych stosunków z Uniwersytetem Londyńskim. W ten sposób nie wzbudzi zainteresowania, niezależnie od tego, dokąd się uda na swe, hm, wykopaliska archeologiczne. Będzie oczywiście pracował dla nas, lecz całkowicie *sub rosa*\*.

– Czy ma pan pojęcie, jakie sumy wchodzi w grę? – wtrącił się Pencroft. – Rektorat uniwersytetu nigdy nie wyrazi zgody na...

– Nikt spoza tych czterech ścian nie może się dowiedzieć o naszym układzie – powiedział Treadwell nieco zbyt ostro. Teraz już nie żartował. – Z wyjątkiem ludzi, których profesor Jones uzna za stosowne wtajemniczyć. Jeśli chodzi o koszty, bierzemy to na siebie. Uniwersytet nie wyda nawet złamanego grosza.

– To co innego – wycofał się Pencroft, chociaż nie krył zdziwienia.

– Wspominał pan o podarunku – przypomniał Indy Treadwellowi. – Najwyraźniej trzyma pan asa w rękawie.

– Istotnie – uśmiechnął się Treadwell. – Jak pan się zapewne domyśla, w tej akcji wezmą udział także inne ekipy, ludzie z różnych branż i środowisk. Ale jeśli to panu pierwszemu uda się znaleźć ten sześcian, czymkolwiek by się okazał ten transportowany razem z brylantami artefakt, będzie pan mógł go zatrzymać.

– Chciał pan powiedzieć: „będziemy mogli go zatrzymać”! – wybuchnął Pencroft.

– To nie moja sprawa. Pragnę jedynie zaznaczyć, że Korona rzeknie się wszelkich roszczeń do tego przedmiotu. – Na twarzy Treadwella wykwitł uśmiech godny kota z Cheshire\*\*. – Profesor Jones nie potrafi zignorować czegoś, co mogło mieć bezpośredni

---

\* (łac.) Pod różą. Róża była dla starożytnych Rzymian symbolem tajemnicy (przyp. tłum.).

\*\* Słynny uśmiechnięty kot z „Alicji w Krainie Czarów” (przyp. tłum.).

związek z Jezusem. Oczywiście to tylko nieuzasadnione przypuszczenie i brak mi kompetencji, by spekulować na temat pochodzenia sześcianu. Ale nie muszę wiedzieć więcej. Mam konkretne i sprecyzowane cele.

Treadwell wstał i stanął twarzą w twarz z Indym.

– Jak zatem brzmi pańska odpowiedź?

Indy wyciągnął do niego rękę. Treadwell uściśnił ją energicznie, kładąc kres pytaniom.

– Zgoda – rzekł Indy.

Treadwell zwrócił się do Pencrofta.

– Czy chciałby pan o coś zapytać lub cokolwiek dodać, profesorze?

Pencroft zamyślił się. W końcu powoli pokręcił głową.

– Cała ta sprawa brzmi jak skończone szaleństwo, panie Treadwell. Jestem jednak zainteresowany czymś, co mieści się w przedstawionej przez pana „propozycji nie do odrzucenia”. Takiego odrzucenia nie można przeliczyć na pieniądze. Ma pan także moją zgodę.

– Dziękuję panu.

Treadwell otworzył aktówkę i przekazał Indy’emu zapieczętowany pakunek.

– Wewnątrz znajdzie pan wszystko, co panu potrzebne, włącznie z zastrzeżonymi numerami telefonów i rozkładem godzin, w których jestem do dyspozycji.

Indy wziął pakunek.

– Nie wiem, czy mam panu za to wszystko dziękować – powiedział.

Treadwell zachował powagę.

– Czas pokaże.

Pencroft niespodziewanie zaniósł się ostrym kaszlem. Drżącymi rękami wydobyl chusteczkę i zasłonił usta. Treadwell i Indy wymienili krótkie spojrzenia; bez słów uzgodnili, że zaczekają, aż staruszek złapie oddech. Wreszcie Pencroft otarł załzawione oczy i nabrał powietrza do płuc.

– Przekomarzacie się tu – pogroził im oskarżycielsko palcem – niczym kumoszki na podwieczorku. Dostyc tej paplaniny. Znikajcie z moich oczu i pozwólcie tej placówce powrócić do jej prawdziwej funkcji, jaką jest niesienie kaganka oświaty!

Treadwell i Indy razem opuścili pokój. Rozstali się bez słowa w korytarzu i każdy z nich poszedł w swoją stronę. Treadwell opuścił uniwersytet głównym wejściem, zaś Indy wrócił do swego biu-

ra. Odczekał piętnaście minut, wypił kawę, którą przygotowała dla niego Frances Smythe, zamknął swoją aktówkę i ruszył ku wyjściu.

Smythe zatrzymała go przeszywającym spojrzeniem.

– Musiały się tam dzieć rzeczy nie z tej ziemi, skoro nie odezwałeś się ani słowem – powiedziała z nutą krytyki w głosie.

Tam do kata, ma rację, pomyślał Indy. Milczenie jest gorsze niż jakakolwiek historia, choćby i zmyślona. Obrócił się ku niej.

– Taki tam rządowy kit – oznajmił beztroško.

– Taki, jaki mi właśnie wciskasz – odparowała.

– Dla własnego dobra nie powinnaś być taka mądra – zbesztła ją, przemycając komplement.

– Udam, że nie słyszałam tej fałszywej pochwały. – Uśmiechnęła się. – Zapomniałeś o podaniu mi oficjalnej wersji na wypadek, gdyby ktoś dowiadywał się o przyczynę twojej nieobecności na zajęciach.

Indy zaczął snuć wyssaną z palca historyjkę, urwał, próbował sklecić inny wariant; wreszcie dał za wygraną.

– Wymyśl coś wiarygodnego – poinstruował ją – i zostaw na moim biurku notatkę.

– Lubisz zwodzić ludzi – zauważyła.

– Wystarczy, Sherlocku. Wysmaż po prostu jakąś fikcję z tego, co ci przyjdzie do tej twojej ślicznej główki.

– Już mam! – zawołała, gdy wychodził.

Dwadzieścia minut później Indy wślizgnął się do pubu „Pod Dzikim”. Podeszedł do kontuaru, zamówił piwo, i z kuflem w ręku powoli zbliżył się do tylnych drzwi. Kiedy nikt na niego nie patrzył, wysunął się przez nie i wspiął po wąskich, kręconych schodach, prowadzących do prywatnego pokoju.

Thomas Treadwell powitał go uniesieniem własnego, niepełnego już kufła. Indy opadł na fotel.

– Nie podoba mi się, że muszę to robić staruszkowi – oświadczył nagle.

– To konieczne – padła natychmiastowa odpowiedź. – Jedynym celem tego spotkania na uniwersytecie było włączenie Pencrofta do sprawy z pozycji władzy, a nie powiadamianie go o wszystkim. W jego wieku łatwo się zapomnieć i wygadać. Poza tym teraz czuje się całkowicie usprawiedliwiony, zwalniając cię z obowiązków.

– Wiem – westchnął Indy. – Czy wyprowadzimy go w pole przed następnymi spotkaniami?

Treadwell zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie możemy ryzykować. Profesor Pencroft nie tylko wygląda na uosobienie niewinności, ale taki właśnie jest i dokładnie tego od niego potrzebujemy.

Indy roześmiał się.

– Zabiłby mnie gołymi rękami, gdyby się dowiedział, że ten przekłety sześcian to po części moja sprawka.

– Jesteś dla siebie zbyt surowy. To był świetny pomysł z tym pismem klinowym. Dobry Boże, Indy, ten artefakt jest prawdziwszy niż jakikolwiek relikw z przeszłości, który zdarzyło mi się widzieć.

– Wiem, wiem – przerwał Indy. – Kiedy prawda wyjdzie na jaw?

– Wszystko w swoim czasie. Na razie cała ta zgraja łotrzyków, którzy napadli na hydroplan, wiesz już zresztą o tym, uwierzyła, że sześcian jest lub może być autentyczny. Co oznacza, że będą starali się odkryć jego tajemnicę. Gdy im się to nie uda, o czym obaj doskonale wiemy, zechcą go sprzedać bogatemu nabywcy. Jeżeli sprawy wezmą taki obrót, Indy, będzie to dla nas najlepsza okazja, by ich zidentyfikować.

Indy uniósł brwi.

– To już twoje zmartwienie, Thomas. Cała ta zabawa w szpiegów to nie mój rewir.

– Ale jesteś w niej znakomity. Twoja przeszłość idealnie pasuje do sytuacji. A my potrzebujemy kogoś, kto na ochotnika stanie się celem dla tego gangu. Będziesz musiał mieć się na baczności, jak każdy pracownik wywiadu wojskowego.

– Puszczę mimo uszu to nasyłanie na mnie szpiegów i zabójców, jeśli nie masz nic przeciw temu – ripostował Indy. Potem dodał już poważniejszym tonem: – Czy mamy jeszcze jakieś informacje o tych spodkach? Nawet nie wiem, jak mam je nazywać. Słyszałem już różne nazwy: spodki, dyski, półksiężycy, istny groch z kapustą.

– Powiedz mi, Indy, co ty o tym myślisz?

– Zakładając, że istnieją naprawdę i potrafią wszystko to, co nam mówiono?

– Tak.

– Hm, mogę tylko stwierdzić, że są nadzwyczajne.

– Czyżbyś unikał odpowiedzi, Indy?

– Ależ skąd. Posłuchaj, Thomas, po prostu wiem na ten temat zbyt mało, aby wyciągać jakiegokolwiek wnioski. To najkrótsza droga do grubej pomyłki.

– Chciałbym, żebyś zapamiętał nazwisko Amerykanina, którego wkrótce poznasz – powiedział raptownie Treadwell.

– Co to ma wspólnego z tymi maszynami?  
– Więcej niż przypuszczasz. Facet nazywa się Harry Henshaw. Jest pułkownikiem waszego lotnictwa. To nieprzeciętny człowiek. Jego wydział to wywiad techniczny. Oznacza to, że jest wszechstronny i zna się na pracy zarówno oblatywacza prototypów, jak i badacza wszystkiego, co lata. Należy do naszej ekipy. W ramach transoceanicznego mostu przyjaźni, jeśli wiesz, o co mi chodzi. W tej chwili przewraca niebo i ziemię do góry nogami w poszukiwaniu czegokolwiek, w przeszłości czy teraźniejszości, co mogłoby mieć związek z latającymi dyskami.

– Jaka jest jego opinia?

– Obiekty istnieją naprawdę. Latają, tak jak słyszeliśmy, z zawrotną szybkością i tak dalej.

Treadwell przerwał i trwał w milczeniu, mogącym doprowadzić do szału.

– I? – naciskał Indy. – Czy, według niego, one są nasze – popatrzył w górę – czy ich? Czymkolwiek by były.

– Za wcześnie na wyciąganie wniosków, ale on skłania się raczej ku olbrzymiemu postępowi w aerodynamice niż jakimś kręcącym się po kosmosie talerzom.

– Dlaczego?

– Lepiej spytaj samego Henshawa. Przy okazji, prosił mnie, bym ci przekazał ostrzeżenie. W pełni się z nim zresztą zgadzam.

– Brzmi poważnie.

– Bo na to zasługuje – powiedział Treadwell. – Henshaw prosił, abyś pilnował się na każdym kroku i miał oczy otwarte. Bez względu na to, jak byliśmy sprytni, ludzie, których pragniemy zidentyfikować, wiedzą o nas więcej, niż bym sobie tego życzył.

Oczy Indy’ego zwężyły się.

– Jak to?

– Henshaw podejrzewa, jest wręcz przekonany, że mamy zdrajcę w naszej małej ekipie. Co oznacza także, Indy, że postąpiłbyś rozsądnie nie przekazując swoim ludziom zbyt wiele z tego, o czym rozmawialiśmy.

– Moi ludzie są w porządku – bronił się Indy.

– Mam nadzieję. – Nagła zmiana nastroju Indiany nie wzbudziła w Treadwellu emocji. – Mam szczerą nadzieję. Ale z własnego doświadczenia powiem ci, że ta gra zawsze przynosi niespodzianki.

### 3.

Willard Cromwell umyślnie powolnym gestem podniósł do ust butelkę bourbona i z bulgotem pociągnął długi łyk. Wolno opuścił flaszkę, cmoknął wargami, beknął i zakorkował ją ze świadcząca o długiej praktyce wprawą. Jego potężna dłoń odstawiła z hałasem butelkę na stół stojący w salonie samotnego domu na farmie, który Indy wynajął na miesiąc. Znajdowali się pośrodku pustkowia. Farma i pola położone były przy brzegach rzeki Maquoketa, we wschodniej części stanu Iowa. Dotychczas towarzysze Cromwella sprawiali wrażenie zafascynowanych każdym jego ruchem.

Cromwell latał jako dowódca eskadry w Królewskim Korpusie Powietrznym przeciwko najlepszym strzelcom kajzera w ich albatrosach, fokkerach i rumplerach. Na trudnej do prowadzenia maszynie, jaką był sopwith camel, wziął udział w wystarczającej ilości powietrznych bitew, by posłać ku ziemi lotem korkociągu szesnastu doborowych pilotów niemieckich, którzy w ten sposób oddali życie za Vaterland w Wielkiej Wojnie szalejącej na kontynencie. Aż tu nagle jakiś zasmarkany nowicjusz, przerażony swym pierwszym zetknięciem z walką i obserwujący kolegów pikujących ku ziemi w płomieniach, wpadł w panikę i wleciał jak szalony w sam środek walki powietrznej. Cromwell zauważył go i był przekonany, że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo ze strony innego sopwitha. Nawet nie przyszło mu do głowy, że sparaliżowany strachem młodzik naciśnie spusty karabinów maszynowych vickersa, przytrzyma je i zacznie pluć na wszystkie strony drobinami śmierci, nie patrząc, wróg czy przyjaciel. Tego, co nie udało się Niem-

com, dokonał ledwo od ziemi odrosły, przerażony szczawik: trzy z tych kul utkwily w nogach i ramieniu Willarda Cromwella.

Cromwell zdołał jeszcze wrócić do bazy, zanim zemdlął z upływu krwi. Spędził cztery miesiące w szpitalu, każdego dnia przeklinając nieznanego mu skończonego kretyna, który go tak urządził. Willard nie wiedział, czy szalenię przeżył bitwę.

– Jeżeli zginął, to ma szczęście, bo wykończyłbym sukinkota gołymi rękami – zżymał się, gdy odwiedzali go koledzy.

Cromwell stał się celem przyjacielskich docinków z powodu tego pomstowania, ale przyjmował śmiech bez urazy razem z whisky, przemycaną mu do lazaretu. Potem znowu mógł chodzić, choć trochę sztywno, i miał wspaniałą bliznę po poparzeniu pociskiem zapalającym, który omal go nie wykończył. Chciał koniecznie wracać do walki, ale nie było wolnych myśliwców.

– Starość nie radość – stwierdził sentencjonalnie dowódca jego eskadry. – Coraz trudniej dorównać młodszemu w manewrowaniu, co? Ale nie łam się, Willard. Przenoszę cię do marynarki.

Cromwell omal się nie udławił.

– Chcesz mnie posadzić na jakąś cholerną krypę?! – ryknął. Trzasnął swoją trzcinką w biurko dowódcy, rozrzucając po gabinecie papiery i rzeczy osobiste. – Nigdy!

– Uspokój się – powiedział jego dowódca pojednawczo. – Nie dla ciebie służba na okręcie czy lądzie, starszku. Obejmuje pan komendę nad hydroplanem, kapitanie. To ważna misja. Zbyt wielu samolotów nie straciecie, ale postarajcie się przynajmniej zająć paroma szwabskimi łodziami podwodnymi.

Skierowano go do Dowództwa Wybrzeża na szkolenie w pilotażu dużych, niezgrabnych maszyn. Jako że nie zwykł nurzać się – jak jego bombowiec w chmurach – w rozpacz nad własnym pechem, zabrał się do tego, co mogło okazać się albo ciężkim zadaniem, albo wyjątkową okazją. Nie musiał podnosić swych umiejętności w lataniu; był jednym z najlepszych. Ale teraz uczył się wrażliwości ciężkich maszyn i specjalnego podejścia, którego wymagały. Po spędzeniu pewnego czasu wśród mechaników oswoił się z kluczem francuskim i elektryką. Nauczył się dokonywać napraw i powoli dorównał umiejętnościami inżynierom lotnictwa.

Wszystko to oczywiście po to, by „zająć się paroma szwabskimi łodziami podwodnymi”. Większość ataków bombowych na niemieckie U-Booty przeprowadzano po starannym podejściu poziomym, co przynosiło niefortunny efekt uboczny, gdyż niemieccy



kanonierzy na pokładzie łodzi mieli wyśmienity cel dla swych działek. Straty w ludziach i sprzęcie były zastraszające. Willard rozważył wszystkie aspekty sytuacji, a gdy znalazł rozwiązanie, narodził się Szalony Cromwell.

Zmodyfikował swój samolot. Przy współpracy mechaników i własnej załogi wzmocnił zastrzały, kable i kąty nastawienia skrzydeł względem kadłuba maszyny, podrasował silniki dla uzyskania większej mocy i kradł płyty kuchenne, skąd tylko mógł, by opancerzyć stanowiska załogi. Następnie zamontował działko bezodrzutowe o długiej lufie kalibru 37 mm w stanowisku strzelca dziobowego, podwoił liczbę karabinów maszynowych na pokładzie i wyruszył na łowy.

Nikt dotąd nie atakował łodzi podwodnej z lotu nurkowego samolotem mającym złą sławę z powodu swej ociężałości i boleśnie długiego czasu reakcji. Ten szerokoskrzydły ptak był jednak zupełnie inny. Gdy Cromwell rozpoczął pikowanie na cel, strzelec dziobowy pompował w kierunku U-Booty pociski z działka, wspierany przez trzy karabiny maszynowe. Cromwell chciał zrzucić bomby dokładnie na kiosk łodzi, a żeby tego dokonać, musiał zejść niemal pionowym lotem ślizgowym aż nad sam pokład, aby bomby po zatoczeniu prawidłowego łuku balistycznego eksplodowały w celu.

Zatopił dwa U-Booty, wiele zmusił do odwrotu, ratował statki i ludzi, i został znowu uziemiony, ponownie bez udziału nieprzyjaciela. W czasie zwykłego dla siebie zuchwałego ataku na wynurzoną niemiecką łódź podwodną, ze strzelcem dziobowym prującym do obsługi karabinów maszynowych wroga, zrzucił bomby za wcześniej. Jedna z nich odbiła się od pokładu i uderzyła w ogon wodnopłotowca Cromwella. Dzięki łasce aniołów, którzy opiekują się takimi wariatami, zapalnik nie zadziałał, ale ciężka bomba zniszczyła linki kierujące sterem ogonowym. Ledwie Cromwell i jego załoga zdążyli przelecieć nad U-Bootem, gdy pierwsza z bomb wybuchła w celu. Podmuch eksplozji uderzył w samolot niczym olbrzymia dłoń odganiająca komara. Rozbili się na powierzchni wody, gubiąc coraz więcej kawałków maszyny, z każdym wygięciem struktury absorbując wstrząsy uderzenia.

Kiedy było już po wszystkim, okręt podwodny tonął otoczony kłębamii dymu, pary i płamą oleju, a Cromwell wraz z załogą, pobierani w kamizelki ratunkowe, wgramolili się na odłam kadłuba unoszący się na powierzchni niczym lekko przeciekająca szalupa. Przybyły na pomoc brytyjski niszczyciel wyłowił ich z morza.

Cromwell ponownie trafił do szpitala, tym razem ze złamanym ramieniem, lekkimi poparzeniami i wieloma ranami na całym ciele, po których blizny długo potem pokazywał zdumionym przyjaciółom. W następnych latach poszerzył zakres swych wybitnych umiejętności, stając się także specem od broni i materiałów wybuchowych. Ponieważ zyskał u zwierzchników opinię człowieka nie do zdarcia, wysyłano go do najbardziej niebezpiecznych miejsc, gdzie władza brytyjska traciła popularność i stawała się zagrożona. Miał nadzwyczajną pamięć i uczenie się obcych języków przychodziło mu z łatwością, więc wkrótce w ciemnych alejkach i cichych uliczkach czuł się tak samo dobrze, jak w kokpicie samolotu.

Teraz, mając lata wojaczki dawno poza sobą, Cromwell był korpulentnym mężczyzną sporej postury, z sumiastymi włosami. Przypominał wyglądem typowego wyspiarza z epoki kolonialnej. Były to jednak tylko pozory, bo pod warstwą tłuszczu kryły się masywne mięśnie, szybkość i zwinność, co czyniło go szczególnie niebezpiecznym, nawet jeśli za jedyłą broń miał swe potężne ręce. Spędził dwa lata w Turcji, gdzie trenował z zawodowymi zapasnikami i uczył się sztuki walki szanowanej i cenionej od pokoleń. Wyszkolono go bardzo dobrze, hartując jego ręce i sporą powierzchnię ciała w szczypiącej solance, by stały się odporne i twarde jak deski.

Tego człowieka Indy uczynił swoją „prawą ręką”, gdyż potrafił on pełnić zarówno rolę mechanika, jak i eksperta od broni, pilota lub menela na ulicach niemal każdego miasta na ziemi. Cromwell był zabójczy w walce wręcz, a przy tym za pan brat z nauką, władał tuzinem języków i nigdy niczego nie zapominał. Ludziom, którzy sądzili, że dobrze znają Indianę Jonesa, nie mieściła się w głowie ta przyjaźń z zapijaczonym, nieprzewidywalnym Cromwellem. Ale Indy dokonał bardzo dobrego wyboru. Cromwell wart był dwunastu ludzi.

Uziemionego teraz na odludnej farmie, otoczonej ze wszystkich stron szerokimi polami, Cromwella przepęniała whisky i niecierpliwość. Kolejnym beknięciem wywołał u reszty ludzi w pojoju dreszcz obrzydzenia.

– Kiedy, do pioruna, ten Indy ma zamiar wrócić?! – zagrzmiał. Wszyscy wiedzieli, że to retoryczne pytanie. Indy miał wrócić z Chicago po załatwieniu wszystkich spraw, a nalegał na odbyte wyprawę samotnie. Cała ta tajemniczość spędzała im sen z powiek.

Nawet ukryty za największą stodołą w okolicy potężny ford trimotor wydawał się przykuty do ziemi. Nie chcieli siedzieć beczynie na miejscu. Oczekiwanie działało im na nerwy i byłoby bardzo zaskoczeni, gdyby dowiedzieli się, że Indianie dokładnie o to chodziło. Jego ekipa musiała funkcjonować w doskonałej harmonii, zarówno podczas akcji jak i przestoju, nawet nie znając powodu oczekiwania. Jeżeli miało dojść do śpięć i niesnasek, teraz był czas na dostrzeżenie problemu i eliminację niewłaściwego ognia.

– Większość ludzi po takiej ilości alkoholu – zauważyła Gale Parker, obserwując Cromwella z mieszanym uczuciem odrazy i podziwu – już dawno leżałaby pod stołem. A ty nadal rzucasz się jak tygrys po klatce. Jak ty to robisz?

Cromwell łypnął na nią okiem. Ognista ruda dziewczyna, na pewien szorstki sposób piękna, przyłapała go z opuszczoną gardą. Kobiety zwykle pytlują i krytykują zupełnie bez sensu. Ta była inna. Nie wiedzieli o niej prawie nic. Nawet akcent wymykał się zdefiniowaniu, lecz Cromwell, znający wiele języków, dostrzegł po pierwszych słowach jej lingwistyczną giętkość. Emanowała kobiecością, ale jednocześnie przepełniała ją budząca respekt siła, tak fizyczna jak i psychiczna. Szybko się zorientował, że pod wieloma względami jest podobna do Jonesa. Od dawna była samotnikiem; Cromwell znał ten typ i szanował każdą kobietę, która potrafiła zachować własne „ja” w świecie pełnym mężczyzn uznających kobiety za intruzów w „ich” świecie.

Czego Cromwell nie mógł ustalić, a o czym doskonale wiedział Indy, to fakt, że jej pozorny wizerunek Amerykanki czy też wschodniej lub północnej Europejki stanowił efekt zręcznych zabiegów. Nazwisko „Gale Parker” przybrała, gdy zdecydowała się odciąć od swego śródziemnomorskiego pochodzenia i prawdziwego nazwiska, Mirna Abi Khalil, aby nie zdradzało o niej nawet tyle informacji. Jej ojciec wyznawał islam, lecz Gale, w tym czasie jeszcze jako Mirna Abi, dorastała u matki, Sybil Saunders, w New Forest w Anglii. Sybil Saunders była autentyczną czarownicą wśród wyznawców religii Wicca i pochodziła z nieprzerwanej linii wiedźm, zapoczątkowanej tysiąc czterysta lat temu. Podobnie jak Indy, Gale urodziła się w 1899 roku. Całe swe życie poświęciła nauce i pracy w terenie. Często żywiąc się darami natury, nauczyła się „odczytywać” tropy zwierząt tak samo dobrze, jak rozpoznawać artefakty kraju jej matki, pochodzące nawet sprzed sześciu tysięcy lat.

Studiowała równocześnie na trzech fakultetach. Wspomagały ją w tym jakieś zioła od matki, które pozwalały jej w pełni wypocząć w ciągu czterech godzin snu. Zrobiła doktorat w dziedzinie kultur starożytnych w wieku ledwie dwudziestu czterech lat. Jako mieszkanka New Forest i uczennica mistrzów starożytnych tradycji, była bardzo biegła raczej w pojęciach realnego świata niż w konkurencjach sportowych, ale wspinaczka wysokogórska, pływanie, tropoznawstwo, gimnastyka, nawet świetna znajomość *jujitsu*, którego uczył ją stary Japończyk naturalizowany w Anglii, wszystko to ukształtowało wspólną wszechstronność w tak młodej osobie.

Podczas jednej ze swych wypraw poznała Indianę Jonesa, penetrującego starożytne ruiny pośród gęstego lasu. Spotkanie przerosło się w rywalizację sprawnych umysłów. Ten dziwny Amerykanin zafascynował ją, gdyż wiedział o celtyckiej przeszłości tyle co ona. Kiedy dowiedziała się, że wykłada na uniwersytecie, jej podziw wyraźnie zmalał i bynajmniej nie starała się tego ukryć. Uważała profesorów za nudnych, zamkniętych w porośniętych bluszczem murach ekspertów od gadania, a nie od rzetelnej roboty. A jednak był tu i tak jak ona żył z tego, co daje natura.

Niespodziewana walka o życie odmieniła ich oboje. Przedzielali się razem przez gęsty las, gdy naraz Gale zatrzymała Indy'ego, dotykając jego ramienia. Sama zastygła w miejscu; on poszedł w jej ślady. W jej rękach błyskawicznie pojawił się łuk; nałożyła strzałę na cięciwę, gotowa w każdej chwili napiąć ją i wystrzelić. W tej samej chwili z pobliskich zarośli wypadł ogromny dzik i ruszył prosto na nich. Gale jednym płynnym ruchem naciągnęła łuk i wypuściła strzałę. Pierzasty pocisk pomknął prosto ku zwierzęciu, zatapiając swój zębaty grot głęboko pod jego łopatką. Dzik opadł na kolano, ale powstał, rozwścieczony, nadal zdolny do szarży. To zranienie nie ochroniłoby ich przed jego groźnymi szablami. Gale porwała już następną strzałę z kołczana i była gotowa do strzału. Za późno! Zwierzę rzuciło się prosto na nią. Nagle poczuła, że unosi się w powietrze i odlatuje na bok.

– Na drzewo! – krzyknął Jones. – Strzelaj stamtąd!

Dostrzegła roztropność tego posunięcia. Znajdzie się poza zasięgiem kłów i będzie mogła bezpiecznie wypuszczać strzały. Ale gdy tylko wgramoliła się na gałąź, już była gotowa zejść z powrotem na dół. Indy wydawał się nieuzbrojony, a rozwścieczone zwierzę ruszyło teraz na niego. Tym razem to ona z zaskoczeniem obserwowała, jak Jones rozpina kurtkę; chwilę później w jego rękę pojawił

się długi bicz, który ze świstem przeciął powietrze. Rozległ się dźwięk przypominający wystrzał z pistoletu, gdy koniec bata uderzył dzika po ślepiach. Zwierzę kwiknęło z bólu brocząc krwią, jakby jego twar-  
dą skórę rozcięło ostrze noża. Dzik zakreślił się w miejscu i przypu-  
ścił kolejny atak. Indy miał czas na jeszcze jedno uderzenie biczem.  
Celował w przednie nogi. Bicz owinał się wokół jednej z nich, a In-  
dy odbiegł w bok, pociągając z całej siły za rękojeść.

– Strzelaj! – wrzasnął, kiedy zwierzę potknęło się i przewró-  
ciło, odsłaniając delikatny brzuch. Gale wypuściła strzałę, która  
utkwiała głęboko w ciele dzika, potem następną i jeszcze jedną.  
Zwierz miotał się i rył ziemię wokół. Indy siedział już spokojnie  
obok niej na gałęzi.

– Poczekajmy, aż padnie – powiedział.

Patrzyła na niego ze zdumieniem. Bicz, tempo oraz wprawa,  
z jaką go użył, były dla niej czymś absolutnie nowym.

– Gdzie... gdzie się nauczyłeś... to znaczy, jak ty to zrobiłeś?

Ujął swobodnie rękojeść bata.

– Mam go od dzieciństwa. Używałem go głównie przeciw  
węzom, kiedy było to konieczne. – Ponownie zważył rękojeść  
w dłoni. – Grzechotnika albo żmiję przecina na pół lepiej niż nóż. –  
Uśmiechnął się krzywo. – Ty też nieźle sobie radzisz z tym łukiem  
*à la Robin Hood*. Oszczędziłaś nam obojgu sporo kłopotów wy-  
strzeleniem pierwszej strzały.

– Nie było czasu na myślenie – powiedziała cicho.

– Ta zasada obowiązuje w tego typu momentach. Działać bez  
zastanowienia. *Acta non verba*.

– Czyny, nie słowa – odparła, tłumacząc z łaciny. – Kimkol-  
wiek jesteś, zadziwiasz mnie. Amerykanin, co oczywiste, używa-  
jący bicia i mowy starożytnych.

Znów ten krzywy uśmiech.

– Zostawmy języki na później. Póki co, mam nadzieję, że je-  
steś tak samo dobrą kucharką jak łucznikiem.

– Łuczniczką – poprawiła go.

Obrzucił ją spojrzeniem od stóp do głów.

– To się rozumie samo przez się.

Zaskoczył ją. Oblała się rumieńcem. Zgrabnie ześlizgnęła się  
z drzewa na ziemię, omijając z daleka żywego jeszcze dzika. Po  
chwili dołączył do niej.

– Co wybierasz... właściwie jak ci na imię?

– Gale Parker.

Podał jej dłoń.

– Jones. Indiana Jones. Wolisz zająć się kolacją czy nazbierać chrustu?

– Ja oprawiam, ty zbierasz.

Do późna w nocy siedzieli przy ognisku, jedli świeże mięso i rozmawiali. To pierwsze spotkanie przypieczętowało niepisaną umowę. Natychmiast nawiązała się przyjaźń, ale z domieszką docinków, dowcipu i podzielanej przez oboje niechęci do życia towarzyskiego. Wprawiła go w podziw jej głęboka, instynktowna znajomość starożytnych kultur i obrzędów, swobodna biegłość w czarnej magii Cyganów, a badanie zjawisk paranormalnych, do czego się przyznała, dało mu wiele do myślenia. Była jednak tak samo dobrą badaczką starożytności jak traperem. Indy bardzo dobrze orientował się w duchach i bóstwach kultur całego świata, ale pierwszy raz spotkał kogoś, kto dysponowałby taką wiedzą jedynie na własny użytek.

W latach następujących bezpośrednio po ich pierwszym spotkaniu w lesie utrzymywali stały kontakt. Pracowali wspólnie nad kilkoma projektami badawczymi, aż wreszcie Gale, z początku bez przekonania, dołączyła do niego w charakterze studentki na Uniwersytecie Londyńskim.

A potem niespodziewanie zadzwonił. Zadanie specjalne, jak się wyraził. Oznaczało to szybkie podróowanie, zawierało obietnicę niebezpieczeństwa i nadzwyczajną wagę sprawy.

– Tylko tyle mogę ci na razie powiedzieć. Później dowiesz się reszty. Chciałbym, żebyś znalazła się wśród moich zaufanych ludzi. Bezwarunkowo, żadnych pytań. Zgadzasz się?

Westchnęła. Wiedziała, że nie może mu odmówić.

Siedziała teraz, zdezorientowana, w odizolowanym od świata domu znajdującym się w miejscu o nazwie Iowa, czekając, aż Indy wróci z Chicago czy skądkolwiek do, mówiąc delikatnie, niecodziennej zbieraniny, którą wokół siebie skupił.

Pomijając złożoność odczuć i wrażenie, jakie wywarł na niej Willard Cromwell, pierwszy raz spotkała człowieka pokroju Tarkiza Belema. Już podczas pierwszego spotkania ze smagłym Kurdem przebiegło jej przez myśl jedno słowo: niebezpieczeństwo.

Tarkiz Belem był jednym z najbardziej zdemoralizowanych ludzi, jakich знаła. Jego znajomość z Indianą Jonesem zbiła ją z tropu, gdyż Tarkiz wydawał się zupełnym przeciwieństwem inteligencji, wrażliwości, dowcipu i niemalże wszystkich innych cech,

które skupiał w sobie Indy. Jednakże Jones osobiście odszukał śniadego Kurda, by zaproponować mu udział w ich misji.

Indy wiedział, że nie było nikogo, kto by się orientował w najpodlejszych spelunkach i kulisach Środkowego Wschodu i granicznych krain śródziemnomorskich lepiej niż Tarkiz. Znał on każdy język używany w tych krajach, poczynając od polityków do mętów z rynsztoka. Miał kontakty na każdym szczeblu, nie wyłączając wędrownych band Beduinów. Lecz gdyby tego chciał, mógłby uzyskać nawet dojście do Watykanu.

– Na każdego coś znajdzie – wyjaśnił jej Indy – a sama wiesz najlepiej, że w tej części świata to lepsze niż paszport. Gdyby Tarkiza zamordowano, ujawnienie informacji poukrywanych przez niego w różnych miejscach spowodowałoby wiele skandali. Dlatego ludzie, z którymi się zadaje, muszą się zgadzać na jego żądania. Belem to człowiek chciwy i zachłanny ponad miarę, ale też na tyle inteligentny, by wiedzieć, że należy zawierać umowy działające w obie strony. Ludziom opłaca się wykonywać jego polecenia, a i on dobrze się nimi opiekuje.

– Powiedziałeś, że jest inteligentny. – Gale irytował fakt, że Indy użył tego słowa w połączeniu z nazwiskiem Tarkiza Belema.

Indy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– W porządku, pod tym względem można go przyrównać do koźła. Ale to bardzo szczwany koźół.

– I wydziela podobny zapach – mruknęła Gale.

Indy roześmiał się.

– Racja! Ale spójrz na to w ten sposób, Gale: nawet jeśli go nie zauważysz, i tak będziesz wiedziała, że się zbliża.

Nie potrafiła powstrzymać się od uśmiechu. Kubek Indy'ego nigdy nie mógł być próżny do połowy; zawsze był co najmniej w połowie pełny.

– Czy on naprawdę jest Kurdem? Równie dobrze mógłby uchodzić za irackiego Araba, Turka, Hindusa czy Afgańczyka. Skąd możesz wiedzieć? Ma więcej niż jeden paszport i...

– Czternaście – przerwał jej Indy. – Posłuchaj, nikt nie potrafi tak sobie radzić w miejscach, które on odwiedza. Zna wiele języków. Jest nie do zdarcia. Wychował się w niebezpiecznych zaułkach i rynsztoku, nauczył się radzić sobie w życiu. Nie podoba ci się jego brak formalnego wykształcenia, ale jest on najlepiej wykwalifikowanym człowiekiem do wygrzebywania informacji tam, gdzie kto inny miałby problemy z określeniem pory dnia.

– To przestępca, prawda? – naciskała.  
– Z całą pewnością. Oficjalnie jest poszukiwany w co najmniej pięciu krajach za przestępstwa, których lista jest dłuższa niż twoje ramię. Ale za każdym razem, kiedy go aresztują, oskarżenie zostaje wycofane i po godzinie jest znowu na wolności. Kupuje sobie wolność używając pieniędzy, szantażu, kontaktów; wszystkiego, co możliwe. Krążą pogłoski, że był przez lata zawodowym zabójcą.

Gale zadrżała.

– Nie mam co do tego wątpliwości. Pewnie zabijał także kobiety i dzieci.

– Jeśli dostawał takie zadania, to się z tobą zgodzę. Ale najdziwniejsze w nim jest to – kontynuował Indy – że ma swój własny kodeks honorowy, którego zawsze przestrzega. Nie można go za to winić. Ukształtowało go środowisko, w którym podwójna gra i zabójstwo są na porządku dziennym, podobnie jak dla mnie kawa i szarlotka w domu. To jego religia mnie niepokoi.

– Religia? – tego Gale się nie spodziewała.

– Złoto. Jest niemalże paranoicznym wyznawcą Wielkiego Boga Złota. Nie chodzi tylko o pieniądze, lecz o sam metal. Złoto w jakiegokolwiek formie: biżuteria, sztaby, monety, wszystko.

– Zastanawiam się – powiedziała Gale ponuro – ile ma złotych zębów w swojej kolekcji?

Indy zachował powagę.

– Na pewno sporo.

– Nie obawiasz się, że ktoś inny zaoferuje mu więcej niż ty?

Odpowiedź Indy'ego całkiem zbiła ją z pantofelku.

– Nie płacę mu żadną walutą świata. To znaczy, nie w pieniądzach.

– A zatem...?

– Jest takie stare powiedzenie, Gale, że każdy człowiek ma swoją cenę. To nieprawda, że każdego można kupić za odpowiednio wysoką stawkę. Prawda jest taka, że poza ceną istnieje jeszcze motywacja. Nawet dla kogoś takiego jak Belem jest coś lepszego od pieniędzy czy, w jego przypadku, złota.

– A ty wiesz, co nim kieruje?

Posłał jej uśmiech w odpowiedzi. Wiedziała, kiedy należy się wycofać. Szybko zmieniła temat. Odszukała wzrokiem piątego członka ekipy.

– Nasz Francuz to chyba zupełne przeciwieństwo Belema.

Indy obrzucił wzrokiem Rene.



– O tak, zdecydowanie. Ma dojścia do miejsc dla nas niedostępnych. Do królów, cesarzy, prezydentów, dyktatorów, do niemalże wszystkich i wszędzie.

– Niewiele o nim wiem.

– Jest znakomitym pilotem, podobnie jak Cromwell. Ze względów bezpieczeństwa zdecydowałem się na włączenie do grupy dwóch równie kompetentnych pilotów.

Nigdy nie poznała jego prawdziwego pochodzenia. Foulois był słynnym pilotem myśliwskim podczas Wielkiej Wojny, miał na koncie ponad czterdzieści zestrzelonych niemieckich maszyn. Dzięki temu uzyskał ósmy z kolei tytuł asa, a cała Francja uznała go za bohatera. W niczym też nie przeszkadzało, że był wysoki i szczupły, nosił cienki wąsik i że obracał się w towarzystwie i kręgach dyplomatycznych. Został ulubieńcem wyższych sfer. Rodzina Foulois posiadała rozległe winnice; ich najprzedniejsze wina eksportowano do wszystkich zakątków świata. Bogactwo jest wszędzie mile widzianym paszportem, a Foulois był śmiałym, odważnym, podziwianym, bogatym, błyskotliwym i czarującym człowiekiem, którego co najmniej tuzin państw zawsze przyjęłoby z otwartymi ramionami.

To wszystko stanowiło idealny parawan dla działalności Foulois jako tajnego agenta Francuskiej Legii Cudzoziemskiej, która wyznaczała mu zadania na całym świecie. Na podstawie dawno zawartej umowy z policją w wielu krajach tajne ramię legii miało ogólnościowy zasięg. Wyciągało ono swe macki w wielu kierunkach, działając pod przykryciem legalnego i zyskownego Międzynarodowego Konsorcjum Wina, mającego swą siedzibę w Bordeaux.

Dla Rene „Projekt Jones”, jak nazywano tę operację na wyższych szczeblach, był miłym urozmaiceniem po wszystkich funkcjach socjalnych i dyplomatycznych. W głębi serca Foulois zawsze zachował mentalność pilota myśliwca, szukającego przygód mających podsycić płonący w nim ogień walki i umiłowanie ryzyka.

Uważał ponadto, że cała sprawa jest po prostu nedorzecznością. Foulois został przydzielony pod komendę Indiany Jonesa przez samego Henri DuFoura, głowę Francuskich Tajnych Służb. Kiedy opisał on półksiężycowate obiekty i ich macierzysty statek, Foulois poczuł pogardę. Nie uwierzył w ani jedno słowo bez względu na to, co twierdził jakiś tam świadek.

Mimo wszystko jednak podporządkował się bez wahania. DuFour przekonująco postawił sprawę.

– Nie ma znaczenia, co sądzimy o tych niestworzonych maszynach, Rene. Faktem jest natomiast, że od wojny z Niemcami minęło zaledwie dwanaście lat, a znów stoimy przed obliczem zagrożenia ze strony zbrojących się w szalonym pośpiechu fryców. Wiadomo ci o ich szkoleniach prowadzonych w Rosji, przeznaczonych głównie dla pilotów i nawigatorów? Zdajesz sobie zatem sprawę, że sytuacja jest poważna. Musimy znać każdy szwabski krok. I to jest twoje zadanie. Będziesz pracował dla tego Amerykanina i zachowywał się tak, jakbyś we wszystko wierzył.

Foulois kiwnął głową na znak, że zrozumiał.

– Zapowiada się pyszna zabawa. O ile mi wiadomo, wykorzystają zmodyfikowany model forda, ten z trzema silnikami. Nie mogę się doczekać wypróbowania go w powietrzu.

Tymczasem tkwili w izolacji na odludnej farmie, zastanawiając się, co też takiego ważnego Jones załatwił w Chicago, że musiał ich tyle czasu utrzymywać w niepewności.

Nie mieli wyjścia, musieli zaczekać.

## 4.

Dobrze zbudowany mężczyzna w ciężkim sztormiaku i w marynarskiej czapce wciśniętej na głowę, dziarsko, choć z lekkim utykaniem, przemierzał dworzec autobusowy w Chicago. Każdy, kto by zobaczył tego człowieka, zapamiętałby charakterystyczne szczegóły: ubranie, czapkę, wrażenie siły i ten dziwny chód, kołyszący nim na boki w trakcie przepychania się przez tłum.

Stał pod budynkiem dworca i obserwował, jak czekający w kolejkach ludzie znikają w powoli płynącym strumieniu taksówek. Wkrótce tłok zelżał i mężczyzna ruszył wzdłuż linii oczekujących aut. Zdawał się poruszać niedbale i nonszalancko, ale jego oczy krążyły od jednego samochodu do drugiego, póki nie znalazł żółto-czerwonych oznaczeń pojazdu, którego szukał. Marynarz zatrzymał się, osłonił dłońmi zapalniczkę i przycisnął guzik. Zamiast płomienia błysnęło małe, jasne światelko. Niemal natychmiast dwukrotnie zapaliły się i zgasły reflektory taksówki. Marynarz schował „zapalniczkę” do kieszeni i wszedł do samochodu. Kiedy tylko zamknęły się za nim drzwi, kierowca włączył się do ruchu.

– Piękny mamy wieczór – powiedział taksówkarz, obserwując swego pasażera w lusterku.

– Szkoda tylko, że kuchnia taka zagracona – usłyszał odpowiedź. – Za dużo spodków, a za mało filiżanek, jak na mój gust.

– Woli pan gorącą czy zimną herbatę?

Pasażer uśmiechnął się do siebie.

– Wolę czarną kawę.

To była ostatnia część hasła, jakie profesor Henry Jones miał podać kierowcy. Teraz czekał na odzew.

– Ja także. Proszę nalać do spodka, żeby szybciej ostygła.

– Wybornie – rzekł Jones.

– Treadwell trochę przesadza z tymi hasłami i odzewami, nie uważa pan? – roześmiał się kierowca.

– Zależy – odparł Indy wymijająco. – Zna go pan lepiej niż ja. Nie dosłyszałem pańskiego nazwiska – dodał szybko.

– Bo się nie przedstawiałem. Umówmy się, że jeśli pan je poda, darujemy sobie tę całą szpiegowską gadkę.

– Pułkownik Armii Stanów Zjednoczonych Harry Henshaw. Pilot myśliwski, oblatywacz, wywiad techniczny, projekty eksperymentalne.

– Profesor Henry Jones. Wykładowca literatury i kultury średniowiecza na starym, dobrym Princeton – powiedział kierowca. – Dlaczego mówią na pana Indiana, a nie Hoosier\*?

Indy roześmiał się. Nie wątpił już, że był to oficer, którego Treadwell wyznaczył na to spotkanie.

– Bo chyba nie każdy wie, jak to się pisze.

Henshaw zachichotał, ale nagle jego humor ulotnił się jak za naciśnięciem guzika.

– Czy sprawa pociągu na jutrzejszy wieczór jest nadal aktualna?

Indy dostosował się do zmiany nastroju. Przeszli do interesów. Miał jeszcze jeden dowód na to, że wszystko jest w porządku: nie powiedział taksówkarzowi – Henshawowi – dokąd chciał jechać, a mimo to Henshaw kierował się dokładnie ku nocnemu klubowi „The Nest”, który był celem podróży Indiany.

– Nadal – odparł szorstko.

– Mam panu zadać kilka pytań – rzekł Henshaw.

– Proszę.

– Wielu ludzi chciałoby je panu zadać, profesorze, i...

– Żadnych profesorów. Po prostu Indy.

– W porządku. Jak wspomniałem, chcę cię zapytać o to i owo.

Co na przykład było takiego szczególnego w ładunku skradzionym w Afryce?

– Treadwell nie wyjaśnił?

---

\* Princeton leży w stanie Indiana, a do mieszkańców tego stanu przylgnęło miano Hoosiers (przyp. tłum.).

– Nie. Mam to usłyszeć bezpośrednio od ciebie.  
– Zacznijmy od tego, że ty mi powiesz, co słyszałeś – zażądał Indy.

– Mówi się o jakimś artefakcie. Najświeższa plotka głosi, że jest on albo wytworem pradawnej cywilizacji, albo – Henshaw zawałał się – wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie, ale może być pozaziemskiego pochodzenia.

Indy uśmiechnął się w mroku spowijającym tylne siedzenie taksówki. Plan, który ułożyli z Treadwellem grubo wcześniej, działał. Treadwell miał duże doświadczenie w sprawach związanych z wywiadem wojskowym i działalnością przestępczą. Był święcie przekonany, że ludzie o wiele łatwiej dają wiarę grubym kłamstwom niż małym kłamstewkom, a kiedy połączy się umiejętne łgarstwo z ludzką chciwością, można sprawić, że ludzie uwierzą we wszystko, w co tylko się chce.

Indy przypomniał sobie słowa Treadwella:

– Kiedy możesz stracić coś bardzo cennego lub może ci to być odebrane siłą, nie zawsze udaje się odpowiednio obronić. Trzeba wtedy swoje „skarby” oznaczyć. W wielu przypadkach nie da się użyć chemikaliów ani nadajników radiowych z powodu odległości, czasu czy innych komplikacji. Chodzi zatem o to, by zmusić złodzieja do konkretnego działania. W ten sposób on sam staje się nadajnikiem.

Treadwell przekazał także Indy’emu, że powinien powiedzieć taksówkarzowi – alias pułkownikowi Harry’emu Henshawowi – całą prawdę o pochodzeniu artefaktu, będącego dzieckiem pomysowości Treadwella i wyjątkowych zdolności Indy’ego do archeologicznych zagadek. Razem spreparowali fałszyfikat, który wydał się tak niezwykłą rzadkością, że stał się niemal bezcenny.

– Harry to dziwny facet – wyjaśnił Treadwell – ale absolutnie genialny. Ma także niepowtarzalny styl pracy. Jest chodzącą encyklopedią zawierającą tysiące okruchów informacji, które potrafi złożyć w sensowną całość jak nikt inny. Powiedz mu prawdę o artefakcie, ale proszę cię, Indy, najpierw upewnij się, że jesteście sami i nikt was nie podsłuchuje.

Indy rozejrzał się po wnętrzu samochodu. Było oczywiste, że taryfa nie należała do żadnej firmy taksówkowej. Na pewno stanowiła własność państwa i wykorzystywano ją do „nadzwyczajnych kursów”, jak ten. A ponieważ Henshaw został włączony do ekipy wtajemniczonych, mającej wyjaśnić sprawę tych niesamowitych

dysków, półksiężyców, spodków, czymkolwiek były, Treadwell miał rację. Niech od razu bierze się do roboty na swój wyjątkowy, detektywistyczny sposób.

– Harry, czy ta taksówka jest bezpieczna? – zapytał Indy człowieka za kółkiem.

– Bezpieczna? Indy, ona jest opancerzona. Szyby są kuloodporne. Mógłbyś w nią wypruć cały magazynek z thompsona i nawet byś jej nie drasnął.

– Nie o to mi chodzi – powiedział szybko Indy. – Czy ma jakiś sprzęt nagrywający? Radio, mikrofony?

– Pod tym względem jest czysta jak łąza.

– Harry, Treadwell kazał mi wtajemniczyć cię w sprawę artefaktu.

Henshaw był do tego stopnia zaskoczony, że taksówką nagle zarzuciło.

– Miło... miło mi to słyszeć – odrzekł. – Skłamałbym, gdybym powiedział, że mnie to nie interesuje.

– Nie ma czego szukać w gwiazdach, Harry.

– O co ci chodzi?

– Znasz określenie „przynęta”?

– Tak. Oznacza fałszywy trop, coś, co ma zmylić innych.

– A więc ten sześcian to taka „przynęta”.

Pułkownik nie odzywał się przez długą chwilę.

– Jesteś tego pewien, Indy? Słyszałem takie historie...

– O to właśnie chodzi – wpadł mu w słowo Indy. – Takie od początku było założenie. Oczywiście nie mów o tym nikomu. Treadwell uważa, że gdzieś w jego organizacji jest przeciek, więc rozgrywa wszystko na swoim podwórku. Ale to on podjął decyzję o poinformowaniu ciebie. Jeżeli Treadwell się nie myli, ten sześcian powinien dostarczyć nam sznurków, po których trafimy do kłębka.

Henshaw zdobył się na smutny uśmiech.

– Wiesz co? Miałem nadzieję, taką trochę zwariowaną nadzieję, że ten sześcian naprawdę jest, no – wskazał ręką do góry – stamtąd.

– Nie tym razem, Harry. – Indy wyjrzał przez okno. – Jesteśmy prawie na miejscu. Wysadź mnie dwie przecznice stąd, za tamtym rogiem, żeby nikt w klubie nie zauważył, że wysiadam z taksówki.

– Jasne. Potrzebujesz wsparcia?

– Nie. To robota dla solisty. Wiesz, gdzie stacjonuje nasza ekipa, prawda?

– Zamaskowaliśmy to miejsce jeszcze przed waszym przybyciem.

– Dzięki. Dobrze wiedzieć. – Indy wskazał najbliższy róg ulicy. – Wypuść mnie tam.

Henshaw zatrzymał się przy krawężniku. Indy zaczekał, aż w pobliżu taksówki nie będzie przechodniów. Zanim Henshaw zorientował się w sytuacji, Indy już zniknął za zakretem.

Dobrze zbudowany mężczyzna w ciężkim sztormiaku, znoszonych butach i wełnianej czapce marynarskiej człapał niezdarne w kierunku wejścia do chicagowskiego klubu jazzu i bluesa, „The Nest”. Indy, mocno kulejąc i słaniając się na nogach, zbliżał się do jaskrawo oświetlonej markizy i bramkarza o wroście młodego niedźwiedzia grizzly. Bramkarz Mike Patterson wypełniał swoją osobą całe drzwi. Dawny bokser, któremu nie udało się wspiąć na sam szczyt, świetnie się nadawał na posadę wykidajły. Do jego zadań należało także dbanie o to, by nie wpuszczać do środka włóczęgów i motłochu, takiego jak ten stary, szurający przyk.

– Zjeżdżaj stąd, łachu – warknął Patterson do stojącej przed nim postaci. – Wiesz co, gościu, jedzie od ciebie. Pewno żeś się od roku nie kąpał.

Nawet Henshaw nie zauważył brody, która pojawiła się na obliczu Indy’ego zaraz po opuszczeniu taksówki. Gale przygotowała ją specjalnie dla niego; przyklejało się ją specjalnym klejem teatralnym. Nikt, kto ujrzał tę żalostną postać, nie skojarzyłby jej z Indianą Jonesem ani nikim, kto by go choć trochę przypominał.

Stary „marynarz” pochylał się i próbował precyzyjnie obok Pattersona.

– Toż ja nie wadzę nikomu – jęknął. – Muzyki przyszedł posłuchać i tyle.

Przed rozczocharanym włóczęgą zawisła groźnie wielka pięść.

– Jak się stąd nie wyniesiesz, wszarzu, to usłyszysz najwyżej ptaszki, kapujesz? A teraz zabieraj się stąd, bo jak cię palnę, to się w połowie przyszłego tygodnia obudzisz!

– Nie rób mi krzywdy. – Stary skulił się ze strachu.

Patterson roześmiał się rubaszenie. To będzie czysta przyjemność. Muskularna dłoń zacisnęła się na sztormiaku, unosząc męż-

czyżnę w powietrze tak, że dotykał chodnika jedynie czubkami butów. Druga dłoń, zaciśnięta w pięść, brała zamach do zadania druzgocącego ciosu.

Cios nigdy nie padł. Stary przysunął twarz do twarzy Pattersona. Bez wysiłku wydmuchnął chmurę proszku prosto w oczy napastnika. Bramkarzowi wydało się, że jego oczy płoną żywym ogniem. Ryknął z bólu, zatoczył się do tyłu i potknąwszy się o podórkę markizy, runął niezgrabnie na ziemię.

– Nic nie widzę! – darł się. – Oślepiłem! Moje oczy... Nic nie widzę!

Z klubu wybiegło kilku mężczyzn. Zatrzymali się na widok Pattersona, który leżał na chodniku i tarł oczy pięściami. Jack Shannon, jeden z braci Shannonów, właścicieli lokalu, szybko ocenił sytuację. Natychmiast złapał śmierzącego włóczęgę za ramię, zarówno by go podtrzymać, jak i zatrzymać na miejscu zajścia.

– Co tu się stało, stary? – zażądał wyjaśnień Shannon. Wskazał na Pattersona. – To twoja sprawka?

– Ja nie chciałem – jęknął marynarz. – Jenemu muzyki słuchać przysła ochota. Słuchać tego Shannona.

– Skąd znasz moje nazwisko? – warknął Shannon. Pytanie to nasunęło mu się samo. Osiągnął pewną popularność w światku chicagowskich nocnych klubów, ale żeby taki ktoś jak...

Stary marynarz oparł się ciężko o niego i w tej samej chwili Shannon zamarł w miejscu. Nie mógł nie wyczuć lufy pistoletu uciskającej go pod pachą. Stary niemalże przytknął usta do ucha Shannona. Zapach ryb i czosnku stał się nie do wytrzymania.

– Do środka – wycharczał marynarz, spryskując policzek Shannona zalatującą czosnkiem śliną. Pistolet wbił się mocniej pod pachę. – Wchodzim, jakby ja był stary kumpel, kapujesz? Jak przyjaciel rodziny. Potem przejdziem na zaplecze. Pójdziem do twojego biura, zamkniesz drzwi i nikogo innego nie wpuścisz. Jasne?

Shannon, wysoki i chudy jak szkielet mężczyzna, skinął głową. Był zdezorientowany i przekonany o szaleństwie starego, ale trudno się stawiać, kiedy ma się lufę przystawioną do piersi.

– Dobra, dobra – odpowiedział po cichu. – Tylko spokojnie z tym żelastwem, staruszkule, zgoda? Nie będę sprawiał kłopotów.

– Zamknij pan twarz. – Pistolet dźgnął go ponownie. – Ruszaj i nie przestawaj się uśmiechać.

Kolejna fala zapachu ryb i czosnku nakłoniła Shannona do podporządkowania się poleceniom szalonego włóczęgi. Kelnerzy



przystawali, kiedy Jack Shannon, wzorowy właściciel dystyngowanego klubu bluesowego, szedł ramię w ramię z jakimś obdartusem w stronę mrocznych zakamarków zaplecza, ale nikt nie wyrzekł ani jednego słowa. Shannon był jednym z wirtuozów bluesa, a wszyscy wiedzieli, że od wielu muzyków odwróciło się szczęście w wyniku gnębiącego kraj kryzysu. Shannon pomagał podnieść się wyrzuconym na bruk kolegom. Nikt się do tego nie wtrącał. Widywali już takie sceny nieraz.

Shannon zatrzymał się przed drzwiami swego biura. Lufa szturchnęła go w zębra.

– Pamiętaj, nikt nie może wejść – doszła go chrapliwie wyszeptana przestroga.

– Nie ma sprawy, staruszk – powiedział łagodnie Shannon. Starał się nie denerwować starego. Suty posiłek i odrobina whisky postawi go na nogi.

Shannon spojrział na dobrze zbudowanego mężczyznę, przyglądającego się podejrzliwie całemu zajściu.

– Hej, Syd, to mój stary kumpel – wyjaśnił mu Shannon. – Wyświadczyć mi przysługę. To sprawa osobista i nie chcę, żeby nam przeszkadzano, okay?

– Rozumiem, proszę pana – odparł mężczyzna. Było w tym wszystkim coś podejzranego, ale rozkaz to rozkaz.

Gdy weszli już do biura, „marynarz” obrócił Shannona w stronę drzwi.

– Zasuwa.

Shannon przekręcił zamek.

– Teraz usiądź w tamtym fotelu. – Nieznajomy cofnął się, zwiększając dystans między sobą i Shannonem. Nie ukrywał już broni. Shannon wpatrywał się w lufę potężnego, sześciostrażalowego webleya. Jednym strzałem z tego rewolweru można by położyć nawet łosia.

Shannon zmarszczył czoło. Rewolwer wydał mu się dziwnie znajomy. W Chicago broń była popularna jak papierosy. Ale kto by nosił ze sobą webleya? Smith & wesson to co innego. Albo colt automatic. Nawet remington ze swoją długą lufą, ale...

Oczy Shannona rozszerzyły się, gdy stary zdjął wełnianą czapkę i rzucił ją w kąt. Chwilę potem odkleił sztuczną brodę i szeroki uśmiech wykwitł na jego obliczu. Sztormiak poleciał w drugi kąt, webley zaś zniknął pod sportową kurtką z granatowego zamszu.

– Cześć, Jack – powiedział odmłodzony starzec.

Shannon w połowie uniósł się z fotela, wytrzeszczając oczy.  
– Niewiarygodne – wyszeptał. – Dobry Boże Wszechmogący, to nie do wiary. Indy!

– We własnej osobie – wyszczerzył zęby Jones. Shannon podbiegł do niego, objął ramionami swego najbliższego przyjaciela i mocno uściskał. Poklepalili się nawzajem po plecach.

Shannon odsunął Indy'ego, przypatrując mu się uważnie.

– Jakże miło cię widzieć – powiedział z niekłamana radością. – Ale... po co ta cała maskarada? – Podniósł rękę. – Przystopuj na chwilę, Indy. Po tym, co przez ciebie przeżyłem, muszę się napić.

Odwrócił się, by sięgnąć po butelkę i dwie szklanki.

– A tobie, stary druhu, przydałaby się dezynfekcja jamy ustnej i kąpiel!

– To wszystko część przebrania, Jack. Napijmy się wreszcie. Podobnie jak ty, ledwo mogę znieść ten rybi i czosnkowy odór.

Shannon podał szklankę swemu koledze ze szkolnej ławy i od lat najlepszemu przyjacielowi. Stuknęli się szkłem i przez chwilę pili w milczeniu. Shannon ponownie napełnił szklanki, ale teraz Indy sączył alkohol bez pośpiechu.

– Świetnie wyglądasz, Jack. Nadal chudy jak szczapa, ale... – wzruszył ramionami. – A jak z twoim muzykowaniem?

– Lepiej niż kiedykolwiek. Mamy teraz regularnie komplet. Niektórzy ludzie uważają, że stworzyłem nowy prąd w bluesie. – Shannon skończył drugiego drinka, odstawił szklankę i z powrotem zasiadł w fotelu.

– Nadal nie mogę w to uwierzyć! – wybuchnął niespodziewanie. – Indy, co ty wyrabiasz? Nie musiałeś aranżować tego spektaklu, żeby tu wejść! Znamy się nie od wczoraj.

Indy przepłukał usta odrobiną whisky, by pozbyć się posmaku ryb i czosnku, a także pozostałości proszku, który trzymał w kapsułce, aby unieszkodliwić bramkarza. Odstawił szklankę, nadal w połowie pełną.

– To proste, Jack – odparł, naraz przybierając poważny ton. – Nikt prócz ciebie nie może wiedzieć, że ja – to znaczy, że profesor Henry Jones złożył tu dzisiejszego wieczoru wizytę.

– Nic nie kumam – powiedział Jack Shannon z taką samą szczerością, z jaką mówił do niego Indy. – Dawniej byłeś tu stałym bywalcem. Coś jest nie tak, Indy? Musisz mieć poważny powód, że nie chcesz się wychylać. – Shannon wspomniiał stare dzie-

je i zachichotał. – Ale, z drugiej strony, nigdy nie działałeś bez poważnego powodu. Co jest grane, stary?

Indy przyjrzał się uważnie przyjacielowi, z którym razem dorastał w Chicago.

– Jack, nadal chodzisz do kościoła?

– Że co?

– Przecież zawsze trzymałeś się cenionych przez twoją rodzinną wartości. Nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek opuścił mszę w niedzielę.

– Do tej pory nie opuszczam, to się nie zmieniło. A o co chodzi?

– To może mieć wpływ na prośbę, jaką mam do ciebie.

– Nie dowiesz się, jeśli nie poprosisz. Ale przedtem powiedz mi, co zrobiłeś Pattersonowi?

– Komu?

– Gorylowi, którego trzymamy u drzwi frontowych. Widywałem nie raz, jak przerabiał na kogel-mogel całe gromady rozrabiaaków. A przez ciebie rozbeczał się jak mała dziewczynka.

– A, o to chodzi. – Indy kiwnął głową. – To „Tygrysie Łzy”. Zamówiłem u chemików taki proszek. Umieścili go w kapsułce, którą trzeba przed użyciem rozgryźć. Łzawią i szczypią od tego oczy. Do jutra twój człowiek nie będzie widział, ale to mu przejdzie.

– Dzięki za informację. Patterson to w porządku gość. Na ringu nie zaszedł daleko, ale dobrze pracuje jako ochroniarz. O nic więcej już nie pytam, Indy. Z tego, co mówisz, wynika, że wpadłeś do miasta na krótko i zaraz się zmywasz, tak?

– Tak.

– Wracasz tak jak przyszedłeś? Z brodą, kuśtykaniem i tym pięknym zapachem?

Indy zaprzeczył.

– Nie. Wyjdę stąd jako odstawiony dandys, z wąsikami, w czapce sportowej i tak dalej. Nadal jest aktualne to tylne wyjście do alejki z zaparkowanym samochodem?

– Jasna sprawa.

– W takim razie skorzystam. Podrzucisz mnie?

– Masz to u mnie. Słuchaj Indy, chyba się w nic nie wpakowałeś, co? Wiem, że już cię o to pytałem, ale, no, możesz mnie prosić o każdą przysługę. Jesteś moim najlepszym przyjacielem.

– Dzięki Jack. Nie, w nic się nie wpakowałem.

– Naprawdę już musisz wyrywać? Mógłbym zagrać parę twoich ulubionych kawałków, dla przypomnienia starych, dobrych czasów, a ta całonocna knajpa jest nadal otwarta. Szynka, kapusta i fasola, zgadza się? Tak jak kiedyś.

– Zachowaj dla mnie te solówki na trąbkę, Jack. Słuchaj stary, chcę cię prosić o pomoc, ale nie dla siebie. Czy nie zabrzmiałoby to zbyt staromodnie, jeśli powiem, że to dla kraju?

Oczy Shannona rozszerzyły się.

– Bawisz się w szpiega, Indy?

Indy roześmiał się.

– Nic w tym guście. Chciałbym móc powiedzieć ci więcej, ale mi nie wolno. Może później, w każdym razie nie teraz. Musisz mi zaufać na słowo.

– Dobra, wal.

– Twoi kumple zajmowali się kiedyś rozwożeniem gazet. Nadal mają ciężarówkę?

– Jasne.

– Dasz radę zagonić ich do roboty w środku nocy?

– To jest właśnie pora, kiedy pracują, Indy.

– Potrzebuję kilku z nich, Jack. Nie dziś, masz więc dużo czasu.

– Dokąd mają przyjechać?

– Do Milledgeville.

– Jak? „Miłe drzwi”?

Indy uśmiechnął się.

– To takie miasteczko, jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów na zachód stąd. W tym rejonie jest sporo miasteczek: Polo, Oregon, Chardwick i Milledgeville. Przez dolinę, w której są położone, biegnie linia kolejowa.

– Mam nadzieję, że powiesz mi kiedyś po co. Ilu ludzi potrzebujesz?

– Tylu, by jutro w nocy zrobili skok na pociąg.

Shannon otworzył usta ze zdumienia. Przez dobrą chwilę nie mógł wydobyć z siebie głosu. Potem parsknął śmiechem.

– Myślałem, że to będzie coś na poziomie! Co ty wyrabiasz, Indy? Przystajesz do gangu Jesse Jamesa?

Indy dołączył się do jego wybuchu wesołości.

– Nie. Ale to jest na poziomie. To zadanie specjalne, Jack. Tak jak mówiłem, dla kraju.

– Gdybym usłyszał to od kogoś innego... – Shannon pokiwał głową. – W porządku, Indy. Ufam ci. Co jest w tym pociągu?

- Złoto, artefakty, takie tam.
- A tobie na czym zależy?
- Złoto nas nie interesuje.
- A, to co innego. W takim razie co się z nim stanie? Mam przeczucie, że i tak je zabierzecie.
- Masz rację. Ale złoto zostanie zwrócone.
- Oczy Shannona zwężyły się w wąskie szparki.
- Więc jest jakiś... No, coś, na czym ci zależy. Muszę cię o to spytać, Indy. Zatrzymasz to sobie?
- Tylko na krótko.
- To szaleństwo. Zaraz pewnie powiesz, że podczas tego skoku nikomu nie stanie się krzywda.
- Zgadza się.
- Shannon westchnął.
- Mam do tego odpowiednich ludzi. Dobra. Chodzi ci chyba o jeden konkretny wagon. Oznaczysz go jakoś dla nas?
- Podam ci wszystkie szczegóły.
- A ochrona?
- Drobiazg. Możecie trochę postrzelać i pohałasować, ale tak, żeby nikomu nic się nie stało. Chcę też, żebyś użył specjalnego sprzętu.
- Okay. Wchodzę w to.
- Po godzinie skończyli naradę.
- Dokąd cię podrzucić? – zapytał Shannon.
- Na farmę na odludziu, trzydzieści kilometrów na południe od Dubuque, jakieś sto sześćdziesiąt kilometrów stąd.
- Wiem, gdzie to jest.
- Po drodze wstąpimy jeszcze na dworzec autobusowy w śródmieściu. Muszę zabrać z szafki swoje klamoty.
- W porządku.
- Naprawdę doceniam, że mi pomagasz, Jack.
- Ja też to docenię, kiedy usłyszę, o co tu naprawdę biega, Indy. – Shannon uniósł rękę. – Dobra, dobra. Poczekam.
- Indy poklepał go po ramieniu.
- Kiedyś ci to wszystko wyjaśnię. Póki co... – sięgnął do kieszeni i wydobyl skórzany woreczek. – To musi się znaleźć razem z łupem z jutrzejszej nocy.
- Shannon wziął woreczek.
- Mogę zerknąć?
- Wolałbym, żebyś nie zerkał.

Shannon wzruszył ramionami.

- Ile to jest warte?
- Ogromną kupę prostokątnych, zielonych papierków.
- Od kiedy zostałeś komikiem, Indy?

Trzy godziny później ekipa usłyszała odgłos potężnego silnika samochodu zbliżającego się po równoległej do rzeki drodze wiodącej na farmę. Gale wyjrzała przez okno pomiędzy zasłon.

- To chyba limuzyna – przekazała reszcie.
- Ile ich jest? – szczerknął Tarkiz.
- Widzę tylko jedną parę reflektorów – odparła. – Zgaście światło w pokoju, to...

Rene Foulois pstryknął kontaktem, zanim zdążyła dokończyć.

- Nadal widzę tylko jeden wóz. Zatrzymał się. Ktoś wysiada od strony pasażera. Ustawia się w strumieniu światła reflektorów.
- Dobrze – osądził Rene. – Chce, abyśmy wiedzieli, kim jest.
- To Indy! – wykrzyknęła Gale. – Nie poznałam go w tym... lalusiowatym wdzianku, które ma na sobie. Wygląda jak bukmacher z wyścigów.

– Nieważne. Nadal jest sam? – niecierpliwił się Tarkiz.

Gale usłyszała metaliczny odgłos charakterystyczny dla wprowadzania naboju do komory pistoletu. Wiedziała bez patrzenia, że to Tarkiz. Zdała sobie sprawę, że nie usłyszała ani jednego dźwięku od Willarda Cromwella. Jak człowiek tak wielkiej postury mógł zachowywać się tak cicho? Odwróciła się i przeszukała pokój wzrokiem. Nie było go.

Wyglądając ponownie przez okno, ze wzrokiem przyzwyczajonym już do ciemności, spostrzegła ogromny cień oparty o pień drzewa na lewo od samochodu. Od razu rozpoznała tę korpulentną sylwetkę i pistolet maszynowy thompson w jej rękach. Wiedziała, że jeśli ktoś z samochodu uczyniłby jakikolwiek gwałtowny ruch w stronę Indiany Jonesa, byłby to dla tego kogoś ostatni ruch w życiu. Willard nafaszerowałby samochód stalowymi pociskami, które mogły przebić na wylot pancierz tak zwanych kuloodpornych limuzyn. Ale nie zaszła taka potrzeba. Indy pomachał kierowcy na pożegnanie, odsunął się i z pobocza obserwował, jak samochód bierze szeroki nawrót w podwórze i oddala się w kierunku, z którego przybył.

Indy zawołał w ciemność:

– Dzięki za wsparcie, Willard! Doceniam to. Cromwell wyszedł z ukrycia.

– A skąd wiedziałeś, kim jestem i gdzie jestem, jeśli wolno spytać? – zagadnął jowialnie.

– To proste – tłumaczył mu Indy w drodze do budynku. – Po prostu postawiłem się na twoim miejscu. Gdybym był starym, po częściowym Willardem, kombinowałem, i nudził się tu jak mops, popijając ciepłą whisky w jakiejś opuszczonej przez Boga pipidówce, gdy nagle zjawia się Indy i być może ma kłopoty, to...

– Dostyc! – roześmiał się Willard. Nawet w domu Gale usłyszała wyraźny trzask zapadki bezpiecznika thompsona.

Kiedy wszyscy zebrali się już w salonie, Indy powstrzymał gestem lawinę pytań.

– Najpierw posiłek – powiedział. – Potem będzie mnóstwo czasu na okrągły stół, a później wszyscy lulu. Jutrzejszej nocy nie zmrużymy oka, a musimy być gotowi do drogi przed zachodem słońca.

– Zanim zaczniemy jeść, rozmieście psy.

Kolacja – steki i parówki pieczone na ogniu kominka – była prawie gotowa. Podczas przygotowywania posiłku nawiązały się rozmowy i, tak jak Indy przypuszczał, członkowie jego grupy zaczęli się do siebie odnosić z większym luzem. Z zadowoleniem zauważył, że Gale Parker nie czuła się skrepowana jako jedynaczka w męskiej ekipie. Indy uśmiechnął się pod wąsem. Tylko on wiedział, że w walce była prawdziwą diablicą, że umiała się po mistrzowsku posługiwać wieloma rodzajami broni.

Interesowało go, co o porywczej rudowłosej sądzili mężczyźni. Rzadko dołączał do bractwa, w którym każdy człowiek z osobną był prawdziwym i niebezpiecznym zawodowcem. Dotychczas żaden z mężczyzn nie wyraził nawet cienia pogardy dla przebywającej wśród nich kobiety. Albo zaakceptowali opinię o niej wystawioną przez niejakiego Indianę Jonesa, albo sami chcieli się przekonać, jak się zachowa, kiedy zrobi się gorąco.

Istniała jeszcze trzecia ewentualność: mogli przypuszczać, że Indy interesował się Gale Parker prywatnie jako kobietą. Nie pomylili by się tylko pod jednym względem. Gale była z pewnością jedną z najbardziej zadziwiających kobiet, jakie znał. Nie miał jednak wobec niej romantycznych zamiarów. Wykonywał zadanie,

które coraz bardziej go intrygowało i jednocześnie wymagało zastosowania skomplikowanej strategii. A prywatnie jego myśli i emocje nadal przepełniał ból. Wciąż jeszcze śnił mu się po nocach koszmarny wypadek w Amazonii, kiedy zginęła Deirdre...

Zmusił się, by powrócić myślami do teraźniejszości. W stodołę trzymali cztery angielskie dogi. Wielkie, brzydkie bydlaki, wszystkie wytresowane do ataku, ale także do słuchania komend wpajanych im od młodości.

– Chcesz je teraz nakarmić? – spytał Tarkiz.

Indy zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie. Przywiążemy je do wbitych w ziemię palików. Największego damy przy samolocie. Pozostałe trzy utworzą szeroki krąg wokół domu i stodoły. Niech będą głodne. Jeśli je nakarmimy, zasną. Damy im co najwyżej wody. Pójdę z wami. Tarkiz, Willard, za mną. Rene, ty i Gale dokończcie przygotowania do kolacji.

Ruszyli bez wahania. To właśnie zaleta zgranej drużyny. Żadna praca nie jest zbyt ważna, żadna zbyt nieistotna. Zwierzęta zostały ustawione na pozycjach wokół domu i stodoły; następnie trzej mężczyźni wrócili do domu, gdzie czekało już na nich jedzenie.

Po posiłku spalili drewniane talerze i widelce, a także resztki kolacji, w ogniu kominka. Z nożami nie było problemu: każdy używał własnego bojowego ostrza.

– Startujemy jutro punktualnie o dwudziestej drugiej. Dzięki temu będziemy mieli dużo czasu na zamalowanie naszego znaku firmowego i namalowanie fałszywego numeru na ogonie. Przyszło mi na myśl, żeby zakryć nasze „Najprzedniejsze Wina” napisem „Wydział Robót Publicznych”. Nawet jeśli ktoś nas zobaczy, przeczyta napis i nie zwróci uwagi na samolot.

Indy zwrócił się do Willarda Cromwella:

– Ty pilotujesz, Will. Gale, usiądziesz z nim z przodu jako nawigator i udzielisz wszelkiej pomocy. Będziemy porozumiewać się przez hełmofony. Rene, potrzebny mi jesteś przy mapach. Tarkiz, ty zajmiesz się hakiem i wyciągarką. Wszystko jasne?

Przytaknęli bez słowa.

– A co postanawiamy zrobić z tym domem po naszym odlocie? – zapytał Rene, obejmując gestem teren farmy. – Od początku podkreślasz, przyjacielu, żeby pod żadnym pozorem nie zostawiać po sobie śladów, po których ktoś mógłby nas rozpoznać.



– Racja – zgodził się Indy.  
– Czy mógłbyś wyrażać się nieco jaśniej? – zasugerował Francuz.

– Nakarmimy psy tuż przed odlotem. Zostaną zabrane godzinę później. Ten, kto ma to zrobić, przyjedzie tu ciężarówką, wsadzi psy do klatek i odjedzie. Nic więcej.

– Nie będzie wchodził do domu? – spytał leniwie Cromwell.

– Nie, jeśli nie chce napytać sobie biedy. Bez deliberowania i marudzenia. Nie pozostanie po nas nawet ślad.

– A jak ukryjesz nasz samolot?! – zaprotestował niespodziewanie Rene Foulois. – Użyjesz czarów?

Wszyscy się roześmiali. Ale Indy nie chciał pozostawiać pytań bez odpowiedzi.

– Mniej więcej – odparł. – Masz rację, Rene. Nie damy rady ukryć takiej wielkiej maszyny jak ford i tych trzech ryczących silników. Skoro nie możemy go schować, zamaskujemy go. Mówiłem już, że wymalujemy znak robót publicznych na burtach. A dziś w nocy przeleci tędy inny ford. Jutro zaś prawdziwy trójcilnikowie Wydziału Robót Publicznych pokaże się nad tą okolicą. To patrol dróg i kontroli przeciwpowodziowej i będzie tu jeszcze krążył przez kilka dni po naszym odlocie.

Tarkiz Belem przerwał milczenie, które do tej pory zachowywał.

– Po co to wszystko, Indiana Jones? – zapytał z troską w głosie.

– Napadniemy na pociąg – rzekł Indy. Roześmiał się, obserwując reakcje członków grupy.

– Napadniemy na pociąg? – powtórzyła jak echo Gale Parker.

– Tak jest.

Tarkiz popatrzył na Indy’ego podejrzliwie.

– Wiem, że robisz różne rzeczy, ale żeby napad na pociąg... – pokiwał głową.

– No, widzę, że udało mi się was zaciekawić – oświadczył Indy beztrząsko.

– Jak na kogoś, kto jest archeologiem... – wtrącił Foulois, przybierając żartobliwy ton. – Powiedziałbym, że zmieniasz image. Co trzymasz w zanadrzu, Indy? Napad na dylizans? – podniósł ręce z wyprostowanymi palcami wskazującymi i uniesionymi kciukami, jakby dzierżył dwa sześciostrzałowce. – Bang! Bang! – krzyknął. – Nieustraszeni handlarze wina torują sobie drogę przez bandę groźnych czerwonych...

– Czerwonoskórych – poprawił Indy.

– Oczywiście. Torujemy sobie drogę i napadamy na dyliżans. Indy, równie dobrze mogliśmy nie opuszczać Anglii i zostać rabusiami w lesie Sherwood!

Jak na kogoś, kto był powiązany z najwyższymi szczeblami tej operacji, myślał Indy, Foulois świetnie wyrażał wątpliwości podzielane przez wszystkich członków zespołu.

Rozpostarł mapy na stole w jadalni i zachęcił pozostałych, by podeszli bliżej.

– Jutrzejszej nocy – powiedział, wskazując palcem zakreślony na mapie punkt – uderzymy tutaj. Wystartujemy dokładnie godzinę przed spotkaniem z pociągiem. W ten sposób zyskamy czas na rozwiązanie ewentualnych problemów – technicznych, pogodowych i jakich tam jeszcze – aby zdążyć na czas. Zgranie w czasie jest nieodzowne. Musimy się trzymać rozkładu.

Gale z trudem panowała nad sobą.

– Indy, chcesz powiedzieć, że dopadniemy ten pociąg z samolotu?

Spojrzał na nią z miną pokerzysty.

– Owszem.

Odchyliła się do tyłu, oszołomiona, ale gotowa słuchać dalszych szczegółów szalonego planu, który uknuł Indy.

– Czy mogę o coś zapytać, nim podejmiesz wątek? – wtrącił się Cromwell. Indy przytaknęła i Cromwell mówił dalej. – To zdaje się nic wielkiego, ale nie znam się na tej twojej dzikiej i surowej Ameryce, Indy. Co się stanie, jakie nastąpią konsekwencje, jeżeli nas rozpoznają?

– Ależ właśnie o to chodzi, żeby nas rozpoznali – odparł Indy niedbale. – Oczywiście nie pod prawdziwymi nazwiskami, ale jako grupę pod inną nazwą. Napad na pociąg nie byłby wart zachodu, gdybyśmy nie zostali o niego obwinieni.

Cromwell szturchnął Francuza.

– Miałeś rację, Rene. On rzeczywiście postradał zmysły.

## 5.

– Panie! Panowie! Proszę o uwagę! – doktor Filippo Castilano, doradca do spraw inwestowania w antyki dla muzeów całego świata, zadzwonił delikatnym, szklanym dzwoneczkiem dla zwrócenia uwagi. Stał przed hałaśliwym tłumem dziennikarzy, reporterów radiowych i specjalnych korespondentów, zebranych w Auli Archeologicznej Uniwersytetu Londyńskiego.

Castilano czekał cierpliwie, aż tłum się uspokoi. Dało mu to czas na polecenie porządkowym uniwersyteckim, by otworzyli okna i przewietrzyli pełną dymu tytoniowego salę. Można było odnieść wrażenie, że niepalący dziennikarz nie jest wart złamanego szeląga. Castilano, w nieskazitelnym spodniach w paski, opasany szarfą i w kamizelce pod włoską marynarką z czystego jedwabiu, rozgonił dłonią dym sprzed twarzy. Otarł górną wargę jedwabną chusteczką, dając tym tłumowi dziennikarzy do zrozumienia, że jest nieco zniewieściały. Castilano opanował do perfekcji tę pozę wyfiokowanego gogusia. Wyglądał absolutnie niegroźnie.

Zastanawiał się, ilu z tych durnych pismaków mogło mieć pojęcie o tym, że był jednym z tajnych członków zarządu Amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej w Nowym Jorku. Oraz że zachowywał dyskretną niewidzialność w roli doradcy Watykanu, gdzie utrzymywał szereg biur, komunikujących się za pośrednictwem radia i podmorskiego kabla praktycznie z całym światem. Castilano bowiem był człowiekiem, któremu Watykan powierzył niemal demoralizującą sumę na poszukiwanie skarbów historycz-

nych. Kościół wolał po cichu dźwżyć je w swoich rękach, niż żeby zostały przehandlowane za brudny szmal przez durnych chłopów czy nieokrzesanych prostaków.

Castilano, modniś i lalusz w opinii publicznej, od dawna należał do tajnego związku Sześciuset z Watykanu, grupy, której nazwisk nigdy nie zapisano na papierze, która nie prowadziła ewidencji, i której członkowie zaprzysięgli służbę Matce Kościołowi po wsze czasy. Na długo przedtem, zanim zgodził się przyjąć tę rolę na zaproszenie samego papieża, Filipo Castilano był jednym z najlepszych ludzi Włoskich Tajnych Służb i znał się tak samo dobrze na tajnych operacjach, zamachach i wywiadzie, jak obecnie na manipulowaniu mediami i ich żądnymi sensacji odbiorcami.

Jego największym sukcesem, którego tajemnicy strzegł tak samo ściśle jak swego członkostwa w Sześciuset z Watykanu, była współpraca z Thomasem Treadwellem z Brytyjskiego Wywiadu Wojskowego. Ten związek mógł się wydawać dziwny, ale dla najwyższych szczebli rządu brytyjskiego i Watykanu pozostawał oczywisty. Watykan traktował to przymierze jako bastion przeciw siłom zła. Nawet gdyby Brytyjczycy przyjęli inną politykę, niewiele by to znaczyło. Obie strony miały ten sam cel: współpracę. A Castilano, z prawdziwą tożsamością dobrze ukrytą pod płaszczykiem narcyzmu, nie wątpił w swe zdolności kontrolowania słuchaczy.

Kiedy w pokoju nareszcie zaległa cisza, Castilano rozpoczął konferencję prasową, mającą na celu zaskoczenie, zaszokowanie i podekscytowanie publiczności, która miała potem rozgłosić wiadomość po świecie, dokładnie tak, jak to zaplanowano.

– W Iraku odkryto niesamowity skarb – zakomunikował. – Z tego, co mi wiadomo od mojego rządu oraz grup badaczy z Uniwersytetu Londyńskiego i Narodowego Muzeum Egiptu, znalezisko było całkowitym zaskoczeniem. Jak państwo doskonale wiedzą, Irak jest krajem wyjątkowym, jeśli chodzi o umiejscowienie na wspaniałych starożytnych ziemiach Mezopotamii. Nie będę się teraz wdawał w szczegóły. Wszyscy państwo otrzymacie kopie pełnego raportu sporządzonego przez grupę badaczy złożoną z naukowców z czterech krajów, biorących udział w wykopaliskach. Powiem jedynie, że odkrycia dokonano w pobliżu miasta Habbaniyah, położonego na brzegu Eufratu i niemalże w centrum kraju. Odkrycie, pragnę jeszcze raz podkreślić, było dziełem nadzwyczaj

szczęśliwego przypadku. Obfite deszcze wypłukały zbocza niewielkiego wzniesienia i miejscowi rolnicy odkryli potężną kamienną strukturę pod warstwą ziemi.

Otrzymał państwo także zdjęcia złotych statuetek, znalezionych w głębokich katakumbach, które okazały się nie tyle komorami grobowymi, co tajnym skarbcem dawnych władców tego kraju. Jeszcze bardziej znaczącym czyni to odkrycie fakt, że artefakty pochodzą z terytorium całego Imperium Osmańskiego i miały pozostać ukryte w tym miejscu do czasu, kiedy ówczesni władcy mogliby je bezpiecznie zabrać. Podczas wojen, które trwały te ziemie, zapis o skarbie najwyraźniej zaginął.

Wybuchło zamieszanie, ale Castilano stał cicho, z wzniesionymi rękami, póki tłum się nie uspokoił.

– Wszystko w swoim czasie. Będę się streszczał. Statuetki są niewątpliwie dziełem rzemieślników różnych kultur. Proszę nie zapominać, że te tereny stanowiły kolebkę współczesnej cywilizacji, jeśli chodzi o ówczesną technologię, a także zapisy historyczne, włącznie z pismem klinowym i bardziej znanymi językami.

To właśnie pismo klinowe stało się źródłem największego poruszenia. Podobno – nie zostało to jeszcze potwierdzone, więc nie znajdują tego państwo w swoich pakietach prasowych – wśród rzeźb znajduje się co najmniej jeden przedmiot w kształcie piramidy, pokryty pismem klinowym.

Przy współpracy i za zgodą rządów i instytucji naukowych krajów mających swój udział w odkryciu, całe znalezisko jest teraz w drodze do Stanów Zjednoczonych...

Znowu podniosła się wrzawa i ponownie nastąpił okres oczekiwania; tym razem krótszy.

– Do Stanów Zjednoczonych – podjął Castilano – a dokładnie do Centrum Badań Archeologicznych na Uniwersytecie Chicagowskim. Osoby, które nie znają geografii USA informuję, że Chicago leży w stanie Illinois, na brzegu bardzo dużego jeziora. Dokładniejsze dane znajdują państwo w atlasie.

Przerwał, i tłum dziennikarzy znów zasypał go gradem pytań. Zgromadzeni na sali pismacy znali się na znaleziskach historycznych jak kura na pieprzu. Wybrano ich specjalnie właśnie dla ich braku wiedzy, co oznaczało zadawanie wielu głupich pytań i co ważniejsze, powstanie niesamowicie niespójnych artykułów. I o to chodzi, pomyślał Castilano. Zwracał uwagę na to, by jego odpo-

wiedzi były dokładne. Kiedy już osiągnie swój cel w odniesieniu do tego tępogłowego tłumu, przekaże głos stetryczalemu doktorowi Williamowi Pencroftowi.

– Gdzie są obecnie znaleziska? – zapytał niemiecki reporter.

– W drodze do Stanów Zjednoczonych – odparł Castilano.

– W jaki sposób są transportowane? – padło następne pytanie.

Zanim zdążył udzielić na nie odpowiedzi, ktoś zadał kolejne:

– Jak nazywa się statek przewożący ten skarb?

Doskonale! – pomyślał i odpowiedział:

– Wszystkie wykopaliska są bezpieczne na pokładzie ciężkiego krążownika amerykańskiego U.S.S. „Boston”. Krążownik płynie w eskorcie czterech niszczycieli.

– Po co wzięli do tego okręt wojenny, na miłość Boską?! – wykrzyknął ktoś z tłumu.

– Aby zapobiec kradzieży innych artefaktów, odkrytych głęboko w jednej z kopalń Afryki południowej. – Castilano przerwał, by wiadomość dotarła do świadomości dziennikarzy. To była już całkiem odrębna historia. Plotki mnożyły się jak drożdże na temat jakiejś ogromnej straty poniesionej przez kopalnię Związku Południowej Afryki.

– Artefakty? Z Afryki południowej? Proszę powiedzieć coś więcej!

– Nie jestem pewien. Tak jak państwo, nie znam szczegółów. Doszły mnie jednak słuchy, że w zaginionym tam transporcie znajdowało się pokryte pismem klinowym znalezisko.

– Doktorze Castilano, co to za język?

Czekał na to pytanie.

– Pismo klinowe nie jest, jak sądzą niektórzy, samo w sobie językiem – odrzekł Castilano. – Jest to raczej rodzaj alfabetu. Znak tego alfabetu mają kształt klinów odcisniętych w glinie lub metalu. Dodam jednak, że pismo klinowe stanowi fundament takich starożytnych języków jak sumeryjski, babiloński, asyryjski, perski i temu podobnych. Słyszałem jednak, że identyfikacja ta jest błędna, że mamy do czynienia z językiem starszym od jakiegokolwiek znanej nam cywilizacji.

Ziarno zostało zasiane.

– Gdzie w tej chwili znajduje się ten amerykański krążownik?

– Nie wiem.

– Czy może nam pan powiedzieć, z jakiego portu wypłynął?

– Nie mogę, gdyż tego nie wiem.

– Kiedy skarby znajdują się w Chicago?

Poważnie go kusiło, by odpowiedzieć: „Wtedy, kiedy tam do-  
tra, idioto”, ale ugryzł się w język i z uśmiechem udzielił wymija-  
jącej odpowiedzi:

– Spróbuję dowiedzieć się czegoś więcej – obiecał reporterowi.  
– Tymczasem – przerwał, ujrzawszy doktora Williama Pencrofta, który podjechał w swym wózku inwalidzkim do krawędzi sceny – ten pan udzieli odpowiedzi na pozostałe pytania.

Punktualnie o dwudziestej pierwszej następnego wieczoru pociąg z ośmioma skrzyniami pełnymi starożytnych artefaktów, wśród których znajdowała się piramida o boku podstawy siedem centymetrów i wysokości dziesięciu centymetrów, ruszył z bocznic, gdzie stał przez cały dzień pod ochroną dobrze uzbrojonych strażników. Powoli wtoczył się na główną linię biegnącą na wschód od Waterloo i, nabierając szybkości, ruszył z łomotem w kierunku Dubuque, gdzie miał przekroczyć Mississippi. Na wschodnim brzegu rzeki tor skręcał na południowy wschód. Pociąg powinien podążać tą linią aż do Savannah, a potem skierować się na południowo-wschodni wschód, w kierunku Milledgeville.

Za tym niewielkim miasteczkiem leżało następne, Polo. Między obydwoma miejscowościami tory biegnęły wzdłuż niewielkiej rzeki, dnem okazałej doliny.

– Krzyżyk oznacza miejsce zasadzki – powiedział do swoich ludzi Jack Shannon. Jego długi, szczupły palec stuknął w mapę. – Tutaj. Musimy to zrobić dokładnie o czasie, rozumiecie? Z zegarmistrzowską precyzją, że się tak wyrażę. Morgan, kiedy pociąg się zatrzyma, ty, Cappy i Max idziecie ze mną do trzeciego wagonu. Nie zapomnijcie niczego zabrać, okay?

– Spoko, Jack, nie ma sprawy – brzmiała odpowiedź.

Ustawili na torach ciężarówkę z cysterną i skierowali reflektory samochodów na wymalowany na niej jaskrawoczerwoną farbą napis BENZYNA – OSTROŻNIE Z OGNIEM! Następnie ułożyli pod nią drewno na ognisko. Nikt by się oczywiście nie zorientował, że cysterna była wypełniona wodą. Kiedy maszynista z pociągu zobaczy tę bombę tkwiącą na torach, na pewno da po hamulcach, jakby jutro nie miało nigdy nadejść. Wtedy właśnie uderzą, a Jack zrobi dokładnie to, co mu Indy przekazał w pisemnych, opatrzonych rysunkami instrukcjach.

– Jedzie! – zawołał obserwator. Daleko na torach spostrzegli omiatające okolicę światło lokomotywy, gdy pociąg wychodził z zakrętu na prostą biegnącą przez środek doliny. Płonąca cysterna, rzeżyscie oświetlona reflektorami, miała skłonić maszynistę, aby zachował się w pożądanym sposób.

Zadziało jak w zegarku. Lokomotywa toczyła się dnem doliny niczym grzmot. Maszynista spojrzął w dal, zauważył odbijające się na szynach światło, a potem, kiedy zbliżył się już wystarczająco, by spostrzec ogień pod cysterną i magiczne słowo BENZYNA, pociągnął za gwizdek i zakręcił hamulce. Ludzie znajdujący się w wagonach przewracali się jak kęgle.

Chłopcy Shannona zastosowali stary fortel. Drzwi pierwszego wagonu gwałtownie się otworzyły. Uzbrojeni strażnicy zamarli na widok jednego ze swoich z przystawionym do głowy rewolwerem. Inny mężczyzna skierował na nich luźną thompsona. Tak samo działo się przy każdym wagonie. Ludzie Shannona używali gangsterskiego slangu.

– Jeden fałszywy ruch, a rozwalimy mu łeb. Chcecie zobaczyć, jak jego mózg rozpryskuje się na wszystkie strony? Rzucić spluwy! Tak, żeby było widać. A teraz do drzwi na końcu wagonu i na dwór. Jak już wyjdziecie, nie zapominajcie, że macie za sobą kilka thompsonów i dubeltówek wycelowanych w zadki. Jeśli będziecie grzeczni, to nikomu nie stanie się kuku. Kiedy już stąd wyjdziecie, walcie prosto przed siebie. Zobaczycie szosę. Macie po niej robić bardzo szybkie człap-człap, jakby was sam diabeł gonił. Ruszać się!

W tym samym czasie zakładnik wyrywał się jak mógł, fundując doskonałe przedstawienie tym, którzy nie wiedzieli, że „strażnik” w rękach napastników to tak naprawdę jeden z ludzi Shannona. Podstęp udał się w wagonach z ochroną i sprawdził się również w trzecim wagonie pociągu, gdzie za drzwiami zaryglowanymi na stalowe sztaby znajdowały się bezcenne artefakty.

Shannon nie mógł zrozumieć, dlaczego tak często skupiano się na zabezpieczeniu drzwi, zapominając o oknach. Pojedyncza seria z thompsona „otworzyła” je bez trudu. Do środka posypały się granaty z gazem łzawiącym, biała mgła zakotłowała się we wnętrzu wagonu, po czym drzwi odsunęły się gwałtownie i ze środka wypadli kaszlący konwojenci, niezgrabnie oddalając się od pociągu.

Shannon i jego ludzie weszli do wagonu. W środku nie zastali żywej duszy. Szybko odnaleźli pojemniki z artefaktami. Shannon szukał skrzyni z namalowaną za pomocą szablonu piramidką. Ku jego zaskoczeniu, pozbawiona była ciężkich sztab i klamer, jakie



miały pozostałe skrzynie. Zwrócił się do swoich ludzi, wskazując na resztę pojemników:

– Wynieście je stąd! – Zerknął na zewnątrz. – I zgaście to cholerne ognisko pod cysterną! Max, ty zostajesz.

Otworzyli oznakowaną skrzynię. Złote statuetki lśniły w oświetleniu wagonu. Shannon wziął do rąk posążek jakiegoś antycznego bożka. Nic a nic się na tym nie znał.

– Max, podaj mi torbę. Przysuń tu kilka skrzyń, żebyśmy mogli otworzyć klapę w dachu.

– Skąd wiedziałeś, że tu jest...

– Wykonać!

Shannon odsunął zamek torby. Wszystko było gotowe do użytku, włącznie z futerałem z grubej skóry przymocowanym do linki; na jej drugim końcu znajdowała się powłoka balonu. Wziął mały skórzany woreczek, który dostał od Indy'ego w Chicago i umieścił piramidkę, razem ze złotym posążkiem, w futerale.

– Max, pomóż mi – rozkazał. Obaj mężczyźni weszli na skrzynię, odsunęli klapę, i wkrótce znaleźli się na dachu wagonu. Shannon rzucił okiem na zegarek. Mieścili się w czasie. Rozejrzał się. Jego ludzie zgasili płomień pod cysterną. W oddali dostrzegł uciekających strażników.

Shannon usiadł na dachu. Odszukał jeden z pierścieni bezpieczeństwa, używanych przez eskortę, kiedy jechała „na oklep” na pociągu. Przypiął do pierścienia ciężki hak zabezpieczający, następnie rozpostarł przypominający szmatę balon.

– Trzymaj to, Max, i choćby się paliło i waliło, nie puszczaj.

Rozłożyli powłokę, linki i ciężki skórzany futerał na dachu wagonu. Shannon przeprowadził wąską rurkę od pojemnika ze sprężonym gazem, który miał przy sobie, do wnętrza balonu i odkręcił zawór. Dał się słyszeć syk gazu wypływającego do powłoki. Wypełniony helem balon wyrwał się do lotu, ale Max dobrze go trzymał.

– W porządku, Max, teraz go puszczaj, ale powoli, kapujesz?

Max mruknął coś i skinął głową. Rozluźnił uścisk i balon wznosił się na swój maksymalny pułap dziesięciu metrów ponad dachem wagonu. Do linki uwięzi przyklejone były taśmą przewody, biegnące od akumulatora znajdującego się na wagonie do dwóch lamp umieszczonych na powłoce, jednej na górze, drugiej na dole, dzięki którym był dobrze widoczny w ciemnościach nocy.

Shannon podążył spojrzeniem wzdłuż torów ku zachodowi. Nie miał ani chwili do stracenia. Światło na niebie stawało się co-

raz większe i jaśniejsze. Grzmot przetoczył się po dolinie, odbijając się od wzgórz, przy towarzyszącym mu zgrzytliwym i zawożdżającym ryku.

– Padnij! – wrzasnął Shannon do Maxa. – I nie wstawaj!

Obaj mężczyźni przywarli do dachu wagonu. Światło pędziło w ich kierunku, rosnąc coraz bardziej; łoskot wypełnił im uszy.

Willard Cromwell zacisnął pas bezpieczeństwa jeszcze odrobinę ciaśniej, póki nie usadowił się wygodnie na lewym fotelu w kokpicie forda trimotora. Po jego prawej ręce Gale Parker wodziła palcem wzdłuż linii oznaczającej na mapie linię kolejową. Kiedy mijali rozpoznawalne punkty orientacyjne, podawała je Cromwellowi.

– To Milledgeville. Zaraz tory skrećą nieznacznie na północ – poinformowała go, przekrzykując hałas trzech silników firmy Pratt & Whitney.

Cromwell złapał się za prawe ucho.

– Nie musisz tak się drzeć – upomniął ją. – Korzystaj z telefonu pokładowego, do cholery. Wszyscy cię świetnie słyszymy. Nie zapominaj, że w kabinie też słuchają.

Gale przytaknęła.

– W porządku. Zostało już tylko kilka kilometrów. Widzisz miejsce, gdzie tory skrećają do doliny?

– Widzę – odparł szorstko. Czuł się w swoim żywiole; zupełnie jak podczas nalotu, chociaż teraz musiał być dokładny jak nigdy. Wcisnął lewy pedał orczyka i dodał muśnięcie lewej lotki; delikatny skręt, by utrzymać się dokładnie ponad torami. – Włącz reflektor – poinstruował ją. – Jesteśmy już poza miastem. Przed nami otwarta przestrzeń.

Indy odezwał się z kabiny.

– Widać już pociąg?

– Powinniśmy go lada chwila zobaczyć... jest! Widzę czerwone światła ostatniego wagonu i kilka samochodów z włączonymi reflektorami.

– Daj mi znać, kiedy zobaczysz dwa światła nad pociągiem – odpowiedział Indy przez telefon pokładowy. Położył się na podłodze kabiny tuż przy otwartym luku; wiatr wdierała się z wyciem do wnętrza parę centymetrów od jego twarzy. Tarkiz Belem zaklinował swe ciało między dwoma siedzeniami i ubezpieczał go,

trzymając mocno za kostki. Indy miał ze swej pozycji widok na to, co działo się kilkaset metrów przed dziobem samolotu.

– Widzę te dwa światła nad pociągiem! – powiedziała Gale – Wyglądają na stacjonarne.

Indy i Foulois sprawdzili chwytak umieszczony pod samolotem i ciągnący się za nim. Było to to samo urządzenie, którego od lat używały samoloty pocztowe do zabierania toreb z pocztą zawieszonych pomiędzy dwoma wysokimi słupami; samolot schodził bardzo nisko, ciągnąc za sobą specjalny hak, i porywał torbę, którą następnie wyciągarka wciągała do środka.

– Prędkość sto pięćdziesiąt, Indy – zameldował Cromwell. – Jesteśmy dokładnie na linii i około siedemnastu metrów nad ziemią.

– Tak trzymać... Pociąg w polu widzenia, widzę futerał. Gotowy? Raz a dobrze, Will...

Ford wynurzył się z ciemności nocy, a jego reflektor czynił go podobnym do cyklopa gnającego przez mrok. Podwozie zamiotło nad dachami wagonów. Cromwell prowadził maszynę równo i spokojnie i odczuł głucho uderzenie, kiedy hak trafił na linkę utrzymującą balon z helem.

Zrobili to z niemal mechaniczną precyzją. W chwili, kiedy Indy powiedział do pokładowego telefonu: „Mam!”, Cromwell lewą ręką przyciągnął drążek do siebie, pozostawił dźwignie przepustnic tam, gdzie były, i zaczął powoli nabierać wysokości, wytracając szybkość do niewiele ponad stu kilometrów na godzinę. W kabinie Tarkiz nadal trzymał Indianę, podczas gdy Foulois kręcił korbą, nawijającą linę na przymocowany do podłogi kołowrót.

– Stop! Dobrze, właśnie tak! – polecił Indy. Wyciągnął prawą rękę do Rene, który podał mu jego webleya. Indy, trzymając ciężki rewolwer oburącz, starannie wycelował i oddał jeden strzał do balonu. Szybko uszedł z niego hel i powłoka powiewała jak szmata na wietrze. Chwilę później cały zestaw został wciągnięty do samolotu. Zamknięto i zabezpieczono klapę w podłodze. Indy obrócił się i usiadł. Foulois powiedział do swego mikrofonu:

– Cromwell, zwiększaj pułap, wszystko według planu.

Gale wzięła do rąk mapę i pisemne instrukcje.

– Dwa tysiące osiemset metrów – wyczytała. – Całkowite zaciemnienie.

– Bardzo dobrze – powiedział swobodnie Cromwell i uśmiechnął się. – To nie było trudne.

– Jesteś naprawdę dobry. – W głosie Gale dał się słyszeć autentyczny podziw. Nie myliła się. Cromwell wykonał to podejście tak, jakby robił to już setki razy.

Foulois i Belem obserwowali, jak Indy otwiera skórzany futerał. Wydobył z niego złoty posążek i podał Belemowi. Oczy mężczyzny zaświeciły się, kiedy zobaczył i zważył złoto w rękach. Indy zaśmiał się.

– To nie to, co myślisz – powiedział do Tarkiza.

Ciemne oczy zwęziły się.

– O co ci chodzi, Indy?

– Spróbuj to naciąć nożem. Posążek jest jedynie pozłacany. Pod warstwą złota kryje się ołów.

Tarkiz nie krył zakłopotania. Wydobył długie ostrze z cholewy buta i wbił je w statuetkę. Spod warstwy złota wyrzwał szary ołów.

– W takim razie, do stu ponurych diabłów, po co to wszystko?! – wrzasnął.

– Bo musieliśmy zdobyć tę piramidkę, o której teraz tak głośno – wyjaśnił mu Indy.

– A mamy ją? – spytał Foulois.

– Jest w worku – odparł Indy.

– Ale... skąd mogłeś wiedzieć? – Patrzyli, jak Indy wyciąga niewielki, skórzany woreczek z futerału. Rozsypał go i podsunął im pokrytą piśmem klinowym piramidkę przed oczy, by mogli się jej przyjrzeć.

– Ale... skąd wiedziałeś, że ona jest w tym woreczku? – dopytywał się Belem, do reszty zbity z tropu.

Indy rozsiadł się w fotelu, wyciągając przed siebie nogi.

– To proste – powiedział z nutką nonszalancji. – Wiedziałem, że tam jest, bo sam ją tam włożyłem.

Rzucił piramidkę Francuzowi, który desperacko chwycił coś, co jeszcze przed chwilą uważał za jeden z najbardziej poszukiwanych artefaktów na świecie.

– Zajmij się tym, póki co – polecił mu Indy. Zapiął pasy i zsunął kapelusz na oczy.

– Zdrzemnę się teraz. Obudźcie mnie przed lądowaniem.

– *Mon dieu* – stęknął Foulois. Popatrzył na Belema. – Powoli zaczynam wierzyć, że nasz Jones naprawdę zwariował.

Tarkiz Belem spojrział nienawistnie na bezwartościową figurkę.

– Albo on oszalał – zgrzytnął zębami – albo my.

## 6.

– Wright Tower, tu „Szurnięte Aniołki”, lecę na wysokości dwóch tysięcy ośmiuset metrów, w odległości trzy zero kilometrów, i ląduję. Przechodzę na odbiór.

Gale Parker i Tarkiz Belem spojrzeli po sobie ze zdziwieniem. Cromwell i Foulois siedzieli razem w kokpicie; tym razem pilotował Francuz, a Cromwell obsługiwał radio. Ale kim były te „Szurnięte Aniołki”?

– Ta nazwa doskonale do nas pasuje – powiedział Belem. – Cała ta sprawa jest porąbana od samego początku. „Szurnięte Aniołki” to chyba nasz kryptonim.

Gale kiwnęła głową.

– Na to wygląda. Nie rozumiem jednak, dlaczego lądujemy na lotnisku wojskowym.

– Kiedy tylko Indy się obudzi, mała, z pewnością wykręci coś jeszcze bardziej zwariowanego niż wszystko do tej pory.

Siedzący za ich plecami Indy powoli odsunął z oczu rondo swego znoszonego kapelusza. Stanowił on wizytówkę Indiany Jonesa i chronił zarówno przed prażącym słońcem, jak i przed śnieżną zamiecią. Był jak stary przyjaciel. Indy wyjrzał spod niego niczym niewyspana sowa.

– Lądujemy na Wright Field – zwrócił się do Gale i Tarkiza. – Czeką nas odrobina czarów.

– Czarów?! – zakrzyknęli oboje.

– Aha – Indy przeciągnął się i ziewnął. – Musimy, tego, no, zniknąć.

– A na wojskowym lotnisku mają pewnie niewidzialną maść – rzuciła sarkastycznie Gale.

– Coś w tym guście. – Indy podniósł się z fotela i poklepał Tarkiza po szerokim ramieniu. – Wytrzymaj, przyjacielu. Wkrótce drzwi staną otworem i wpadnie przez nie światło.

Indy udał się do kokpitu i stanął za fotelami pilotów. Spoglądał przez nachylony pod ostrym kątem wiatrochron, obserwując porzrzucane w dole światełka miasteczek. Samotne snopy światel wbijały się w ciemności dróg i widział nawet czerwone światła z tyłu.

– Odpowiedzieli z Wright Field? – zapytał Cromwella.

– Kazali czekać na dane do lądowania... Chwileczkę. Właśnie się zgłosili – odrzekł Cromwell. – Trzymaj – podał Indianie słuchawki.

– „Szurnięte Aniołki”, „Szurnięte Aniołki”, tu Wright Tower. Twoja tożsamość potwierdzona. Możesz schodzić do lądowania. Na lotnisku będziesz sam. Zezwalam lądować z prostej na pasie jeden sześć zero. Proszę o potwierdzenie, odbiór.

Cromwell powtórzył instrukcje, a następnie dodał:

– Odezwę się, kiedy nawiążę kontakt wzrokowy z lotniskiem, odbiór.

– Zrozumiałem, „Szurnięte Aniołki”. Pilot czeka na was na zakończeniu pasa startowego. Dalsza komunikacja jest zbędna, ale będziemy monitorować tę częstotliwość na wypadek, gdybyś nas potrzebował. Wright Tower bez odbioru.

– Czółko! – Cromwell zakończył transmisję i zwrócił się do Indy’ego. – Słyszałeś wszystko?

– Bardzo dobrze – potwierdził Indy. – Kiedy lądujemy?

– Za jakieś dwanaście, czternaście minut.

– W porządku. Po wyłączeniu silników zabierzcie ze sobą swoje rzeczy osobiste. Powiem reszcie.

Niecałe dziesięć minut później zauważyli obracające się światło sygnalizacyjne lotniska. Foulois powoli obniżał pułap i, podczas gdy światła lotniska stawały się coraz wyraźniejsze, ustawił forda na kursie jeden sześć zero, aby zgodnie z instrukcją wylądować z prostej.

– Widzę pas startowy – poinformował go Cromwell.

– Zrozumiałem – odparł Rene; chwilę później dodał: – Ja też go widzę.

Cromwell rozejrzał się po niebie.

– Nad lotniskiem nie ma ruchu.  
– Daj sygnał – powiedział Foulois beztrąsko. Cromwell nacisnął guzik, oznajmiając w ten sposób pasażerom po raz ostatni, żeby zapięli pasy. Rene sprowadził samolot do lądowania prosto jak po sznurku. W spokojnym i chłodnym nocnym powietrzu ford zdawał się raczej płynąć niż lecieć. Koła potoczyły się po ziemi bez żadnego odgłosu. Francuz pozwolił maszynie się toczyć i wyłowił wzrokiem ciężarówkę z podświetlonym napisem PILOT. Mijali rzędy hangarów i warsztatów. Wszędzie stały samoloty, istna zbieranina myśliwców, transportowców, bombowców, maszyn szkoleniowych i cywilnych. Ciężarówka zatrzymała się, wyskoczył z niej mężczyzna i zasygnalizował pilotowi forda, żeby zgasił silniki.

Wkrótce potem od trójcilnikowca dochodziły jedynie, niby koncert świerszcza, trzaski stygnącego metalu. Zza jednego z hangarów wyłonił się niebieski minibus i zatrzymał tuż obok forda. Oficer czekał, aż Indy i reszta załogi zejść na płytę. Przyglądał się im przez chwilę i wyraźnie rozpoznał Indianę.

Zbliżył się do niego i zasalutował.

– Profesorze Jones, miło znów pana widzieć. – Podali sobie ręce. – Za pańskim pozwoleniem, moi ludzie przeniosą sprzęt i bagaże.

Indy wyraził zgodę, po czym zwrócił się do Tarkiza:

– Idź z nimi. Wiesz, co nam będzie potrzebne.

Olbrzym skinął głową i wspiął się z powrotem do forda. Wkrótce ich rzeczy i sprzęt zostały przeniesione do minibusu.

Ludzie Indiany zgromadzili się wokół niego, a on przedstawił Henshawa.

– Ma pan swoje rozkazy co do naszego samolotu? – zapytał Indy pułkownika.

– Tak jest. – Na twarzy Henshawa na krótko zagościł uśmiech. – Mamy go uczynić niewidzialnym.

Tarkiz z grymasem zwrócił się do Gale:

– A jednak! Mówiłem, że on zwariował, a ten pułkownik chyba razem z nim! Sprawia, że nasza maszyna stanie się niewidzialna! Puf! I nie da się nas odróżnić od nieba. Nawet ptaki nie będą nas widzieć.

Indy pokiwał głową na wybuch Tarkiza.

– Przynajmniej przez chwilę, przyjacielu.

Cromwell zbliżył się do pułkownika.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, muszę nalegać, by wszelkie naprawy i uzupełnianie paliwa odbywały się w mojej obecności.

Henshaw zlustrował brytyjskiego pilota.

– Cromwell, zgadza się? Nie sądzi pan, że potrafimy zająć się maszyną jak należy? – W jego odpowiedzi była ledwie szczypta sarkazmu.

Na twarzy Cromwella nie drgnął ani jeden mięsień. Zrobił krok do przodu i stanął twarzą w twarz z amerykańskim oficerem.

– Szczerze mówiąc, panie pułkowniku, nie sądzę. To my latamy tym samolotem. Jeżeli pańscy ludzie narobią w nim bigosu, a my dopiero po trzech kilometrach odkryjemy ich robótkę, to chyba nie trzeba zbyt bujnej wyobraźni, żeby się domyślić, kto za to zapłaci. – Cromwell zwrócił się do Indy’ego. – Nalegam. Ja osobiście albo Foulois musimy być obecni przy jakichkolwiek pracach czy naprawach.

Indy zwrócił się do Henshawa:

– Jeśli chodzi o samolot, to oni tu rządzą, pułkowniku.

– Rozumiem panów doskonale – odparł Henshaw, kierując wzrok na Cromwella. – Chciałbym, żeby podobna postawa była powszechna wśród wszystkich moich ludzi. Ma pan moje słowo, panie Cro...

– Brygadierze, jeśli to panu nie przeszkadza – rzekł lodowato Cromwell.

– Oczywiście, panie brygadierze. – Wskazał na grupę. – Zapraszam do minibusu.

Kiedy wsiadali, Tarkiz szturchnął Indy’ego.

– Przepraszam za kłopot, Indy, ale mój żołądek domaga się jedzenia. Jeśli wkrótce czegoś nie zjem, będzie po mnie.

– Z twoją posturą, Tarkiz – zażartował Foulois – mógłbyś chyba wytrzymać bez pożywienia tak długo jak wielbłąd bez wody.

– Chudeusze zawsze robią głupie uwagi – odparł dobrodusznie Tarkiz. – Ale ja nie chcę gadać, tylko jeść. Jeszcze jedna zimna parówka i...

– Wszystkim się już zajęto, proszę pana. Jeszcze tylko kilka minut – powiedział barman.

Minibus przetoczył się przez rozległy teren bazy, a następnie zatrzymał przed wysoką zaporą z betonowych słupów i potrójnych zwojów drutu kolczastego. Wszędzie wisiały tablice z napisami WSTĘP WZBRONIONY i TYLKO DLA PERSONELU. Wartow-



nicy otworzyli szlaban i oddali honory Henshawowi, gdy minibus ich mijał. Przed nimi wyrósł olbrzymi hangar. Żołnierze odsunęli wrota i minibus wjechał do środka. Kiedy wrota zamknęły się za nim ze stłumionym hukiem, pod sufitem włączyły się jasne światła.

Członkowie ekipy Jonesa rozglądali się wokoło z zainteresowaniem. We wnętrzu ogromnego hangaru znajdował się jakby fragment małej wioski: chaty, kamienne budynki biur, nawet trawnik z drzewami.

– To jest nasz dom na następnych kilka dni – oznajmił Indy. – Panie pułkowniku, pójdę z pańskimi ludźmi i upewnię się, że rzeczy moich kolegów trafią do przypisanych im kwater.

Klepnął Tarkiza w ramię.

– Ty i cała reszta idźcie z tym sierżantem prosto do stołówki. Tam przyjmą wasze zamówienia. Proście o co chcecie.

– Stołówka? Tutaj?

– Przecież umierałeś z głodu?

– To prawda. Mój żołądek myśli już, że poderżnięto mi gardło. – Tarkiz złapał za ramię najbliższego sierżanta. – Ma pan przodków? A, to wyśmienicie. Jeśli zaraz czegoś nie zjem, to może się pan z nimi spotkać o wiele szybciej niż pan myśli.

Po obiedzie Indy odmawiał odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania, kierując rozmowę na mało istotne wydarzenia wieczoru. Wszyscy byli srodze zawiedzeni, ale uszanowali jego milczenie. Tej nocy spali w wygodnych łóżkach w oddzielnych, umeblowanych pokojach. W każdym pokoju znajdowały się książki i radio oraz telefon, ale wszystkie rozmowy musiały przechodzić przez zabezpieczoną wojskową centralkę.

Gale Parker zdążyła się już zorientować, że dziwna rezerwa Indy'ego była jego sposobem na oczekiwanie informacji z zewnątrz lub też na przybycie ludzi o kluczowym znaczeniu dla ich misji. Gale pomału go poznawała. Nadal zaskakiwały ją jego metody, ale też robiła na niej wrażenie szybka realizacja planów, jakie obmyślił z nadzwyczajną dokładnością. Coraz bardziej ją pociągał i zaskoczyła ją własna reakcja na mężczyznę, który promieniował męskością, ale jednocześnie traktował ją z szacunkiem, na jaki w jego odczuciu zasługiwała jako kobieta i współtowarzysz.

Nie czuła dotąd takiej skłonności do płci przeciwnej i ten nagły wybuch uczuć wprowadził ją w zakłopotanie, a nawet przeraził.

Życie osobiste nigdy nie było jej mocną stroną. Pozorne rozdwojenie jaźni Indy'ego w ich wzajemnych stosunkach peszyło ją, ale i cieszyło zarazem. Gale zdawała sobie sprawę, że jest bardziej uparta od kozła, ale Indy nigdy nie usiłował z niej wykorzystać tej cechy. Z radością przyjęłaby jego osobiste zainteresowanie, lecz nie mogła walczyć z faktem, że pozostawał wierny pamięci swojej zmarłej żony. Wiele razy próbowała go pytać o Deirdre – jaka była, jak doszło do ich ślubu, jak dzielili radość z odkryć i przygód.

Aż ją zatkało ze zdziwienia, kiedy pojęła, że jest zazdrosna o zmarłą przed kilku laty kobietę! Uświadomiła sobie, że pragnęła związku, który pozwoliłby jej być bliżej Indy'ego. To graniczy z niemożliwością, westchnęła, w tej grupie zawodowych zabójców.

Zostaw to, kobieto! – ofuknęła samą siebie. Tak właśnie powinna postąpić. Musi tak postąpić. Ale potem, rozmyślając w samotności, zauważyła, że się uśmiecha. Wiedziała już, że za wszelką cenę spróbuje zmniejszyć dzielący ich dystans, aby podczas tej dziwnej misji Indy traktował ją jak partnera i jak kobietę.

Ale czy on czuje to samo?

Wbiła pięść w poduszkę, zawiedziona, nieco zagubiona. Czyżby zakochała się w Indym? Czy o to chodziło? Czy kiedykolwiek miałyby dobrowolnie zrezygnować z wolności, lekkości podążenia z wiatrem, jeżeli tego akurat chciała. Nie potrzebuję mężczyzn! – krzyknęła na siebie w kolejnym przepływie rozterki.

Ktoś roześmiał się w jej głowie i powiedział spokojnie: kłamczucha z ciebie, Gale Parker.

Samotna w swoim pokoju, ukryła twarz w poduszce. Zamknij się, Gale Parker!

Cromwell dopił trzecią filiżankę kawy i zdusił niedopałek.

– Wyborne śniadanko – sapnął. Tarkiz przytaknął i wydał z siebie donośne beknięcie, uśmiechając się do wszystkich słonecznie. Foulois zignorował go i otarł delikatnie usta serwetką. Indy też się uśmiechnął; Gale nie okazała emocji.

– Chciałbym obejrzeć naszą maszynę – odezwał się niespodziewanie Cromwell do pułkownika Henshawa, który jadł śniadanie razem z nimi.

Zanim Henshaw zdążył odpowiedzieć, Tarkiz pochylił się do przodu i wykonał przeczący gest.

– Nie, nie, nie wolno – powiedział, jakby ganił Cromwella.

Henshaw okazał zaskoczenie. Cromwell zaś zareagował w oryginalny, właściwy sobie sposób.

– A dlaczego nie, do jasnej cholery? – nalegał.

– Ach, Anglicy mają taką krótką pamięć! – rzekł głośno Tarkiz. Promieniał z radości i spoglądał na wszystkich po kolei, by upewnić się, że go słuchają. – Czyżbyś już zdążył zapomnieć, co nasz poczciwy pułkownik – wskazał na Henshawa – powiedział wczorajszej nocy? Dostał rozkaz, żeby uczynić nasz samolot niewidzialnym!

Tarkiz nachylił się do przodu z konspiracyjnym błyskiem w oku.

– A nawet Anglicy nie są w stanie zobaczyć niewidzialnych samolotów.

Tarkiz jest trochę nadpobudliwy, pomyślał Indy. Wyraźnie zmierza do konfrontacji. Jones zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo Tarkiz nie znosił, kiedy coś przed nim ukrywano, a uwaga o niewidzialności musiała go toczyć jak robak przez całą noc.

– Zostaw – powiedział cicho do Tarkiza.

Ogromny Kurd spojrział na niego spode łba.

– Indy! Ranisz mnie, przyjacielu. Bardzo chciałbym zobaczyć niewidzialny samolot. Nasz poczciwy pułkownik chyba umie czynić cuda. – Zwrócił się do Henshawa. – Proszę mi powiedzieć, panie pułkowniku, czy pański niewidzialny samolot nadal może latać? Mimo że jest niewidoczny?

Jeżeli myślał, że Henshaw czuje się dotknięty tym sarkastycznym wybuchem, grubo się mylił. Indy zajął się swoim kubkiem kawy, żeby nie parsknąć śmiechem. Henshaw popatrzył na Tarkiza najłagodniej, jak tylko mógł.

– Panie Belem, odpowiedź na pańskie pytanie brzmi „tak”. Wasz samolot jest niewidzialny, może latać i nie ma żadnego znaczenia, że go widać.

– Przewybornie – włączył się Rene Foulois. – Jeszcze nigdy nie latałem niewidzialnym samolotem. Nie mogę się doczekać tego wyjątkowego przeżycia.

Gale Parker spojrzała po otaczających ją mężczyznach.

– Czy ktoś jeszcze odniósł wrażenie, że wciskają nam tu straszny kit?

Wszyscy spojrzeli na nią jak jeden mąż.

– Panno Parker – powiedział Cromwell z naciąganą uprzejmością. – Albo zna pani odpowiedź, albo chodźmy obejrzeć ten nasz niewidzialny samolot.

– On jeszcze nie załapał – wtrącił szybko Tarkiz, zadowolony z zamętu, jaki spowodował przy stole. – To zupełnie jak z brytyjskim lwem. Wszyscy Brytyjczycy są dumni z jego rządów w wielu częściach świata, ale nikt jeszcze tej kudłatej bestii nie widział.

– Koniec śniadania – przerwał Indy, nie pozwalając dyskusji rozpalic się na dobre. – Panie pułkowniku – zwrócił się do Henshawa – obejrzyjmy, jak działa pańska magia.

Po drodze do zaparkowanego w hangarze minibusu wszyscy zapomnieli o niedawnej sprzeczce. Henshaw zatrzymał ich przy drzwiach i rozdał wszystkim członkom grupy identyfikatory.

– Bez tych wizytówek nie wolno poruszać się po terenie bazy – wyjaśnił. – Proszę je zawsze nosić przypięte do ubrania.

Foulois obejrzał uważnie swój identyfikator.

– Zaskakuje mnie pan, pułkowniku. Tu jest moje nazwisko, dane, zdjęcie, a nawet odcisk prawego kciuka. Nikt nie robił mi zdjęć, skąd więc...

– To standardowa procedura, kiedy nie chcemy zawracać głowy naszym gościom. Zdjęcia, a także filmy robiono wam wiele razy. A na wszystkim, czego dotykaliście – czy to na szklance, kubku, czy rzeczach osobistych – pozostawiliście wyraźne odciski. My je po prostu zdjęliśmy. To naprawdę standardowa procedura, panie Foulois. Zapraszam do minibusu.

Autobus zatrzymał się trzydzieści metrów od ogromnego hangaru, do którego wstawiono na noc forda trimotora. Kiedy wszyscy wysiedli, Henshaw zatrzymał ich na miejscu.

– Proszę o chwilę cierpliwości. Zaczekajcie tu państwo, póki nie otworzą się wrota hangaru.

Dał sygnał obsłudze. Przy głośnym szumie silnika elektrycznego ogromne skrzydła wrót rozsunęły się, odsłaniając wnętrze.

Wszyscy oprócz Indiany, który wiedział, co stanie się w nocy, patrzyli z niedowierzaniem. Wtem Gale Parker wybuchnęła śmiechem.

– O Boże, udało mu się! – wykrzyknęła, klaszcząc w dłonie.

– Ale... ale... który z nich jest nasz? – Cromwell zmrużył oczy, by dostrzec szczegóły.

Henshaw święcił chwilę triumfu.

– To pan niech mi powie, panie puł... przepraszam, brygadierze. Proszę wskazać swój samolot.

W hangarze stało sześć fordów trimotorów, a każdy z nich miał wojskowe numery i oznaczenia. Nie licząc różniących je numerów identyfikacyjnych, wszystkie samoloty były do siebie podobne jak krople wody. Którym z nich wylądowali tu poprzedniej nocy?

Tarkiz poklepał Henshawa z uznaniem po ramieniu.

– Pułkowniku, zdejmując przed panem kapelusze. – Popatrzył na Cromwella i Rene. – Udało mu się. Widzimy nasz samolot, ale jednocześnie go nie widzimy, bo nie wiemy, który to. Cudownie!

– Wszystkie gazety i stacje radiowe w kraju – zwrócił się do nich Henshaw – trąbią o napadzie na pociąg wczorajszej nocy. Nikt nie może pojąć, jak go przeprowadzono, i to tak, że nikt nie został nawet ranny. W nagłówkach zawsze przewijają się zaginione złote statuetki i niewielka starożytna piramida. Są też doniesienia o udziale dużego samolotu. Załoga jednego z wydziałów robót publicznych została ubiegłej nocy aresztowana i poddana wielogodzinnym przesłuchaniom, ale zostali zwolnieni dziś rano. Podobno mieli wymieniany silnik i ich samolot nie nadawał się do użytku. A zatem – uśmiechnął się – byłoby niestosownie trzymać coś ze znakiem ich firmy na tym lotnisku. Każdy, kto tu przyjdzie – a spodziewamy się pytań i prawdopodobnie przedstawicieli mediów – może sobie stać mniej więcej tu, gdzie wy teraz i patrzeć, ile dusza zapragnie.

Henshaw odwrócił się i wskazał na wschód.

– W tej chwili zbliża się do nas ford piechoty morskiej. Po południu przyleci tu także ford marynarki dla przeprowadzenia specjalnych testów. Dla świata wasz samolot po prostu nigdy nie istniał.

Ruszyli w stronę hangaru.

– Panie pułkowniku – rzucił Cromwell. – Co z moją prośbą o naprawy? Czy...

– Poza namalowaniem oznaczeń nikt nie dotykał waszego samolotu. – Henshaw przewidział pytanie. – Kiedy będziecie gotowi do przeglądu i wymiany sprzętu, o który prosił profesor Jones, pan i każdy z grupy, kto zajmuje się maszyną, otrzyma kombinezon i odpowiednie identyfikatory, by nie wyróżniać się wśród pracujących tu mechaników i techników.

Dopiero kiedy Foulois i Cromwell przyjrzeni się z bliska wszystkim samolotom, odnaleźli trójsilnikowiec z lukiem w podłodze. Ale nawet to nie pomogło zbyt wiele, gdyż trzy inne fordy miały identyczne luki.

– Cudownie – Gale Parker wyraziła odczucia wszystkich.

Gale Parker siedziała z Indym w prywatnej jadalni ekipy – wojskowej mesie z wygodami – znajdującej się w odizolowanym hangarze. Cromwell, Foulois i Belem ciężko pracowali przy samolocie wraz z wojskowymi mechanikami i technikami. Ich praca wymagała kilku dni wytężonej uwagi, a Indy zamierzał wykorzystać ten czas na ustanowienie systemu komunikacji między ekipą a kwaterą główną.

Gale bawiła się kubkiem z kawą.

– Mogę cię o coś zapytać, Indy?

Podobnie jak cała reszta, on i Gale mieli na sobie kombinezony robocze. Nie zwracali niczyjej uwagi w bezkształtnych, niemal workowatych strojach.

– Nie ma sprawy – odrzekł. – Pozostali niedługo tu przyjdą. Nie będą potrzebni przy wymianie silników.

– Wymieniasz silniki? – nawet nie kryła zaskoczenia. – We dług mnie są w porządku.

– Tak, to prawda. Ale do tego, co mamy robić i gdzie będziemy latać, przyda się nam coś ekstra. Nasz samolot jest wyposażony w standardowe silniki gwiazdowe o mocy około tysiąca trzystu koni mechanicznych. Wojsko zaś dysponuje zmodyfikowanym sprzętem, o którym mało kto słyszał. Firma Pratt & Whitney przysłała specjalnie dla nas kilka zmodyfikowanych silników typu wasp. Cała sztuka polega na zamianie mocy w siłę ciągu. Nie staniemy się o wiele szybsi niż teraz, ale podwoimy prędkość wznoszenia forda. Pozwoli to także zainstalować dodatkowe zbiorniki, które dadzą zasięg co najmniej dwóch tysięcy czterystu kilometrów bez uzupełniania paliwa. Cała ta moc przyda się nam, żeby w ogóle oderwać się od ziemi, kiedy zostaniemy załadowani po brzegi.

Siedziała pogrążona w milczeniu, kompletnie zaskoczona tym, co powiedział. Indy dopił kawę.

– Dzięki tym nowym mocarzom będziemy mogli lądować i startować z małych lotnisk. A, tak, jeszcze balonowe ogumienie, na lotniska polowe.

– Zadziwiasz mnie, Indy! Nie wiedziałam, że jesteś pilotem!

Ugniała cygaro między palcami.

– Bo nie jestem. Zawsze o tym marzyłem, ale za każdym razem, kiedy zaczynałem brać lekcje, to albo miałem mnóstwo wykładowców, albo wyjeżdżałem w teren, w góry, do dżungli, na pustynię...

– Wiem – wtrąciła.

– Cóż, jakoś nigdy się nie złożyło. – Wyglądał na zatroskanego. – Może pewnego dnia. Naprawdę powinienem się tego nauczyć.  
– W takim razie skąd tyle wiesz? To, co do tej pory powiedziałeś...

Uśmiechnął się do niej.

– To, że ktoś nie zna się na pilotażu, nie oznacza jeszcze, że nie umie słuchać. Spędziłem wiele godzin w towarzystwie inżynierów i pilotów, którzy nawet z takiej topornej damy jak Ford potrafią zrobić baletnicę. Nie tylko nad tym pracują, ale lepiej będzie, jeśli dowiesz się o wszystkim bezpośrednio od nich.

Usłyszeli, jak pod drzwiami hangaru podejżdża minibus i wkrótce do wnętrza weszli pozostali członkowie ich grupy. Kombinezony mieli pobrudzone smarem.

– Przez jakiś czas nie będziemy im potrzebni – wyjaśnił Cromwell. – Zmieniają opony, silniki i śmigła. To największe łopaty, jakie w życiu widziałem. Moglibyśmy z nimi pofrunąć na sam szczyt Mount Everestu. Zupełnie jakbyśmy zaprzęgli do pracy trzy trąby powietrzne.

Opadł ciężko na krzesło.

– Rene i ja zastanawiamy się nad zmianą w systemie hamulcowym. To by nawet dobrze pasowało do tych nowych opon. Wiesz, gdzie są hamulce?

Indy skinął głową.

– To ta duża dźwignia za fotelami pilotów.

Foulois zrobił kwaśną minę.

– Ford to wspaniała maszyna, ale ten układ pochodzi z zamierzchłych czasów. Szalenie utrudnia manewrowanie na ziemi. A skoro mamy pod ręką tych wszystkich ludzi i odpowiedni sprzęt, i nie zajmie to więcej niż jeden dzień, chciałbym wyposażyć oba stanowiska pilotów w hamulce nożne.

Indy zerknął na Cromwella, który rzekł:

– Boli mnie, kiedy Francuzi są tacy mądrzy, ale on ma rację. To cholernie dobry pomysł, Indy.

– Dobra, montujcie. – Indy spojrział ponad głowami swoich ludzi i zauważył pułkownika Henshawa w towarzystwie jakiegoś mężczyzny.

Henshaw wskazał na swego partnera.

– To starszy sierżant David Korwalski. Jest głównym specem od modyfikacji i remontów w naszym wydziale eksperymentalnym.

– Trzeba go strzec jak oka w głowie – dodał Cromwell. – Ma złote ręce do roboty przy samolotach.

– Tym razem to angielski dżentelmen ma rację. – Foulois mru-  
gnął do Indy’ego.

– Jeśli ma pan wolną chwilę, profesorze Jones – włączył się  
do rozmowy Henshaw – chcielibyśmy omówić resztę robót, które  
mają być wykonane. W ten sposób nie zmarnujemy czasu, a moi  
ludzie będą pracować przez całą dobę. Na dwie zmiany.

– Doceniam to, panie pułkowniku, ale nie chcemy naduży-  
wać waszej pomocy.

– Ależ to żaden kłopot. Wszyscy mechanicy zgłosili się na  
ochotnika.

Indy kiwnął na Cromwella i Francuza.

– Macie przy sobie wykaz?

Cromwell wyciągnął z kieszeni spodni plik złożonych papie-  
rów i dokumentację.

– Jest. – Rozłożył papiery na stole. Tarkiz wcisnął się między  
pozostałych dwóch mężczyzn. – Można, Indy? Dużo się uczę.

– Oczywiście, Tarkiz, jesteś jednym z nas.

– Świetnie. Ja też mam kilka pomysłów. Ale poczekam, aż  
oni skończą.

– Do dzieła, Will. Panie pułkowniku, proszę się do nas do-  
siąść wraz z panem Korwalskim.

Dwie godziny spierali się i planowali, gdyż obaj piloci podsu-  
wali swoje najlepsze pomysły. Ogólnie jednak doszli do porozu-  
mienia co do tego, by przemienić ciężkawy samolot w maszynę  
o wiele lepszych osiągnięciach i możliwościach, które nawet nie posta-  
ły w głowach konstruktorów ford.

– Will, zapomnij o wspinaniu się na wysokość Everestu. Kon-  
struktorzy podają sześć tysięcy dwieście sześćdziesiąt jako pułap  
teoretyczny – rzekł Indy.

– Zgadza się, Indy. Pułap praktyczny zaś to pięć tysięcy dzie-  
więćset – odparł Foulois.

– Jest jakaś różnica? – spytała Gale.

– Kiedy samolot nadal wspina się trzydzieści metrów na mi-  
nutę – wyjaśnił Rene – to jest to pułap praktyczny. Postukał pal-  
cem w szkice silników. – Ze sprężarkami i nowymi śmigłami na-  
sza maszyna osiągnie dziesięć tysięcy albo i więcej. Ale naprawdę  
to nie dowiemy się, dopóki nie spróbujemy.

– I zamierzniemy na coś – podsumował Indy. – Pułkowni-  
ku Henshaw, kilka lat temu przeprowadzano w tej okolicy loty  
wysokościowe. O ile pamiętam, baza mieściła się napewno w Mc-



Cook Field. Nie przekroczono wtedy przypadkiem czterestu tysięcy?

– Pilotem był porucznik John McCready. I istotnie zdarzyło się to kilka ładnych lat temu, dokładnie mówiąc we wrześniu tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego roku. McCready wzniósł się w maszynie typu LePere na wysokość ponad czterestu tysięcy dwustu metrów. Jego sprzęt był eksperymentalny, więc nie ochronił go przed niską temperaturą.

– Jak niską? – zapytała Gale.

– Mniej więcej minus pięćdziesiąt jeden stopni. Wtedy pękł mu termometr – odpowiedział Korwalski.

– Super – mruknęła Gale.

– Wasz samolot zostanie przystosowany do lotów na dużych wysokościach. Poza tym możemy zwiększyć dopływ ciepła z silników, a przecież macie już bezpośredni nawiew gorącego powietrza do kokpitu, nie wspominając o kolektorach w podłodze kabiny.

Henshaw okazał zdziwienie.

– Naprawdę macie zamiar latać tak wysoko?

Indy bawił się ołówkiem.

– Miejmy nadzieję, że uda się tego uniknąć. Ale na wszelki wypadek lepiej mieć taką możliwość.

– Jeżeli się jednak zdecydujecie – powiedział z powątpiewaniem Henshaw – będziecie tam bardzo samotni.

Omawiali wykaz punkt po punkcie. Wymieniono w nim wszelkie dostępne rodzaje przyrządów, w tym najnowocześniejsze nawigacyjne urządzenia żyroskopowe i sztuczny horyzont, pozwalające lecieć nie tylko bezpiecznie, ale i precyzyjnie nawet przez chmury czy burze. Wojskowi pracowali nad zaawansowanym radiokompasem, który potrafiłby namierzyć rozgłośnie radiowe i stacje meteorologiczne odległe o setki kilometrów. Do forda załadowano pakiety pierwszej pomocy, gaśnice, kuchenkę elektryczną, zbiorniki z wodą, iskrowniki i świece oraz inne części zamienne do silników, przewody paliwowe, liny cumownicze i paliki, narzędzia, korbę rozruchową na wypadek, gdyby wysiadł zapłon elektryczny. Zainstalowano także wyrzutnie flar, które można było odpalić z kokpitu lub kabiny.

Cromwell odbył już w życiu loty do różnych odległych miejsc. Teraz należał na zainstalowanie busoli magnetycznej, dającej niezawodne wskazania nawet w przypadku awarii systemu elektrycznego.

– Właśnie dzięki takiej busoli Lindbergh podczas swego samotnego, nieprzerwanego lotu nad Atlantykiem przed trzema laty przetrwał najgorsze chwile – argumentował.

– Powiem jedno – zauważył pułkownik Henshaw, kiedy doszli już do końca listy. – Ta maszyna da wam wszystko, co potrzebne do przeżycia w każdych warunkach.

– Prawie – poprawił go Indy ku zaskoczeniu pozostałych. – W kabinie jest trzynaście foteli. Trzeba wymontować dziewięć, a zamiast nich wstawić kilka łóżek polowych. Ważą mniej niż fotele i zyskamy więcej wolnego miejsca. Dzięki temu zmieści się do kabiny mały generator mieszanki i inny sprzęt.

Korwalski przejrzał wykaz razem z Cromwellem i Rene.

– To chyba wszystko – powiedział, pokazując Henshawowi, że chciałby już wrócić do pracy nad formą.

– Jeszcze jedno – odezwał się niespodziewanie Indy. Wszyscy czekali, aż rozłoży na stole schemat z perspektywnym przekrojem struktury skrzydła. – Tutaj – wskazał na schemat – są luki bagażowe. Znajdują się dokładnie między drugim i trzecim dźwigniem po obu stronach kabiny. Nie przewozimy pasażerów ani bagażu, a te otwierające się do dołu luki wytrzymują obciążenie co najmniej stu osiemdziesięciu kilogramów każdy. – Podniósł wzrok na Cromwella i Rene. – Nadążacie za mną?

Pokiwali głowami.

– To marnotrawstwo wolnej przestrzeni, a mnie potrzebne jest zarówno miejsce, jak i udźwig – kontynuował Indy.

Cromwell spojrzał na Francuza.

– Czy myślisz o tym, co ja?

– Zaczynam rozumieć – rzekł wolno Foulois.

– Ale ja nic nie rozumiem! – Tarkiz Belem spiorunował ich wzrokiem.

– On myśli o zainstalowaniu karabinu maszynowego pod każdym skrzydłem! – wybuchnął Cromwell.

– Karabinu maszynowego? – zawtórowała niczym echo Gale Parker.

– To prawda, co on mówi? – zapytał Indy’ego Tarkiz.

– Jeden w każdym luku bagażowym – potwierdził Indy. – I ruchove stanowisko km-u w kabinie, byśmy mogli je podnosić i obniżać.

– Panie sierżancie – zwrócił się Indy do Korwalskiego. – Czy według pana da się zamontować w tych punktach dwie pięćdziesiątki?

Korwalski przytaknął ruchem głowy.

– Tak jest. Ale nie polecałbym tego.

– Proszę powiedzieć dlaczego.

– Nie chodzi tylko o ich ciężar. Trzeba by było także zamontować amortyzatory drgań przy zachowaniu całkowitej pewności, że nie osłabimy struktury skrzydeł. Strzelanie z czegoś tak ciężkiego w ostrym przechyle to jak walenie młotem w strukturę skrzydła. Bardzo łatwo o uszkodzenia, nie wspominając o ciężarze. Poza tym, o ile się nie mylę, będziecie operować w różnych dziwnych miejscach, gdzie zdobycie amunicji kalibru pięćdziesiąt nie jest łatwe.

– Z pańskiego tonu wnoszę, że ma pan inne rozwiązanie – naciskał Indy.

– Owszem, mam.

– Słuchamy.

Korwalski zwrócił się do Henshawa.

– Potrzebuję pańskiego zezwolenia, panie pułkowniku. Co do tych nowych karabinów. Nadal są utajnione.

Henshaw zagryzł dolną wargę i wymienił spojrzenia z Indianą. Wreszcie wyraził zgodę.

– Ekipa ma poparcie samej góry Departamentu Wojny, sierżancie. Proszę mówić.

– Tak jest. – Korwalski ponownie zwrócił się do Indy'ego. – Opracowaliśmy nowy karabin kalibru trzydzieści. Prędkość wyłotowa pocisków jest w nim mniej więcej dwa razy większa niż w jakimkolwiek karabinie zamontowanym w samolocie. Dzięki temu jego skuteczny zasięg zwiększył się trzykrotnie. Jest lekki i można do niego ładować wszelkie rodzaje pocisków: zapalające, rdzeniowe do przebijania pancerza, a także specjalne, opracowane przez nas pociski z ładunkiem wybuchowym wewnątrz. Poradzą sobie one z każdym problemem, na jaki się możecie natknąć.

Indy poczuł się trochę nieswojo. To nie była jego specjalność. Miał jednak do dyspozycji trzech ludzi, w tym dwóch pilotów, a przy tym ekspertów w dziedzinie karabinów maszynowych.

– Panowie?

Tarkiz zwrócił się do Korwalskiego.

– A jak szybkostrzelność, jeżeli pan łaskaw?

– Tysiąc czterysta pocisków na minutę. A z tym systemem można zabrać duży ciężar.

Tarkiz promieniał.

– Bierz – rzekł do Indy’ego. – O czymś takim można tylko marzyć.

– Will?

– Szkoda, że nie miałem takiego, kiedy brałem się za łby z frycami – brzmiała odpowiedź.

– Rene?

– Z taką bronią – powiedział spokojnie Francuz, – miałbym na koncie dwa albo trzy razy więcej boszów, niż zestrzeliłem.

Indy spojrział na Gale.

– A co ty sądzisz?

– Na jaki temat? – wykrzyknęła. – Zapomniałeś, że znam się jedynie na łuku i strzałach? Ewentualnie jeszcze na kuszach. Profesjonałiści radzą, żebyś się zgodził. Ja nie widzę przeciwwskazań.

Indy roześmiał się i pobierał wszystkie schematy i notatki.

– To by było na tyle, panowie. Pułkownikowi Henshaw, im szybciej prace zostaną zakończone, tym lepiej.

– Tak jest. Jak już mówiłem, moi ludzie będą pracować na dwie zmiany non-stop.

Sierżant Korwalski zawahał się, zanim ponownie zabrał głos, ale nie mógł powstrzymać wątpliwości, które narodziły w jego głowie.

– Może to trochę nie na miejscu, panie pułkowniku, ale czy mogę o coś zapytać?

– Oczywiście, sierżancie.

– Chodzi mi o to wszystko, co robimy z tym samolotem. Przecież budujemy specjalne modele forda przeznaczone do bombardowań.

– Może pan śmiało mówić – rzekł Henshaw. – Projekt XB-906.

– Ale to wszystko znacznie wyprzedza nasze plany – ciągnął Korwalski. – Czy przystępujemy do wojny?

Cisza spowiła grupę niczym mgła. Indy wolno podniósł się z krzesła z poważną miną.

– Niestety – wycedził – odpowiedź brzmi: tak.

## 7.

- Przebierz się.
- Co takiego?
- Prosiłem, żebyś się przebrała – powiedział Indy do Gale Parker. – No wiesz, żebyś włożyła coś innego.
- Gale przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze.
- Czy z moim ubraniem coś nie tak?
- Wyśmienicie się nadaje na polowanie albo górską wspinaczkę – odparł Indy, starając się nie uśmiechać. – Ale nie na kolację.
- Indy, znajdujemy się w hangarze położonym w samym środku bazy wojskowej, gdzie... – Popatrzyła na niego uważnie, przechylając głowę na bok.
- Mój pies robił tak samo – zadrwił. – I też był bardzo ładny.
- Porównujesz mnie do psa?! – krzyknęła. Jej policzki nieznacznie się zaczerwieniły.
- No cóż, on także nie przebierał się do kolacji. Chodziło mi o to, że tak przechyliłaś głowę, jakbyś bardzo uważnie słuchała.
- Indiana Jones postradał zmysły – powiedziała ostro. – Nie będę się przebierać tylko po to, żeby siedzieć w tym hangarze z tą twoją kliką i...
- A czy ja coś mówiłem o kolacji w hangarze?
- Mówiłeś... – zająknęła się, próbując wyczuć jego intencje. Mimo wysiłków nie mogła nic wyczytać, ponieważ przybrał minę pokerzysty. – Powiedziałaś „kolacji”? – dokończyła zdanie. – Indy, czy to jest zaproszenie na randkę?

– Można to tak nazwać. Można też powiedzieć, że to rozkaz, ale owszem – przyznał – to jest randka. Nie w hangarze i bez załogi. Tylko ty i ja w centrum Dayton. Jest tam świetna włoska restauracja. Dokonałem już rezerwacji i za dziesięć minut ruszamy, więc wolałbym, żebyś nie marnowała więcej czasu na słowne gierki.

Chciała odpowiedzieć, ale udało jej się jedynie otworzyć usta.

– A, jeszcze jedno. – Z zanadrza swej skórzanej kurtki wydobyl automatyczną dwudziestkę piątkę, opatuloną w kaburę na pasku. – Włóż długą suknię. A to przymocuj tuż nad kolanem. Zakładam, że w razie konieczności będziesz umiała tego użyć?

Pozbierała się szybko.

– Zastrzelimy coś na kolację? Na przykład dziaką *lasagne*?

– To było niezłe. Powtórzę to szefowi „Del Vecchio”. Jeżeli nie przestaniesz zadawać pytań, moja panno, spóźnimy się. – Ruszył w kierunku drzwi, oglądając się za siebie. – Masz dziesięć minut. – I już go nie było.

Przez dobre pół minuty stała i patrzyła na zamknięte drzwi. Miała w głowie chaos. Indy... zaprosił ją na kolację? Do eleganckiej restauracji? Przetrzęsła swoją szafę. Ja go zamorduję. To ekspedycja, a nie spotkanie towarzyskie, pomyślała. Szybko zdecydowała się na jaskrawą sukienkę, mało nadającą się na strój wieczorowy. Ale jedwabna bluzka i chusta na głowę i... Nie mam szpilek. Buty zamszowe ujdą... Ledwie skończyła się ubierać i właśnie w panice próbowała zrobić coś sensownego z włosami, kiedy usłyszała pukanie do drzwi.

Tylko raz widziała go w czymś innym, niż w tej jego zmaltretowanej skórzanej okryjbidzie i wymiętych spodniach. Rozpoznała zamszową kurtkę, którą włożył na wyjazd do Chicago, ale zaskoczył ją starannie wyprasowanymi, brązowymi spodniami. Pod szyją miał kowbojski „krawat”. Naturalnie, z główką grzechotnika dla szyku, pomyślała sarkastycznie.

Indiana obejrzał ją od stóp do głów.

– Panno Parker, wyglądasz pani wdechowo.

– Wdechowo?

– To komplement.

– Używacie tu dziwnego języka, Indy.

– W porządku – powiedział miło. – Wyglądasz wspaniale. Jak dynamit. Ale chodźmy już. – Odwrócił się na pięcie i ruszył w głąb korytarza, musiała więc podbiec, żeby go dogonić. Przed hanga-

rem stał zaparkowany czarny packard. Indy otworzył przed nią drzwi. Zastanawiała się, czy nie zwariował. Przecież byli równymi sobie partnerami. Odpowiadało jej to, zaś traktowanie jak damę zaproszoną na wieczór towarzyski nieco ją żenowało.

Nie odzywali się do siebie przez kilka minut, póki nie wyjechali na drogę do Dayton.

- Indy?
- Taak?
- Z jakiej to okazji?
- Wyśmienite jedzenie, dobre wino, piękna kobieta. Czego więcej może chcieć mężczyzna?
- Nic się za tym nie kryje?
- Ranisz mnie takimi posądzeniami.
- To naturalna reakcja, czy wyjęta prosto ze scenariusza?
- Czy mogłabyś się wyluzować?
- Postaram się.
- Grzeczna dziewczynka.
- Przechyliła głowę na bok.
- Grzeczny piesek. To ja.
- Wybuchnął śmiechem; nie mogąc się powstrzymać, zawtórowała.

– Indy, kolacja była bajeczna – powiedziała Gale z prawdziwym uczuciem. Pierwszy raz w życiu jadła takie dania: małże gotowane na parze w sosie winnym, sałatka cesarska, bułki upieczone w kuchni, pieczony homar z Maine, a do tego białe wino, którego nie znała z nazwy, ale równało się ze wszystkim, czego próbowała w Anglii i Francji. – Nigdy nie jadłam nic lepszego. Jestem oszołomiona.

- Deser?
- Potrząsnęła głową.
- Dziękuję, nie. Ale z ochotą wypiję cappuccino.
- Odchylił się na oparcie krzesła i wezwał kelnera.
- Dla pani cappuccino, a ja poproszę brandy.
- Kelner powrócił po niecałej minucie, lecz z pustymi rękami.
- Doktorze Jones, kierownik zaprasza państwa na drinka w swoim gabinecie.
- Indy uniósł brew.
- A, mówi pan o Dominiku Carbonim.

- Tak, proszę pana.
- Będzie nam bardzo miło. Proszę nam dać jeszcze dziesięć minut i potem po nas przyjdź.
- Kelner rozpromienił się.
- Tak, proszę pana. – I odszedł.
- Gale pochyliła się w kierunku Jonesa ze zmarszczonymi brwiami.
- Skąd wiedział, kim jesteś? – Zanim zdążył odpowiedzieć, ciągnęła dalej. – Ach, oczywiście. Rezerwacja.
- Przytaknął, ale Gale nadal była zdezorietowana.
- Ale skąd, to znaczy, po co kierownik, ten...
- Carboni.
- Po co mamy iść do jego gabinetu? I skąd wiedział, kim jesteś? Nie chodzi mi o nazwisko, Indy, ale...
- Nie będę owijał w bawełnę, Gale. Wie, kim jesteśmy, ponieważ pisano o nas w dzisiejszych gazetach.
- W dzisiejszych gazetach?
- Jakże tu jest dziwne echo.
- Nic na to nie poradzę. Nie mam pojęcia, co się dzieje.
- Wyszczono artykuł do prasy: profesor Jones i doktor Parker odwiedzają warsztat braci Wright. Prowadzą badania nad początkami awiacji. Oryginalny samolot braci Wright zabrano do Anglii, pamiętasz? Wrightowie nie zgadzali się z amerykańskim rządem i w ten sposób wyrazili swoje niezadowolenie. A my – rozprostował swoją serwetkę – przybyliśmy tu, by zbadać, jak duży wpływ wywarli bracia Wright na projektowanie samolotów w latach, kiedy lotnictwo na Wyspach Brytyjskich dopiero raczkowało.
- A gdzie tu tajemnica?
- Nigdzie, ale taki artykuł doskonale przyciąga uwagę.
- A ten cały Carboni ma coś wspólnego z samolotami?
- Nie wydaje mi się, by jego noga kiedykolwiek postąpiła w jakimkolwiek samolocie.
- Indy, drażnisz się ze mną.
- Niezupełnie. Musiałem zadbać o to, by pewni ludzie dowiedzieli się, iż będę dzisiaj w Dayton. Mogli się łatwo dowiedzieć, że zarezerwowałem tu stolik na kolację.
- Ale po co?
- No cóż, pomyślałem sobie, że dzięki temu napewno mnie znajdą.



- Chciałeś, żeby cię znaleźli?
- Zaczynasz rozumieć.
- Nie powiedziałeś jeszcze, dlaczego.
- Bardzo im na czymś zależy.
- Chyba nie na tej dziwacznej piramidce, co?
- Błyskotliwa dedukcja, panno Parker.
- Ale...

– Nie mówmy już o tym, Gale. Nadchodzi nasz *ciccerone*. – Kelner odsunął krzesło Gale, po czym oboje podążyli za nim przez długi korytarz, aż wreszcie zatrzymali się przed masywnymi drzwiami z drewna. Indy przyjrzał się im skrupulatnie. Wyteżył słuch, kiedy kelner zapukał, z odgłosu wnosząc, że miały one w środku stalową płytę. Upewnił się w swoim przekonaniu, kiedy zobaczył, jaki wysiłek kelner musiał włożyć w ich otwarcie.

Pancerne drzwi.

Dominik Carboni powstał z głębokiej skórzanej sofy, by ich powitać. Drinki czekały na marmurowym stoliku. Gale rozejrzała się po pomieszczeniu.

– Ma pan znakomity gust – zwróciła się do Carboniego.

– Dziękuję. Kupuję jedynie najlepszy towar. Nie ma co oszczędzać na dobrych rzeczach. Nieźle, co?

Prostak w marmurowym pałacu, oceniła błyskawicznie. Nie ma żadnej sprawy do Indy’ego ani i do mnie. Kryje się za nim ktoś ważniejszy.

Pijąc drinki, rozmawiali o niczym.

– Pani pierwszy raz w Dayton, panno Parker? Jak się pani podoba nasze miasto?

– Właściwie go nie obejrzałam – odparowała. Przypomniała sobie streszczony przez Indy’ego artykuł. – Zwiedziłam jedynie warsztat braci Wright, ich tunel aerodynamiczny, i przejrzałam ich notatki. To naprawdę fascynujące.

– Tak. To chyba rzeczywiście interesujące – powiedział Carboni. – Znaczący, jeśli się to lubi. Jeżeli o mnie chodzi, to o każdej porze dnia i nocy wolę nocne kluby. Jeszcze nie widziałem samolotu ładniejszego od dobrej cizi. – Z zadowoleniem uśmieł się z własnego dowcipu.

Zmiana w zachowaniu Indy’ego nie uszła uwagi Gale. Nawet w sposobie, w jaki siedział, zaszła subtelna zmiana. Od dawna była tropicielką i umiała rozpoznać, kiedy ktoś rozluźniony staje się nagle ściśniętą ludzką sprężyną. Indy delikatnie odstawił swój kie-

liszek brandy na marmurowy stolik i ponownie zmienił pozycję w fotelu.

– Kawę na ławę, Carboni.

W tym samym momencie Carboni także jakby zrzucił maskę. Drogi garnitur i umeblowanie nie mogły już ukryć wyzierającego spod nich nieobycia.

– Nie wiedziałem, że ci tak pilno, Jones. – No i proszę. Gale zauważyła to od razu. Już nie profesor ani doktor; po prostu Jones.

– Mój szofer czeka na nas przy tylnym wyjściu – rzekł Indy. – A to nader niecierpliwý człowiek.

Czy Indy kiedykolwiek przestanie ją zaskakiwać? Jaki szofer? Przecież przyjechali tu packardem, którego on sam prowadził. Zmusiła się do zachowania ciszy i obserwowania rozwoju wypadków. Sama zmieniła pozycję na fotelu, by w razie czego szybciej dosięgnąć swojej przypiętej do uda dwudziestki piątki. Wyczuła, że układne gadki właśnie się skończyły.

– Skąd wiesz o tylnym wyjściu, Jones? – Carboni popatrzył na Indy'ego podejrzliwie. – Przecież tu jeszcze nigdy nie byłeś.

– Daruj sobie – warknął Indy i wychylił się do przodu. – Jesteś tylko pionkiem Wielkiego Bossa, kimkolwiek i gdziekolwiek on jest. Co dla mnie masz?

Carboni uśmiechnął się obleśnie.

– Jesteś cholernie miły, wiesz, Jones? Poza tym, jeśli wyjdiesz przez tylne wyjście, nadziejesz się na paru moich zakapiorów, którym może się nie spodobać, że wychodzisz bez mojego zezwolenia.

– Czego chce Wielki Boss? – nastawał Indy.

– A skąd wiesz, że to nie ja jestem Wielkim Bossem? – zardrwił Carboni.

– Popatrz w lustro – zaproponował Indy. – Zobaczysz w nim chłopca na posyłki.

Na twarzy Carboniego pojawiły się wypieki. Zaciśnął pięści i widać było, że walczy z chęcią sięgnięcia po broń. Nawet chłopiec na posyłki może być niebezpieczny, jeżeli jest wielką ropuchą w małym stawie.

Sprawy miały się jednak tak, że choćby Carboni nie wiadomo jak chciał upodobnić Indianę Jonesa do sera szwajcarskiego, nie śmiał nie dostosować się do instrukcji udzielonych mu przez jego zwierzchnika. Indy czekał, aż Carboni zapanuje nad gniewem i urażoną dumą.

– Hej, żartowałem – powiedział szybko Carboni. – Nie ma co wychodzić z nerw.

– Gdybyś żył z żartów, umarłbyś z głodu.

– Nie kapuję – odrzekł Carboni, marszcząc brwi.

– Zapomnij. Skończ wreszcie te gierki. Jaką wiadomość kazano ci przekazać?

Gale była zdumiona. Zdolność Jonesa do przeistaczania się z typowego profesora w kogoś, kto wydawał się żyć w dobrej komitywie z tanimi gangsterami, sprawiała niesamowite wrażenie.

Carboni zapalił papierosa i podążył wzrokiem za wydmuchniętą przez siebie chmurą dymu; zbierał myśli, by wreszcie zdetonować swoją bombę.

– Okrągłutki melon, profesorze.

– Co okrągłutki melon? – drażył Indy.

– Melon baksów. Milion w sałacie. Wiesz, o czym mówię. Milion dolarów – wyrecytował z emfazą.

– To miło – odparł Indy. – Ale za co? Przecież do Gwiazdki daleko.

– Słuchaj no, profesorku, nie wiemy, po co i dlaczego maczałeś palce w tym napadzie na pociąg przedwczorajszej nocy. Wiemy jednak, że jacyś grubsi cwaniacy użyli samolotu do chapnięcia prawdziwego towaru, a nie drobiazgów ze sklepu z pamiątkami, o których trąbiły gazety.

Carboni wziął głęboki wdech.

– Milion zielonych za piramidkę.

– Za jaką piramidkę?

– Nie zgrywaj cwaniaczka, Jones. Wiemy, że ją masz.

– I chcecie dokonać wymiany. Ja dam wam piramidkę, która rzekomo jest w moim posiadaniu, a wy wręczycie mi za nią milion dolarów.

– Gotówką.

– Kiedy?

– Im szybciej tym lepiej, profesorku. Dłużej pożyjesz, jeśli to stanie się szybciej.

– A jeżeli powiem, że jej nie mam?

– Nazwę cię kłamcą.

– I będziesz miał rację – roześmiał się Indy.

Oczy Carboniego zwęziły się.

– Więc jednak masz ją. – Zaczął ciężko oddychać.

Kiedy położą łapy na piramidce, ja i Gale zostaniemy permanentnymi rezydentami głębokich dołów w ziemi, Indy nie miał co do tego wątpliwości.

– Problem w tym, Carboni, że ona nie jest na sprzedaż. Za żadną cenę.

– Tak? Jeszcze zobaczymy. – Carboni wcisnął przycisk na biurku. Boczne drzwi otworzyły się i do pomieszczenia wpadło dwóch uzbrojonych zbirów. – Pilnować go! – rozkazał Carboni. Lufy skierowały się na Indy’ego.

Indy skoncentrował uwagę na swoich paznokciach, pocierając nimi o kurtkę.

– To bardzo głupie – powiedział.

Carboni z niespodziewaną szybkością ruszył ku Gale. Jednym płynnym ruchem złapał ją za włosy i odciągnął głowę do tyłu. Ostrze noża, które przystawił jej do gardła, lśniło w blasku lamp.

– Jeśli nie powiesz, gdzie jest piramidka, ta panienka nie będzie już musiała oddychać przez nos.

Indy podrapał się po brzuchu.

– Nie będę cię zatrzymywał.

Gale oczy wyszły na wierzch i wyraźnie cierpiała z bólu z powodu kąta, pod jakim Carboni wykręcił jej szyję.

– Błefujesz, Jones! – krzyknął dziko Carboni. – Najpierw ona, potem ty!

– Nie zabijesz jej, bo gdybyś to zrobił, rzuciłbym się na was trzech, a że tych dwóch trzyma mnie na muszce, pewnie by mnie rozwalili...

– Gwarantuję ci to, Jones!

– A jeżeli ja zginę, wasz boss nigdy się nie dowie, gdzie jest piramidka, co oznacza, że ty i te twoje draby będziecie następni w kolejce po cementowe buty. Wypchaj się, Carboni. Błagier z ciebie.

– Przysięgam, że wytnę jej serce, Jones!

Indy nieznacznie zmienił pozycję w fotelu. Ponownie podrapał się po brzuchu, by nie było widać, że wciska klamrę od pasa. Sekundę później drzwi wychodzące na zaplecze otworzyły się gwałtownie, jakaś ciemna sylwetka przetoczyła się niczym wielka piłka po podłodze i Tarkiz Belem, nie wstając z kolan, strzelił z zabójczą precyzją. Jego mauzer, wyposażony w tłumik i przerobiony na całkowicie automatyczny, rozpylił dwanaście pocisków ze złowrogim sykiem. Obaj mężczyźni celujący w Indy’ego upadli do tyłu, brocząc krwią.

Carboni miał tylko tę chwilę na zobaczenie początku jatki, kiedy w jego uszach rozległo się donośne „trach!”; równocześnie bicz, który Indy przemycił pod ubraniem, owinał się wokół uzbrojonej ręki Włocha. Indy szarpnął potężnie, łamiąc mu nadgarstek i pociągając głową naprzód w kierunku stolika.

Gale z powrotem opadła na fotel. Na jej szyi widniała wąska czerwona linia. Indy natychmiast znalazł się przy niej.

– To tylko draśnięcie – powiedział niedbale, przykładając w to miejsce chusteczkę. – Nawet nie zostanie blizna na pamiątkę.

– Indy, ja cię... wystawiłeś mnie!

– Prawda – przyznał.

Tarkiz włożył nowy magazynek do mauzera.

– A co z tym tutaj? – wskazał na Carboniego.

– Nie waż się go tknąć! – syknęła Gale. Z kocią zwinnością dopadła Carboniego, odciągnęła jego głowę do tyłu za włosy i kolejnym szybkim ruchem wydobyła swoją dwudziestkę piątkę. Wbiła mu krótką lufę w lewe nozdrze tak głęboko, jak się dało. Oczy Carboniego zaczęły latać jak oszalałe, kiedy zobaczył berettę. Gale z głośnym trzaskiem odciągnęła kurek.

– Jeżeli zakaszlę albo kichnę, twój mózg rozbryźnie się po całym suficie – powiedziała spokojnie. – Czy jest jakkolwiek powód, dla którego miałabym nie pociągnąć za spust?

Carboni zamamrotał.

– Spokojnie, Gale – rzekł cicho Indy. – On jeszcze musi przekazać odpowiedź, zapomniałaś?

Przez kilka bardzo długich sekund nie ruszała się z miejsca, wreszcie spojrzała Carboniemu prosto w oczy.

– Żegnaj – powiedziała miękko, a jej palec ponownie objął spust.

Suchy, metaliczny trzask zmieszał się z gulgoczącym wrzaskiem Carboniego. Gale powoli się podniosła, ocierając lufę broni o jego marynarkę.

– No popatrz – zwróciła się do Indy’ego ze słabym uśmiechem – zapomniałam wprowadzić nabój do komory.

Spojrzała na Carboniego, rozciągniętego bez przytomności na podłodze.

– Co z nim? – spytała.

Indy zaśmiał się.

– Nasz twardeł zemdłał. Chodźmy stąd.

Za chwilę byli już na tylnych siedzeniach packarda, a Tarkiz siedział za kółkiem.

– Wspaniale! – wykrzyknął Kurd. – Jak to dobrze, jak dobrze móc znowu coś robić!

Gale odezwała się do Indy’ego:

– Ty to wszystko zaaranżowałeś, prawda? – Przytaknął. – Ale skąd Tarkiz wiedział, kiedy ma wejść? No i skąd wiedział, że w ogóle ma wejść?

– W klamrę mojego pasa wbudowany jest radionadajnik na baterie. Tarkiz miał słuchawkę nastawioną na tę samą częstotliwość. Kiedy przyciskałem klamrę, on słyszał dźwięki umówionego sygnału i wiedział, że ma wkroczyć uzbrojony jak na niedźwiedzia.

Przyjrzała mu się uważnie.

– Indy?

– Dla ciebie wszystko.

– Byliśmy dzisiaj przynętą, prawda?

Skinął głową.

– Musiałem jakoś zwrócić ich uwagę.

– Ale... dlaczego mnie o niczym nie uprzedziłeś?

– Po co, żebyś się niepokoiła?

Tarkiz wybuchnął śmiechem.

## 8.

– Nigdy jeszcze go takim nie widziałam – zwróciła się Gale do członków ekipy. Cała czwórka siedziała razem przy stole w rogu mesy ukrytej w hangarze. Ani Rene Foulois, ani Gale nie mieli ochoty na jedzenie o tak niehumanitarnej godzinie jak szósta rano. Jednakże dla potężnej postury Tarkiza Belema i korpulentnej sylwetki Willarda Cromwella zegar niewiele znaczył. Dla nich czas posiłku był zawsze wtedy, kiedy mieli przed sobą coś smacznego. Mimo wszystko uważnie słuchali komentarzy pozostałej dwójki, przypatrując się wraz z nimi Indianie, siedzącemu samotnie w przeciwnym kącie jadalni.

– On nic nie je – zauważył Cromwell, połykając spory kęs bekonu. – Wlewa tylko w siebie to koszarne czarne paskudztwo, które wy nazywacie kawą.

– Biedak, to już czwarty kubek – zgodził się Foulois.

– Wydaje się okropnie spięty – rzekł Cromwell, ponawiając atak na swój talerz.

– Co to znaczy „spięty”? – dopytywał się Tarkiz.

– Cóż, z pewnością nie powiedziałabym, że Indiana Jones się denerwuje – Gale skomentowała uwagi pozostałych. – On jest po prostu czymś zaabsorbowany. Coś dużego wisi w powietrzu.

– Wszyscy gadają jak wariaci – burknął Tarkiz z ustami zapchanymi chlebem z masłem i miodem.

– Ślinisz się, brachu – zauważył Cromwell.

– Wiem. Jem jak zgłodniały prosiak. Moje żony często mi to powtarzają. – Tarkiz uśmiechnął się, po czym zwrócił ponownie

do Gale. – Więc ty mi powiedz, kobieto. Co znaczy to „spięty” i co jeszcze mówicie o czymś, co ma na nas spaść.

Jego słowa wywołały uśmiechy.

– „Spięty” oznacza zdenerwowany lub niespokojny, pełen obaw – wyjaśniła Gale.

– Nie mówicie chyba o Indym – zdenerwował się Tarkiz. – Słuchałem pod wieloma dowódcami, kobieto, jak świat długi i szeroki. On jest pewny siebie i tego, co robi. Jest szybki, sprytny. Ma wiele zalet. Ale spięty? – Tarkiz gniewnie potrząsnął głową, pryskając na pozostałych kawałkami jedzenia. – To głupie.

– Zgadzam się z przedmówcą – Gale starała się ułagodzić Kurda, toczącego wokoło wściekłym wzrokiem.

– A co do tego, co wisi w powietrzu – wtrącił Cromwell – wystąpiły już pierwsze oznaki. Wiedziałem, że przez ubiegłą noc czekają nas kłopoty.

– Nie było żadnych kłopotów! – ryknął Tarkiz, uderzając pięścią w stół, aż głośno zabrzęczały stojące na nim talerze, kubki i sztucce. – Nic nie rozumiesz! Nie będzie kłopotów z wczorajszą nocą, bo nikt o tym nigdy nie powie. – Posłał Cromwellowi i Francuzowi paskudny uśmiech. – Myślicie, że ktoś wezwie policję? To ostatnia rzecz, jaka się może zdarzyć!

– Proszę wybaczyć śmiałość, ale w takim razie co za rozróżba odbyła się wczoraj w nocy? W końcu, Tarkiz, wiemy tylko tyle, ile usłyszeliśmy od ciebie i Gale – odparł zgrzyliwie Cromwell.

Gale położyła dłoń na ramieniu Tarkiza. Chciał ją strząsnąć, ale po namyśle postanowił siedzieć spokojnie. Gale zwróciła się do pozostałych dwóch mężczyzn, którzy im się przypatrywali.

– Niech Indy sam wam opowie. Ode mnie możecie usłyszeć jedynie to, że wszystko było zaplanowane do n-tego stopnia. Nadal do was nie dociera? On się wystawił jako tarcza! Równie dobrze mógłby sobie wymalować dziesiątkę na czole...

Przerwała w pół zdania, bo zauważyła, że do stolika Indy’ego przysiadł się mężczyzna w skromnym, szarym garniturze, w meloniku na głowie i z aktówką. Cromwell przysunął się do Francuza:

– Ja nigdy nie zapominam twarzy, Rene. Znam tego gościa.

– Kto to?

– Nie wiem, jak się nazywa. Ale widziałem go już w brytyjskiej służbie cywilnej i... – Cromwell pstryknął palcami. – I w Ministerstwie Lotnictwa. Na Jowisza, jeżeli mnie pamięć nie myli, to ten gość jest szychą wywiadu brytyjskiego.



Rene Foulois uśmiechnął się.

– Zapowiada się interesujący dzień. A oto nadchodzi nasz poczciwy pułkownik Henshaw.

Oficer przystawił sobie krzesło do ich stolika.

– Nie przeszkadzam?

Rene posłał mu uśmiech.

– Nie, nie. Nasz przyjaciel Tarkiz przymierza się właśnie do trzeciego śniadania, to wszystko.

– Przeszedłem powiadomić państwa, że dziś w południe odbędzie się nadzwyczajne zebranie. Mam nadzieję, że wiadomo państwu, iż jesteście tam oczekiwani – wyjaśnił Henshaw.

– Gdzie? Gdzie ma się odbyć to zebranie? – Tarkiz ponownie mówił z wypchanymi jedzeniem ustami.

– Jeżeli zbierzecie się tu państwo wszyscy o wpół do dwunastej, sam was na nie zabiorę. A, byłbym zapomniał, profesor Jones powiedział, że można odbyć próbny lot.

Foulois był zaskoczony.

– Zakończono już wszystkie roboty?

Henshaw zaprzeczył ruchem głowy.

– Jeszcze nie, ale musimy czekać na sprzęt, który dowiozą tu dopiero za kilka godzin. Zabranie samolotu nie zakłóci planu robót, przeciwnie, przydałby się lot sprawdzający. Choćby po to, by wypróbować nowe silniki i śmigła.

Cromwell i Foulois spojrzeli po sobie i jednomyślnie wyrazili zgodę.

– Zabierzesz się z nami, Gale?

– Innym razem. Mam parę rzeczy do zrobienia. Panie pułkowniku, czy mogę do czasu zebrania skorzystać z warsztatu?

– Oczywiście. Potrzebuje pani czegoś konkretnego?

– Szlifierki, polerki, tokarki do metalu. Nic wielkiego.

– Załatwione.

– Dziękuję. Tarkiz, może powinieneś pójść z tymi dwoma do forda. Poczuję się lepiej, szczególnie po wydarzeniach wczorajszej nocy, jeżeli zaczniesz osłaniać kogoś innego.

Tarkiz wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Pewnie, że pójdę! Dobra ze mnie niańka, co?

Poklepała jego dłoń.

– Najlepsza, Tarkiz. Najlepsza. – I znów zwróciła się do Henshawa. – Panie pułkowniku, chciałabym bardzo zacząć niezwłocznie.

– Proszę za mną, panno Parker. Zaprowadzę tam panią osobiście i zapewnię jej wszelką pomoc ze strony załogi.

To się przyda, powiedziała do siebie. Bo po wypadkach wczorajszej nocy i ja chcę mieć kilka niewidzialnych asów w rękawie.

Henshaw zebrał ich wszystkich dokładnie o wpół do dwunastej. Każdy mógł napić się kawy i zjeść kanapkę; następnie pułkownik, który był wyraźnie spięty i wciąż spoglądał na zegarek, kazał im wsiąść do jednego z wielu podobnych do siebie autobusów znajdujących się na lotnisku. Był on już w połowie wypełniony żołnierzami we wszechobecnych kombinezonach roboczych, nie różnili się więc niczym od pozostałych. Ich uwagi nie uszedł fakt, że wszyscy w autobusie mieli u pasa colty automatic kaliber 45. Nikt się do nich nie odzywał, a i oni zachowywali milczenie.

Z rosnącym zaciekawieniem obserwowali, jak autobus przejechał przez obsadzoną strażnikami bramę na teren oznakowany napisami: UWAGA! MAGAZYN PALIW – OSTROŻNIE Z OGNIEM! NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY oraz innymi surowymi zakazami skierowanymi do niepowołanych.

W końcu Gale nie zdołała powstrzymać cisnących się jej na usta pytań.

– Panie pułkowniku, tu wokoło są tysiące litrów paliwa. Dlaczego akurat tutaj jesteśmy?!

– Wkrótce się pani dowie.

Nie wdawał się w szczegóły. Tarkiz, Willard i Rene zareagowali wzruszeniem ramion, jakby chcieli powiedzieć: „Mnie nie pytaj”. Wjechali do jednego z ogromnych hangarów. Wrota zamknęły się za nimi i autobus stanął. Żandarmeria wojskowa z psami obronnymi, uzbrojona w pistolety maszynowe, obstawiła wszystkie wyjścia.

Wysiedli z autobusu i podążyli za Henshawem ku drzwiom strzeżonym przez dwóch żandarmów. Ci sprawdzili jego dokumenty, następnie przyjrzeni się identyfikatorom towarzyszącej mu czwórki i zweryfikowali dane telefonicznie. Jeden z żandarmów odsunął ciężkie, stalowe drzwi.

– Proszę tędy, panie pułkowniku.

Weszli do poczekalni. Otaczały ich gołe ściany z betonu, sufit przyozdabiały nagięte żarówki. Drzwi zamknęły się z jękiem za ich

plecami. Rozległ się brzęczyk i ściana po ich lewej stronie się rozsunęła. Henshaw nakazał im gestem iść za sobą.

– Tędy proszę.

Podażyli za nim na niższy poziom łukowatym korytarzem, prowadzącym do kolejnych drzwi, strzeżonych przez trzech żandarmów z psami. Ponownie sprawdzono ich tożsamość przed przepuszczeniem w dalszą drogę. Za drzwiami znajdował się następny betonowy przedpokój, w którym zatrzymano ich na chwilę. Światelko zarzarzyło się nad stalowymi drzwiami, po czym wolno odsunęły się one na bok, ukazując zdumionej czwórce rozległe pomieszczenie.

– To jest, do cholery, siedziba sztabu – zaklął z cicha Cromwell. – Bywałem w różnych, ale pierwszy raz widzę coś takiego.

– Teraz już mogę wyjaśnić – rzekł Henshaw, prowadząc grupę wzdłuż namalowanej na podłodze żółtej linii. – To jest zebranie Kazetpezet...

– Kazetpezet? – wpadł mu w słowa Cromwell.

– Przepraszam. Zapomniałem, że używamy tu wielu akronimów. To skrót od Komitetu do Zwalczania Przystępczości Zorganizowanej.

Przeszli przez ostatni punkt kontrolny i wartownicy otworzyli stalowe drzwi. Cromwell ponownie przejął kontrolę nad sytuacją.

– Posłuchajcie mnie uważnie, przyjaciele – wyszeptał. – Tylko raz w życiu byłem w czymś, co my nazywamy *inner sanctum*. To centrum dowodzenia większego sztabu i właśnie w czymś takim się znajdujemy. Musi się dzieć coś nader ważkiego, a może nawet złowieszczonego – to lepsze słowo, w każdym razie tyle wam powiem: cokolwiek by to było, siedzimy w tym po pachy.

– Co za osobliwy sposób wyrażania się – mruknęła Gale.

– Ale mimo to ma całkowitą rację – powiedział Foulois z wystudiowanym luzem człowieka, który sprawia wrażenie, że nie przejmuje się otoczeniem, ale naprawdę uwagę ma napiętą jak struna. Wydawało się, że tych dwóch starych wiarusów potrafiło wyczuć nosem zagrożenie. Gale często miewała podobne przeczucia, będąc w lesie czy w górach. Jeżeli Cromwell i Foulois reagowali w ten sposób, to i ona powinna poświęcić całą uwagę tej chwili. Rzuciła okiem na Tarkiza, który napiął mięśnie ramion i poruszał się z kocią miękkością, w razie niebezpieczeństwa gotów natychmiast odskoczyć.

– Tędy – głos Henshawa wytrącił ją z zamyślenia. – Proszę zając miejsca przy tym stole po lewej, tuż za profesorem Jonesem.

Indy zauważył ich wejście, a nawet przyglądał im się uważnie, kiedy szli w jego kierunku. Powitał ich nieznacznym skinieniem

głowy, po czym spotkał się spojrzeniem z Gale. Wyraz jego twarzy się nie zmienił, ale mogłaby przysiąc, że w jego oczach czaiła się jakaś wiadomość. I ten strój! Przywdział swoje „ubranie robocze”, tę skórzaną kurtkę i ten paskudny kapelusz, i ma bicz u pasa. Dlaczego nosi tego webleya tak na wierzchu?

Zajęła miejsce i popatrzyła na ludzi siedzących wraz z Indym wokół okrągłego blatu stołu. Sami mężczyźni, upewniła się. Wszyscy zachowują śmiertelną powagę, a sądząc z ich min, są zdezorientowani, zdenerwowani albo... Trudno wyczuć. Ale wiem przynajmniej, dlaczego Indy celowo założył swój strój. Chce podkreślić kontrast między sobą a całą resztą. Inni poubierali się stosownie do takiej polityczno-dyplomatycznej okazji, w wykrochmalone koszule, krawaty i garnitury za sto lub więcej dolarów. Wszyscy prócz Indy'ego. To wspaniałe posunięcie z jego strony. Bez wypowiedzania jednego słowa pokazał, że żyje i pracuje w innym świecie niż oni.

Poczuła, że Tarkiz szturcha ją w łokieć. Nachyliła się w jego kierunku.

– Kobieto – szepnął jej do ucha – bądź gotowa na... jak wy to nazywacie? Fajerki?

– Fajerwerki – poprawiła.

– Tak, tak. Zdażyłem poznać naszego Indy'ego. On zaraz powie tym ludziom, żeby... jak to się mówi? Żeby usunęli mu się z drogi, poszli sobie i nie zawracali mu głowy. Powie im...

– Wiem, do czego zmierzasz – przerwała mu. – Masz rację, ale na razie z tym poczekajmy. Wygląda na to, że gracze są gotowi do rozdania kart.

– Okay. Jeszcze tylko jedna rzecz. To ważne. – Przynagliła go, by mówił dalej. – Widzisz gościa w okularach? W niebieskim krawacie i zielonej koszuli? Wygląda jak głupi burak? To gruba ryba. Bardzo sprytny, bardzo niebezpieczny. Dowodzi tajną policją Rumunii.

Gale popatrzyła na niewielkie tabliczki z nazwiskami, stojące przed każdym z uczestników zebrania. Tarkiz miał rację. Tabliczka przed „głupim burakiem” głosiła: PYTOR BUZAU, RUMUNIA. Przeczytała tyle nazwisk, ile zdołała dojrzeć, póki pułkownik Henshaw nie położył przed nią wykazu. Kiedy ją mijał, wyszeptał:

– Proszę to szybko przeczytać, a potem położyć na kolanach.

Kiwnęła głową na znak zgody, jednocześnie zastanawiając się, dlaczego Henshaw zachowywał się jak ktoś żywcem wyjęty z książki o szpiegach. O rety! Wszyscy ci ludzie znali tożsamość członków ekipy, a tabliczki miały identyfikować pozostałych! Cóż, pew-

nie był jakiś powód. Zajmie się tym później. Póki co zaczęła przeglądać wykaz.

Wiedziała już, kto kryje się za nazwiskiem Buzau. Cromwell wspomniał poprzednio, że rozpoznał jedną z twarzy; mówił, że należała do kogoś pracującego dla wywiadu brytyjskiego. Teraz poznała nazwisko: Thomas Treadwell. Wprawiło ją w zdumienie, kiedy przeczytała nazwisko Filipa Castilano. Nie tylko znała go z widzenia, ale nawet kilkakrotnie rozmawiali ze sobą na Uniwersytecie Londyńskim i raz lub dwa w Oxfordzie, na temat starożytnych artefaktów. I oto siedział tu jako przedstawiciel Watykanu. Bardzo ciekawe... Co też mogło przekonać włoski rząd, że pozwolił się reprezentować przez Kościół!

Schodziła w dół listy. Erick Svensen ze Szwecji. Sam Chen z Chin. Sam? Hm, najprawdopodobniej kształcił się w Stanach albo w Anglii i rozsądnie zmienił imię na takie, które nikomu nie sprawia trudności w wymowie. Poza tym wystarczająco umniejszało się jego orientalnego pochodzenia i sprawiało, że było go łatwiej, hm, zaakceptować. Całkiem odwrotnie prezentował się majestacyjny, sztywny Yoshiro Matsuda z Japonii, razem ze swoją nieruchomą, wyprostowaną postawą i jedwabnym cylindrem.

Jacques Nungesser z Francji; a, tak, kuzyn ich myśliwskiego asa z czasów wojny. Później zapyta o niego Rene. George Sabbath ze Stanów Zjednoczonych? Ale przecież był tu już Indy. Odłożyła na bok wątpliwości i czytała dalej. Władimir Mikojan z Rosji; Antonio Morillo z Wenezueli; Tandi Raigarh z Indii; Rashid Quahirah z Egiptu.

Na samym końcu listy znajdowało się nazwisko profesora Henry'ego Jonesa... a pod nim nazwa firmy – Global TransAir.

Nie marnowali czasu. Rozległ się brzęczyk i w całym pokoju zaległa cisza. Treadwell pochylił się nad leżącymi przed nim dokumentami i bezzwłocznie przeszedł do rzeczy.

– Panowie, znaleźliście się tu przede wszystkim dlatego, że zasługujecie na zaufanie jako ludzie świadomi, co jest najlepsze dla waszych państw i rządów. Zebraliśmy się tu w jednym wspólnym celu: aby zidentyfikować coś, co może okazać się największym zagrożeniem dla pokoju na świecie, z jakim kiedykolwiek mieliśmy do czynienia. Dowiedzieliście się wystarczająco dużo przed tym zebraniem, by pojąć, że mimo iż nie zidentyfikowaliśmy dotąd naszego przeciwnika, jesteśmy świadomi jego rosnącej

potęgi i zagrożenia, jakie stanowi dla nas wszystkich. Zanim dojdziemy do najbardziej kontrowersyjnej kwestii dotyczącej tego, co chcemy wspólnie pokonać, czyli ustalenia, w jaki sposób możemy stawić czoło pewnym maszynom, które według naszych standardów nauki i techniki nie mogą istnieć – chciałbym wszystkim podziękować za udzielone wsparcie. Nie tylko za wspólne sfinansowanie tej operacji, ale i za wspaniałą współpracę...

Filipo Castilano uniósł się z krzesła. Rozwiała się gdzieś jego łagodność i dobroduszość.

– Panie Treadwell, proszę nam nie mówić tego, co już wiemy. W imieniu wszystkich obecnych przyjmuję do wiadomości, że jesteście wspaniałymi ludźmi. Proszę przejść do sedna sprawy!

Treadwell pozostał niewzruszony.

– Dziękuję, *signor*. Z chęcią to zrobię.

– Bogu dzięki – mruknął jeden z członków ekipy.

– No dobrze. – Nagle Treadwell przestał być nieskazitelnym wzorem dyplomaty. Jego zawodowstwo ujawniło się tak nagle, jak lampa włączona w ciemnym pokoju. Odsunął leżące przed nim papiery.

– Jakaś organizacja przemysłowa, potężna zarówno politycznie i finansowo, jak i w dziedzinie handlu i przemysłu, podjęła najwyraźniej decyzję, że mająca miejsce zaledwie dwanaście lat temu Wielka Wojna była ostrzeżeniem na przyszłość. Najprawdopodobniej hołdują oni przekonaniu, że jedynym sposobem na zapobieżenie kolejnemu globalnemu konfliktowi jest skupienie większości elementów władzy w rękach tylko jednej grupy. Grupa ta stałaby się tak potężna, iż żadne państwo ani nawet koalicja państw nie zdołałaby przeciwstawić się jej naciskom czy bezpośredniemu atakowi.

– Pragnę zauważyć – wpadł mu w słowo Japończyk Matsuda – że pańskie słowa brzmią, jakby pochodziły niemal bezpośrednio z petycji do Ligi Narodów, która, dodam, ma moc bezzębnego tygrysa. Dobrze się prezentuje, lecz nie kąsa.

– Świetnie pan to ujął – odparował Treadwell – z tym, że nawet w najgorszych przypadkach Liga nie uśmiercała ludzi masowo, nie niszczyła statków handlowych i samolotów i nie uciekała się do morderczych środków, by osiągnąć swój cel.

Matsuda skłonił się nieznacznie, przyjmując reprimendę Treadwella i pozwalając Anglikowi kontynuować.

– Członkowie tej grupy, dotychczas anonimowi, wierzą w to, co robią. To czyni ich podwójnie niebezpiecznymi, gdyż są górlcami, wręcz fanatykami.

– Będę absolutnie szczerzy. Wszyscy, a przynajmniej większość z nas, zdajemy sobie sprawę z powstawania nowej potęgi w Niemczech. W kraju tym wybija się nowy militarizm i z początku sądziłszy, że ta grupa, lub jedna z kilku grup, stała za atakami od południowej Afryki po Morze Żółte. Ale tak nie jest. Nawet najwyższe osiągnięcia niemieckiej techniki okazały się bezsilne w konfrontacji z tą organizacją, która kroczy swą niszczycielską i, niestety, pełną sukcesów ścieżką.

– Udało nam się zidentyfikować nazwę, pod jaką działają.

To wystarczyło, by w pomieszczeniu zawrzało jak w ulu. Treadwell stał spokojnie, czekając na ciszę, by podjąć wątek. Gale obserwowała Indy’ego; nic nie uchodziło jego uwagi. Dopiero teraz zauważyła pasek na jego szyi. Oczywiście! Cały ten sprzęt, którym był obwieszony... jakże wspaniale maskował on aparat fotograficzny lejka zwieszający się tuż nad białym. Zauważyła, jak Indy zmienia pozycję na krześle, trzymając rękę w obszernej kieszeni kurtki. A więc to tak! – zrozumiała. Za każdym razem, gdy skierował wzrok na jakąś osobę, wystarczyło tylko nacisnąć ukrytą w kieszeni gruszkę uruchamiającą spust migawki i już miał zdjęcie swego celu. Ani razu nie dotknął aparatu, zwieszającego mu się niedbale na pierś wraz z innym sprzętem. Migawkę zwalniał tylko wtedy, kiedy w pomieszczeniu było wystarczająco głośno, by zagłuszyć metaliczny trzask.

Treadwell kontynuował.

– Są bardzo pewni siebie i sądzą, iż nazwa, którą odkryliśmy, nadana została rozmyślnie w celu przekonania nas, że są potężniejsi niż my wszyscy razem wzięci. To Związek Łączności Ogólnoswiatowej. – Podniósł do góry obie ręce. – Wiem, wiem! Skrót tej nazwy brzmi ZŁO. Najwidoczniej oprócz przeprowadzania zabójczych operacji bawi ich drażnienie się z nami. ZŁO ma swoje biura w kilku krajach. Dostaniecie państwo adresy, numery telefonów i dalekopisów. Oni założyli te biura po to, by ktoś z nas lub z samej organizacji mógł się z nimi skontaktować i poddać ich naskowi.

– Nigdy! – wykrzyknął Buzau.

– Miejmy nadzieję, że ma pan rację – rzekł spokojnie Treadwell. Rumun spojrział na niego groźnie. Treadwell zignorował błyskawice bijące z jego oczu. – Mówiłem, że natychmiast się tym zajmę, i tak zrobię. Stany Zjednoczone zostały wybrane przez nas wszystkich na działającą we wspólnym imieniu siłę przewodnią. Uzgodniliśmy, że nigdy nie ujawnimy, kto naprawdę kieruje na-

szym programem, mimo że zgodziliśmy się dostarczyć tej osobie lub grupie osób broń, ludzi i udzielić wszelkiego wsparcia. Mamy nadzieję, że amerykańska ekipa, której członkowie z oczywistych względów bezpieczeństwa pozostaną anonimowi...

Władimir Mikojan powstał z miejsca.

– Zabrzmiało to tak, jakby pan nie wierzył w naszą lojalność!!

– Znakomicie to ująłeś, Władimir. Powiedz, czy tak całkowicie, ślepo i bezgranicznie ufasz wszystkim tu zgromadzonym, ich kontaktom rządowym, by być pewnym, że żaden z nich nie pójdzie na kompromis?

– No cóż, zawsze istnieje możliwość...

– To mi wystarczy, Władimir – warknął lodowato Treadwell. –

Odpowiedziałeś na moje pytanie.

Mikojan powoli usiadł na krześle, najwyraźniej wyciągając wnioski z tego, że tak łatwo zapędzono go w kozi róg.

– To wszystko, co miałem do powiedzenia – zakończył Treadwell. – Teraz głos zabierze pułkownik Harry Henshaw z armii amerykańskiej. Aby państwo zrozumieli jego sytuację, powiem, że stanowi on swoiste centrum informacyjne tego ośrodka. Nie zna tożsamości ekipy starającej się wytropić członków ZŁA. Pełni jedynie rolę przekaźnika, ale raporty z całego świata przechodzą przez ten ośrodek. Panie pułkowniku, prosimy.

Gale Parker zeszytywniała, a jej nerwy napięły się niczym struny, kiedy Henshaw zaczął relacjonować serię zabójczych ataków na statki morskie, samoloty handlowe i wybrane cele, takie jak banki, galerie i prywatne sejfy. (Oraz pociągi! – uśmiechnęła się do własnych myśli). Co jakiś czas spoglądała na Indy'ego. Zdziwiło ją, że wykazywał kompletny brak zainteresowania raportami Henshawa. Albo czynił tak z rozmysłem, by zmylić pozostałych, albo naprawdę nie obchodziła go ta nawała drobnych szczegółów. Postanowiła, że dowie się później, kiedy będą sam na sam.

– Jako pierwszorzędny przykład tego, z czym mamy do czynienia, ilustrujący niemałą siłę militarną, którą udało się zebrać ZŁU, niech posłuży sprawa „Cesarzowej Kali” – opowiadał Henshaw. Przerwał na moment, gdy siedzący przy stole spojrzeli po sobie zdezorientowani.

– Jeżeli słyszeli państwo, co stało się z „Kali”, zapewniam, że większość doniesień to jedynie spekulacje. W rzeczywistości „Kali” nie była zwyczajnym frachtowcem. Pod względem wyglądu, owszem. Ale nie, jeśli mówimy o osiągnięciach i ładunku. „Kali” wyplę-



nęła z Nacala w Mozambiku z ładunkiem zambijskiego drewna. Port przeznaczenia znajdował się w południowej Francji, skąd drogą lądową drewno powinno dotrzeć do Szwajcarii. Statek miał uszczelniane ładownie; krótko mówiąc, był praktycznie niezatapialny. Na dodatek nieźle go uzbrojono.

Przerwał, pozwalając brwiom słuchaczy unieść się w zdumieniu na tę wiadomość.

– Dwa działa 762 mm na pokładzie, na dziobie i rufie i trzy gniazda ciężkich karabinów maszynowych.

Jones po raz pierwszy zwrócił na siebie uwagę. Nie podniósł ręki, jak to jest w zwyczaju; zamiast tego zastukał kostkami w blat stołu. Głowy obróciły się w jego kierunku. Indy nie spuszczał oczu z Henshawa.

– Dlaczego?

Jego głos rozległ się w pomieszczeniu niczym wystrzał. Na tle całej poprzedzającej gadaniny to krótkie pytanie trafiło w sedno sprawy.

Gale obserwowała Henshawa. On także dobierał słowa dla uzyskania maksymalnego efektu.

– Najwidoczniej ładunek był wiele wart, a przez cały ten zgiełk dotyczący napadów na inne jednostki...

Indy ponownie się wtrącił.

– Jeżeli ładunek zasługiwał na takie ubezpieczenie, to znaczy, że był nadzwyczaj cenny. Jest oczywiste, że nie chodziło tu o drewno. – Stwierdzenie to wywołało uśmiechy. – Zadam następne pytania, panie pułkowniku. Co jeszcze przewoził ten statek? I kto go zaatakował? Nie opowiadałby nam pan o pożalowania godnym losie „Cesarzowej Kali”, gdyby tego statku nie spotkała katastrofa.

– Nie myli się pan – brzmiała odpowiedź. – Jednakże nic nam nie wiadomo na temat niezidentyfikowanego i najprawdopodobniej cennego ładunku, oprócz drewna. Potwierdziliśmy wartość tego czegoś w setkach milionów dolarów. Ładunek został ubezpieczony przez szwajcarskiego przewoźnika we współpracy z londyńskim towarzystwem ubezpieczeń morskich, ale nie ujawnią oni jego charakteru.

Przejdźmy do najistotniejszej sprawy: kto lub co zaatakowało i zniszczyło „Kali”. Nasze informacje uzyskaliśmy od trzech ocalałych z katastrofy ludzi. Dwóch z nich pochodzi z Mozambiku, trzeci jest Portugalczykiem. Mamy jego zeznania, gdyż statkiem, który pospieszył na ratunek, był portugalski niszczyciel. – Hen-

shaw przerwał, stuknął palcem w leżące przed nim na stole notatki, wreszcie kontynuował powoli. – Nie jestem pewien, czy to szacowne grono da wiarę dostarczonemu przez tego świadka opisowi przebiegu wydarzeń.

– Doceniamy pańską troskę – rzekł Tandi Raigarh – ale sugeruję, by zamiast się usprawiedliwiać, podał nam pan dokładne informacje. Wtedy zadecydujemy, czy w nie wierzyć.

Gale zaczęła rozumieć, w jaki sposób Henshaw kierował tymi ludźmi. Zamiast starać się zdobyć ich uznanie wiarygodnością raportów, doprowadził, w czym pomógł mu swym wtrąceniem się Indy, do sytuacji, w której oni sami domagali się od niego wiadomości. Zrobił głęboki wdech i mówił dalej.

– Nasz raport donosi, że nad „Kali” pojawiła się dziwna machina latająca – powiedział, udając zmieszanie.

– Co ma pan na myśli, mówiąc „dziwna”? – nalegał przedstawiciel Egiptu. Rashid Quahirah nie miał cierpliwości do rozwlekłych opowieści. Pasowało to idealnie do planu Henshawa.

– Machina ta przypominała kształtem ogromne ostrze szabli. Świeciła intensywnym blaskiem w słońcu, jej metal silnie odbijał światło. Nie miała silników ani śmigieł, ale wydawała z siebie przerażający dźwięk, który ocaleni nazwali wyciem tysiąca diabłów. Jej szybkość uznano za nadzwyczajną.

– Jeżeli pan łaskaw, to jaka jest ta „szybkość nadzwyczajna”? – odezwał się Sam Chen z Chin.

– Według rozbitka leciała kilka razy szybciej niż jakikolwiek statek powietrzny, jaki w życiu oglądał.

Erick Svensen ze Szwecji zakasłał, by zamaskować swoje rozbawienie.

– I co jeszcze robiła ta niesamowita machina?

– To jest najdziwniejsze w całej historii. Nawiązała łączność radiową z „Kali”. Perfekcyjnie władała ojczyzną mową Mozambiku. Jeden z naszych rozbitków był w pobliżu radiostacji i usłyszał wezwanie radiowe. Statek miał zatrzymać silniki i przenieść tajny ładunek z sejfu na pokład. W przypadku stawiania oporu zagrożono zniszczeniem statku.

Uczestnicy zebrania poczęli szeptać między sobą; Henshaw nie przerywał:

– „Kali” była najwyraźniej przygotowana na ewentualne przeszkody. Z dział i karabinów maszynowych otworzono ogień do szablonkształtnej maszyny latającej, która przyspieszyła z zawrotną

prędkością, przelatując na drugą stronę statku, a kiedy działonowi brali ją na cel, z innego kierunku nadleciała druga machina. Odpaliła ona rakiety w stronę „Kali”.

– Rakiety? – odezwał się jak echo ktoś z obecnych.

– Rakiety – podkreślił Henshaw. – Kiedy osiągnęły one cel i eksplodowały, maszyny wypuściły trujący gaz. Członkowie załogi padali od niego jak muchy. Niektórzy z nich umarli w kilka sekund czy minut.

Antonio Morillo uderzył pięścią w stół.

– To absurd!

– Czy mam mówić dalej? – zapytał łagodnie Henshaw.

– Cisza! Niech dokończy! – krzyknął Treadwell.

– Jedna z maszyn zniszczyła raketami ster, by pozbawić statek możliwości manewrowania. Następnie jeden z szablostatków zwolnił i zawisnął tuż nad pokładem dziobowym. Wysunęła się z niego drabinka, po której zeszły ubrane w srebrne skafandry i kuliste hełmy postacie. Udały się prosto do kajuty kapitana. Dał się słyszeć odgłos wybuchu, najpewniej otworzyły sejf i zabrały to, co się w nim znajdowało. Słyszeliśmy już wiele wersji, od kryształowej czaszki i brylantów po sześcian czy piramidkę pokrytą niezwykłymi znakami. To wszystko pozostaje w sferze domysłów...

– Domysłów? – rzucił George Sabbath. Pozostali popatrzyli na Amerykanina, a ten spojrzał na nich gniewnie. – To jedna wielka bzdura!

– Całkiem możliwe – rzekł Henshaw, zupełnie nieporuszony. – Nawet nie będę próbował wyjaśniać, co stało się potem. Uważam, a państwo sami osądzą, że brała w tym udział także łódź podwodna. Dwie torpedy uderzyły w „Kali” po tym, jak ludzie, czy kimkolwiek byli przybysze w srebrnych skafandrach, wrócili na pokład szablostatkowej maszyny, która przez cały ten czas unosiła się nad pokładem, wyjąc jak tysiąc diabłów. Zamknięto właz, machina szybko przyspieszyła, a statek rozerwały na dwoje eksplozje torped. Trzech ocalałych z wybuchu ludzi trzymało się kurczowo kawałków drewna z transportu, póki nie wyłowiono ich z wody następnego dnia.

Delegat Rumunii, Pytor Buzau, poprosił o głos.

– Wolałbym już uwierzyć w bajki o wampirach z naszych starych zamków niż w to, co słyszę.

– Proszę to powiedzieć rządowi Mozambiku – odparł Henshaw z umiarkowaną niechęcią – który stracił statek wraz z ładunkiem i pięćdziesięcioma ośmioma ludźmi.

Thomas Treadwell powstał, czekając na ciszę.

– Będę się streszczał. Jeden z naszych sześciosilnikowych samolotów komunikacyjnych straciliśmy tuż za naszym progiem. Stało się to na oczach kilkuset ludzi w pobliżu Dover. Rozumiecie państwo? Mamy kilkuset świadków. Ponad samolotem, który udawał się do Francji, świadkowie dostrzegli niesamowitą maszynę, przypominającą kształtem torpedę. Była bardzo wysoko, nie miała silników, leciała z wielką szybkością. Iśniła w słońcu i wydawała odgłos niczym ogromna lampa lutownicza. Wszyscy ci ludzie widzieli, jak od większego statku, według nich mierzącego około pięćset metrów długości, oddzielają się trzy szablonkształtne pojazdy. Potem ze statku macierzystego wyleciała czwarta maszyna. Jak mówią świadkowie, miała kształt spłaszczonej kopuły, z tym że pośrodku była najszersza. Ten ostatni pojazd zrównał się z samolotem i odpalił w jego kadłub trzy pociski wybuchowe. Uszkodzenia okazały na tyle poważne, że piloci musieli lądować awaryjnie na plaży. Ponownie, jak w przypadku „Cesarzowej Kali”, szablonkształtne maszyny zawisła nad wrakiem, wyłoniły się z niej postacie w srebrnych kombinezonach, wypuściły gaz, zabijając wszystkich na pokładzie samolotu, i wyniosły ze środka zabezpieczoną aktówkę. Nie zabrały nic więcej. Wsiadły z powrotem do swej diabelskiej maszyny i pomknęły w niebo, najprawdopodobniej w kierunku statku macierzystego.

Umilkł, zatroskany.

– Jak powiedziałem, mamy na to kilkuset świadków.

Jacques Nungesser z Francji stanął obok Treadwella.

– Potwierdzam wszystko, co państwo właśnie usłyszeli.

– Co było w tej aktówce? – zapytał Yoshiro Matsuda.

– Plany nowego traktatu o wzajemnej pomocy między Wielką Brytanią a Francją, razem z wnikliwą analizą wydajności produkcji zbrojeniowej obu krajów. Oraz – powiedział Treadwell złowieszczu – raporty wywiadu brytyjskiego o potencjałach militarnych wszystkich krajów europejskich.

Obaj mężczyźni zajęli swoje miejsca. Nie można było już dłużej zachować ciszy i zebrani wkrótce zaczęli się nawzajem przekrzykiwać.

## 9.

– Indy, ciągle tylko pakujesz coś do tego samolotu! – Cromwell zaperzył się jeszcze bardziej, widząc pozorną obojętność Indy’ego. – Mówię poważnie. Znacznie przekroczyliśmy dopuszczalny ciężar brutto...

Jones przerwał mu machnięciem ręki.

– Mówiąc po twojemu, Will, to brednie i zawracanie głowy, zwyczajne nudziarstwo. – Gale uśmiechnęła się, za co Indy podziękował jej nieznacznym ukłonem. – Może i nie jestem lotnikiem, ale znam się trochę na matematyce i technice lotu – mówił dalej do Cromwella. – Twoje liczby odpowiadają modelowi komercyjnemu ze specyficznymi ograniczeniami, zgadza się? Oraz silnikom bez dopalaczy i wielkich łopat, tak?

– No, tak, ale...

– Żadnego „ale”, przyjacielu. Wyliczyłem obciążenie jednostkowe powierzchni nośnej, jednostkowe obciążenie mocy, przesunięcie środka ciężkości, wszystkie te detale.

– Widzisz go, wszystkie te detale – poskarżył się Cromwell Francuzowi. Zmierzył Indy’ego spojrzeniem. – Chyba mówiłeś, że nie jesteś lotnikiem.

– Bo nie jestem. Jak dotąd. Ale liczby nie kłamią, Will. Nadal mamy dość mocy i udźwigu, by unieść dodatkową tonę albo półtoniej.

– I będziemy latać jak ranna kaczka! – wykrzyknął Cromwell.

– Ee, przytruwasz.

– Co? Mówisz jak posługaczka z doków.

– Przygotujcie się obaj do lotu – zarządził Indy. – Lecimy na poligon. Chcę przetestować wyposażenie dodatkowe, które zamontowaliśmy na tej maszynie.

Tarkiz przybliżył się z wyrazem zadowolenia na twarzy.

– Będziemy strzelać?

– Będziemy – odparł Indy. – Chcę też przetestować te łączniki kabłąkowe do zbiorników paliwa. Można by podwiesić na nich bomby zamiast zbiorników, prawda?

– Bomby? – jęknął Cromwell, ale opuścił głowę, pokonany. – Tak, tak, można by.

– Czy nie tak właśnie robiłeś, latając na tych rozklekotanych hydroplanach podczas wojny? – drażył Indy.

– To co innego – prychnął Cromwell

– Dlaczego?

– Bo to było podczas wojny, do licha! I podejmowało się ryzyko!

– A myślisz, że my w co się pakujemy? – zapytał spokojnie Indy. – Że to będzie podwieczorek? Może nam się przydać każdy sprzęt, jaki ta maszyna jest w stanie unieść. A tak na marginesie, kiedy tylko nadarzy się okazja, chciałbym, żebyście nauczyli mnie i Gale kierować tym samolotem. Będziemy mogli zluzować ciebie i Rene podczas długich lotów. Wystarczy, że potrafimy utrzymać go na kursie. To chyba nie jest zbyt trudne.

– Bułka z masłem, co? – rzucił sarkastycznie Cromwell.

– To mi się podoba! Ładujmy się. Henshaw zarezerwował poligon specjalnie dla nas.

Weszli na pokład samolotu, na którym wymalowane były teraz nowe znaki i numery. Po wojskowych oznaczeniach nie pozostał nawet ślad. Kadłub przyozdobiono niebiesko-czerwonymi pasami, a pośrodku biegł napis: GLOBAL TRANSAIR.

– Oficjalnie sprawdzamy trasy przelotowe dla naszych samolotów rejsowych.

– A ile ich mamy? – zaśmiał się Foulois.

– Jeden – odparł Indy. – Ruszajmy. Będę stał za waszymi plecami, panowie piloci, i zacznę się uczyć, jak panować nad tym czymś.

– Chcesz zacząć od podstaw, tak?

– Tak – rzekł Indy.

– Dobrze – uśmiechnął się Foulois. – Zacznijmy od przeglądu ogólnego. Nauczysz się, jak wyszukiwać pięknięte nity, wszel-

kie wygięcia i zdeformowania metalu. Chodź z nami, Indy, będziesz się uczył, podczas gdy my odpajkujemy całą listę. Zawsze sprawdzaj poziom paliwa miarką, bo instrumentom takim jak wskaźnik paliwa nie można ufać. To samo dotyczy oleju.

Zaczęli od lewego silnika, oglądając łączniki, koła i opony. Szukali oznak wyciekania płynu hamulcowego.

– Sprawdź, czy łopaty śmigła nie są poszczerbione lub uszkodzone. Aa, uważnie obejrzyj mocowanie śmigła. I kiedy będziemy szli, sprawdź zewnętrzne przewody. Szukaj obluzowań i śladów zużycia. Sprawdź, czy chłodnice oleju nie są zapchane. A tutaj odprowadzamy paliwo z każdego zbiornika, by pozbyć się skroplonej wody.

Kiedy skończyli, Tarkiz wyłonił się z kabiny ze sporą gaśnicą.

– Stanie obok każdego z silników podczas ich uruchamiania – powiedział Cromwell. – Nie zawsze starcza na to czasu, ale kiedy to tylko możliwe, trzymamy się instrukcji. Jeżeli wybuchnie pożar, on go natychmiast ugasi. No dobra, wchodzimy do środka. Chwila. Daleko nie zalecimy, póki nie usuniesz tych klinów spod kół. Tylko nie wchodź w zasięg śmigieł! Gdyby jeden z silników przypadkowo zaskoczył, mogłoby ci odciąć rękę albo przeciąć na pół.

– Taajest – wymamrotał Indy.

Weszli na pokład samolotu. Jones słuchał, jak Foulois odczytuje kolejne pozycje z listy. Przed startem ustawili przyrządy, dostosowując wysokościomierz do wysokości poziomu lotniska. Wymienili porozumiewawcze kiwnięcia głowami. Hamulce zaciągnięte. Przyrządy skontrolowane. Śmigła w porządku.

– Indy, idź i sprawdź, czy drzwi są dobrze zamknięte – dyrygował Foulois.

– Tarkiz je zamknął. Słyszałem...

– Pragniesz czegoś więcej, niż tylko latać, przyjacielu. – Foulois uśmiechnął się. – Chcesz obsługiwać tę maszynę. Sprawdź drzwi.

Indy na chwilę zniknął, po czym wrócił i kiwnął głową.

– Zrobione.

– Czy podczas przeglądu sprawdziłeś zamki na schowkach pod skrzydłami?

– No cóż, nie...

– Wiem. Ja to zrobiłem – skarcił go delikatnie Foulois. – Postępuj dokładnie według instrukcji, a nauczysz się wszystkiego na

pamięć. Teraz rozpoczniemy kołowanie. Zajmę się radiem, Will – rzucił Cromwellowi, by ponownie zwrócić się do Indy’ego: – Zauważ, że podczas kołowania drążek jest cały czas w położeniu wyjściowym. Dzięki temu ogon się nie podnosi i daje to lepszą możliwość manewru na ziemi. Kołując będziemy nadal kontrolować wskaźniki, podczas gdy silniki zaczną się rozgrzewać.

Zatrzymali się w sporej odległości od miejsca startu. Kolejna lista, kolejna litania wykrzykiwanych komend, sprawdzeń, potwierdzeń i powtórnych kontroli. Piloci wydusili z silników pełną moc, że aż ford trząśł się i drżał, jakby miał atak epilepsji.

Cromwell i Foulois, uśmiechając się szeroko, odwrócili się do Indy’ego.

– Zapamiętałeś wszystko?

– Co? Tak, oczywiście! – odparł pośpiesznie.

– Jest takie świetne określenie, przyjacielu – roześmiał się Cromwell. – Zielony jeszcze jesteś. Ale się wyrobisz. Teraz złamiemy zasady. Powinieneś siedzieć w fotelu przypięty pasami, ale że jestem wspaniałym pilotem – wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu – pozwolimy ci tu stać. Trzymaj się mocno foteli i nie dotykaj niczego, co się rusza. Kapujesz?

– Kapuję! – odparł Indy.

– Masz pozwolenie na kołowanie na pas – poinformował Cromwella Foulois.

Brytyjczyk operował silnikiem zewnętrznym, delikatnie muskając hamulce, i ustawił samolot na środkowej linii pasa startowego. Ponownie sprawdził wszystkie przyrządy, ustawił śruby oporowe przepustnic i kiwnął do Rene.

– Gotów?

– Na wszystko – odpowiedział Foulois.

Cromwell wcisnął hamulce i przy akompaniamencie ryku silników powoli przesunął dźwignie przepustnic aż do oporu. Zerknął na wskazania przyrządów, kiwnął sam do siebie głową i zwolnił hamulce. Ford z wyciem pomknął naprzód. Niemal natychmiast ogon uniósł się i Indy miał pełny widok pasa startowego. Cromwell nieznacznie wcisnął prawy pedał orczyka, by nie zwiąło go z kursu, podczas gdy samolot mknął coraz szybciej. Po przejechaniu mniej niż stu trzydziestu metrów przednie koła oderwały się od pasa i Indy rozejrzał się dokoła, chcąc ujrzeć, jak ziemia się od nich oddala.

Nic takiego nie nastąpiło. Ford z wyciem silników i śmigieł pędził nad pasem, niemal dotykając jego betonowej powierzchni



i powoli nabierając prędkości. Uśmiech na twarzy Cromwella powiedział Indy'emu więcej niż słowa. Piloci chcieli mu zrobić niespodziankę. Nie domyślali się, że przeczytał instrukcję pilotażu tego samolotu i wiedział, że nawet przy pełnym obciążeniu latał on i nabierał wysokości bardzo sprawnie, nawet przy tak niskiej prędkości jak sto trzydzieści kilometrów na godzinę. Strzałka na prędkościomierzu przekroczyła sto sześćdziesiąt i szła dalej, podczas gdy koniec pasa szybko zbliżał się do nich.

– No i hyc do góry! – wykrzyknął Cromwell, podciągając drążek gwałtownie do siebie. Indy przygotował się na to, ale i tak spotkało go miłe zaskoczenie, gdy „staruszek” trójśilnikowiec dał dzikiego nura w niebo, a następnie wydawało się, że zawisł pionowo, kiedy Cromwell wprowadził go w stromy zakręt. Wszyscy trzej śmiali się i klaskali; Indy zerknął do kabiny, gdzie siedziała uradowana Gale i pozieleniały na twarzy Tarkiz, którego żołądek rozpaczliwie starał się zatrzymać swoją zawartość.

Nauczę się samodzielnie pilotować tę maszynkę, obiecał sobie Indy.

Nie mieli czasu na nic spoza rozkładu. Kiedy znaleźli się już w zastrzeżonej przestrzeni powietrznej zarezerwowanej tylko dla nich, Tarkiz niepewnym krokiem podszedł do okrągłego pojemnika na tyłach kabiny. Otworzył i zabezpieczył luk w dachu kadłuba, następnie kręcąc korbą podniósł stanowisko karabinu maszynowego na zewnątrz samolotu, tak że znalazło się ono w strumieniu powietrza. Oparta o burtę kadłuba, leżała wyprofilowana szyba kuloodporna. Tarkiz zamontował ją na stanowisku metalowymi uchwytami; teraz miał tarczę zasłaniającą go od pędu powietrza. Odblokował bezpiecznik karabinu, załadował okrągły magazynek mieszczący dwieście sztuk amunicji i wykrzyknął na całe gardło:

– Dajcie mi coś zabić! To uzdrowi mój żołądek!

Gale podeszła do niego, pociągnęła za rękaw i podała mu skórzany hełmofon podłączony do telefonu pokładowego.

– Na razie czekaj i podziwiaj widoki, staruszkule – poinstruował go Cromwell. – Będziesz miał szansę pobawić się swoją nową zabawką.

– Pospiesz się – odburknął Tarkiz.

Foulois wskazał ich cel, kilka tysięcy akrów rozległej równiny. Na ziemi namalowany był olbrzymi okrąg, a w jego środku znajdowało się niewielkie skupisko budynków.

– Oto nasz cel – obwieścił Indy. – Zobaczmy, jak sobie z nim poradzicie.

Cromwell bez chwili wahania podciągnął dźwignię, wdeptał lewy pedał orczyka i przesunął dźwignie przepustnic do oporu, wprowadzając forda w stromą beczkę. Trójsilnikowiec poderwał się w górę i wszedł w zakręt, by pomknąć w dół niczym po zakrzywionej zjeżdżalni, a w następnej chwili wskazówka prędkościomierza minęła 240 km/h na podziałce. Pędzili ku ziemi z zapierającą dech prędkością i pod przerażającym kątem. Cromwell zachowywał się niczym szalenię. Indy, podczas manewru rzucony o ścianę, dopiero teraz dostrzegł na wiatrochronie coś, co uszło jego uwagi; pionową linię celownika, w środku której znajdował się krzyż nitek.

– Do diabła, Will! – krzyknął Foulois. – Jaki jest *redline* dla tej maszyny?

*Redline, redline*, myślał gorączkowo Indy. Oczywiście, tak nazywają prędkość, której nie wolno przekraczać. Chyba jakieś dwieście dwadzieścia albo coś koło tego. Ale my przekroczyliśmy już dwieście pięćdziesiąt i...

– Nie wiem i gównu mnie to obchodzi! – odkrzyknął Cromwell do Francuza. – Wiesz, że nic go nie ruszy. Zamknij się, u diabła, i zajmij się systemami! Karabiny gotowe?

– Gotowe!

– Zbiorniki gotowe?

– Gotowe!

– Co wy, do licha, chcecie zrobić?! – wrzasnął Indy. – Zrzucić zbiorniki?

Cromwell przelotnie obejrzał się na niego.

– Juhuuu! – wydał z siebie okrzyk wojenny Brytyjczyków. Podniósł nieznacznie nos forda, nacisnął lekko prawy pedał orczyka, by naprowadzić celownik na cel, i zaraz potem wcisnął przycisk na dźwignię. Samolot zatrzęsł się i zawibrował od nosa po ogon od ryku karabinów zamontowanych w obu skrzydłach. Na ziemi podniosły się fontanny kurzu, a gdy Cromwell trafił w sam środek budynków, posypały się drzazgi i połamane deski. Wyszedł z nurkowania niebezpiecznie blisko ziemi i nie wytracając prędkości zawiesił forda na końcu skrzydła w hałaśliwym pionowym skręcie.

– Tarkiz! Twoja kolej! Rozwal centralny budynek!

Do ich uszu doszły urywane serie karabinowe, a powiew przyniósł do ich nozdrzy gryzący zapach prochu. Ponad świst wiatru,

wycie śmigieł i silników oraz terkot karabinu wybił się okropny, ściskający w gardle odgłos.

– Co się dzieje tam z tyłu? – zawołał Cromwell do Gale.

Nie mogła odpowiedzieć. Wyglądało na to, że się dusi. Indy pospieszył na tył, chwiejnym krokiem pokonując kabinę przy akompaniamencie wystrzałów i ogólnego harmidru. Gale przyciągnęła go do siebie i krzyknęła prosto w ucho:

– To nasz bohater! Tarkiz! Wymiotuje tam!

Pokładała się ze śmiechu. Poddając się emocjom chwili, objęła Indy'ego mocno w pasie. Ich oczy spotkały się. Przez chwilę zdawało im się, że są na szczycie góry. Gale chwyciła Indy'ego za głowę i pocałowała siarczyście.

Był zaskoczony. Nadal nie wypuszczał jej z objęć, wytrzeszczając oczy.

– Jest wspaniale! – krzyknęła. – Chodźmy na przód zobaczyć, jak spisał się Tarkiz!

Wspierając się ramionami, dotarli do kokpitu. Foulois wskazał centralny budynek.

– Znakomity z niego strzelec – zauważył spokojnie, jakby popijał teraz herbatkę siedząc na werandzie. – Wy w Ameryce pewnie nazwalibyście go Sokole Oko. Naprawdę jest bardzo dobry.

– Rene, zrzucam te zbiorniki na budynki – obwieścił Cromwell zajmującemu prawy fotel Francuzowi. – Zaraz potem stery będą twoje. Wejdz w zakręt bojowy i postaraj się posłać rakiety tam, gdzie będzie z nich najwięcej pożytku!

– Zrozumiano, jasne, czółko! – Foulois naśladował swego kolegę. – Proszę bardzo.

Ford zawrócił wytracając szybkość; teraz liczyły się jedynie kontrola i precyzja. Cromwell prowadził trójsilnikowiec prosto i dokładnie, podczas gdy Foulois położył dłoń na dźwigni zwalniania zbiorników.

– Na mój znak! – krzyknął Cromwell. Chwilę później wykrzyknął: – Trzy! Dwa! Jeden! Teraz!

Poczuli wstrząs, kiedy zbiorniki zostały odrzucone przez potężne sprężyny. Cromwell podniósł forda w stromym locie z przechyłem na lewe skrzydło, dzięki czemu widzieli, jak oba zbiorniki koziołkują w powietrzu prosto na dachy budynków. Roztrzaskały się wzbijając białe tumany.

– Bomby w celu! – pogratulował Indy.

– Jest twój – odezwał się Cromwell do Rene, podnosząc obie ręce do góry i klaszcząc w nie w tradycyjnym geście przekazania sterów. Samolot nawet nie drgnął, gdy Foulois przejął drążek. Obniżył nos, zakręcił szerokim łukiem i wprowadził maszynę w płytki lot nurkowy.

– Chcę mieć dwieście – obwieścił Cromwellowi. – Podawaj na głos prędkość.

– Dwieście dwadzieścia pięć i spada, dwieście dziesięć i jest, dwieście na nosie.

Rene dotknął przepustnic tak lekko, jak gdyby głaskała kobiecą dłoń, i wskazówka prędkościomierza zatrzymała się na 200.

Głos Francuza brzmiał spokojnie, jakby dyskutował o meczu piłkarskim albo zamawiał drinka w paryskim klubie.

– Potwierdź otwarcie wyrzutni rakiet.

Cromwell popatrzył na skrzydła; panele były odsunięte.

– Wyrzutnie rakiet otwarte, zapalniki elektryczne uzbrojone.

– Bardzo dobrze. Dziękuję.

Indy szturchnął Gale.

– On to ma dopiero zimną krew!

Gale czuła się zbyt podekscytowana, by cokolwiek mówić. Przytuliła się do ramienia Jonesa, zaabsorbowana chwilą.

– Już niedługo i... ognia – powiedział opanowanym głosem Foulois i nacisnął przycisk. Dwie rakiety z ich wyrzutni, plując ogniem i dymem, pomknęły w kierunku budynków, wijąc się niczym kijanki. W górę wzbity się fontanny płomieni, a potem opary benzyny buchnęły ogromną kulą ognia. Była to jedna wielka, wrząca masa ognia i dymu.

Foulois dał pełną moc i postawił samolot na prawym skrzydle, uciekając w górę przed rosnącą pożogą. W bezpiecznej odległości skrzył z powrotem w lewo.

– Moje gratulacje – powiedział Indy, klepiąc go po ramieniu. Budynki zostały zrównane z ziemią i trawił je ogień.

– To by było na tyle – dodał.

Cromwell zerknął na Rene.

– Wejdz na tysiąc czterysta. Koniec przerwy, czas na lekcję.

Foulois wyrównał na wysokości tysiąca czterystu metrów i ustalił prędkość przelotową. Za ich plecami Tarkiz opuścił stanowisko karabinu i zamknął luk, redukując tym wycie wiatru i ryk silników z zewnątrz. Cromwell dźwignął się z lewego fotela.

– Kto pierwszy? – zwrócił się do Gale i Indy'ego.

– Panie mają pierwszeństwo – odrzekł Indy. – Ja będę obserwował, a potem sam spróbuję.

Gale zasiadła w lewym fotelu, zapięła pas i delikatnie położyła palce na drążku.

– Wystarczy, że utrzymasz obecny kurs – powiedział łagodnie Rene. – Możesz kierować się tą drogą przed nami. Jeżeli wybierzesz jakiś punkt na horyzoncie, po prostu kieruj się na niego. Delikatnie poruszaj przyrządami sterowniczymi. I o nic się nie martw, będę nad wszystkim czuwał. Jestem pewien, że świetnie sobie poradzisz.

Gale nie wyrzekła ani słowa. Foulois podniósł obie ręce w umownym geście.

– Jest twój – powiedział do Gale.

Wszyscy spodziewali się zarzucania, podnoszenia i opadania nosa, zniesienia na prawo lub lewo. Nic takiego się nie stało. Indy z rosnącym niedowierzaniem patrzył, jak ford leci równo niby po szynach. Cromwell i Foulois wymienili porozumiewawcze spojżenia.

– A niech mnie kule biją – oznajmił w końcu Cromwell. – Ona się na tym zna!

Indy pochylił się do przodu, śledząc każdy ruch Gale. Jego twarz wyrażała niedowierzanie i niemały podziw dla kobiety, której rude włosy rozwiwał wiatr wdzierający się przez boczne okienko. Wreszcie dotknął jej ramienia.

– Ty naprawdę potrafisz pilotować – pochwalił ją oszczędnie. – Dlaczego, do pioruna, nic mi nie powiedziałaś?

Obejrzała się na niego; jej oczy błyszczały, cieszyło ją jego zaskoczenie.

– Nikt mnie nie pytał – odparła.

Cromwell wcisnął się obok Indy'ego, by także móc porozmawiać z Gale.

– Nie jest pani nowicjuską, panno Parker.

– Dziękuję – odrzekła, irytując tym jeszcze bardziej trzech mężczyzn.

– Kiedy? – warknął Cromwell. – Kiedy się nauczyłaś?

– Kiedy miałam dwanaście lat, spędziłam lato u kuzynostwa w Niemczech. Wszyscy mieli fioła na punkcie szybownictwa, a ja do nich dołączyłam. Przez trzy miesiące prawie codziennie latałam szybowcem.

– Latałaś samotnie? – zapytał Foulois.

- W drugim tygodniu – odpowiedziała z poważną miną.
- A potem? – poganiał Cromwell.
- Szkocja. Znowu szybowce, potem stary samolot treningowy. Moja matka miała pieniądze i spędziłam kolejne lato w szkole pilotażu.
- Zapewne także odbywałaś samodzielne loty maszynami silnikowymi? – zapytał Cromwell.
- Owszem.
- Więc proszę nie owijać w bawełnę, panno Parker! Ma pani licencję?
- Ponownie obdarzyła ich lisim uśmiechem.
- Na jednosilnikowe, wielosilnikowe i mogę latać zawodowo na liniach lotniczych.
- Niech mnie kule biją – rzekł Cromwell cicho.
- Indy, chciałbyś spróbować? – Gale zwróciła się do stojącego za nią, zmieszanego Janesa.
- Odlóżmy to do jutra – wpadł jej w słowa Foulois. – Widzę lotnisko. Nie pozostało nam wiele czasu. W porządku, Gale, przejmę stery.
- Gale nie wypuściła drążka z lewej dłoni, przywiodła ku sobie dźwignie przepustnic i przeszła na niżanie.
- Po co? – spytała.
- No, to oczywiste, to znaczy, no... – zająknął się.
- Czy mógłbyś zająć się radiem? – poprosiła słodko.
- Indy poczuł niemalże chmurę burzową nad swoją głową.
- Pewnie, zajmij się radiem, Rene – wycedził. Nie mieściło mu się to w głowie. Ona zamierzała sprowadzić ich na ziemię, pierwszy raz siedząc za sterami!
- Gale idealnie posadziła fordę na trzy punkty. Wykołowała z pasa na długą drogę, prowadzącą do ich hangaru.
- Czy mógłbyś przejąć stery? – poprosiła Francuza, podnosząc się z fotela.
- Ach, tak, oczywiście. Dziękuję – odrzekł, czując się jak idiota.
- Przecisnęła się obok Indy’ego, dość blisko, by musnąć ustami jego usta.
- Przepuść mnie, Indy. Muszę poprawić włosy.

## 10.

Jones stanął przed drzwiami pokoju Cromwella. Uniósł pięść, zawahał się, po czym walnął nią w drzwi. Usłyszał zaskoczone: „Dobry Boże! Atakują nas szkopy?”, co świadczyło o wyrwaniu delikwenta z głębokiego snu. W następnej chwili w pokoju rozległ się łomot – to Will, wstając z łóżka, przewrócił się o własne buty. Indy pchnął drzwi i ujrzał Cromwella z twarzą wciśniętą w podłogę. Złapał go za ramię i postawił na równe nogi.

– Wiesz, która godzina, Will? Zapomniałeś, co mieliśmy robić z samego rana? Czy samolot gotowy? – zarzucił gradem pytań skonfundowanego pilota, który nadal starał się zetrzeć z oczu resztki snu.

– Nie. Która godzina? – wymamrotał.

– Już wpół do szóstej!

– Wpół do szóstej? Dlaczego nie śpisz o tak nieludzkiej porze?

– Miałeś mnie dziś nauczyć pilotować, ty gnido! Obudź się!

– Staram się, staram. Może to tylko zły sen. A kysz, Indy.

Jones usiłował tchnąć życie w oklapnięte ciało.

– Ma pan dziesięć minut, brygadierze. Do zobaczenia w mesie.

Następnie wmaszerował do mesy, nalał sobie kubek parującej kawy i opadł na krzesło przy stole.

Foulois popatrzył na niego uważnie.

– Ktoś ci wsadził rozżarzone węgle w miejsce oczu, Indy.

– Wertowałem książki przez większość nocy – mruknął, upijając trochę kawy.

– Nie możesz się doczekać złapania za stery, co?

– A co w tym złęgo? – postawił się Indy.

– Nic nie powiedziałem. Podziwiam twój zapał. A gdzie nasz wyspiarz?

Cromwell wtoczył się ociężale do pomieszczenia, pokiwał się przed dzbankiem z kawą, napełnił kubek i powlókł się do stołu. Klapnął na krzesło.

– Wypróbowałem pański gwarantowany, niezawodny, w stu procentach skuteczny sposób budzenia, profesorze Jones.

– Chętnie usłyszę, jaki to sposób – rzekł Foulois.

Cromwell spojrzął na Francuza.

– On powiedział – zagał, pokazując palcem Indianę – że aby się obudzić, trzeba stanąć nago w misie i wylać sobie gorącą kawę na głowę. Wypróbowałem to. Poparzyłem sobie głowę, klatkę piersiową, i ani kropla nie dotarła do stóp. Jedyne problem to fakt, że jest to dość bolesne, a zupełnie nieskuteczne. Musiałem tylko pionem lecieć pod zimny prysznic.

Indy mrugnął do Rene.

– Widzisz? Działa. – I znów zwrócił się do Cromwella. – Wypij kawę. Zjedz coś, jeśli możesz. Potem polecimy.

– Muszę cię rozczarować. – Foulois wykonał gest bezradności. – Nie dzisiaj, *mon ami*. Wyglądałeś na świat?

Indy poczłapał do hangaru i ruszył w kierunku okna. Zanim do niego podszedł, już zrozumiał złe wiadomości. Szumiący pomruk, nagły rozbłysk błyskawicy i ogłuszający trzask gromu. Stał w oknie i obserwował przypominającą letni monsun ulewę.

Powlókł się z powrotem do mesy.

– No dobra – zwrócił się ponuro do Cromwella. – W takim razie szkolenie naziemne.

– Beze mnie, koleś – ostudził go Cromwell. – Mam zobowiązania co do naszego stalowego ptaka. Ale najpierw prześpię się jeszcze trochę. Potem uzupełnię brakujący sprzęt, który powinien być znaleźć się na naszej liście.

– Na przykład?

– Na przykład spadochrony – odparł Cromwell.

– Kamizelki ratunkowe – dodał Foulois.

– Żelazne porcje – dorzucił Cromwell. – Nieważne. My się tym zajmujemy. Z pewnością panna Parker, teraz zdemaskowana jako nasz



tajny as przestworzy, zaznajomi cię z podstawami powietrznej żeglugi.

Pułkownik Henshaw dołączył do nich w środku rozmowy. Obejmował kubek z kawą, by ogrzać dłonie.

– Na dziś szkółka odwołana, Indy.

– Szkółka! Tak nazywacie naukę pilotażu?

– Każdy ptak musi kiedyś zostać wyrzucony z gniazda, profesorze – uśmiechnął się Cromwell.

– Wszyscy przez to przeszliśmy, Indy. – Henshaw starał się najwyraźniej ugłaskać naburmuszonego Jonesa. – A przynajmniej ja, kiedy byłem kadetem.

Indy spojrział z niechęcią na pozostałych.

– Czy tu wszyscy są pilotami prócz mnie?

Siedzący przy sąsiednim stole Tarkiz uniósł głowę; dotychczas wydawało się, że śpi jak suseł.

– Indy, mój przyjacielu! My dwaj jesteśmy tutaj jedynymi normalnymi ludźmi. Latanie pozostawiamy ptakom i wariatom. To rozsądne, nie? Gdyby Allah chciał, abyśmy latali, dostalibyśmy z nieba bilety lotnicze.

Foulois popatrzył na Belema z zaskoczeniem i szacunkiem.

– A ja sądziłem, że nasz waligóra to pozbawiony poczucia humoru gbur.

Jones uspokoił wszystkich gestem.

– Co się dzieje, Harry?

– Zaszifrowana wiadomość.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Zaszifrowana wiadomość i niespodziewane pojawienie się Henshawa oznaczały, że stało się coś poważnego.

– Wstęp to meldunek o nieokreślonym jeszcze działaniu – ciągnął Henshaw. – Najprawdopodobniej chodzi o podróż. To tylko po to, żeby utrzymać nas, to jest was, w gotowości.

– I?

– Pracujemy nad odszyfrowaniem całego przekazu. Dopijcie kawę. Mamy co najmniej dwadzieścia minut.

– Kto go przysłał, Harry?

– Najpierw musisz mi podać swój kryptonim.

Wszystkie spojrzenia skupiły się na Henshawie, a następnie powędrowały na Jonesa.

– Bez obrazu – dodał szybko Henshaw. – Ale sam ustaliłeś te reguły.

Indy uśmiechnął się.

– Bardzo dobrze, Harry. – Ustanowił ten system z Treadwellem. Napisał zaszyfrowany kryptonim na skrawku papieru i podał pułkownikowi. Ten odczytał: „Samotny Jeździec”.

– Dziękuję.

Dwadzieścia minut później znajdowali się w centrali informacyjnej. Sierżant wręczył rozkodowaną wiadomość Henshawowi, który rzucił okiem na nazwisko u góry strony, po czym przekazał papier Indy’emu.

MUSIMY SIĘ JAK NAJSZYBCIEJ SPOTKAĆ. SPOTKANIE W CZTERY OCZY NIEODZOWNE. PANARABSKI INSTYTUT ARCHEOLOGICZNY JORDANII ZŁOŻYŁ NAM OFERTĘ SPRZEDAŻY WYBITNIE RZADKIEGO ARTEFAKTU. WEDŁUG OPISU TO SZEŚCIAN, POCHODZENIE METALU NIEZNANE, NIEROZSZYFROWANE PISMO KLINOWE, OSIEM NA OSIEM CM. WYMAGANA TWOJA EKSPERTYZA. PRZYSZŁE DZIAŁANIA WYMAGAJĄ TWOJEJ OBECNOŚCI, NIM ODPOWIEMY. DORADZAM JAK NAJSZYBSZĄ PODRÓŻ. ŚW. JÓZEF.

Indy oddał kartkę Henshawowi. Ten przeczytał ją szybko, po czym z zakłopotaniem podniósł wzrok.

– Święty Józef?

– Święty Józef z Copertino; mnich, który potrafił lewitować. Taki kryptonim przybrał Castilano.

– On jest jednym z nas? – Henshaw otworzył szeroko oczy.

– Jasne. Harry, potrzebują mnie tam. Wezmę Gale jako dodatkową parę oczu i Tarkiza w charakterze wsparcia. Jak długo potrwa, zanim ford doleci do Nowego Yorku? To chyba najszybszy sposób.

– Nic z tego, Indy. Nawet ptaki chodzą czasem na piechotę. Ten paskudny front pogody rozsiadł się tu na dobre. Mogę ci zarezerwować dwa przedziały na Silver Streak Special. To najszybszy pociąg w kraju. Odjeżdża dziś po południu i będzie jutro rano w Nowym Jorku. Mogę wam także załatwić prywatny transport. Za godzinę poznam wszystkie szczegóły.

Indy skinął głową.

– Dzięki. Do dzieła.

- Ty – wycedził Indy przez zaciśnięte zęby – śpisz ze mną.
- Gale odpowiedziała żartem.
- Mam to traktować jako rozkaz czy zaproszenie?
- Wiesz, o co mi chodzi – odwarknął Indy. – Nie chcę, żebyś spała sama.
- Tyle to zrozumiałam. Ale wydaje mi się, że twoje metody tracą epoką kamienia łupanego.
- Niech to diabli, kobieto, nie proszę cię o przespanie się ze mną!

Gale uważnie obejrzała paznokcie.

- Prawie mnie nabrałeś.
- I mnie też – mruknął Tarkiz. – To brzmiało jak zaproszenie do...
- Zamknij się – burknął Indy, dźgając palcem w kierunku Tarkiza. Zwrócił się z powrotem do Gale: – Nie możesz spać sama w przedziale. Jeżeli chcesz, potraktuj to jako rozkaz. Ty prześpisz się w jednym łóżku, a ja w drugim. Mamy bezpośrednie połączenie telefoniczne z sąsiednim przedziałem E, gdzie będzie spał Tarkiz. Wszyscy pozostaniemy cały czas w kontakcie. Czy wyrażam się dość jasno?

– Zawiodłam się na panu, profesorze – powiedziała frywolnie Gale. – Ale owszem, wyczuwam, o co biega.

– Poczekamy na korytarzu, a ty zrobisz to, co zawsze, gdy przygotowujesz się do snu – rzekł Indy. – Kiedy skończysz, otwórz drzwi. Jeżeli nie otworzysz za pięć minut, wyłamiemy je.

Popatrzyła na niego i w jednej chwili spoważniała.

– Ty się naprawdę przejmujesz – powiedziała miękko.

Przytaknął. Umiała już czytać ze znaków na jego twarzy, lekkiego zmarszczenia czoła, podwyższonego napięcia.

To coś więcej niż szósty zmysł... o Boże, on wie, że jesteśmy narażeni na atak. Przeczuwa, że dziś w nocy stanie się coś niedobrego, pomyślała.

– W porządku – odpowiedziała spokojnie. – Niech będzie. Nie muszę być sama w przedziale. – Błyskawicznie wyciągnęła wniosek. – Mogę spać w ubraniu.

Indy'emu najwyraźniej ulżyło.

– Doskonale. Jesteś gotów, Tarkiz?

Kurd potwierdził skinieniem głowy. Zaczekał, aż Indy i Gale zamkną swój przedział, i zamienił wiszącą na drzwiach tabliczkę z ich nazwiskami na własną. Wślizgnąwszy się do sąsiedniego przedziału, wypróbował połączenie telefoniczne, by mieć pewność, że

funkcjonuje. Następnie przywiązał do klamki sznurek, na którego końcu wisiał niewielki dzwoneczek modlitewny. Jego dźwięk był ledwo słyszalny, ale kogoś, kto przez całe życie modlił się przy wtórze takiego pobrzękiwania, zaalarmuje on o każdym poruszeniu się klamki. Uśmiechnął się.

Krótko po trzeciej nad ranem usłyszał szept swego dzwoneczka. Natychmiast stanął po jednej stronie drzwi, tuż przed tym, jak cichutko się otworzyły. W mroku rozróżnił dwie postacie. W chwili, gdy zamknęły się za nimi drzwi, Tarkiz zarzucił na ich ciała sieć z powplatanymi haczykami. Kiedy szarpnął siecią, ostrza wbiły się w ciało, wywołując okrzyki bólu. Tarkiz złapał giętki, metalowy pręt, i opuścił go w dół ze straszliwą siłą. Na chwilę odwrócił się, by otworzyć okno.

Ponad wrzaskami i przekleństwami szamoczących się w sieci ludzi doszło go walenie do drzwi. Odkrzyknął:

– Zaraz otworzę! Za...

Poczuł, jak ostrze noża wbija się w jego nogę niczym błyskawica. Tarkiz zignorował ból, gdyż jeden z napastników wyswobodził się z sieci i stanął przed nim z nożem wzniesionym do ciosu, który jednak nie spadł na rozeźlonego Kurda. Jedno pociągnięcie metalowym prętem i nóż rąbnął o ścianę.

Indy kopniakiem otworzył drzwi i wpadł do środka z webleyem w dłoni. Akurat zdążył zobaczyć, jak Tarkiz wyrzuca napastnika przez otwarte okno. Ten momentalnie zniknął, a pociąg nadal mknął naprzód. Kurd odwrócił się w stronę drugiego zabójcy, wznoszącego zakrzywione ostrze.

Indy był już przy nim i uderzył go lufą w nadgarstek. Dał się słyszeć trzask łamanej kości i mężczyzna krzyknął. Tarkiz obrócił się błyskawicznie, ale gdy chciał pochwycić napastnika, jego zraniona noga zawiodła i upadł. Jones złapał zabójcę za włosy i pasek i wyrzucił go za okno.

Gale prześlizgnęła się obok Indiany i zapaliła światło. W jednej chwili spostrzegła zakrwawioną nogę.

– Drzuj pościel na bandaże – rozkazała Indy’emu. Pomogła Tarkizowi usiąść na łóżku.

– Dawaj whisky. Szybko – powiedziała do niego.

– Whisky? Ja nie...

– Zamknij się i wyciągaj piersiówkę – ucieła.

Bez słowa podał jej wydobytą z kieszeni fłaszeczkę. Położyła ją na posłaniu, zwilżyła ręcznik w umywalce i zmyła krew. Indy zawiązał już opaskę uciskową ponad raną. Gale odkorkowała pier-

siówkę i polala ranę wódką, by ją odkazić, a potem opatrzyła prowizorycznymi bandażami.

– Tylko kobieta marnuje dobrą whisky – poskarżył się Tarkiz. Ale jego oczy wyrażały wdzięczność.

– Zamieniłeś tabliczki z nazwiskami?

Tarkiz przytaknął.

– Zadziałało, nie?

– Wiesz, kto to był?

– Brązowa skóra. Jeden nosił turban. Mieliśmy więc do czynienia z zawodowymi zabójcami. Ktoś cię nie lubi, Indy.

– Taak. Chyba zapomniałem stanąć do konkursu popularności. A przy okazji, fajna sztuczka z tą twoją siecią.

Tarkiz rozpromienił się mimo bólu.

– To stary numer Rzymian. Bardzo stary. Podoba się też mafiozom.

– I mnie – dodała Gale.

– Zamek w twoich drzwiach przestał istnieć – zauważył Indy. – Lepiej zrobisz, jeśli resztę nocy spędzisz z nami.

– Nie trzeba. Będę tu siedział i miał drzwi na oku. – Sięgnął za plecy i z ukrytej kabury wydobyl zgrabną trzydziestkę dwójkę.

– Poza tym Gale to dobra kobieta. Nie zmarnowała całej mojej whisky. Czasem lubię pić do lustra. Dobranoc.

– Gale, włącz na górną pryczę.

Wspięła się na posłanie i usiadła, krzyżując nogi.

– Skąd oni wiedzieli, kim jesteśmy, gdzie można nas znaleźć w pociągu i kiedy będziemy nim jechać?

Uśmiechnął się.

– Nie domyśliłaś się, że w naszym systemie jest przeciek?

– Teraz już tak – odparła gniewnie. – Masz jakieś wnioski?

– Parę – wzruszył ramionami. – Pracuję nad tym.

– Ale dlaczego ktoś chciałby cię zabić?

– Nas – przypomniał jej.

Zadrżała.

– Ciebie także musieliby zabić – ciągnął dalej, sprawdzając webleya. – Jesteśmy partnerami. Gdyby cię nie dostali, mogłabyś ich później rozpoznać. Więc ty też jesteś celem.

- Nadal nie powiedziales, dlaczego chcą cię zabić. Nas – poprawiła się.
- Jutro.
- Wiele sobie obiecujesz po jutrze.
- Skinął potakująco głową.
- Indy, nie możesz przechadzać się po Nowym Jorku z tą armatą u pasa.
- Wiem. – Wyjął webleya z kabury przy pasie i przełożył go do kabury pod pachą. Nagle uderzył pięścią w otwartą dłoń.
- Czasem czuję się jak idiota. Noszę broń, nabitą i gotową do strzału, a nie robię zdjęć, gdy jest okazja. Mówię o ludziach w przedziale Tarkiza.
- Tym się martwisz? Że nie zrobiłeś zdjęć? Samo uratowanie nam życia nie wystarczy? Denerwujesz się, że nie użyłeś aparatu?
- Po to właśnie je wynaleziono!
- Westchnęła.
- Dobranoc, Indy.
- Doszło go jeszcze wypowiedziane szeptem:
- O matko...

Przepychali się przez poranne tłumy na Pennsylvania Station. W zwykłych okolicznościach Indy nie lubił być popychany przez stado, ale teraz sprzyjało to jego chęci zagubienia się w tłumie. Indy i Gale szli razem, Tarkiz kilka kroków za nimi, dotrzymując im tempa mimo opuchniętej nogi i bolesnego utykania. Opuścili dworzec północnym wyjściem, gdzie ustawiła się długa kolejka taksówek. Indy dostrzegł to, czego szukał, po drugiej stronie ulicy: taksówkę korporacji Yellow Cab oznaczoną numerem dwieście dziewięćdziesiąt cztery. Skinął na Tarkiza.

- Ta jest nasza.
- Ale przecież świeci się na niej napis „zajęta” – zauważyła Gale.
- Bo jest zajęta. Przez nas – wycedził Indy. Taksówkarz odchylił się do tyłu i otworzył im drzwi. Wsiedli do środka i zlustrowali wzrokiem człowieka na przednim siedzeniu. Był to olbrzymi Murzyn z gęstą brodą i w ciemnych okularach ukrywających oczy; mówił z melodyjnym brytyjskim akcentem.
- Witamy w Nowym Jorku – roześmiał się serdecznie.
- Gale trąciła Indy’ego i bezgłośnie wymówiła „Jamajka”. Jones przytaknął.

Siedzący przed nimi olbrzym poprawił lusterko.

– Ma panienska rację. Co do Jamajki. – Jej zaskoczoną minę przywitał śmiech. – Nie umiem czytać w myślach, panno Parker, za to z ust czytam wybornie.

– I zna pan moje nazwisko – powiedziała Gale ostrożnie.

– Ależ to zrozumiałe! – brzmiała odpowiedź. – Pani, profesora Jonesa i tego brzydala o dziwnym nazwiskiem. Chyba jego matka go nie lubiła. Brzydal z dziwnym nazwiskiem. Chyba jego matka go nie lubiła.

Tarkiz zrobił ruch do przodu. Indy gestem nakazał mu siedzieć spokojnie. Ten człowiek, kimkolwiek był, sprawiał wrażenie niesłychanie pewnego siebie zarozumialca.

– Niewątpliwie przysłał pana człowiek z Copertino – podsunął Indy, nawiązując do szyfrogramu, który dał mu Henshaw.

W szerokim uśmiechu błysnęły białe zęby.

– Święty Józef kazał mi mieć na względzie wasze zdrowie i potrzeby. Nazywam się Jocko Kilarney. Na czas pobytu w Nowym Jorku pozostanę waszym przewodnikiem, przyjacielem, kierowcą i opiekunem.

Jones pozytywnie ocenił tego człowieka. Był on duży i silny, i nawet mimo koszuli dawało się zauważyć grające pod skórą mięśnie. Indy postawiłby dolara przeciwko dziesięciocentówce, że kierowca miał także niezłe rozeznanie w mrocznym półświatku miasta.

– Tak przy okazji, profesorze, pański człowiek, ten wielki brzydal obok pana, jest naprawdę niezły – rzekł Kilarney. – Dzisiejszego ranka obok torów, którymi jechał wasz pociąg, znaleziono dwa ciała. Uprzedzę pańskie ewentualne pytania, profesorze: oba były całkiem bez życia i przy żadnym nie znaleziono dokumentów. Policja po prostu odeśle je na Potter's Field.

– Co to jest? – szepnęła Gale.

– Cmentarz dla nieznanych i niechcianych – odpowiedział jej Indy. Ponownie skierował uwagę na kierowcę. – Czy odkryto jakiegokolwiek powiązania?

– Nikt nic nie wie i nie ma co liczyć, że ktoś się zgłosi po tę dwójkę. – Obrócił się do tyłu, do Indiany i Tarkiza. – Niezła technika. Godna podziwu skuteczność. Sieć z powplatanymi haczykami. Bardzo oryginalne.

Zapalił silnik i wcisnął sprzęgło, by wrzucić pierwszy bieg.

Indy poczuł nacisk ręki Tarkiza; to był sygnał. Skinął głową. Olbrzym aż kipiał, słuchając żartobliwych obelg Kilarneya, i Indy zdecydował się dać mu wolną rękę.

– Hej, ty tam, Jocko! – zawołał Tarkiz.  
– Czym mogę służyć, kozopasie?  
– Posłuchaj mnie, czarny Irlandczyku, to może pożyczysz dłużej.

– Czyżbym słyszał tam-tamy, panie sierściuch?  
– Zaraz ci przejdzie. Teraz uważaj. Gdzieś koło ciebie jest jadowity wąż. Miałem w kieszeni małego węża, jakoś się wydostał. U nas nazywamy go „dwukrocznik”. Fajna nazwa, co? – Tarkiz wyszczerzył zęby do Jocko. – Wąż ukąsi człowieka, on zrobi jeden krok, poczuje się źle. Zrobi drugi, pada martwy. Nie ma odtrutki. Jeśli zaraz nie wyjdiesz z samochodu, wąż cię ukąsi i odeślemy twoją głowę w koszyku do domu.

Jocko rozejrział się uważnie wokół siebie. Oczy omal nie wyszły mu z orbit, gdy zobaczył wijącego się obok jego stopy jaskrawego, żółtopomarańczowego węża. Błyskawicznie otworzył drzwi, wyskoczył i zatrzymał się na ulicy parę metrów dalej.

– Odbiło ci, człowieku?! – wykrzyknął.

Indy i Gale także przygotowali się do opuszczenia taksówki.

– O Boże, on naprawdę tam jest! – wychrypiała Gale. Z niedowierzaniem przyglądała się, jak Tarkiz pochylił się do przodu i chwycił węża ręką. Poglaskał go delikatnie po grzbiecie i wrzucił do bocznej kieszeni kurtki. Gale wydała z siebie pisk i zarzuciła Indy’emu ręce na szyję.

– Zabierz to stąd! – piszczała.

– To jego pupilek – odparł Indy. – Nie mogę.

– ZABIERZ TO! – Przytuliła głowę do jego piersi.

Indy poklepał ją delikatnie po ramieniu.

– Nie ma powodu do obaw, Gale. Kiedy wąż siedzi w jego kieszeni, jest nieszkodliwy. – Odnalazł spojrzenie Tarkiza i obaj mrugnęli do siebie konspiracyjnie.

Indy spostrzegł to, czego nie zauważyli pozostali. Wąż był przepięknie wykonanym mechanizmem z prawdziwą skórą okrywającą ciało i strasznymi zębami jadowymi dla większego efektu w otwartej paszczy. Ale Indy znał się na węzach, miał z nimi do czynienia, mimo że przyprawiało go to o ciarki na plecach. Już sam sposób poruszania się „gada” wzbudził jego podejrzania, które potwierdził triumfalny uśmiech Tarkiza, gdy chował „zabijającego po dwóch krokach” węża do kieszeni.

Jocko, kipiąc z gniewu i wstydząc się otwartego okazania strachu, wrócił do taksówki i dźgnął palcem w kierunku Tarkiza.



– Ty i ja, kozi bobku, mamy nie dokończoną sprawę.  
Tarkiz roześmiał się rubasznie.

– Nie lękam się faceta, który boi się robaków niczym mała dziewczynka.

Indy pochylił się do przodu, by lekko poklepać Jocko po ramieniu.

– Wal do muzeum, moja irlandzka muzo, bez żadnych objazdów ani postojów, jasne?

Jocko obejrzał się, wycelował palcem w Indianę i opuścił kciuk niczym kurek opadający na spłonkę.

– Jasne, szefie.

## 11.

Amerykańskie Muzeum Historii Naturalnej zajmowało potężny gmach ciągnący się od wejścia przy Central Park West po Siedemdziesiątą dziewiątą ulicę na Manhattanie. Indy i Gale zwiedzali w życiu wiele muzeów, ale ta pokaźna budowla ze swym ogromnym i skomplikowanym wnętrzem biła wszystkie inne na głowę. Setki sal wystawowych i przestronnych korytarzy wydawały się ciągnąć w nieskończoność. Niektóre z nich mierzyły od dziewięciu do piętnastu metrów wysokości, mieściły dziesiątki okazów fauny z całego świata, nie wyłączając zwierząt o tak potwornych gabarytach jak płetwal błękitny. Zadarłszy głowę, można było podziwiać zapierający dech w piersiach widok: zachowany okaz największego stworzenia, jakie kiedykolwiek żyło na planecie, otoczony innymi egzemplarzami, tak dużymi, jak i małymi. W muzeum znajdowały się dosłownie setki tysięcy form życia.

Gale przemierzyła z Indym i Tarkizem długie korytarze zaledwie niewielkiej części muzeum, by dotrzeć do strefy zamkniętej dla zwiedzających, mieszczącej się kilka piętér pod ziemią. Jej oczy znajdowały się w nieustannym ruchu.

– To nie do wiary – powiedziała z niekłamaniem podziwem o otaczających ich eksponatach. – W archiwach egipskich mogłabym zagrzebać się na miesiąc!

– Muzeum prowadzi wymianę z całym światem – przyznał Indy. – Współpracują z instytucjami niemal wszystkich państw. Ponadto galeria, a raczej jej fundacja, ma bogatych sponsorów. Ten kraj, tak jak każdy, potrzebuje zmian i reform, ale to miejsce – roz-

postarł swe długie ramiona, jakby chciał objąć tym gestem wspinałą budowlę – jest jednym z najcudowniejszych przykładów na to, jak bardzo człowiek pragnie zrozumieć ten świat.

Pełniący funkcję przewodnika Jocko Kilarney zwrócił się do Indy'ego:

– Nikt by tego lepiej nie ujął, profesorze. Prawda, że prowadził pan badania dla fundacji?

– Wydaje mi się, że znasz już każdy krok, jaki dla niej uczyniłem – skrzywił się Jones.

Jocko wzruszył ramionami.

– To miał być komplement, jak najszczerzy.

– Jesteś człowiekiem o wielu obliczach, Jocko – stwierdziła Gale.

Jocko odpowiedział uśmiechem i szybkim ukłonem.

– Pojedziemy windą na końcu tego korytarza – rzekł.

Zatrzymali się przed drzwiami opatrzonymi czerwonym napisem: WINDA TOWAROWA.

– W takim razie jesteśmy towarem – zauważył Indy.

– Możecie się uważać za cenny ładunek – powiedział niefrasobliwie Jocko. Drzwi się otworzyły i wkrótce byli już w drodze do trzeciego poziomu piwnicy. Z biegnącego w dół korytarza weszli do zaskakująco dużego pomieszczenia ze sklepieniem w kształcie kopuły. Gale stanęła jak wryta, rozglądając się z zaskoczeniem i zdziwieniem.

Znajdowali się w sercu lasu; wokół nich majaczyły drzewa, skały, wzniesienia, a nawet szemrzący strumień, skrywający się gdzieś w poszyciu. Gale zamarła, gdy rozsunęły się gałęzie i potężny brunatny niedźwiedź podniósł się na tylne łapy i zaryczał. Tarkiz natychmiast odepchnął ją na bok, stając między nią a niedźwiedziem. Miał w dłoni swój pistolet, mizernie prezentujący się wobec ogromnego ciała zwierzęcia. Z krzaków wyłonił się następny niedźwiedź, tym razem na czterech łapach. Ale nagle wyprostował się: był to straszliwy kodiak, największy niedźwiedź świata.

– Schowaj broń – powiedział Indy do Tarkiza.

– Ale...

– To tylko diorama – poinformował go Indy.

– To jest cholernie wielki niedźwiedź! – wykrzyknął Tarkiz.

– Ale ten miś, podobnie jak wszystko inne – włączył się Jocko – jest całkiem nieżywy.

– Martwe niedźwiedzie nie chodzą i nie ryczą – zazgrzytał zębami Tarkiz.

– Mają w środku mechanizm – wyjaśnił Indy Tarkizowi, delikatnie pociągając w dół jego uzbrojone ramię. – Najwidoczniej tutaj przygotowują dioramy – makiety imitujące prawdziwy świat – zanim wystawią je na widok publiczny na górze.

– To znaczy – Tarkiz wybałuszył oczy – że to są takie duże zabawki?

– Pewnie – odparł Jocko. – Są zasilane prądem. – Roześmiał się. – Zupełnie jak pianola.

Indy zawsze starał się za wszelką cenę unikać zebrań. Czuł się na nich przytłoczony i osaczony. Im szybciej załatwi tę sprawę, tym lepiej.

– Nie traćmy czasu, Jocko.

– Tak jest.

Jocko poprowadził ich kolejnym korytarzem i przez podwójne drzwi do pomieszczenia, gdzie czekała już na nich grupa ludzi. Filipino Castilano podniósł się zza stołu, by powitać przybyłych. Gale zauważyła, że Indy najwyraźniej dobrze znał tego człowieka. Omiotła wzrokiem resztę grupy; rozpoznała Yoshiro Matsudę z zebrania w Ohio. Rashida Quahiraha poznała w Egipcie na długo przed spotkaniem w Ohio. Spojrzała na Indy'ego i zauważyła, że przygląda się intrygującej kobiecie, siedzącej przy przeciwległym krańcu stołu. W tej samej chwili zorientowała się, że Indy operował ukrytym spustem migawki swego aparatu; lejka trzaskała migawką, podczas gdy Indy ustawiał się tak, by uwiecznić każdego z obecnych na kliszy. Przesunął się, przepuszczając Gale, która kątem oka zauważyła zwinny ruch, jakim zamknął futerał aparatu.

Jones napotkał wzrokiem spojrzenie kobiety.

– Z przyjemnością przedstawiam – zwrócił się do Indy'ego Castilano. – Oto *madame* Marcia Mason.

Indy pozdrowił ją niegłośnie: „Jestem oczarowany, *madame*”, otrzymując w zamian skinięcie i uważny ogląd swojej osoby. Kobieta emanowała silną osobowością. Indy niemalże czuł tę siłę, choć nazwisko uznał za fałszywe. Ogarnął wzrokiem jej surowe, lecz piękne rysy i ciemne włosy. Była elegancka pod każdym względem, a jej prosta sylwetka zdradzała sportową przeszłość. Inteligentna, twarda i nawykła do wydawania rozkazów, pomyślał. Castilano przedstawił ją jako pochodzącą z Danii. Była to oczywista nieprawda. Postawilibym wszystkie pieniądze na Rumunię lub

Rosję. A podwójna tożsamość nie licuje z tym hermetycznym kręgiem. Muszę ją mieć na oku.

Indy zajął miejsce, a Gale i Tarkiz ustawili swe krzesła za jego plecami. Castilano zabrał głos.

– Czy możemy przejść od razu do spraw bieżących?

Odpowiedziały mu wyrażające zgodę pomruki, zwrócił więc się bezpośrednio do Indy'ego.

– Wiemy o wczorajszej nocy – rzekł.

Wiadomości rozchodzą się błyskawicznie, pomyślał Indy, ale jego twarz niczego nie zdradzała. Podjął uprzednio decyzję, że rozegra to tak łatwo i szybko, jak się da. Wzruszył ramionami.

– To nie pierwszozna – rzucił w odpowiedzi.

Aha, trafiłem w czuły punkt. Marcia Mason pochyliła się do przodu, tym swobodnym ruchem zwracając uwagę pozostałych.

– Czy mógłby nam pan powiedzieć, profesorze Jones, dlaczego przytrafiają się panu takie rzeczy? Ja na przykład nie rozumiem.

– Jestem solą w oku ludzi, których staramy się zidentyfikować i ustalić ich miejsce pobytu, panno Mason. Oni sądzą, że jeśli mnie wyeliminują, będą mogli bez przeszkód kontynuować swoją gierkę.

– Pańska osoba jest dla nich aż tak ważna? – replikowała natychmiast. Było to w równym stopniu pytanie i stwierdzenie.

Filipo Castilano zerknął na Merlyna Francka, prawdziwą szarą eminencję muzeum. Szybko zabrał głos, by przeszkodzić w dalszej wymianie zdań między Indym i kobietą.

– Panie Franck, czy ma pan jakieś konkrety w tej sprawie? Wiemy coś więcej o naszym przeciwniku?

Merlyn Franck nie uśmiechnął się, co według Jonesa świadczyło, że przynajmniej częściowo pozostawał w zмовie z Marcją Mason.

– Przyszaję – zaczął powoli – iż niektórzy ludzie wierzą, że profesor Jones robi wokół siebie szum, by dzięki temu móc bez przeszkód prowadzić swoje, hm, dochodzenie.

– Doktorze Franck, niech pan mówi otwarcie. Jeżeli chce pan skrytykować moją pracę lub sposób, w jaki ją wykonuję, proszę tego nie ukrywać.

Franck skinął głową, wdychając z wewnętrznym żalem. On i Indy współpracowali ze sobą na długo przed tym spotkaniem i chciał utrzymać ich znakomite stosunki. Teraz jednak poczuł, że nie ma wyjścia – musi być szczery.

– Doszły nas słuchy, profesorze Jones, że incydenty związane z pana osobą mogły nigdy nie mieć miejsca, a opowiedział nam pan te historie z przyczyny, której, przyznaję, nie jestem w stanie pojąć.

Indy powstrzymał się od ostrej odpowiedzi. Franck miał dobre intencje; tylko to się liczyło. Znalazł się po prostu w trudnym położeniu.

– Nie ponoszę odpowiedzialności za to, co panu mówią inni ludzie. Nie interesuje mnie nawet, kim są, ale chcę zauważyć, że cokolwiek pan słyszał, nie zostało powiedziane przez tych dwóch z pociągu. Nadal pasuje tu stare powiedzonko: umarli milczą.

Franck westchnął ponownie.

– Profesorze Jones, niektórzy z członków naszej grupy nie wiedzą, co myśleć o tym „imperium zła”, o którym nam doniesiono. Konsorcjum wspierające pana, hm, działania, ma obecnie poważne wątpliwości co do istnienia takiej organizacji.

– Uczciwie stawia pan sprawę – stwierdził Indy. – W co w takim razie wierzy konsorcjum?

– W to, że ZŁO to tylko parawan oraz że nikt z nas nie posiada namacalnych dowodów, co się naprawdę dzieje.

– Namacalnych dowodów? – Indy musiał walczyć ze sobą, by ostro nie skrytykować Francka. – To, co wydarzyło się w Związku Południowej Afryki, napad na pociąg i masakra... oto fakty. Hydroplan „Cesarzowa Kali” to również fakty.

Castilano poprosił o uwagę.

– To nie wszystko, doktorze Franck. Nadal staramy się poznać szczegóły, ale zaatakowano i zatopiono dwa inne statki. W wyniku napaści mającej miejsce w głębi Rosji została skradziona bezcenna kolekcja klejnotów koronnych. Ale najdziwniejszy jest fakt, że z jednym z członków naszej grupy nawiązało kontakt źródło, które na razie pozostaje anonimowe. Chcą nam sprzedać ten zagadkowy artefakt, skradziony z hydroplanu.

– Mam pytanie – wtrącił szybko Indy.

– Słucham.

– Skąd to niezidentyfikowane źródło wiedziało, że tworzymy grupę? – uśmiechnął się. – Zanim pan odpowie, czy myliłbym się zakładając, że żądają wysokiej sumy za ten sześcian? I utrzymują nas jednocześnie w przekonaniu, że artefakt nie pochodzi z tego świata?

Franck wdał się w bardziej osobistą rozmowę z Indym, pomijając jego tytuł naukowy.

– Indy, jeżeli ten artefakt odpowiada opisowi, żadna suma nie odda jego wartości.

– Czy ktoś zna kwotę? – nalegał Indy.

– Miliard dolarów – oznajmił zwięźle Franck.

– Zapłaciłbyś? – zapytał Indy.

Franck odpowiedział bez wahania.

– Oczywiście.

Siedząca po jego prawicy Gale Parker była bardziej zdezorientowana niż na początku zebrania. Wiedziała, że Indy podłożył fałszyfikat podczas napadu na pociąg w Milledgeville, a teraz zachowywał się, jakby wierzył w autentyczność tych artefaktów! Zamknij się i słuchaj, ofuknęła samą siebie. Indy wie, co robi.

– Grupa gromadzi wielkie sumy pieniędzy – rzekł Indy. – Co się z nimi dzieje?

Matsuda zasygnalizował, że on udzieli odpowiedzi.

– Za fundusze kupuje się uzbrojenie. Czołgi, bombowce, łodzie podwodne i tak dalej. Ale broń to nie wszystko. Za odpowiednią kwotę można kupić lojalność. Ustanawiać sfery wpływu w rządach. Nadzorować prasę, prowadzić wielką propagandę i przejść do kontrolowania przemysłu. Przejęcie kurateli nad zaopatrzeniem danego kraju oznacza praktycznie jego uzależnienie. Jestem zdania, że ta grupa pragnie przejść kontrolę zarówno nad handlem międzynarodowym, jak i nad wojskiem.

– Stara strategia dobrotliwych cesarzy – podsumował Indy.

– Niezupełnie dobrotliwych – rzekł Matsuda.

– Czy mam rację sądząc, że ludzie ze wspierającego nas konsorcjum nie we wszystkim się ze sobą zgadzają? – zapytał Indy.

– To nic dziwnego – powiedział sztywno Castilano. – Toczymy walkę z cieniem, za którym stoi wielka potęga.

– I naprawdę poważnie rozważacie zapłatę miliarda dolarów za ten tak zwany pozaziemski artefakt?

– Taka jest moja propozycja – potwierdził Franck.

Indy uśmiechnął się promiennie.

– Zaoszczędzę ci miliard dolarów. – Włożył dłoń do kieszeni kurtki. – A raczej dwa miliardy. – Rzucił na stół piramidkę, a następnie wydobył duplikat sześcianu, który sprawił tyle zamętu.

Wszystkim odebrało mowę. Podawano sobie oba przedmioty wokół stołu, obchodząc się z nimi nad wyraz delikatnie. Wreszcie Merlyn Franck oprzytomniał.

– Skąd... skąd je wytrzasnąłeś? Wybacz mi, Indy, ale dość niefrasobliwie traktujesz te przedmioty. Z ich powodu ginęli ludzie!

– Nie ma żadnych artefaktów z kosmosu – powiedział Indy spokojnie. – A przynajmniej te nie są nimi na pewno.

– Czy mogą być wytworem którejs z starożytnych kultur? – dopytywał się Castilano.

– W żadnym wypadku.

– Ale... ale skąd pan je ma?! – nie wytrzymała Marcia Mason.

Indy zmierzył ją wzrokiem, a potem równie uważnie popatrzył na pozostałych. Gdzieś pośród tej grupy krył się zdrajca. Treadwell powiadomił go o tym dużo wcześniej, ale jak dotąd nikt nie umiał stwierdzić z całkowitą pewnością, kto nim jest. Reakcja kobiety na to, że artefakty są w jego posiadaniu, mogła być spontaniczna i świadczyć o lojalności wobec grupy. Albo było to zaskoczenie, skąd je wzięłem, jeżeli coś nie tak z tą lojalnością, rozważał Indy. To ślepy zaulek...

Castilano nie ukrywał poruszenia.

– Zdradź nam, Indy, skąd je masz?

– Nie powiem państwu niczego, o czym nie wiedzą już nasi przeciwnicy – odpowiedział szybko Indy. – Proszę o tym pamiętać. Po pierwsze, zawarłem umowę z szefami kopalń diamentów De Beers. Mają oni zwyczaj umieszczać w swoich transportach klejnotów coś, co łatwiej wytropić niż diamenty, które można przecieź przyciąć do każdego kształtu czy wielkości. W tym wypadku wykorzystaliśmy ten sześcian. Pismo klinowe dodało mu autentyczności. Lub raczej przekonało o niej ludzi. Ale sam sześcian, podobnie jak tę piramidkę, wyprodukowano w Anglii. Nie wiem, jakich użyto stopów; to nie moja specjalność. Jest to jednakże produkt całkowicie domowej roboty. Moim wkładem było pismo klinowe. Ktoś, komu ten przedmiot wpadnie w ręce, jeśli wierzy w jego wartość i wyjątkowość, musi spróbować go albo sprzedać, albo wykorzystać. W ten sposób artefakt spełnia funkcję sygnału naprowadzającego.

– Chce pan powiedzieć, że ta organizacja, ktokolwiek za nią stoi, stara się sprzedać nam falsyfikat, który pan osobiście spreparował? – zapytała Marcia Mason powoli i z rozmysłem.

– Tak, proszę pani.

– Ale jak pan mógł... to znaczy, dlaczego chciał pan, abyśmy wierzyli w niezwykłość tych przedmiotów?!



– Nigdy nie mówiłem, że mają one jakąkolwiek wartość pieniężną czy historyczną – Indy zwracał się do wszystkich, ale patrzył jedynie na Marcie Mason. – Robili to inni. Nie wyłączając odpowiedzialnych za przestępstwa ludzi, których chcemy odnaleźć. Historyjki na temat tych artefaktów okazały się na tyle skuteczne, że ci, co obrabowali De Beers i pozostałych, byli przekonani, że artefakty są najcenniejszymi ze skradzionych przedmiotów.

– Ale po co mieliby zabijać ciebie? – wybuchnął Franck.

Castilano roześmiał się.

– Profesor Jones jest lepszym wykładowcą niż wywiadowcą. Omal nie zaaranżował swojej własnej egzekucji. Gdy grupa, z którą mamy do czynienia, zorientowała się, że artefakty nie są autentyczne, postanowiła się pozbyć Jonesa i jego współników, zanim zdążyliby przekazać nam, lub innym klientom na świecie, że te przedmioty są bez wartości.

– I niemal im się udało – odezwała się niespodziewanie Gale Parker.

– Jest jeszcze jeden powód – oznajmił Indy zgromadzonym. Natychmiast zwrócił ogólną uwagę. – Nasi przeciwnicy mają wśród nas wtyczkę.

– Co takiego?

– Między nami jest zdrajca – powiedział Indy spokojnie. – Robi to dla pieniędzy czy ideałów... wszystko jedno. Ale ktoś w tym konsorcjum, co dotyczy także osób tutaj nieobecnych, pracuje dla naszego wroga.

– To bardzo poważny zarzut – Franck był wyraźnie poruszony.

– Zgadza się – rzekł Indy. – Ale to prawda.

Przez kilka minut sala konferencyjna rozbrzmiewała gwarem, to przybierającym, to słabnącym na sile. Skala emocji wahała się między gniewem a dezorientacją. Indy liczył na to, że jego zaskakujące stwierdzenie o zdrajcy sprowokuje takie właśnie reakcje. Jeżeli uda mu się w następnych słowach przemycić informację o umiejętnościach Treadwella, może jeszcze bardziej zaniepokoić ich nieznanego wroga. Czekał, aż zapanuje cisza; najwyraźniej wszyscy liczyli na to, że ma im jeszcze coś do powiedzenia. Tak istotnie było, ale swoje „przesłanie” zaadresował do przeciwnika.

– Trzeba ponadto rozgryźć pewną osobliwość – zagaił. Udało mu się ich już raz zaskoczyć i wiedział, że słuchają go z uwagą, udał jednak zakłopotanie. – Chodzi o te maszyny latające. Słowem nie wspomnieliśmy o sprawie, której nie potrafili wyjaśnić najlepsi inżynierowie lotnictwa na świecie. Dyski, spodki czy jakkolwiek je nazwać, przemieszczające się z prędkościami pozornie niemożliwymi do osiągnięcia. Istnienie statku macierzystego, jeżeli tym rzeczywiście jest, o wiele łatwiej wytłumaczyć. To coś w rodzaju superzeppelinów...

– Ale nie wiemy, jaki ma napęd, prawda? – przerwał mu doktor Franck.

– Nie wiemy – przyznał Indy. – Przepraszam, to ja nie wiem, jaki ma napęd. Nie jestem pilotem ani inżynierem, ale mam kontakt z najlepszymi ludźmi z tych branż. A oni twierdzą, że historyjki, jakoby owe dyski czy szablostatki pochodziły z kosmosu, to czyste brednie.

– Mimo tego, co usłyszeliśmy – rzekł Castilano – uważają, że statki te pochodzą stąd, z Ziemi?

– Oczywiście – odparł Indy.

– Muszę zaoponować – włączył się Matsuda. – Nie twierdzą, że przybyły do nas z innych światów, profesorze, ale nie znamy na tym świecie nic, co by latało bez skrzydeł z prędkością ośmiuset kilometrów na godzinę, potrafiło zawisnąć w powietrzu czy też lewitować. To, co robią, jest niemożliwe według naszych standardów.

– Nie będę się z panem spierał – oznajmił Indy. – Nie mam najmniejszego zamiaru tego robić. Przekazałem po prostu to, co powiedzieli mi eksperci.

– W takim razie tym twoim ekspertem, Indy – poparł Matsudę Castilano – przydałyby się lepsze informacje. Nasze maszyny latające są wobec tych dysków bezradne. Musi być jakieś inne wytłumaczenie oprócz samego stwierdzenia o ich ziemskim pochodzeniu.

– Zgadzam się. Staram się jedynie wyjaśnić, że według znawców problemu mamy do czynienia z pojazdami ziemskimi, zbudowanymi w sposób, jakiego jeszcze nie znamy. Napędzane są siłą, której dotychczas nie zidentyfikowaliśmy. Nie, nie powinienem tego mówić. Nie chcę się wdawać w techniczne szczegóły całej sprawy. Eksperci wierzą, że albo już znaleźli rozwiązanie tej zagadki, albo niedługo będą je mieli.

To powinno wystarczyć, pomyślał Indy. Ten, kto pracuje dla przeciwników, przekaze im jak najszybciej, że ich plan zaczyna pękać w szwach. Mam nadzieję, że Henshaw i Treadwell są w tym lepsi niż ja... Wstał od stołu.

– Mam wiele do zrobienia, muszę się sporo nauczyć, a do tego ścigam się z czasem. Ale mam też mnóstwo pomocników. Możemy być bliżej rozwiązania zagadki, niż nam się wydaje.

Gale i Tarkiz także się podnieśli. Nie odezwali się ani słowem, ale ich miny nie pozostawiały cienia wątpliwości co do tego, że w pełni się z nim zgadzają. Wśród kłopotliwej ciszy, jaka zapadła, gdy wszyscy po kolei wstawali, Indy kątem oka zauważył przemokniętego robotnika o oliwkowej skórze i w turbanie. Mężczyzna wyszedł przez boczne drzwi na tyłach sali i zniknął w mgnieniu oka. W normalnych okolicznościach byłoby to nic nie znaczące wydarzenie, ale kto mógłby opuszczać tę arenę niezwykłych wydarzeń? Bo jeśli podsłuchiwał zebranie z ukrycia, od razu klasyfikowało go to jako wysłańca wrogów.

– To, co mówisz, Indy, daje wiele do myślenia – przerwał milczenie Franck.

– Ma pan nasze nieustające i pełne poparcie – zapewnił Matsuda.

– I nasze – rzekł Castilano.

– Przyznam, że z wielką niecierpliwością będę oczekiwał dalszych informacji – uśmiechnął się Quahirah.

Jedynie Marcia Mason zachowała ciszę. Indy nie zwracał na nią uwagi. Wiedział, że już niedługo ich ścieżki się skrzyżują. Opuścił pomieszczenie bez słowa, nie oglądając się za siebie; Gale, Jocko i Tarkiz deptali mu po piętach.

Gdy czekali na winę, Gale zwróciła się do Jocko.

– Moglibyśmy ponownie przejść przez dioramę? Chciałabym jeszcze na nią spojrzeć. To świetna inspiracja do organizowania wystaw muzealnych.

Jones nie protestował. Nadal myślał o robotniku i sposobie, w jaki opuścił on salę konferencyjną.

Upřednio przebytą drogą wrócili do ogromnej hali z dioramą. Indy był pod wrażeniem. W powietrzu unosił się nawet zapach lasu. Popatrzył na drzewa, prawdziwe drzewa, stojące w skrzyżowaniach z ziemią zamaskowanych zaroślami.

Zapragnął powrócić do swoich poszukiwań.

– Popatrzyłaś sobie? – zapytał Gale.

– Tak. – Jej oczy błyszczały z radości; nagle rozszerzyły się. – Indy! – wysapała. – Niedźwiedź, UWAGA!

Usłyszał kaszlący ryk dochodzący z za pleców. W pierwszej chwili jego zmysły zareagowały na obecność niebezpieczeństwa, mimo iż zdawał sobie sprawę z tego, gdzie się znajdowali i że niedźwiedzie były elektromechanicznymi robotami.

W następnej chwili otrzymał potężne uderzenie; poczuł się, jakby wpadł na niego szarżujący nosorożec, obrócił się wokół osi i upadł. Przez okamgnienie widział Tarkiza – olbrzym z ogromną prędkością rzucił się, by odepchnąć go na bok. Indy potrząsnął głową, nie mogąc zrozumieć, co się dzieje.

Wtedy ujrzał ogromnego kodiaka spadającego ze swojego miejsca na wystawie, z przednimi łapami uzbrojonymi w straszliwe pazury. Potężne „zwierzę”, mierzące ponad dwa i pół metra i ważące ponad sto kilogramów, spadło na Tarkiza, rozorując mu łapą twarz z przerażającą siłą.

Pazury ogołociły bok głowy aż do kości. Tarkiz runął na podłogę razem z figurą niedźwiedzia, wydając z gardła okropny gulgot. Zginął na miejscu.

Indy zdążył się już odwrócić. Tam! Mignęło coś... Biały płaszcz robotnika w turbanie, który wymknął się z sali konferencyjnej. Jeżeli ktokolwiek manipulował przy tablicy rozdzielczej, by mechaniczne zwierzę rzuciło się na Indianę, na pewno był to on, a teraz próbował im uciec.

Jocko popędził co sił w nogach, by odciąć mu drogę, zanim zniknie w labiryncie korytarzy i bocznych pokoi w piwnicach muzeum. Indy trzymał dłoń na rękojeści webleya, ale zanim on i Jocko zdołali dogonić uciekającego mężczyznę, wysunęła się przed nich Gale z wyciągniętym sztywno do przodu ramieniem. Indy usłyszał jęk napiętego metalu i syk. Coś pomknęło przez salę w kierunku białego płaszcza.

Chwilę później do ich uszu doszedł stłumiony krzyk i rumor padającego na podłogę ciała. Indy obejrzał się na Gale. Uśmiechała się podejrzanie, ucieszona niespodziewanym triumfem.

– Dostał – powiedziała spokojnie.

– Czym? – zapytał.

Podciągnęła rękaw kurtki. Indy ujrzał okrągłą wyrzutnię strzałek dobrze przymocowaną do przedramienia.

– Pamiętasz, jak korzystałam z warsztatu na lotnisku? – spytała.

Skinął głową.

– Metalowe strzałki – wyjaśniła. – Szybkie jak z kuszy. – Uśmiechnęła się ponuro. – Nieważne, że są małe. Mają ostrza zatrute kuraryną, sześć razy groźniejszą od kurary. Delikwent jest sparaliżowany i już długo nie pociągnie.

Indy ruszył pędem wokół dioramy. Jocko stał już nad leżącym na podłodze mężczyzną w białej szacie i turbanie.

– Nie zabijaj go – warknął Indy. – Chcę mu zadać kilka pytań.

– Za późno, szefie. Nie wiem, co mu jest, ale ma sparaliżowane płuca i struny głosowe. To już nie potrwa...

Nie dokończył zdania. Mężczyzna dostał ataku gwałtownych drgawek; z wychodzącymi z orbit oczami i wystawionym językiem bębnił piętami w podłogę. Jego głowa gwałtownie odskoczyła do tyłu. Dał się słyszeć trzask łamanego karku.

– Wyośmy się stąd – zarządził Indy.

– Zostawiasz za sobą dwa trupy – powiedział niepotrzebnie Jocko.

– Castilano się tym zajmie. To stary wyga, jeśli chodzi o pozbywanie się ciał. – Gale szła za nimi. Chwytał ją za rękę, niemal wlokąc w kierunku schodów.

– Prowadź, Jocko. Prosto do twojej taryfy – warknął. – Kiedy ruszymy, upewnij się, że nikt nas nie śledzi, a potem zabierz nas na Long Island.

Pognali po schodach na górę. Jocko pierwszy poszedł na parking, otworzył bagażnik, by sprawdzić, czy nie podłożono w nim bomby, w tym samym celu wślizgnął się pod podwozie, wreszcie zawołał Indy'ego i Gale.

Niedługo potem jechali już przez Central Park.

– Przejedziemy mostem na Pięćdziesiątej dziewiątej ulicy – rzekł Jocko. – Znam boczne drogi i nikt nie będzie mógł nas śledzić tak, żebym o tym nie wiedział. Dokąd na wyspie?

– Na lotnisko Roosevelt Field. Nasz samolot już tam jest – odparł Indy.

Gale popatrzyła na niego uważnie.

– Chowasz jeszcze jakieś niespodzianki w zanadrzu?

Przytaknął ruchem głowy.

– Zobaczysz.

## 12.

Indy siedział w prawym fotelu kokpitu forda. Po swojej lewej stronie miał Cromwella, a Foulois stał nieco z tyłu, między fotelami. W chwilach, gdy obecność obu pilotów nie była niezbędna, Indy postanowił spędzać jak najwięcej czasu za sterami trójsilnikowca. To, czego nauczył się dzięki praktyce, może nie zrobi z niego pilota, ale z pewnością posunie sprawę do przodu. Dzięki temu nie myślał też o śmierci swego przyjaciela Tarkiza, choć to wydarzenie miało pozostać mu w pamięci na wiele lat.

Uczył się rozpoznawać odgłos silników, ulegający zmianom, gdy lecieli nad nierównym terenem, skutki wiatrów, szczególnie bocznych, które potrafiły zmieść samolot z prostej linii startu czy lądowania. Musiał nauczyć się, z jaką siłą powodować przyrządami, trzymać wciśnięty prawy pedał orczyka podczas rozbiegu i wznoszenia, by przeciwdziałać zawirowaniom strumienia zaśmigłowego i momentu obrotowego silnika. Głównie zaś wrył sobie w pamięć, że umiejętny pilotaż wymaga czegoś więcej niż tylko bezmyślnego wciskania, ciągnięcia i przesuwania. To, co wydawało się tak bez trudu przychodzić jego dwóm pilotom (nie zapominając o Gale! – powiedział do siebie), było efektem mistrzowskiego zgrania, które pozornie tylko wyglądało tak łatwo.

– Przekonasz się – oświadczył mu Cromwell – że dobry pilotaż to tak naprawdę nieustanne poprawianie błędów. Jedyne ty, pilot, nie tylko je znasz, ale i potrafisz przewidzieć. Prowadzić samolot przez powietrze może byle cham, ale to nie jest prawdziwe latanie. Przyrządy sterownicze trzeba pieścić jak piękną kobietę...

– Mów o samolocie – burknął Indy.  
– Jaki drażliwy – Cromwell skrzywił się w uśmiechu. – No dobra, staruszk, dorzucę ci jeszcze coś do twojego lotniczego paciorka: nigdy, ale to nigdy nie próbuj oszukać tej maszyny. Mówię poważnie, Indy. Na ziemi możesz oszukiwać, kogo zechcesz. Możesz opowiadać swoim kumplom niestworzone historie. Ale jeżeli okłamięsz swoją maszynę, ona cię zabije. Zrobi to w mgnieniu oka. Naucz się kochać swój samolot tak, jak byś kochał prawdziwego przyjaciela. Bądź do niego przywiązany tak samo mocno, jak do bliskiego człowieka, bo od tego zależy twoje życie.

Zwrócił się do Francuza:

– Wszyscy tam z tyłu przypięci, Rene?

Foulois obejrzał się na Gale i najnowszego członka ich załogi, Jocko.

– Nie wydaje mi się, by nasz ciemnoskóry przyjaciel uwielbiał latanie – powiedział z uśmiechem.

– Szybko do tego przywykniesz. W porządku, Indy, będę omawiał każdy etap startu, każdy kroczek, żebyś wiedział, co się w danej chwili dzieje i zaczął poznawać tajemnicę przewidywania. Połóż dłonie na przyrządach i podążaj za ich ruchami. Rób to delikatnie. A jeśli usłyszysz, że ja albo Rene mówimy „przejąłem go”, natychmiast zabieraj swoje cholerne kończyny z przyrządów, rozumiano?

– Zamknij się i leć – burknął Indy.

– Ach, ten szczenięcy entuzjizm – roześmiał się Cromwell. – No dobra, ruszamy. Drażek w położeniu wyjściowym; właśnie tak. Hamulce wyciśnięte, aby utrzymać nas w miejscu. Sprawdź wskazania przyrządów. Wszystkich. Teraz przepustnice do przodu, nie spuszczać oka z zegarów, sprawdź wszystkie termometry i ciśnieniomierze, sprawdź ponownie wiatr na zewnątrz, bo może się zmienić w mgnieniu oka, przepustnice do oporu, czujesz, jak się trzęsie, rwie się w górę, podaj obroty na minutę, temperaturę oleju, temperaturę głowicy cylindra, ciśnienie, przepływ paliwa, ilość, sprawdź obroty, popatrz na zewnątrz, szybko, cholera z tobą, szukaj innego ruchu! Dobra, sprawdziłeś wyważenie, ciamajdo? Zapomnij, ja to zrobiłem; ostatnie spojrzenie na panel, rękaw wiatrowy, popatrz, czy na pas nie przypętały się jakieś zwierzęta lub ludzie, wszystko gotowe? Popraw pasy, zwalniamy hamulce, mamy dobre przyspieszenie, drażek ociupinkę do przodu, o tak, stały nacisk na prawy pedał orczyka, NIE TAK MOCNO, TY SŁONIU, DELI-

KATNIE, ALE STANOWCZO! Czujesz, jak ogon się unosi, wi-  
bracje ustępują, TRZYMAJ GO PROSTO, GNIDO JEDNA, wła-  
śnie tak, RĘKA NA MANETKACH PRZEPUSTNICY, BO MOGA  
ODBIĆ! Prędkość wzrasta, uważaj, znosi cię na lewo, Indy, do cho-  
lery jasnej, spójrz na prędkościomierz, dlaczego się nie WZNO-  
SISZ? Myślałeś już o tym, by zarabiać na życie jako szwec?

Na czoło i górną wargę Indy'ego wystąpiły kropelki potu, gdy  
Cromwell ochrzaniał go na każdym ułamku ich drogi na wysokość  
tysiąca metrów, na której wyrównali, a hałas i drgania ustały.

– Kim byłeś w poprzednim życiu, Will? Rzymskim nadzorcą  
galerników?

Cromwell zignorował go.

– Wystartowaliśmy z Roosevelt Field, lecimy na to prywatne  
ładowisko na Block Island na wschód od Montauk Point, zgadza  
się?

Indy pokiwał głową.

– Tego nie robi się na oko i mniej więcej, profesorze. Obser-  
wujesz termometry, wilgotność, temperaturę punktu rosy? Jaki  
mamy przewidywany czas odlotu, przewidywany czas przelotu,  
przewidywany czas przylotu? Zużycie paliwa w czasie, ile litrów  
na godzinę spalamy przy tych ustawieniach? Kiedy ostatnio sprawa-  
dzałeś wskazania przyrządów? Gdybyś nie miał imienia wytatu-  
owanego na czołe, to też byś je zapomniał! Życzysz sobie poznać  
George'a?

– George'a? – Indy miał zakłopotaną minę. – A kim, u dia-  
bła, jest ów George?

– George, mój chłopcze, to najnowszy cud techniki. Prosto  
z laboratoriów Sperry Gyroscope. Jest to urządzenie podłączone  
do naszego żyroskopu i sztucznego horyzontu. George to nasz au-  
tomatyczny pilot; imię możesz uważać za nieskrywaną oznakę afek-  
tacji. Kiedy włączam George'a, ustala on kierunek i kąt na podsta-  
wie wskazań żyroskopów. Utrzymuje maszynę prosto. Sam zobacz.  
Tylko nie dotykaj przyrządów.

Cromwell przesunął to i owo i odchylił się na oparcie fotela.  
Nikt nie dotykał ręcznych ani nożnych przyrządów. „George” stał  
się niewolnikiem żyroskopów i utrzymywał samolot na kierunku  
ustalonym przez busolę. Dla Indiany była to czarna magia. Samo-  
lot leciał sam i robił to tak, jakby na przyrządach spoczywały nie-  
widzialne dłonie i stopy. Drgał nieznacznie w łagodnych zawiro-  
waniach, ale frunął z zadziwiającą precyzją.



– Gdzie jesteśmy, asie przestworzy? – Cromwell szturchnął Indianę.

– Co? Oj. Patrzyłem, jak samolot sam leci i...

– I zapomniałeś uważać na to, dokąd zmierzamy, gdzie się znajdujemy, ile czasu minęło od startu, jak daleko mamy do Block Island, kiedy powinniśmy zacząć zmniejszać wysokość, tak? Poza tym – szydził Cromwell – świetnie sobie radzisz. Dziwi mnie, dlaczego taka dzierlatka jak Gale jest w tym taka dobra, podczas gdy światowej sławy badacz i awanturnik, słynny profesor Henry Jones, nie potrafi nawet kontrolować swojej pozycji nad Long Island!

– Za to mogę cię zakatrupić. – Spojrzenie Indy’ego miało błyskawice.

– Ech, przyjacielu. Dzisiaj to był tylko wstęp. Bułka z masłem dla dziesięcioletniego szkraba. Za jakieś dziesięć, dwadzieścia lat się w tym połapiesz.

– Nie zwracaj na niego uwagi, Indy – Foulois pochylił się do przodu. – Już dawno nie wydzierał się na uczniów. Znowu jest w swoim żywiole.

Indy spojrzął na Cromwella, który posłał mu szeroki uśmiech.

– Dobra, stary, rozpoczynamy długie zniżanie. Ręce na przyrządy, delikatnie, żebyś czuł, co robisz. Sam nie musisz nic robić. Jak na pierwszą lekcję wystarczy. Traktuj to jako darmowy pokaz.

Piętnaście minut później Cromwell, czując, jak wiatr przeciwny słabnie, popchnął forda w lot ślizgowy, przechylając skrzydła i schodząc w dół w zapierającym dech zakręcie. W ostatniej chwili wyrównał i wielki samolot z westchnieniem ulgi usiadł na trawiastym pasie, dając pokaz mistrzowskiego lądowania.

– Po lewej jest stodoła – poinformował go Indy. – Dokołuj tam. Zanim do niej dotrzemy, wrota będą otwarte z tyłu i z przodu, więc możesz od razu wkołować do wnętrza nie zdmuchując przy tym budynku.

– Jaką ma szerokość? – zapytał Cromwell.

– Trzydzieści pięć metrów między ścianami – odparł Indy.

– Bułka z masłem, stary.

Zgasił silniki, kiedy znaleźli się już we wnętrzu ogromnej „stodoły”, ale jedyną wiejską cechą budowli był jej wygląd zewnętrzny. Cromwell rozejrzał się dokoła.

– Zupełnie jakbyśmy zniknęli.

– I o to właśnie chodzi, nadzorca niewolników. – Indy wyszedł z kokpitu do kabiny.

- Jak poszło? – zapytała Gale.
  - Moje *ego* jest bardziej płaskie niż wczorajszy naleśnik – odparł. – Jocko, pomóż Gale przy naszym sprzeczcie. Przenocujemy dziś na tej farmie. A wieczorem przyplynie z Connecticut łódź z wyposażeniem, które dla ciebie zamówiliśmy.
  - Zrozumiałem, szefie.
  - Dlaczego mówisz do mnie „szefie”?
  - Bo lepiej brzmi niż „białasio”.
- Gale stłumiła śmiech.
- Z was dwóch będzie dużo pociechy.
  - Nie czas na śmichy-chichy – zgañił ją Indy. – Robotą czeka.
  - Wolno wiedzieć, co mamy w planach, szefie?
  - Pewnie, że wolno. Musimy znaleźć Marsjan, czy kimkolwiek są. Albo, mówiąc ściślej, musimy im pomóc znaleźć nas.
  - Życie ci zbrzydło, białasio?
  - „Szefie”, zapomniałeś?

„Farmą” na Block Island zajmowało się trzech mężczyzn i jedna kobieta. Był to pofałdowany obszar leżący na wyspie, odgródzonej wodą od wschodniego końca Long Island. Żadna z tych czterech osób nie znała się na rolnictwie; kombinezony, w jakie się ubierali, dawały im możliwość noszenia potężnych rewolwerów magnum 44, które każde z nich miało w kaburze.

– Nie trzeba mędrca – zwróciła się Gale do swojej grupy – by dojsć do wniosku, że ta farma to tylko przykrywka.

– Jest to także stacja meteorologiczna – zauważył Indy, wskazując na umieszczone na dachu niewielkiego budynku przyrządy. – Oto odpowiedź na wszelkie pytania dotyczące masztów i anten dla sprzętu radiowego.

– A jeżeli ktoś chciałby przyplłynąć tu w nocy łodzią, to tylko głupiec lub szaleniec – powiedział Jocko. Zdążył się przyrzec gniewnym wodom między Long Island i Block Island. – Teraz rozumiem, czemu ten kawał rżyska jest takim świetnym łądowskiem.

Wewnątrz domu na „farmie” jeden z mężczyzn przedstawił pozostałych.

– Mam na imię Richard. To jest Mike, a ten mały pękaty to Ozzie. Dama ma na imię Katy. Przedstawcie się, proszę, używając tylko imion. Nie musimy wiedzieć więcej.

Po zakończeniu prezentacji „farmerzy” pomogli im zanieść torby i sprzęt do pokojów.

– Indy, dostajesz dwieście jeden. Będziesz go z kimś dzielił.

– Z kim?

– Nie wiem, ale znacie się. Will i Rene, dla was dwieście dwa. Gale, dwieście trzy i będziesz sama. Jocko, dwieście cztery. Jeszcze kilka pokoi zostanie zajęte dzisiejszej nocy.

– Czym przyjadą goście? – zapytał Indy.

Richard, jeżeli naprawdę tak się nazywał, wskazał palcem na niebo. To wystarczyło za odpowiedź.

– Poproszono nas, aby przygotować wam wcześniej posiłek – oznajmił. – Zaraz po wylądowaniu chcą przejść do rzeczy.

– Wspaniale – huknął Cromwell. – Jakie tu macie wiktuały, jeżeli wolno zapytać? Niewątpliwie specjalnością tej zapomnianej nieruchomości są kanapki z zimną kiełbasą?

– Kaczka pieczona z jabłkami, duży wybór win, kandyzowana marchew, podsmażane kartofelki, francuskie pieczywo, kawa.

– Serio? – Cromwell wybałuszył oczy.

– Jesteśmy na kaczej farmie. Taka jest prawda. Mamy tu sześć tysięcy kaczek. Katy i Ozzie to znakomici kucharze. To ich zawód. Mike i ja wolimy zabijać te zafajdane ptaszyska.

Dziesięć minut po sprzątnięciu ze stołu usłyszeli odgłos nadlatującego samolotu. Cromwell podszedł do drzwi frontowych i rozwarł je na oścież. Nastawił uszu.

– Silnik gwiazdowy, pojedynczy, schodzi do lądowania na przymkniętej przepustnicy, szybko się zbliża – obwieścił.

– Dowiedziałeś się tego, nasłuchując nocnego wiatru? – dociekał Indy.

– Wszystkiego oprócz nazwiska pilota – odparł z pewnością siebie Cromwell. – Światła lotniska powinny się włączyć, hm, mniej więcej teraz.

Jakby w odpowiedzi na jego ostatnie słowo podwójny rząd świateł zapalił się wzdłuż pasa trawy i potok światła zalał rękaw lotniczy. Chwilę później dwumiejscowy myśliwiec – z silnikiem gwiazdowym, tak jak powiedział Cromwell – ze świstem przeleciał nad pasem. Usłyszeli głośniejszy ryk silnika, gdy samolot nabrał nieco wysokości, potem przycichł, gdy pilot zawracał ciasnym opadającym zakrętem i posadził myśliwca na trawie. Kiedy tylko

pilot znalazł się na pasie, światła zgasły, samolot umieszczono w hangarze, a nad polem ponownie zaległa cisza.

Pułkownik Harry Henshaw i Filipo Castilano wyłonili się z hangaru i przywitali Indy'ego i pozostałych. Wszyscy razem poszli w kierunku domu.

– Kawy – zwrócił się Henshaw do Richarda. Jego zachowanie nie pozostawiło cienia wątpliwości co do tego, dla kogo pracował Richard i pozostali. Na stole pojawiła się kawa i słodkie bułeczki.

– Okay, przejdźmy do rzeczy – rzekł Indy. Długie operacje poprzedzające ten moment zniecierpliwiły go.

– Indy – zagaił Henshaw – zbadałem tak dokładnie, jak się tylko dało, każdy znany w historii przypadek lotu niewyjaśnionego w obliczu dzisiejszej nauki, inżynierii i technologii. Oczywiście, nie robiłem tego sam. Zwróciliśmy się do wszystkich uniwersytetów i biur badawczych, z którymi rząd ma jakiegokolwiek układy. Przycisnęliśmy ich, i to dość mocno. Sprawdziliśmy wszelkie informacje, od szamanów szczepu Navajo po dawno zmarłych kapłanów, dzięki wysiłkom obecnego tu Filipa – skinął ku Castilano. – Przekopaliśmy źródła hebrajskie, chrześcijańskie, muzułmańskie, akkadyjskie, sumeryjskie, babilońskie, chińskie, japońskie, indyjskie, voodoo, po ludy, przy których starożytni Egipcjanie to młodzieniaszkowie.

Jones bawił się nadspodziewanie dobrze.

– Wiedźmom też się przyjrzelście?

– Oczywiście. – Henshaw zdziwił, się widząc nagły uśmiech na twarzy Gale Parker.

– Panie pułkowniku, na ile dokładnie zbadaliście kultury Majów, Inków, Azteków i inne? – zapytała.

– Od a do zet.

– Jakie wnioski? – zapytał Indy.

– Ku wielkiej ucieście mojego przyjaciela z Watykanu poczułem się tak, jakby ominęło mnie dziewięćdziesiąt dziewięć procent historii.

– To brzmi rozsądnie – powiedział Indy, by poprawić nastrój Henshawowi. – Słuchaj, Harry, nie ma na świecie człowieka, który znałby całą przeszłość, czy choćby niewielki jej ułamek. Kiedy zdobędziesz się na pewien wysiłek, zauważysz, że byłeś dotąd jak ślepiec. Jest tego zbyt wiele i wszystko to poplątane, gdyż zmieszły się ze sobą fakty i legendy.

– Co chcesz przez to powiedzieć, do diabła? – zniecierpliwili się Henshaw.

– Tylko to, że przewidywałem, iż w wiarygodnych źródłach dotyczących naszej przeszłości natkniesz się na niezliczone relacje, w których jest mowa o machinach latających w taki sam sposób jak te, które teraz obserwujemy. Ogromne statki w kształcie torped. Błyszczące, złote, brązowe i srebrne dyski i koła. Statki macierzyste rodzące mniejsze pojazdy. Wielkie, szabłokształtne obiekty, które pędzą po niebie, wykonują niewiarygodne manewry, świecą jaśniej od słońca, zawisają nad ziemią. To długa i fascynująca opowieść.

– Chcesz powiedzieć, że ta sytuacja jest powtórką z historii starożytnej? – Henshaw nie potrafił ukryć niedowierzania.

– Do pewnego stopnia tak – rzekł Indy.

– Oho! Ostrzegałem cię, Harry! – Castilano niemal piał z radości. – Historia Kościoła, dzieje przed jego powstaniem, a nawet czasy, zanim ktoś pomyślał o jakiegokolwiek świątyni! Oni są tutaj i zawsze byli! A teraz znowu...

– Wstrzymaj się ze swymi dogmatycznymi twierdzeniami, Filipino! – Indy podniósł nieznacznie głos. – Trzymajmy się przekazów historycznych. I nie wyciągajmy subiektywnych wniosków.

– Zupełnie jakbym słyszał mojego dawnego profesora od historii – zaśmiał się Henshaw, rozładowując napięcie.

– Nic dziwnego – powiedziała Gale do Henshawa. – W końcu to profesor Jones.

Henshaw przytaknął.

– W porządku, od czego zaczynamy? – zaszeleścił grubym plikiem papierzyk. Siedzący obok niego Castilano zrobił to samo. Gale czekała, aż Indy położy coś, cokolwiek, przed sobą, ale pojawił się jedynie kieliszek z brandy.

– Rób notatki – zwrócił się do Gale. – Ale na temat jutra, a nie tego, co było wczoraj.

Łyknął na zafascynowanych słuchaczy – Cromwella, Rene i Kilarneya. Tylko Jocko, nowy w ich grupie, wykazał się refleksem i odpowiedział nieznacznym skinieniem. Ten facet, rozmyślał Indy, ukrywa nader bystry umysł za tym swoim promiennym uśmiechem i potężną posturą. Należy trochę pogrzebać w jego przeszłości.

Z początku Jones planował, by obaj piloci pozostali biernymi słuchaczami i nie brali czynnego udziału w dyskusji. Później zdał

sobie sprawę, że to głupi zamiar; Cromwell i Foulois byli pilotami. Asami! Potrafili latać na wszystkim, a w tym, co zaraz usłyszą, mogą ukrywać się strzępki cennych informacji.

– Will, Rene? Chodźcie tu bliżej. Jeżeli coś zwróci waszą uwagę, wtrącajcie się, dobrze?

Indy ponownie zwrócił się do Henshawa i Castilano:

– Są pewne zasady, jakich trzeba przestrzegać, gdy chce się wydobyć istotne dane z tego, co jest pod ręką. Przede wszystkim musimy uzyskać dostęp do wszelkich zapisów, które wspominają o niewyjaśnionych obiektach pojawiających się na niebie. W wielu z tych przypadków będziemy mieli do czynienia z emocjami, doświadczeniami natury religijnej oraz niewłaściwym prowadzeniem kronik. A zatem to, co znajdziemy, może nie mieć oparcia w faktach lub też może składać się z okruczeń prawdy przemieszanych z nonsensem. Chodzi mi o to, że gdy tylko natrafimy na tego typu zapis historyczny, musimy go odrzucić. Mówiąc po ludzku, wyrwalić, i poszukać czegoś bardziej wiarygodnego.

Popatrzył na Henshawa i dodał:

– Z jakiegokolwiek źródła.

Miał nadzieję, że Henshaw zrozumiał: mów o wszystkim, co może mieć jakiś sens. Coś utkwiło gdzieś w zakamarkach umysłu Indy’ego na dłużej, niż by sobie tego życzył, gdyż nijak nie mógł tego dopasować do zachodzących wokół nich wydarzeń. Podczas uzbrajania forda trimotora Henshaw wspominał o francuskim uczoneym, Henrim Coandzie, który podczas wielkiej wojny zajmował się raketami. Jeden z jego eksperymentów dotyczył jakiegoś nowego rodzaju silnika, działającego niczym gigantyczna lampa lutownicza. Indy zanotował sobie w pamięci, by wraz z Henshawem dalej dążyć ten temat.

Na razie jednak tkwili głęboko w minionych dziejach i spodziewał się, że Harry zacznie powoli popychać sprawę do przodu. Miał rację.

– Daj jakiś przykład – zażądał Henshaw.

– Malowidła i rysunki wydrapane na ścianie jaskini w prowincji Hunan w Chinach – rozpoczął Indy. – Wycięto je, posługując się bardzo ostrymi kamieniami lub krzemieniem; jako farb użyto ochry i pigmentów nieznanego pochodzenia; pokazują one cylindryczne pojazdy poruszające się po niebie. Chciałbym ich użyć jako odniesienia, ale w tym zwięzłym opisie zawarta jest cała ich wartość. Nie mamy nawet pewności co do tego, czy zostały wyko-

nane przez przedstawicieli Homo sapiens czy przodków człowieka. Z naszą sprawą nie ma to jednak żadnego związku.

– Zgoda – przytaknął Castilano.

– Mów dalej – zachęcił Henshaw.

– Można? – Wszystkie oczy zwróciły się na Gale. – Chyba musicie przyjąć te same kryteria wobec Chih-Chiang-Tsu-Yu.

– A kto to jest? – zapytał Henshaw.

– Nie jest. Był on wiodącym mechanikiem na dworze cesarza Chin Yao. Sama z chęcią zapytałabym go o to i owo – westchnęła. – Jego zapiski to niesamowita lektura. Opisał on spotkanie z obcą rasą, która przybyła na Ziemię; twierdził, że ich pojazd świecił na niebie i że odbył z obcymi lot na Księżyc i z powrotem.

– Kiedy to było? – zapytał Henshaw. Speszył się, kiedy ci lepiej zaznajomieni z prawdziwie starożytnymi kronikami uśmiechnęli się w odpowiedzi na jego pytanie.

– Cztery tysiące trzysta lat temu – odpowiedziała Gale. – Wspomniałam o tym, gdyż Tsu-Yu nawet opisał słupy świetlistego powietrza...

– Rakiety? – zapytał z niedowierzaniem Henshaw.

Gale wzruszyła ramionami.

– Kto wie? Indy ostrzegał nas, by unikać skrajności, więc tylko ustalam ramy historycznego punktu odniesienia.

– Słuchaj, gdybyśmy chcieli przejrzeć katalog takich wydażeń, zrobilibyśmy to. I byłoby to usprawiedliwione – tłumaczył cierpliwie Indy. – Od zarania ludzkich dziejów pojawiały się zapisy o gościach z kosmosu, w każdej kulturze i każdej epoce. Mógłbym rozdmuchać sprawę Sury i Sutradhary. Jest to starożytny indyjski tekst, w którym z niesamowitą dokładnością odnotowano wydarzenia astronomiczne. I nie robili tego astrologowie, lecz Sidda i Vidyahara...

– A co to, do diabła, jest? – wybuchnął Cromwell.

– Nie co, ale kto – odparł Indy. – To byli indyjscy naukowcy. Opisali oni także loty pojazdami obcych, a następnie zapisali, jak latały, i jest to cytatek: „poniżej Księżyca, ale ponad chmurami”.

– A niech mnie... znaczy... to się po prostu w głowie nie mieści! – wyjąkał Cromwell.

– To, w co wierzysz ty, ja czy ktokolwiek inny – powiedział Indy – nie ma dla nas znaczenia. Dokładność tych raportów i ich związek z tym, co nasi ludzie uznali za statki kosmiczne z Marsa czy skąd tam... oto, co nas interesuje.

– W takim razie nie powinniśmy ignorować jaskiń Santander w Hiszpanii, prawda? – Wszyscy popatrzyli na Henshawa, który podniósł do góry obie ręce. – Przepraszam, nie jestem archeologiem ani historykiem. Ale kiedy byłem w Hiszpanii, znalazłem się akurat w tej okolicy i to, co usłyszałem, spowodowało, że szybko się tam udałem. Nie wierzyłem własnym oczom. Zobaczyłem tam przepiękne malowidła w prehistorycznych jaskiniach. Wizerunki poruszających się po niebie dysków.

– Można je znaleźć nie tylko w Hiszpanii – uzupełnił Castilano. – Prawdę mówiąc, Indy i ja poznaliśmy się na Płaskowyżu Tasili. To region Sahary. Tam też są jaskinie z malowidłami dysków.

– Wymieniliśmy te miejsca i czas powstania fresków – powiedział Indy, by trochę ukrócić gadulstwo – ale nie możemy z tymi przekłętymi informacjami zrobić nic, chyba tylko przyznać, że owszem, znajdują się tu i tu, przedstawiają to i to, nie potrafimy odgadnąć ich znaczenia, chociaż można by debatować nad nimi w nieskończoność. Chcę nam wszystkim zaoszczędzić czasu. Już w piętnastym wieku przed naszą erą ludzie z Afryki północnej widywali na niebie wszelakie rodzaje dysków. Historycy przekazali, że latały one z ogromną precyzją, cokolwiek to oznaczało w terminologii tamtych dni. Chińczycy pozostawili zapisy z siedemset czterdziestego siódmego roku przed naszą erą o ognistych obiektach latających nad głowami i nabierających wysokości. Zaczyna się robić ciepło.

– A co z obserwacjami dokonаныmi na terenie Niemiec w Norymbberdze w tysiąc pięćset sześćdziesiątym pierwszym? – zapytał Castilano. – Tysiące świadków widziały cylindry, dyski, sfery...

– To samo widziano w tysiąc osiemset osiemdziesiątym trzecim w Zacatecas – włączyła się Gale.

– To gdzieś w Meksyku? – zapytał Jocko.

– Dajcie mu medal – rzekł Indy. – Zgadłeś, przyjacielu. Tyle, że w tym wypadku na niebie był większy ruch niż na Times Square w sobotni wieczór. Tubylcy widzieli ponad czterysta powietrznych torped i dysków. Ale nie musimy cofać się aż tak daleko w przeszłość. Było to w, hm, tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym szóstym i siódmym, właśnie tu, w Stanach. Kalifornia, Kansas, Nowy Meksyk, Teksas i tak dalej. W jednej chwili ludzie, trzeźwi, wiarygodni świadkowie, zobaczyli wszędzie dziwne statki powietrzne. Kilka z nich wylądowało. Przybysze mówili po angielsku, niemiecku i w innych obcych językach, jakich nikt nie rozumiał. Potem wy-



startowali i wzbili się w niebo z prędkością, którą świadkowie określili jako niesamowitą.

– I to jeszcze, cholera, nie koniec – powiedział Cromwell. – Pojawili się jakieś dwanaście lat później, w Anglii. Wyglądali na bardziej zaawansowanych w rozwoju niż ci faceci z Ameryki i niewątpliwie latali statkami powietrznymi.

– Zapewne zeppelinami – zauważył Henshaw.

– W żadnym razie – zaprotestował Indy. – W tym czasie Niemcy miały tylko trzy zeppelin, i to nie najlepsze. Raporty brytyjskie szły w setki, pochodziły z trzydziestu do pięćdziesięciu różnych, odległych od siebie miejsc, z tej samej nocy. Poza tym, bez względu na to, czym były te pojazdy, miały silniki, śmigła i skrzydła, nie używane przecież w zeppelinie.

– Ale są też bliższe współczesności raporty o zauważeniu tych dysków – rzekł Castilano.

– Oczywiście! – wykrzyknął nagle Foulois. – Tysiąc osiemset osiemdziesiąty rok, Trecul, francuski naukowiec, członek Francuskiej Akademii Nauk. Ach! Był wspaniałym obserwatorem, poważnym i trzeźwo myślącym człowiekiem, i wszędzie przysięgał, że widział złocisty pojazd latający. Konkretnie mówiąc – Foulois wstał, jakby dla podkreślenia wagi swych słów – zobaczył też, jak wielki statek wypuszcza z siebie mniejszy obiekt, który pomknął do przodu wyprzedzając go. Indy, mój druhu, użył dokładnie słów „statek-matka” i ten opis z pewnością pasuje do tego, czego szukasz!

– Czy widział go kiedyś ponownie?

– *Non*.

Indy podrapał się w głowę.

– Co jeszcze mamy?

– W tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym byłem z ekspedycją w Chinach – powiedział Castilano stłumionym głosem. – Nie przypuszczałem, że będę o tym opowiadał, ale...

– Słuchamy – nalegał Indy.

– Nigdy nie zarejestrowano oficjalnie wydarzenia w tak odległym miejscu. Dokładnie było to w północnych Chinach, w okręgu Kukunor. Niedaleko Łącucha Humboldta. Jeszcze dokładniej, gdy teraz grzebię w pamięci, stało się to około wpół do dziesiątej rano, piątego sierpnia. Nie tylko ja, ale cała grupa ekspedycyjna zauważyła coś wielkiego na niebie. Chwileczkę. – Z roztargnieniem potarł łokieć i potupał nogą. – A, tak, wszyscy byliśmy zgodni co

do tego, że był to owalny obiekt dużych, nawet ogromnych rozmiarów.

- Koloru?
- Złotego. Lśnił jak wypolerowane złoto.
- Czy ktoś miał lornetkę?
- Oczywiście. Co najmniej czterech ludzi. Nic nie zakłócało

widoku.

- Czy były ślady po spalinach?
- Nie zauważyliśmy. Może i były, ale...
- Dźwięk?
- Nie mogliśmy stwierdzić. Wiał silny wiatr, zacinało śniegiem.

Indy miał ochotę połamać coś w rękach. Tak blisko! Tak blisko, a jednak... Popatrzył na Castilano.

– Filipino, przyjacielu – powiedział spokojnie – czy ktokolwiek z twojej ekipy badawczej, na miłość Boską, zrobił zdjęcie?

Castilano wyglądał na wstrząśniętego. Wolno zaprzeczył ruchem głowy.

– Jakże żałowałem, że tego nie zrobiliśmy... Ale to, co widzieliśmy, było bez wątpienia owalne, chociaż rozważałem zmianę punktu obserwacji, zniekształcenia z powodu kąta. Gdybym zrobił zdjęcie, chyba stanowiłyby w tym czasie jedyny potwierdzony dowód istnienia pozaziemskiego pojazdu.

– Skąd pewność, że był nie z tej ziemi? – zapytał Henshaw.

– Obliczyliśmy odległość i prędkość. Obiekt przemieszczał się z szybkością przekraczającą trzy tysiące kilometrów na godzinę.

– O czym pozostało jedynie wspomnienie – powiedział gorzko Indy. – A to niewiele, by iść dalej tym tropem.

– Dlaczego tak mówisz? – zaprotestował Castilano. – Czternastu świadków to tylko wspomnienie?

– I nic ponadto – odparł Indy, bynajmniej nie żartobliwym tonem. – Zauważyliście coś, czego nie jesteście w stanie zidentyfikować. Słuchaj, Filipino, gdyby Will i Rene wzięli forda, polatali nim trochę nad wyspą, a potem odlecieli, a ty nie widziałbyś ani nie słyszał wcześniej o takim samolocie, ani nie miałbyś zdjęć do późniejszego sprawdzenia, co byś wydedukował z tej obserwacji? Wiem, wiem. Są tu doświadczeni i wiarygodni obserwatorzy. Ale co ci potem pozostaje oprócz fantastycznej historyjki? Nie ma znaczenia, że jest prawdziwa.

– Poczekaj – odezwał się nagle Henshaw. – Jest coś, o czym jeszcze nie wspomnieliśmy. Chodzi o incydent z „Cesarzową Kali”.

I ten płaski obiekt, który zawisł w powietrzu. W raporcie jednego z naocznych świadków przeczytałem, że krawędzie statku, dysku, czy czego tam, nie były wyraźnie określone. On użył innego sformułowania. Mówił, że krawędzie wydawały się falować, jakby ktoś regulował ostrość.

Indy z najwyższym trudem zapanował nad sobą. Właśnie czegoś takiego szukał. W tym momencie zdecydował, że to, czego się teraz dowiedział, na pewien czas zachowa wyłącznie dla siebie.

– Czy to coś ważnego? – zapytał Henshaw.

– Pewnie – odparł Indy, udając obojętność. – Twój świadek miał załzawione oczy. – Powstał, nawiązując kontakt wzrokowy z Henshawem, zanim przemówił do grupy. – To by było na tyle. Przejrzeliśmy starożytne zapisy i dowiedzieliśmy się jedynie, że historia pełna jest raportów o niewyjaśnionych obiektach poruszających się po niebie. Co nam właściwie nic nie daje, oprócz tego, że trzymaliśmy się właściwych zasad – zbadaliśmy wszystko, co się dało. Bądźcie, proszę, gotowi do odlotu jutro rano.

– O której, Indy? – zapytał Will.

– O świcie.

Cromwell jęknął.

– Niszczysz mój upiększający sen – poskarżył się.

Indy roześmiał się.

– Przerzuc się na lifting. – Zwrócił się do Henshawa: – Przejrzyjmy jeszcze raz wykaz sprzętu, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

Henshaw w lot pojął niewypowiedzianą prośbę Indy'ego. Mają porozmawiać bez świadków, w cztery oczy.

– Jasne. Pójdę po papiery. Będę tu z powrotem za dziesięć minut.

– Uderzyło cię to w tym samym momencie? – zapytał Jonesa Henshaw.

– Wszystko na to wskazuje. Nadal nie jestem pewien związku, ale kiedy zacząłeś mówić o pozornym falowaniu krawędzi dysku, od razu pomyślałem o zakłóceniach wynikających z różnicy temperatur.

– Szybko chwytasz – pochwalił Henshaw. – Trafieś w sedno. Dlaczego wcześniej tego nie skojarzyliśmy?!

– To ty znalazłeś wskazówkę – powiedział szybko Indy. – Mówiłeś, że ten cały Coanda opisał efekt lampy lutowniczej, który został zastosowany w tym silniku, tak?

– Dokładnie. Powinniśmy porozmawiać bezpośrednio z Coandą, Indy. W ten sposób człowiek uczy się więcej niż podczas grzebania w papierach. A zatem jeden z nas, lub obaj, musimy pojechać do Francji i utrzymać tę podróż w całkowitej tajemnicy. W innym razie wystawimy się na odstrzał.

Indy przytaknął.

– Zgadza się. Później dogramy szczegóły. To wszystko?

– Nie. Jest coś, o czym dowiedziałem się zaledwie dziś rano. Tym razem to papierkowa robota dostarczyła czegoś, co może okazać się głównym tropem. – Henshaw uśmiechnął się z satysfakcją. – Dokumenty były zagrzebane w starych archiwach we Francji. Posłałem tam ekipę pod pozorem wymiany samolotów i sprzętu między ich i naszymi muzeami. Wiesz, co odkryli? Przepraszam. Skąd miałbyś wiedzieć. Wpis w biurze patentowym z tysiąc dziewięćset czternastego roku z Paryża. Ktoś wtedy złożył podanie o przyznanie patentu. – Henshaw uczynił pauzę. – Na silnik odrzutowy.

Indy uśmiechnął się.

– Dziesięć do jednego, że nazywał się Coanda.

– Wygrałeś – powiedział Henshaw.

## 13.

Następnego ranka o piątej ekipa zebrała się przy fordzie i wypchnęła samolot na mokrą od rosy trawę. Henshaw i Castilano zjawili się, by zamienić ostatnich kilka słów.

– Rzeczy potrzebne do waszego lotu przez ocean będą czekać na was w Bangorze – poinformował Henshaw Indianę. – Macie szczęście. Dostaję raporty pogodowe z Kanady i od nawigatorów statków oceanicznych. Jest wspaniały wyż, dzięki któremu będziecie mieli przez większość drogi czyste niebo i diabelnie dobry tylny wiatr.

– Znakomicie. Dzięki, Harry. – Uścisnęli sobie dłonie, a pozostała część zespołu wsiadła do samolotu.

Indy zastanawiał się, czy jego pomysł był istotnie tak szalony, jak się wydawało. Przelot nad północnym Atlantykiem w samolocie, którego prędkość nie przekraczała stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, mógł uchodzić za szaleństwo, kiedy wzięło się pod uwagę ogromną przestrzeń oceanu.

– Tak naprawdę to będziemy się po prostu wlec – przekonywał go Cromwell. – Z dodatkowym paliwem, a moglibyśmy nawet wyłączyć silnik dziobowy i lecieć tylko na dwóch, podróż stałaby się o wiele łatwiejsza. Najdłuższy dystans nad wodą ma zaledwie jakieś tysiąc czterysta kilometrów. Jest tylko jedna rzecz, której nie pojmuję, Indy.

– Mianowicie?

– Dlaczego urządzasz takie przedstawienie? Po tym, co usłyszałem o ścigającej cię bandzie, prędzej pomyślałbym, że raczej wolisz się jak najmniej pokazywać.

Indy poklepał Willa Cromwella po plecach.

– Muszę ich jakoś wykurzyć. To najlepszy sposób. Nie wydaje ci się to ani trochę dziwne? Jeżeli ci ludzie naprawdę gromadzą taką potęgę militarną, dlaczego jeszcze nikt nie pofatygował się po nas z całą tą siłą ognia?

– Biję się w piersi, nie pomyślałem o tym.

– Skrucza ma dobroczynny wpływ na duszę, Will. Ty i Rene pilotujcie, ja poprowadzę gry i zabawy.

– Jak sobie życzysz, mistrzu.

Wzbili się w powietrze i wzięli kurs na wyłaniające się zza horyzontu słońce. Indy założył na głowę słuchawki i mikrofon telefonu pokładowego, by mieć łączność z kokpitem.

– Rene, zanim osiągniemy wybrzeże Connecticut, utrzymuj kurs na wschód, póki się do ciebie nie odezwę. Górny luk będzie otwarty przez kilka chwil. Kiedy go zamknę, dam ci znać.

– Dobra.

Indy poczuł delikatny przechył i spostrzegł, że kierują się prosto na ognistą tarczę wzniesioną już niemal całkowicie nad horyzontem. Poszedł na tył kabiny do szafki, wyjął z niej mahoniowe pudełko i wrócił pod górny luk, gdzie znajdowało się ruchome stanowisko karabinu maszynowego. Otworzył luk, wziął pudełko, wszedł na stanowisko, tak że jego głowa i ramiona znalazły się w pędzie powietrza. Przez chwilę zmagał się z wieczkiem.

Gale podniosła się z fotela, by mu pomóc, ale Jocko powstrzymał ją, kładąc rękę na jej ramieniu.

– On musi zrobić to sam – powiedział. Gale usiadła z powrotem, bardziej zmuszona do tego wyrazem jego twarzy niż słowami.

Stojąc w pędzie powietrza, tyłem do kierunku lotu, Indy podniósł pudełko ponad obrotnicę stanowiska strzeleckiego, uniósł wieko i zaczął rozsypywać prochy Tarkiza Belema ponad wodami cieśniny Long Island. W dzikich turbulencjach popiół uderzał go w twarz i nozdrza powracającą, wirującą chmurą; większa część chmury pognała do tyłu i zniknęła. Siedzący w kabinie usłyszeli kilka głuchych odgłosów.

– To małe kawałki kości uderzają w ogon – poinformował Gale Jocko. – Nawet kremacja nie wszystko obraca w proch.

Gale zadrżała, wspominając wielkiego, szorstkiego faceta, który dwa razy ocalił jej życie. Zachowała ciszę, póki Indy nie wypełnił swego zadania i na końcu wyrzucił mahoniowe pudełko. Wślizgnął

się z powrotem do kabiny, zamknął luk i podszedł do umywalki zmoczyć chusteczkę, by wytrzeć z twarzy i dłoni prochy Tarkiza. Pogrążył się w fotelu naprzeciw Gale i Jocko.

– Przekaż Willowi, by wrócił na kurs – poprosił Gale.

Ford wycelował swój nos w kierunku Bangoru.

Gdy przelatywali nad Nową Anglią, Gale zaniósła do kokpitu kanapki i kawę. Niebo upstrzone było puszystymi chmurami. Gale wróciła na swoje miejsce, dołączając do Indy’ego i Jocko oraz rozmowy, którą pragnęła usłyszeć już od kilku dni.

– Kawę na ławę, Jocko – mówił Indy. – Muszę wiedzieć o swoich ludziach jak najwięcej. W przeciwnym razie mogę przepuścić sposobne okazje, gdy takowe się nadarzą.

– To znaczy, że to nie jest rozmowa kwalifikacyjna? – uśmiechnął się Jocko.

– Myślałam, że pracujesz dla muzeum – powiedziała Gale między jednym a drugim kęsem kanapki.

– Bo tak jest. Znalazłem się w tym samolocie, gdyż kazano mi pomagać profesorowi we wszystkim, czego będzie potrzebował. Albo chciał – zreflektował się po chwili.

– Co robiłeś do tej pory, Jocko?

– Powiedz mi, co wiesz, szefie. Chyba łatwiej mi przyjdzie uzupełnić braki.

– Sądzę, że, jesteś o niebo cwańszy niż sugeruje ten jamajski szowinizm, który pokazujesz światu.

– Miłuchno z twojej strony, szefuńciu – rzekł śpiwnie Jocko.

– Dlaczego to robisz? – zapytała Gale.

– Można w ten sposób ukryć, że jest się wiedźmą, panno Parker...

– Gale, błagam.

– Dziękuję. Jak powiedziałem, z łatwością można ukryć, że jest się wiedźmą. Można nawet zmienić nazwisko. W twoich żyłach płynie arabska krew. Poznałem to po rysach twojej twarzy, niewielkich różnicach w barwie skóry – można ją nazwać pocienioną zamiast kolorową. – Jocko uśmiechnął się z tolerancją zrodzoną z ciężkich doświadczeń. – Jak długo można ukrywać swoje korzenie, gdy jest się tak czarnym jak ja?

Gale popatrzyła uważnie na siedzącego przed nią mężczyznę, zaczynając go powoli rozumieć.

- Niezbyt długo – przyznała.
- Dlaczego ukrywasz swoje?
- Gale wzruszyła ramionami.
- To peszy ludzi. Wyprowadza ich z równowagi. Niektórych nawet przeraża. Zmieniłam więc nazwisko na takie, które bardziej ludziom odpowiada.
- O wiele łatwiej jest zmienić nazwisko niż mój hebanowy wygląd – odparł Jocko. – Istnienie kogoś czarnego i inteligentnego jest akceptowane jedynie pod pewnymi warunkami. I tylko przez pewnych ludzi.
- Masz aż tyle kłopotów? – zapytał Indy.
- Bycie rozgarniętym czarnym w pewnych miejscach przekłada się na bardzo krótkie życie. Wiem. – Odchylił się do tyłu i smutno uśmiechnął. – Pozwólcie, że wyjaśnię. Chodzi nie tylko o czarny kolor skóry, ale nawet o różnice między odcieniami czarnego. Czarni afrykańskiego pochodzenia albo z wysp, czy skądkolwiek by byli, jeżeli mają jaśniejszą skórę, nienawidzą takich jak ja. Bo tak się od nich różnię. To głupota. Ale taki jest ten świat.
- Skończyłeś geologię na uniwersytecie w Caracas – włączył się Indy do rozmowy.
- Tak – odparł Jocko, nie podając żadnych dodatkowych informacji.
- Studiowałeś też biologię morską na Uniwersytecie w Miami.
- Ale nie uzyskałem dyplomu.
- Jak liczne są twoje trofea? – zapytał Indy.
- Bardzo dużo pan wie, profesorze – powiedział Jocko bez uśmiechu.
- Nie musisz nam mówić, Jocko. Ale im więcej wiem, tym jesteśmy silniejsi.
- Cztery – rzekł Jocko.
- Czterech białych – dopowiedział za niego Indy.
- Jocko pokiwał głową: wyglądał na zadowolonego, że wyszło to na jaw. – Mieli zebranie. Chyba należeli do Ku Klux Klanu. Urzędnili się jak świnie. Moja nauczycielka, Veronica Green, była biała. Chciała ze mną porozmawiać o pracach podwodnych na Karaibach...
- Jocko jest wykwalifikowanym płetwonurkiem i nurkiem głębinowym – wyjaśnił Indy. – Poszukuje starych wraków dla muzeum. Ich skarby to nie tylko złoto i srebro, to artefakty z dawno minionych epok.



– Właśnie o tym chciała porozmawiać ta kobieta. Ona uczyła w szkole, ja żyłem w świecie, o którym ona marzyła. Ale popełni-  
liśmy błąd. Jedliśmy razem hamburgery w knajpce na plaży w Miam-  
mi Beach. Weszli ci biali, pijani, rozszoszczeni, pełni nienawiści.  
Nie powiedzieli jednego słowa, tylko nagle rzucili się na mnie z no-  
żami i kastetami. Dla mnie nie był to problem...

– Czterech na jednego to nie problem? – Gale nie potrafiła się  
powstrzymać od zapytania.

Odpowiedzi ponownie udzielił Indy.

– On sam nigdy by się nie przyznał, ale jest mistrzem sztuk  
walki. Judo, jujitsu, karate, nie wspominając o roku spędzonym  
w Indiach wśród Gurkhów.

Jocko okazał zdziwienie.

– Skąd o tym wiesz?

Indy zignorował pytanie.

– Powiedz, co wydarzyło się w Miami.

Jocko pokiwał ze smutkiem głową.

– Kobieta zasłoniła mnie własnym ciałem, jakby była dla na-  
pastników barierą nie do przekroczenia. Jeden z nich zatopił nóż  
w jej brzuchu. Nigdy nie wiedziałem do końca, co wtedy zrobi-  
łem.

– Zabił go – wyręczył Jocko Indy. – Ale nie pozostałych. Kie-  
dy kobieta upadła, próbowali uciec. Jocko połamał im nogi i rę-  
ce, i o ile dobrze zrozumiałem, poważnie uszkodził im nerki  
i śledziony i...

– Wystarczy, Indy. To nie jest istotne.

– W porządku.

– Ale co stało się później? – niecierpliwiła się Gale.

– Zrobiłem to, co zrobiłby każdy czarny z przynajmniej poło-  
wą mózgu. Wyniosłem się z Miami jak tylko mogłem najszybciej.  
Miałem dalekomorski kuter rybacki i nim właśnie uciekłem. Wie-  
działem, że będą mnie szukać, więc podałem tyły. W nocy prze-  
malowałem kadłub i zmieniłem nazwę, zaszyłem się na małej wy-  
sepce niedaleko archipelagu Florida Keys, a potem wróciłem na  
Jamajkę. To doktor Franck wyprowadził sprawy na prostą.

– I wydelegował cię na tę małą przejażdżkę – uzupełnił Indy.

– Robię zawsze to, o co doktor Franck mnie prosi. Zawdzię-  
czam mu życie – powiedział stanowczo Jocko. – Mogę o coś za-  
pytać, szefie?

– Wal.

- Dokąd lecimy?
- Do Paryża. To nasz punkt docelowy. To kawał podróży.
- Przez ocean w tym czymś?
- Aha.
- Nie moglibyśmy popłynąć transatlantykiem?
- Moglibyśmy, ale w ten sposób nie zwrócilibyśmy niczyjej uwagi. Potem zobaczymy. Teraz możecie sobie pogadać, ile wlezie. Później chcę was zaznajomić z tym aparatem. W tej chwili czas na leżakowanie.

Patrzyli, jak osuwa się w fotelu, zapina pas, zsuwa szerokie rondo kapelusza na oczy i splata dłonie na brzuchu.

– On naprawdę umie się tak po prostu wyłączyć? – zapytał dziewczynę Jocko.

– Jocko, on już śpi. Idę do kokpitu sprawdzić, czy nie potrzebują tam zmiany.

Jocko miał wątpliwości.

– Prowadź ostrożnie.

– Tak jak ty swoją taryfę – uśmiechnęła się.

– Boże, miej nas w swojej opiece – wymruczał.

Podróż, zapowiadająca się na długą, męczącą dla uszu i mniej niż wygodną, spełniła pokładane w niej nadzieje. Każde lądowanie było błogosławieństwem, ponieważ mogli oddalić się od trzech grzmiących śmigieł i silników trzęsących karbowanym kadłubem forda.

– Kiedy nazwali ten samolot „Błaszaną Gęsią” – narzekał Foulois – nieco rozminęli się z prawdą. Powinien się nazywać „Gorszący Gęgot”.

– Albo „Fabryka Kotłów” – dodał Cromwell. Spojrzał w stronę punktu kierowania lądowaniami na Bangor Field. – Szkoda, że zapomnieliśmy zabrać ze sobą zatyczki... Ale cóż, może tu się nam poszczęści. Gdyby to pomogło, wepchnąłbym do uszu nawet pomarańcze.

Udało im się; gąbczastych osłon uszu do ochrony przed wysokimi częstotliwościami było tu pod dostatkiem i przyjęli je z ochotą. Napełnili swoje duże izolowane bańki gorącą kawą, uzupełnili zapasy wysokoenergetycznych batonów, świeżych kanapek, i innych artykułów pierwszej potrzeby. Chodzili też jak najczęściej, by poprawić krążenie krwi.

Kolejny start, kolejna okazja, by uważnie obserwować każdy wskaźnik i mechaniczną czynność systemów samolotu, i lądowanie w Moncton w prowincji New Brunswick w Kanadzie. Napełnili zbiorniki paliwa, oleju i skierowali się na północ, do Goose Bay, odległego lotniska Royal Canadian Air Force w Nowej Fundlandii. Will i Rene sprowadzili forda na dół poprzez chłozzące samolot wiatry. Nocne lądowanie było ekscytujące. Indy i Gale spali snem sprawiedliwych w swoich fotelach, ale Jocko sterczał w kokpicie i obserwował każdy ruch pilotów rozwartymi z przerażenia oczami.

– To tak, jakby lecieć w tunelu – stwierdził. – I tylko parę tych żałosnych światełek. Jak wy u diabła widzicie, dokąd lecieć i kiedy wylądować?

Cromwell obrócił się ku niemu.

– Działa to tak, chłopcze – powiedział z poważną miną. – Ustawiam maszynę do lotu na prostej, tak jak teraz, i schodzę w dół jak dobra wróżka po księżycowym promieniu. Potem mocno zamykam oczy i...

– Podchodzisz do lądowania z zamkniętymi oczami?

– Oczywiście.

– Ale skąd wiesz, kiedy wyrównać i wylądować?!

– Widzisz, to już robota Rene. To on obserwuje zbliżający się do nas pas startowy. Tuż przed tym, kiedy mamy rozbić się o ziemię, on zawsze – nigdy nie zawodzi, uwierz mi – wciąga powietrze i jakby krzyczy. Brzmi to bardziej jak zduszony gulgot. Kiedy słyszę, że on to robi, odcinam moc, podciągam drążek ku sobie i lądujemy gładko jak po maśle.

Jocko wyszedł, nie wypowiedziawszy ani jednego słowa.

Goose Bay znajdowało się na istnym końcu świata. Mieli przed sobą jeszcze jakieś tysiąc trzysta kilometrów, plus-minus pięćdziesiąt ze względu na niedokładność map. Z pełnymi zbiornikami i zapasem pod skrzydłami mogli przelecieć dwa tysiące sześćset pięćdziesiąt kilometrów w spokojnym powietrzu. Podróż miała być jedną z tych „bułek z masłem”, o których tak często wspominał Cromwell.

Obaj piloci przejrzeni raporty pogodowe z dwóch statków na morzu i stacji z Grenlandii z najpilniejszą uwagą, sprawdzając temperatury i wiatry oraz zmieniające się strefy ciśnieniowe. Potem posłuchali rad weteranów, którzy latali w tej części świata przez okrągły rok.

– Nigdy nie będziecie mieli lepszych warunków niż teraz, – powiedział im kapitan T.C. Hampton z Kanadyjskich Królewskich Sił Powietrznych. – Lepiej przylatywać do leżącego na południowym skraju Grenlandii Narssarsuaq za dnia. Lądowanie tam nocą to samobójstwo. Radzę wam ruszyć stąd około północy. Z waszą prędkością – uśmiechnął się – powinniście dolecieć tam przy doskonałej widoczności.

Pozbierali notatki. Hampton oparł się o ladę i popatrzył na nich z uwagą.

– Trudno uwierzyć, że Lindbergh dokonał tego ledwie trzy lata temu.

– Z pewnością – odrzekł Foulois z całym szacunkiem, na jaki mógł się w tej chwili zdobyć. – Ale Lindbergh to był szalenciec. Miał tylko jeden silnik i leciał non stop. Zasnął nawet po drodze i omal nie wpadł do oceanu. Nigdy nie wyjaśniono, w jaki sposób zamierzał nie zasnąć, pijąc herbatę zamiast kawy czy dobrej francuskiej brandy.

– Poza tym – Cromwell prychnął pogardliwie – nie zapominajmy, że wybrał łatwą drogę powrotną. Statkiem, z maszyną ładnie zapakowaną do dużej skrzyni.

– Spokojnego lotu. Uważajcie na siebie – powiedział Hampton tak, jakby nie padło ani jedno słowo. Nic by tu nie pomogło. Każdy, kto chciał przelecieć nad północnym Atlantykiem, był wariatem.

Jocko leżał rozciągnięty na podłodze, z nogami zahaczonymi o siedzenia i głową ponad otwartą przestrzeń, gdzie znajdował się luk podłogowy. Patrzył w dół przez potężną lornetę. Chciał wyrazić to niesamowite uczucie zachwytu, które odczuwał, ale próba przekrzyknięcia hałasu silnika i wiatru wyjącego w otwartym luku skazana była na porażkę.

Wieloryby. Wspaniałe! Nigdy nie widział ich tyłu i nawet z wysokości tysiąca metrów dostrzegł wyraźnie, jak wyrzucały białe fontanny kropel, kiedy wynurzały się na powierzchnię. Samolot znalazł się głęboko pośród północnych rubieży; pojawiły się góry lodowe, niczym pływający biali strażnicy. Lot był dla Jocko czystą magią. Dawno porzucił swoje obawy; jeżeli ta kobieta czuła się tu jak w domu, to i on też mógł. Ktoś pociągnął go za nogę; obejrzał się i spostrzegł Indy'ego, który dawał mu znaki. Jocko zasunął pokrywę luku i dołączył do Jonesa i Gale.

– Masz minę jak belfer – zwrócił uwagę Indy’emu.  
– A ty jak uczeń. Ty też, Gale – odparł Indy. – Masz rację. Pora na naukę. – Indy zdjął z szyi aparat. Otworzył skórzany futerał i wydobył duplikat lejki, którą sam nosił.

– Chcę, żebyście potrafili szybko obsługiwać ten sprzęt, kiedy zajdzie tego potrzeba. Ja mam zawsze swój aparat, a wy będziecie nosić ten drugi na zmianę, ale oboje musicie być w każdej chwili gotowi do pstrykania zdjęć.

Jocko dokładnie obejrzał lejkę.

– Widziałem już wiele aparatów. Ten to chyba jakaś nowość, co?

– To prototypy. Doktor Franck zdobył dla nas jeden, a drugi jest od doktora Pencrofta z Londynu. Obaj mają odpowiednie kontakty z Leicą. Wiele z tego, co usłyszycie, okaże się dla was nowe. Dla mnie też było, więc zacznę od początku.

Przerobił z nimi instrukcję obsługi, na każdym kroku wszystko demonstrując.

– Ten model nie wszedł jeszcze na rynek. To lejka jeden z fabrycznym numerem 1B. Ustawimy aparaty tak, by miały identyczne klisze, szybkość migawki, wszelkie inne detale.

Lejka 1B była praktycznie wykonanym ręcznie egzemplarzem, do którego wchodził dwudziestoczeroklatkowy film.

– Kliszę wkłada się od spodu. Zwykle w takich aparatach trzeba ręcznie przewinąć film po każdym zdjęciu, używając tych pokręteł na wierzchu. Ale tutaj dodano zasilaną baterią automatykę, więc zaraz po zrobieniu zdjęcia aparat sam przesuwą kliszę. Dzięki temu można trzaskać fotki tak szybko, jak szybko naciska się spust migawki, o tu, a film sam ustawia się w pozycji do następnego zdjęcia. Nadażacie? Super. Nie będziecie musieli zmieniać ustawień. Oczywiście, pojawią się różnice zależnie od warunków pogodowych, ale ogólnie nie chcemy komplikować spraw.

Podał im rolkę filmu.

– To jest film Plus X. Jego ASA to sto...

– Co to jest? – zapytał Jocko.

– Czułość filmu. Obserwujcie, co robię z aparatem i jakie daję ustawienia. W ten sposób szybko będziecie mogli sprawdzić, jak ma być przy zamontowaniu teleobiektywu.

– Teleobiektywu? – powtórzyła Gale.

– Nie musicie tego zapamiętywać – powiedział Indy. – Poza tym możecie później obkuć instrukcję obsługi. Znaczy to, że jeże-

li coś jest bardzo daleko, obiektyw ten działa jak teleskop i znacznie to coś przybliży. To, co przez normalny obiektyw widać jako kropkę, będzie dzięki temu dobrze widoczne. Chciałbym, żebyście oboje porobili zdjęcia tego, co jest pod nami. Gór lodowych, statków, na które się natkniemy lecąc na Grenlandię. Zapisujcie ustawienia i warunki pogodowe. Nie martwcie się o marnowanie filmu. Zużyjcie tyle, ile trzeba, póki dobrze nie zapoznacie się z aparatem. Przy najbliższej okazji damy filmy do wywołania, żebyście mogli obejrzeć rezultaty. Od tego momentu macie być artystami fotografikami.

– Aha – odparł Jocko.

– Pokładasz w nas wielką wiarę – stwierdziła Gale z nutką sarkazmu w głosie.

– A nie powinienem?

– Spodziewasz się, że trafimy na coś konkretnego, co mielibyśmy fotografować? Staram się przewidywać twoje życzenia – rzekł Jocko.

– Świetnie to ująłeś – powiedział Indy. – I masz rację. Coś bardzo konkretnego.

– Czyli? – włączyła się do rozmowy Gale.

Indy odchylił się na oparcie fotela, broniąc się przed nagłym przechyłem od zawirowań.

– Dysk. Półksiężyc, czy jakiegokolwiek kształtu są te pojazdy. Krótko mówiąc, latający talerz. Jak to zwał, tak zwał, ale najprawdopodobniej będzie to latało, do tego bez silników. – Omal nie dodał „które widać”, ale zatrzymał to dla siebie.

Gale i Jocko wlepiali w niego oczy z nieskrywanym niedowierzaniem.

– Ależ Indy! – wykrzyknęła Gale. – A to, co mówiłeś na zebraniach, jak wyśmiewałeś się z... Otwarcie okazywałeś, że nie wierzysz w te historie!

– Owszem, wierzę w nie. Po prostu nie wierzę, że te dyski pochodzą z planety innej niż nasza stara, poczciwa Ziemia. One istnieją naprawdę. Szczerze mówiąc, liczę na to, że będą chciały się do nas dobrać.

Foulois przyszedł do kabiny, żeby zamienić z nimi kilka słów.

– Chyba nie chcielibyście tego przegapić. Grenlandia w zasięgu wzroku. Możecie po kolei iść do kokpitu.

Gale wyjrzała przez okno kabiny.

– Nawet nie zauważyłam, że już dzień!

– Ten Kanadyjczyk nie mylił się co do pogody. Od Goose Bay mamy tylny wiatr przekraczający sto kilometrów na godzinę. Jesteśmy grubo do przodu z czasem. A gdy słońce jest tak nisko nad horyzontem, widoki są... – uśmiechnął się. – Gale, panie mają pierwszeństwo.

Dziewczyna zasiadła w prawym fotelu.

– Nie... nie wyobrażałam sobie, że to może być takie piękne! – powiedziała do Cromwella. Patrzyła oczarowana na skrzące się białe góry lodowe dryfujące przy wybrzeżu i ogromne lodowce trzymające w swych okowach linię brzegową. Była to baśniowa kraina bieli, szczytów, wzgórz i masywnych ścian lodu.

– Will, jak daleko jesteśmy?

– A jak myślisz?

– Jakieś dwadzieścia, dwadzieścia pięć kilometrów.

– No cóż, to zapewne najczystsze i najbardziej przejrzyste powietrze, z jakim miałaś do czynienia. Od wybrzeża dzieli nas ponad sto kilometrów.

Pozostała tam przez kilka minut, a potem poszła do kabiny, aby także Indy i Jocko mogli podziwiać niesamowity widok, jaki się przed nimi rozpościerał.

Foulois powrócił do kokpitu.

– Wybacz, Indy. Muszę tu być podczas tego podejścia. Lotnisko, którego szukamy, a właściwie nagi pas startowy, nie jest położone na wybrzeżu.

– Cholera, całkiem nie na wybrzeżu – zgodził się Cromwell. – To zabójca. Znajduje się w jednym z tych fiordów – wskazał przed siebie – około osiemdziesięciu kilometrów w głąbi lądu. Będziemy lawirować między górami o wysokości przekraczającej półtora kilometra i nie możemy źle skręcić, bo zapędzimy się w ślepią uliczkę. Musimy odnaleźć właściwy fiord, a potem nawlec tę igłę. – Zachichotał. – To naprawdę bardzo proste. Jest tylko jedna droga wjazdu, a przy odlocie pozostanie nam też tylko jedna, ta sama droga wyjazdu. I musimy wylądować za pierwszym podejściem.

– A co będzie, jeśli się nie uda? – zapytał Indy.

– No cóż, roztrzaskamy się o górę, która jest na drugim końcu pasa.

– Bułka z masłem, co?

– Oczywiście. Pod warunkiem, że zrobi się to właściwie.

Podjęcie okazało się oszałamiającą, pobudzającą i przerażającą serią zakrętów i zwrotów w wąskim gardle fiordu, której towarzyszył nieustanny ryk silników. Potem nagle pojawiło się lądowisko i Cromwell sprowadził trójsilnikowiec na dół, jakby zjeżdżał po szklanym stoku. Dokołowali do niewielkiego punktu kierowania lądowaniami. Spodziewano się ich i nieduży traktor z przyczepą załadowaną beczkami z paliwem natychmiast podjechał do samolotu. Obaj piloci pomogli pracownikom rampy w jak najszybszym napełnieniu zbiorników. Uzupełnili olej, a następnie Cromwell i Foulois obejrzeni samolot od dziobu po ogon, sprawdzając wszystko, czego tylko mogli dotknąć. Gdy zakończono wszystkie prace, było już wczesne popołudnie.

Cromwell poszedł porozmawiać z Indym.

– Możemy tu zostać na noc i wyruszyć rano przed pierwszym brzaskiem. Albo możemy wystartować zaraz, spać na zmianę i dotrzeć do Islandii jeszcze w nocy. Jeżeli jednak ten wiatr się utrzyma, starczy nam paliwa, by przeskoczyć Islandię i Wyspy Owcze i o brzasku dotrzeć do Szkocji. Wtedy będziemy mogli siadać tam, gdzie ci się spodoba.

– Ty jesteś pilotem, Will. Co myślisz?

– Do przodu, stary.

– Wykonać – rzekł Indy. Dwadzieścia minut później lecieli już fiordem w kierunku otwartego morza.

Po dwóch godzinach Gale gwałtownie szarpnęła ramieniem Jonesa.

– Obudź się! – wrzasnęła mu prosto do ucha. Gdyby nie otrząsnął się z mgły snu, gotowa była ugryźć go w to ucho.

Indy niemal wystrzelił w górę jak z katapulty.

– Co się stało? – zapytał natychmiast. Rozejrzył się wokoło; wszystko wyglądało normalnie.

– Statek! – wykrzyknęła Gale. – Musisz koniecznie zobaczyć ten statek!

Niemal zawlokła go na przeciwną stronę kabiny. Znajdowali się na wysokości tysiąca dwustu metrów, jakieś trzysta metrów ponad chmurami, które częściowo zasłaniały widok na powierzchnię oceanu. Dalej był prześwit. Indy przycisnął twarz do okna, otworzył szeroko oczy, potem odwrócił się i warknął:

– Zdjęcia! Róbcie zdjęcia!



W jednej chwili sam zaczął pstrykać swoim aparatem. Ponad kilometr pod nimi, zostawiając za sobą szeroki kilwater w kształcie ogromnego V, płynął największy statek oceaniczny, jaki widział w swoim życiu. Ten niewiarygodny tankowiec miał co najmniej trzysta do trzystu pięćdziesięciu metrów długości. Indy nie dostrzegł masztów, bomów ładunkowych i sprzętu pokładowego przeciętnego tankowca; cały statek od dzioba po rufę był ogromnym płaskim pokładem. Po obu burtach statku sterczały długie dźwigary krzyżowe. Z olbrzymiego żelaznego komina wydobywał się gęsty pióropusz dymu, który zakrzywiał się w poprzek prawej strony odeskowania pomostu i zwisał nad statkiem ciągnącym się aż po widnokrąg całunem. Indy wypstrykał pół rolki filmu, porwał słuchawki z mikrofonem i wcisnął je na głowę.

– Will, tu Indy. Słyszysz mnie?

– Tak. O co chodzi?

– Widzisz ten statek pod nami?

– Już od jakiegoś czasu. Nigdy nie oglądałem czegoś podobnego. Jest absolutnie gigantyczny. A ten pokład. Można by na nim wylądować każdym sprzętem, jeżeli do tego właśnie służy.

– W tej chwili to nieważne. Ale masz rację – powiedział Indy pospiesznie. – Słuchaj, chcę żebyś buchnął się w bok, schował w chmurach, a potem przeleciał nisko przy jego prawej burcie.

– Sterburcie, tak.

– Do licha ze sterburcią! Po prostu przeleć od strony rufy wzdłuż prawej burty, kapujesz? A potem wyciśnij z tego blaszaka całą prędkość. Gdy tylko przeleczysz nad dziobem, ostro zasuwasz przez dwadzieścia kilometrów, a potem wznos się tak szybko, jak tylko się da.

Will i Rene już wykonywali jego rozkazy; podczas gdy rozmawiali, ford pochylił nos; Indy usłyszał, jak moc wzrasta, a wiatr wyje coraz głośniejszą miarę zwiększania się prędkości samolotu.

– Sprowadź go w dół jak możesz najszybciej, Will. I bądź gotowy na wszystko, rozumiesz?

– Czego ty się, do diabła, spodziewasz tam na dole?

– Może do nas dołączyć towarzystwo. Jeżeli tak, porobimy im stąd zdjęcia.

– Spodziewasz się... – Will Cromwell przerwał na kilka chwil, gdyż ford wpadł w turbulencje i samolot trząsł się, jakby podskakiwał na zwrotnicach kolejowych. Wreszcie wyszli z zawirowań. – Spodziewasz się tych pojazdów tak daleko nad oceanem?

– Nie.

– To o co biega, stary?  
– Dowiesz się, kiedy sam zobaczysz. Przez cały czas będę przy telefonie. – Indy złapał się uchwytu fotela, gdyż nosem fordą zakolebało gwałtownie na boki; potem samolot wyrównał lot. – Nie możesz lecieć szybciej?

– Naturalnie. Ale nie damy rady wyjść z nurkowania. Nie bój nic, lecimy szybciej, niż się staruszkowi fordowi śniło.

Trójsilnikowiec wyszedł z ryczącego, zakrzywionego ślizgu i kiedy wyrównał, Cromwell przelał pełną moc do silników. Mimo prędkości, z jaką lecieli, wydawało się, że okropnie się wloką przy ogromnej sylwetce prującego fale statku. Indy i Gale robili zdjęcia tak szybko, jak tylko mogli. Widzieli ludzi, małeńkie, patyczkowate figurki na tle masywnego okrętu. Byli już prawie nad dziobem, gdy Jocko przypadł do boku Indy'ego, przekrzykując ryk silników i wiatru:

– Mamy gości! Za nami, po prawej!

– Jakich gości?

– Miałeś rację, szefie. Nadlatują te wariaty! Wyglądają jak dyski!

– Gale! Oszczędzaj film! Przejdź na drugą stronę. Coś szybkiego będzie nas mijalo z prawej strony! Rusz się!

Włączył ponownie telefon pokładowy.

– Hej, tam na przedzie, słyszeliście to?

– Co tam macie, Indy?

– Jocko powiedział, że dyski. Powinny nas zaraz wyprzedzić. Będą musiały polecieć daleko przed nas. Will, kiedy zobaczysz, że nas mijają, natychmiast daj całą moc na wznoszenie. Jak najszybciej schowaj nas w chmurach.

– Się robi, mistrzu. – Cromwell był klasą sam dla siebie.

Indy zatoczył się na drugą stronę kabiny.

Zobaczył je!

Dwa złociste obiekty w kształcie dysków dochodziły ich z zastraszającą szybkością. Za chwilę miną fordą, jakby leciał do tyłu. Gale pstrykała aparatem, jak mogła najszybciej; aparat Jonesa także wkroczył do akcji. Indy nie miał czasu na przyglądanie się szczegółom. Będzie na to czas później, kiedy wywoła film i zacznie studiować odbitki.

Coś mignęło z jego prawej strony, słońce odbiło się od przypominającego brąz metalu. „Dysk” był raczej owalnego kształtu i miał pośrodku okrągły bąbel kokpitu. Indy postawiłby ostatniego

dolara, że było to specjalnie wzmocnione szkło pancerne. Mimo prędkości, z jaką pojazd przemknął obok nich, Jones zdążył zauważyć, że szklana kopuła nie składała się z jednego kawałka, ale z płaskich tafli obramowanych metalowymi listwami. Wyglądało to niemal archaicznie w zestawieniu z tym owalnym kształtem.

Ował zniknął im z oczu. Indy zerwał z głowy słuchawki i pognął do kokpitu.

– Leć za nim! – wrzasnął do Cromwella.

– Moment! – odwrzasnął Cromwell, wchodząc w manewr poślizgu, który ustawił ich dokładnie na drodze przebytej przez dysk. Chwilę później Indy uśmiechnął się ponuro do siebie. Było dokładnie tak, jak przewidywał. Ale przeanalizuje to wszystko później. Teraz należało wykonać nieśmiertelny manewr wzięcia tyłka w troki i wynoszenia się stąd, póki jeszcze można.

– W górę, Will. Wznośmy się jak najszybciej i ukryjmy w chmurach. Kurs na Szkocję, ale rób wszystko, co trzeba, żeby pozostać w ukryciu.

Kiedy to mówił, Will przyciągał już drażek do siebie, z przepustnicami otwartymi na maksymalną moc, by wywindować forda do góry i naokoło w zakręcie bojowym.

– Indy, przy takich osiągnięciach oni zaraz po nas wrócą i...

– Nie wrócą. To znaczy, nie tak znowu zaraz. Rene, o ile to możliwe, nie spuszcza z nich oka. Będą musieli daleko odlecieć, zanim zdołają zawrócić, i jeżeli się nie pomyliłem, do tego czasu znajdziemy się już w chmurach.

Obaj piloci popatrzyli na niego jak na zjawę.

– Skąd możesz wiedzieć – zapytał z wolna Foulois – jak one latają?

– Bo spodziewałem się tego spotkania.

Wyszedł z kokpitu, odprowadzany spojrzzeniami obu oniemiałych pilotów.

## 14.

Aż do tego samego dnia dwa lata temu jego rodzina, przyjaciele, kraj i większość przemysłowego, ekonomicznego i politycznego świata znała go pod nazwiskiem Konstantina LeBlanca Cordasa. Za obydwojma tymi nazwiskami stały potężne rody i olbrzymie udziały finansowe w Rosji, Francji i Hiszpanii, z przedstawicielstwami i dzierżawami w dwunastu innych krajach na całym świecie.

Konstantin LeBlanc Cordas był wielokrotnym miliarderm. Nie z przyczyny kont walutowych czy liczby posiadanych sztab złota i platyny, na których mu także nie zbywało, lecz w kategoriach prawdziwego bogactwa tego świata. Był właścicielem linii morskich, fabryk, kopalń, linii kolejowych, rozległych terenów uprawnych na trzech kontynentach. Do jego najbliższych przyjaciół należeli finansowi magnaci we własnych krajach: właściciele stalowni i hut oraz ogromnych fabryk sprzętu wojskowego. Chemikalia, syntetyki, ciężarówka, stocznie; mieli wszystko.

Cordas został obdarzony potężnym, bystrym i dociekliwym umysłem. Precyzyjnie analizował wszelkie problemy i wyzwania. Miał fenomenalną pamięć i codziennie zachłannie śledził wydarzenia na świecie. Z woli losu zawisło jednak nad nim przekleństwo, klątwa, która nie pozwalała mu spocząć. Było to uczucie – nie, całkowita pewność – że jego przeznaczeniem jest pomóc światu przetrwać czas cierpień, a może i całkowicie zażegnać niebezpieczeństwo Ostatecznej Wojny, uważanej przez niego i jego najbliższych współpracowników za nieuniknioną. Cóż za ironia: Wojna Kładąca Kres Wszelkim Wojnom, która skończyła się w tysiąc

dziewięćset osiemnastym roku finałowym krwawym wybuchem, stworzyła jedynie podłoże dla jeszcze większych i bardziej zabójczych przyszłych konfliktów.

Ci ludzie – Cordas i jego krąg – wiedzieli o straszliwej broni masowej zagłady rodzącej się w umysłach bezdusznym naukowców i nikczemnych, chciwych ludzi, pożądających największej ze wszystkich przyjemności: władzy. Wielka Wojna z jej łodziami podwodnymi, bombowcami, gazami trującymi, bronią automatyczną, czołgami prącymi z hałasem przez pola bitew niczym opancerzone dinozaury – wszystko to było jedynie zwiastunem wywaru, który już wrzał w kotle następnej wojny.

Trzeba to natychmiast powstrzymać, zdecydował Cordas dwa lata wcześniej. Trzeba to powstrzymać, uciekając się do wszelkich możliwych środków. Przemozna władza czaiła się wzdłuż każdego frontu: politycznego, wojskowego, przemysłowego, ekonomicznego. Ludzkie umysły należy kontrolować, gdyż pewnego dnia mogą odpowiedzieć na zew krzykliwych trąbek i łopoczących sztandarów, które wysłały miliony na męki i śmierć, a teraz obiecywały powtórzyć te okropieństwa.

Cordas i pięćoro jego najlepszych druhów, pięć najpotężniejszych i najbogatszych osób na świecie, doszło do porozumienia. Poświęcą rodziny, przyjaciół, a nawet swoje życie, by we własnych rękach zgromadzić ostateczną władzę, dzięki czemu będą mogli sterować przeznaczeniem własnej planety.

Prowadzili drobiazgowo, wyteżone, otoczone największą tajemnicą przygotowania. Poznali najnowocześniejsze systemy wojskowe, naukowe, techniczne i lotnicze, z których wiele nie było jeszcze powszechnie znanych.

Kiedy uznali, że są już gotowi, wiedzieli, iż muszą być bezwzględni. Sześciu osobom sownie zapłacono za przybranie postaci Cordasa i jego grupy. Przeszły one operacje plastyczne twarzy. Nawet ich zęby zostały zmienione, by idealnie odpowiadały zębom tych, do których mieli się upodobnić. Ich rodziny wysłano w odległe części świata, wyposażono w domy i zabezpieczenie finansowe. Kiedy już bezpiecznie usunięto je z drogi, zaaranżowano wspaniałą podróż dla Konstantina LeBlanca Cordasa i piątki jego przyjaciół. Dla sobowtórów.

Istotnie była to wspaniała podróż. Cordas Mountain Industries wyczarterowało ogromny czterosilnikowy hydroplan „Super Wal II”. W wytwornych kabinach, ulokowanych na dziobie i rufie wzdłuż

całej długości kadłuba, znalazło się dwadzieścia sześć osób: przemysłowcy, kilkoro członków rodziny i przyjaciele z całej Europy. Wydarzenie zostało niesłychanie nagłośnione. „Super Wal” miał wystartować ze szwajcarskiego jeziora w podróż przez fiordy Norwegii na południe, za Morze Śródziemne, na afrykańskie safari.

To uroczyste wydarzenie otworzył wystawny bankiet. Najbardziej wpływowi potentaci przemysłowi na świecie weszli na pokład „Super Wala” z rodziną i przyjaciółmi. Setki dziennikarzy przybyły na miejsce, by utrwalić każdą chwilę ostatnich pożegnań, gdy sławne osobistości machały do kamer kroniki filmowej. Nad dokiem startowym rozbłysły fajerwerki i dwie orkiestry zagrały na tyle głośno, by je słyszeć ponad szczekliwym rykiem czterech silników wyprodukowanych przez Bavarian Motor Works. „Super Wal” podpłynął do przeciwległego brzegu jeziora, aby móc wystartować dokładnie pod wiatr. Warunki były idealne, z lekkim wiatrem i pasem otwartej wody o długości co najmniej sześciu kilometrów. Kiedy hydroplan zrobił ostatni zakręt, muzyka ucichła, by wszyscy mogli wyraźnie usłyszeć rosnący grzmot silników osiągających pełną moc. Samolot mknął po jeziorze coraz szybciej i szybciej, jak wielki skrzydlaty cud zmuszający powietrze do uniesienia go w górę. Szybciej, szybciej; w zapierającym dech pędzie, gdy nagle...

Eksplozja zaczęła się od niewielkiej plamki ognia na umieszczonych w skrzydłach zbiornikach paliwa. W jednej chwili płomień buchnęły na zewnątrz i zamieniły się w płonącą kulę, która spowiła miotający się, rozpadający, wybuchający samolot i jego nieszczęsnych pasażerów, palących się i miażdżonych na krwawą masę. Kamery pracowały, uwieczniając te okropności i utrwalając krzyki świadków.

Nieliczne części ciała i kości albo unoszące się na wodach jeziora, albo wydobyte z jego głębokiego dna, zidentyfikowano później jako należące do Konstantina LeBlanca Cordasa i jego dobowej świty. Uroczystości pogrzebowe, przemowy i szloch rozładowały pierwotny szok. Cordas czuł się w pełni usatysfakcjonowany. On i jego elitarna grupa byli „martwi”. Sześć trupów i sześcioro żywych, lecz ci drudzy dla świata nie istnieli. Pięciu mężczyzn i jedna kobieta. Stratę Wilhelminy von Volkman szczególnie odczuli jej podopieczni. Wspierała ona młodych muzyków, poetów, naukowców. Teraz już jej nie było.

Nikt nie wiedział, że Wilhelmina von Volkman odrodziła się jako Marcia Mason.

Spoglądał przez grubą szybę okna w Wysokiej Wieży zamku Blanchefort, położonego kilka kilometrów od drugiej dobrze strzeżonej starożytnej budowli, przebudowanej wewnątrz dla poprawy wytrzymałości struktury i dodania najnowocześniejszych urządzeń do komunikacji ze światem. Drugim wielkim gmachem było Rennes-le-Chateau, wewnątrznie stanowiące niemalże duplikat Blanchefort. Halvar Griffin ustanowił regułę, że członkowie Grupy Sześciorga, jak ich nazwał, nigdy nie mogą znajdować się razem w jednym miejscu. Musiał im wystarczyć kontakt za pomocą kabla telefonicznego i naściennych interkomów; obserwacja ruchu warg i mimiki twarzy była zbyteczna.

Halvar Griffin zrazu tęsknił za żoną i dziećmi i zastanawiał się, jak sobie radzą teraz, kiedy ich mąż i ojciec, nie kto inny jak Konstantin LeBlanc Cordas, został poszatkowany i usmażony w tragicznym wypadku hydroplanu. Ale z każdym dniem tęsknota stawała się coraz mniej dokuczliwa. Zarówno żona Madelon, jak i dzieci, powoli odchodzili w niepamięć. Byli częścią innego życia, innego czasu.

Skupianie wielu elementów władzy międzynarodowej, pomimo pewnych sukcesów, napotykało liczne przeszkody. Halvar Griffin znany był w swym poprzednim życiu jako finansista i przemysłowiec, ale w głębi serca, po latach spędzonych w szkołach i uniwersytetach, został niezwykle utalentowanym ewolucjonistą, człowiekiem łączącym wszystko od historii i antropologii po nauki psychologiczne i społeczne w jedną całość w odniesieniu do tego, co składa się na rasę ludzką lub raczej wiele ras. Bo to nieprawda, że wszyscy ludzie rodzą się równi albo podobnie myślą, lub oddają się tym samym pasjom i marzeniom, czy też mają te same szanse na posiadanie zdrowia i bogactwa.

Ludzkość to źródło gwałtownych i diabolicznych emocji, rozległe pole trzciny, które można zgiąć najłżejszym wiatrem. Łatwo ją zatruć chciwością, skąpstwem, egoizmem i przede wszystkim tą odwieczną i piekielną chęcią posiadania władzy, dominacji nad innymi, bez względu na to, ile pochłonie to istnieć i jakie pociągnie za sobą zniszczenia. Ważyły się losy przetrwania cywilizacji.

To właśnie Griffin – a już powoli tracił ostatnie pozostałości swego poprzedniego „ja” nawet w sposobie myślenia i mówienia – zrozumiał, że kluczem do sukcesu, którego poszukiwali jako życzliwi władcy przyszłości planety, było właściwe korzystanie z nauk społecznych. Muszą wypracować metody, by przekonać wszystkich ludzi, że ich przetrwanie może mieć źródło jedynie w życzliwości.

To stanowiło ich cel. Dopóki żaden członek Grupy Sześciorga nie poszukiwał powszechnego uznania jako pośrednik władzy, ich przedsięwzięcie, którego wielokrotnie podejmowały się w przeszłości wielkie imperia, miało duże szanse powodzenia. Zaplanowali je idealnie i dotychczas wykonywali bardzo dobrze swe wstępne posunięcia dla zwrócenia uwagi, następnie dla zadziwienia i przestraszenia całego świata. Miało to wkrótce zaowocować przyzwoleniem i posłuszeństwem.

Nie ma nic, w co ludzie by głębiej wierzyli, akceptowali, bali się czy nawet czcili niż to, co według Griffina stanowiło dominującą potęgę w historii. Wielkie Kłamstwo. Wykalkulowana dezinformacja, która potrafi zniszczyć potężne armie, kierować milionami ludzi z taką łatwością, z jaką pasterz i jego psy prowadzą stado owiec. Nie trzeba było udowadniać masom tego, w co miały uwierzyć; należało jedynie doprowadzić je do stanu akceptacji. Wtedy uwierzą we wszystko, od czarowników i wiedźm po bogów i boginie.

Oraz w przybyłą na Ziemię obcą cywilizację o zaawansowanej nauce, technologii i sztuce wojennej.

Na początku pomysł ten wydawał się absurdalny. Czy rzeczywiście uda się przekonać ludzi o prawdziwości przybyszów z kosmosu? Griffin śmiał się, ale jego śmiech, w którym niedługo zawtórowała mu jego elitarna grupa, był raczej wyrazem przekonania niż wątpliwości.

– Weźcie pod uwagę, w co ludzie wierzą – zwrócił się do pozostałych. – Duchy mieszkają w wodzie, powietrzu, pszenicy, świątyniach, błyskawicach i chmurach. Mamy potężnie zbudowane kobiety o pełnych piersiach, które zawożą martwych bohaterów na skrzydlatych koniach do Walhalli. Są bogowie powstający z wód, bogowie mieszkający w chmurach, duchy drzew i niedźwiedzi. Miliony małych pługawych kotów to diabelscy posłannicy i słudzy Szatana. Mężczyźni przybierają postać wilkołaków. Wampiry są ludźmi za dnia, a skrzydlatymi maskarami w nocy. Bez drewnianego pala czy srebrnego pocisku nie sposób ich uśmiercić. Ziemia jest płaska i można spaść z jej krawędzi; miliony ludzi są nadal święcie o tym przekonane.

A, nasi kosmici. Tak, tak; lecz oni nie będą wytworem wyobraźni. Będą prawdziwi – słyszalni, widzialni i zabójczy. Będą igrzać z ludzkim życiem tak łatwo, jak robią to skrzydlaci wysłannicy Hadesu, lecz zaczną negocjować z ludzkością. W końcu narzucą jedynie niewygodne reguły, lecz złamanie ich spowoduje narażenie się



na destrukcję. To uczciwe postawienie sprawy! Jeżeli ludzie na świecie uwierzą, że to ochrona zesłana z nieba w celu oddalenia groźby masakr wojennych, mogą nawet poprzeć ideę, którą reprezentujemy. Oczywiście – Griffin wykrzywił usta – mogą też zrobić coś wręcz przeciwnego. Wierzę jednak, że dzięki dokładnemu planowaniu i precyzji wykonania uda nam się osiągnąć cel.

Adepci Griffina, których troje przebywało z nim w zamku, pozostała dwójka zaś słuchała przez głośnik radiowy, ulegali coraz bardziej jego porywającej przemowie.

John Scruggs – okropne nazwisko dla przebiegłego Hiszpana, będącego głównym dilerem opium i narkotyków w globalnym handlu – poprosił o głos. Griffin skinął przyzwalająco. Scruggs, spryciarz z półświatka, który zgromadził ogromną władzę i wpływy, zawsze trafiał w sedno bolączek.

– Kilka spraw, Griffin. – Uśmiechnął się. – Jak sądzisz, przyjacielu, jak długo rządy, z którymi mamy do czynienia, będą akceptować tę szaradę z siejącymi zniszczenie na świecie przybyszami z kosmosu?

– Rządy? Jeżeli chodzi o naukowców, inżynierów, wojskowych, przywódców – to niezbyt długo. Wielu z nich w to nie wierzy. Nie wiedzą, z czym mają do czynienia. Są dezorientowani, rozdrażnieni, zakłopotani, ale przerabiali już wcześniej takie problemy i zapewne wkrótce zdecydują, że pozostała część tego systemu słonecznego pozostaje niezamieszkana. – Wbił spojrzenie w Scruggsa. – Ale powiem wam jedno. Masy uwierzą. Wierzą już teraz, a my podtrzymamy tę wiarę.

Scruggs pokiwał głową.

– Za bardzo naciągasz prawdę. Oferujesz bajeczkę i...

– Niech cię szlag – warknął Griffin. – Nie wiesz, w co ludzie naprawdę wierzą? W to, że wnętrzości kurczaka i rzucone kości mogą im odkryć przyszłość, aby wiedzieli, co i kiedy robić. Zawierzyłybyś swoje życie kartom tarota, John? Nie? Może w takim razie kryształowym kulom? Albo mamrotaniu Cyganki wróżącej z fusów lub twoich obleśnych dłoni! Zastanawiasz się nad obrotami i koniunkcją planet i księżyców, które przepowiedzą twoje wrzody lub życie intymne? Każdy, kto wierzy w takie rzeczy, w szczęście, czary, amulety i wszystkie te idiotyzmy, może też uwierzyć w obcych! Szczególnie w takich obcych, co sięją zniszczenie na świecie, jak dotąd ze wspaniałymi efektami i niepowstrzymaną furją. Mogę cię zapewnić, że zwiększymy je tysiącrotnie dla tych

przesądnych nieszczęśników, którym musimy wskazać drogę do ich własnej przyszłości.

– W takim razie kolejne pytanie, mistrzu Griffin.

Griffin zignorował zgryźliwy ton.

– Słucham, słucham.

– Powiedz, dlaczego dotychczas nie potrafiłeś uwolnić nas od tej zarazy, przeszkadzającej w naszych planach?

– Zakładam, że chodzi ci o tego Amerykanina, Jonesa.

– Dobrze zakładasz. Próbowaleś, ileż to już razy, trzy, może cztery, wyeliminować go? I nic?

– Ośmielę się przypomnieć, że dwa razy, i to przy pomocy wybranych przez ciebie zabójców – warknął Griffin.

Scruggs uśmiechnął się i uklonił, uznając własną porażkę.

– Przyznaję. W takim razie co go utrzymuje przy życiu? I dlaczego tak nam zależy na zabicu go?

– Pozwól, że ja odpowiem – wtrąciła Marcia Mason. Omówiła zebrania, w których brała udział, siedząc naprzeciwko profesora Henry'ego Jonesa. Nie pominęła słownych utarczek z tym nieznośnym człowiekiem. – Martwi mnie, że nie zdołałam zidentyfikować wielu jego współpracowników. Z pewnością ta stara, roztrzęsiona skamielina Pencroft z Uniwersytetu Londyńskiego nie jest osobą koordynującą toczące się dochodzenie. A zatem są inni. Jestem przekonana, że wcześniej czy później trzeba będzie wyeliminować Filipa Castilano. Ale pozostali... – zacisnęła pięści w nagłym przyplwywie złości. – Nadal ich nie znamy. Jestem przekonana, że porozumiewają się za pomocą szyfrów, których nie potrafimy złamać, i nikt nie zna na pewno całej listy ich ludzi na górze zaangażowanych w tę sprawę.

Wszyscy odwrócili głowy na przeciągłe westchnienie Griffina.

– Jest jeszcze coś. Dopiero niedawno się o tym dowiedziałem. Jones i jego grupa przelecieli nad Atlantykiem samolotem Forda. Trójsilnikowcem ze specjalnymi modyfikacjami dla użytkownika większego zasięgu.

Scruggs był zaintrygowany.

– I co z tego?

– Natknęli się na nasz statek na pełnym morzu.

– Zobaczyli więc statek. – Scruggs wzruszył ramionami.

– Nie tylko zobaczyli. Zanurkowali z chmur i przelecieli wzdłuż statku, nawet niżej niż poziom pokładu, i jak wynika z obserwacji załogi, zrobili wiele zdjęć. Mogą się na ich podstawie domyślić przeznaczenia jednostki.

Wzruszenie ramion zostało zastąpione zmarszczeniem brwi.

– To niedobrze. Nasz statek może stać się zwierzyną łowną. Nawet z ochraniającymi go łodziami podwodnymi jest łatwym celem. To bardzo niepokojące, Griffin. – Scruggs przez chwilę zastanawiał się głęboko. – Dlaczego nie zajęły się nimi dyski? Mówiłeś, że lecieli fordem? Dyski są szybsze o setki kilometrów na godzinę. Dlaczego nie zniszczono ich maszyny? Powiedziałeś też, że miało to miejsce nad oceanem. Co za idealna okazja! Spadliby do wody i pochłonąłby ich bezmiar Atlantyku.

– Wyglądało na to, że ludzie lecący tym samolotem potrafią przewidywać, co zrobią dyski, jak polecą i jakie mogą być ich ograniczenia.

– Na rogate dusze moich przodków, skąd mogli to wiedzieć?!

– Nie mam pojęcia. Ale Jones albo wie, albo wydedukował o wiele więcej niż sądziłem, iż jest możliwe. Nie zapominajcie, że działa we współpracy z najświetlejszymi umysłami technicznymi Anglii i Ameryki. Chociaż wydaje mi się, że to jego własna znakomita znajomość przeszłości i wypróbowana umiejętność łączenia wielu drobnych szczegółów w większe całości tak nam dokuczają.

– Jak możemy się dowiedzieć, co on wie? Kobieta już wspomniała, że ich kontakty są zaszyfrowane.

– To dość proste. Zaprosimy go, by złożył nam wizytę – powiedział Griffin. – Skończyła się zabawa. Umocniliśmy naszą pozycję tak, jak to wstępnie planowaliśmy. Przyszedeł więc czas na pozbycie się Jonesa i na rozbitcie stojącej za nim grupy.

– Myślałem, że chcesz go tu zaprosić – powiedział gniewnie Scruggs.

– Bo chcę. I tak zrobimy.

– Jeżeli zabijesz go tutaj, popełnisz najgorszy błąd...

– On tu nie dotrze – odparł Griffin. – Jones będzie na uniwersytecie w Londynie. Wiemy o tym. Wiadomo nam również, że zamierza odwiedzić Paryż.

– Co oznacza jedynie – ostrzegła Mason – że łaskawie pozwolono nam poznać jego plany.

– Możliwe. Nawet prawdopodobne. Przepłynie kanał parowcem. Będzie z nim kilku z jego ludzi. Ten statek nigdy nie dotrze do Francji, podobnie jak Jones.

## 15.

Prom pasażerski „Barclay” uwolnił się ze swej smyczy w Portsmouth i posuwając się wzdłuż północnego wybrzeża wyspy Wight, powoli nabierał prędkości do podróży przez kanał do Le Havre. Na pokładzie „Barclaya” znajdowało się dwustu dziewięciu pasażerów, trzydziestu ośmiu członków załogi i różne pojazdy oraz bagaże, poczta i zafrachtowany towar. Był to solidny statek, znany bywałe na trasie między Anglią i Francją, a przeprawa późnym popołudniem zapowiadała się na szczególnie wygodną, przy delikatnej bryzie i powierzchni morza niezwykle jak na kanał La Manche spokojnej.

Na liście pasażerów znajdowały się nazwiska profesora Henry’ego Jonesa z Uniwersytetu Londyńskiego, jego sekretarki Frances Smythe i ich służącego, Jocko Kilarneya, który krążył opiekuńczo wokół Jonesa i kobiety. Dla kogokolwiek, kto zobaczyłby tę trójkę, byłoby oczywiste, że Jones cierpi na straszliwe przezięczenie, okutany w gruby płaszcz i szalik, z naciągniętą na uszy ciepłą czapką. Okropnie kichał i kasłał, zasłaniał usta dużą chusteczką i nierówno oddychał. Ze względu na innych pasażerów, Jones i jego dwoje towarzyszy podróży pozostali przy balustradzie na rufie, wykorzystując zakrzywioną opiekuńczo ścianę, by osłonić się od wiatru.

„Barclay” znajdował się na środku kanału, gdy na całym promie rozbrzmiały podekscytowane głosy i krzyki. Pasażerowie wylegli z wnętrza na pokłady zewnętrzne i pokazywali coś palcami na niebie. W popołudniowym słońcu, świecąc złościście i odbija-

jąc światło, płynął w powietrzu tajemniczy statek. Niewiarygodny gigant mruknął cicho, bo zagłuszał go łomot silników „Barclaya”, szum wiatru spowodowanego jego szybkością i odgłos fal rozbijanych kadłubem.

Frances Smythe obserwowała zjawisko razem z innymi.

– Szkoda, że nie możemy wysłać myśliwców, by zajęły się tym czymś – zwróciła się do obu mężczyzn. – Pozbyć się tego raz na zawsze. Ludzie zaczynają wierzyć, że nie jesteśmy w stanie im nic zrobić.

Pod złocistą machiną znajdującą się wysoko nad nimi nagle błysnęło. W tej samej chwili pojawił się snop oślepiającego światła, kolumna kłującego w oczy blasku, łącząca obiekt z „Barclayem”. Pasażerowie nie widzieli jeszcze tak niewiarygodnej jasności. Smuga padła na prom jak fizyczny cios, zmuszając krzyczących ze strachu ludzi do zakrycia oczu.

Światło widziało także wiele innych jednostek, dużych i małych, przepływających w tym momencie kanał. Jarzyło się ono wystarczająco długo, by zwrócić uwagę na wiele kilometrów wokoło, a potem obserwatorzy patrzyli z niedowierzaniem, jak „Barclay” wybuchnął ogromną kulą ognia. Z powodu odległości nie było jeszcze słychać odgłosu wybuchu. Kilka sekund później siła potężnej eksplozji przetoczyła się z hukiem po wodach kanału. Chwilę potem kotły „Barclaya” rozerwały prom na dwoje, uśmiercając większość ludzi, którzy przeżyli straszliwy pierwszy wybuch.

Promień pochodzący ze statku powietrznego zgasł, tak jakby ktoś nagle wyłączył kontakt. Niezwykła poświata nadal rozjaśniała powierzchnię kanału, gdy płonące szczątki „Barclaya” zaczęły zanurzać się pod wodę, zabierając ze sobą ponad dwieście osób.

Sekretarka Pencrofta przemierzyła jego gabinet w drodze do telefonu stojącego na stoliku pod ścianą. Po trzecim dzwonku podniosła słuchawkę.

– Tak?

Następnie zwróciła się w stronę obecnych tam osób i skinęła na Thomasa Treadwella.

– To z pańskiego biura.

Treadwell szybko podszedł do telefonu. Obserwujący go Indy, Gale i Pencroft umilkli, gdy Treadwell słuchał swego rozmówcy

przez kilka minut, przerywając jedynie zwięzłymi pytaniami. Henshaw, który przyплыł do Anglii statkiem transatlantyckim ledwie tego ranka, chodził nerwowo po pokoju. Foulois i Cromwell byli zajęci na pobliskim lotnisku.

Wreszcie Treadwell powiedział:

– Dobrze. Przez jakiś czas można mnie zastać pod tym numerem. Jeżeli będziesz miał coś nowego, dzwoń natychmiast.

Powoli odłożył słuchawkę i westchnął ze zmrużeniem.

– Tym razem przesadzili. – Jego twarz miała zmartwiony wyraz. – To „Barclay”. Ten statek powietrzny go zatopił. Wysłał jakiś promień świetlny, niezwykle skupiony, jak wynika ze wstępnych raportów, i „Barclay” został rozerwany na dwie części. Poszedł na dno, zabierając ze sobą większość pasażerów.

Sir William Pencroft zatrzęsł się z powodu wieku, zmęczenia i zdenerwowania. Jego spojrzenie krążyło od Treadwella do pułkownika Harry’ego Henshawa. W końcu zatrzymało się na Gale Parker, której beznamiętna twarz ukrywała uczucia. Jej oczy przypominały głęboko osadzone szklane paciorki; siedziała, jakby była z kamienia.

– Wiesz, że umarłeś? – zwrócił się Treadwell do profesora Henry’ego Jonesa.

Indy przez chwilę nie odpowiadał. Zdawał sobie sprawę, że Frances Smythe i Jocko Kilarney mieli nikłe szanse przeżycia okropnej eksplozji i rychłego zatonienia „Barclaya”. Otrząsnął się, jakby odganiał cień śmierci.

– Są jakieś wiadomości? O naszych ludziach? – zapytał wreszcie.

– Twój sobowtór niestety zginął – odparł Treadwell, ukrywając odczucie osobistej straty. – Należał do naszych najlepszych ludzi. Jeden ze statków, który zabrał część rozbitków, wyłowił jego ciało. Oczywiście z dokumentami na twoje nazwisko.

– Frances?

– Brak wiadomości. Przykro mi, Indy. Gdy tylko się czegoś dowiemy...

Gale Parker wyrwała się z głębokiego zamyślenia.

– Czy są jakiegokolwiek wiadomości o Jocko? Trudno by go było przegapić i...

– Panno Parker, ekipy poszukiwawcze są teraz na miejscu katastrofy – rzekł z namysłem Treadwell. – Wiele osób na pokładzie promu zostało, no, zostało...

– Śmierć nie jest mi obca – stwierdziła sztywno Gale. – Chce pan nam powiedzieć, że wielu ludzi zostało rozerwanych na strzępy, spalonych lub uwięzionych wewnątrz wraku, i że spoczywają oni na dnie kanału.

– Tak – odparł Treadwell. Wdawanie się w dalsze szczegóły nie miało sensu.

Indy zwrócił się do Treadwella.

– Bardzo dużo ludzi zginęło tego popołudnia dlatego, że ci szaleńcy chcą mnie dopaść – rzekł, boleśnie świadom dotkliwej straty. – Gdyby nie byli przekonani, że płynę tym promem, nigdy by go nie zniszczyli.

– Myli się pan, profesorze – powiedział szybko Treadwell.

– Jak to? – zażądał wyjaśnień Indy. – Wiesz przecież, że dostałem od nich zaproszenie na spotkanie z ich kierownictwem. Nie mam pojęcia dlaczego, ale wszyscy zgodziliśmy się, że trzeba je przyjąć. – Jego czoło zryły głębokie bruzdy zmarszczek. – Po co więc mieliby niszczyć prom? Nie musieli zabijać tych wszystkich ludzi. Poza tym, równie dobrze mógłbym być jednym z ocalałych. – Patrzył to na Treadwella, to na Henshawa w oczekiwaniu na odpowiedź, wreszcie powrócił wzrokiem do agenta wywiadu brytyjskiego.

– Atak ten miał podwójny cel – rzekł Treadwell. – Zdawaliśmy sobie sprawę, że ta grupa szykuje otwartą, publiczną demonstrację swojej potęgi...

Pencroft odkaszlnął dla zwrócenia uwagi. Spróbował mówić, ale z jego gardła wydobył się jedynie słaby charkot. Natychmiast ktoś przystawił mu szklanekę z wodą do ust. Gale położyła swoją dłoń na dłoni staruszka.

– Mogę? – zapytała. Pencroft kiwnął na zgodę.

– Nie włączałam się do większości rozmów. Ale przyszła pora na zadanie pewnego pytania. Słyszałam, jak omawiacie sposoby i środki, których ci ludzie użyją, gdy nas zaatakują. A Indy – profesor Jones – niejednokrotnie podkreślał, że jedną z wad ich operacji jest to, że używają tej samej co my broni. Tak przynajmniej było dotychczas.

Pencroft odzyskał mowę.

– Co pani przez to rozumie?

– Dzisiaj użyli jakiegoś promieniowania! – powiedziała Gale ze złością. – Słuchałam raportów, które zrelacjonował nam pan Treadwell. Ten sterowiec, czymkolwiek jest, nadal gania po niebie

bez śladu żadnych silników. Jednakże do zniszczenia promu użył jakichś promieni, strumienia energii, nie wiem dokładnie, i spowodował wybuch „Barclaya”! Nie mamy nic, co by choć trochę to przypominało!

– Wiemy, co to było, Gale – rzekł Henshaw spokojnie, wprawiając wszystkich w zdumienie. Henshaw zwrócił się do Treadwella. – To twoja działka, Tom. Wybacz.

Treadwell przytaknął.

– Jedyłą energią w tym „działku promieniowym”, jak to nazywali niektórzy dziennikarze – powiedział – było zwyczajne światło. Oczywiście zostało wzmocnione do niespotykanej jasności, ale nic poza tym. Zrobiono to tylko i wyłącznie dla efektu.

Gale poczuła się zdezorientowana. Spojrzała na Indy’ego, ale on z uwagą chłonał każde słowo Treadwella.

– Dokładnie obserwowaliśmy dzisiejsze wydarzenie – wyjaśniał Anglik. – „Barclay” został rozerwany przez ogromną ilość materiałów wybuchowych umieszczonych w maszynowni. Przygotowano je tak, by można je było dyskretnie zdetonować za pomocą sygnału radiowego. Dzisiaj odbyła się ich premiera, że się tak wyrażę. Wybrali dzień z dobrą widocznością, by to, co się stało, zobaczyło dużo ludzi. Włączyli swój promień – zwyczajny reflektor o potężnej mocy – i skupili światło jak najciaśniej, a kiedy zwrócił już wystarczającą uwagę, wysłali sygnał radiowy, by zdetonować ładunki wybuchowe.

Odchylił się na oparcie krzesła.

– Dostyc potworna demonstracja, przyznaję, ale z pewnością o to im chodziło. Może się państwu wydawać, że jest mi to obojętne. Zapewniam, że to tylko pozory. Jednakże moje zadanie polega na tym, by dowiedzieć się, co się wydarzyło. A stało się to, o czym właśnie opowiedziałem. Zresztą zapewne uzyskamy potwierdzenie. Natychmiast wysłaliśmy samolot – mieliśmy kilka gotowych do natychmiastowego startu – aby przeleciał przez dym z wybuchu, i jestem pewien, że kiedy przeprowadzimy dokładne badania, spektrografię i tak dalej, znajdziemy całkiem zwyczajne pozostałości znanych nam materiałów wybuchowych. A teraz – usiadł prosto na krześle – proszę mi pozwolić kontynuować.

Popatrzył na Jonesa.

– Ta szarada zadziałała bardzo dobrze, Indy.

Gale nie mogła powstrzymać się od gorzkiej uwagi.

– Szarada?



– Wyjaśnię to – powiedział Indy do Treadwella. – Nie zniósłbym niewłaściwie przypisanych zasług. – Zwrócił się do Gale i Pencrofta. – Wszystko, co robiłem, miało na celu zmylenie grupy, którą chcemy wysledzić. Im więcej uwagi poświęciliby nam – tobie, mnie, Cromwellowi, Rene i przez jakiś czas Tarkizowi – tym bardziej narabialiby przekonania, że to ja jestem w tym wszystkim najgrubszą rybą. Kiedy dowiedziałem się, co się święci, i zyskałem potwierdzenie, że pomysł ze statkami obcych to bzdura...

– Baniałuki, zgadza się – mruknął Pencroft.

– Podobnie jak i artefakty. Sześcian i piramidki – podkreślił Indy. – W rzeczywistości mieliśmy tego więcej, gdyby zaszła potrzeba ich użycia, ale pułapka zadziałała od samego początku. Sześcian dołączony do tych afrykańskich brylantów nie miał jednak nic wspólnego z organizacją latającą zeppelinem i dyskami, bo wtedy nawet nie wiedzieliśmy, że ona istnieje. Treadwell także współpracował z ludźmi z De Beers i innymi, podobnie jak ja. W ten sposób się właśnie poznaliśmy.

Treadwell potwierdził skinieniem głowy i podjął się dalszych wyjaśnień.

– Postaraliśmy się także, żeby ludzie, których ścigamy, mimo że nie mogliśmy ich jeszcze zidentyfikować, dowiedzieli się o istnieniu niejakiego profesora Henry'ego Jonesa i jego wielkich umiejętnościach odcyfrowywania pisma klinowego. To oznaczało, że muszą go odnaleźć, i w rezultacie mogą się przed nami odkryć. Oczywiście na początku chcieli go żywego i chętnego do współpracy. Ale kiedy dowiedzieli się, że podłożyliśmy im świnię i graliśmy trochę nie *fair*, cóż, zdecydowali się wyeliminować naszego poczciwego kolegę.

– Lekką ręką szafujecie jego życiem! – powiedziała gniewnie Gale.

– To była moja decyzja, Gale – podkreślił Indy. – Nikt nie wchodził w to z opaską na oczach. Poza tym – skrzywił się w uśmiechu – miałem ciebie jako ochroniarza, tak?

– Chodzi o to, panno Parker – pośpiesznie podjął Treadwell – że współpraca Indy'ego była jedynym szybkim sposobem, by pokazać tej zbieraninie szczeliny w murze ich anonimowości.

– Ach – powiedział Pencroft z przyjemnością, coraz bardziej zadowolony z tego, co jak sądził, stanowiło jego rolę w całej sprawie. – To jeden z powodów, dla których przygotowaliśmy ten trój-silnikowiec. Oficjalnie uniwersytet, jak i nasze muzeum, wzięło

na siebie kosztu samolotu. On także posłużył za przynętę. Trudno jest ukryć takiego karbowanego gruchota, kiedy przemierza on Atlantyk! To banda głupców! Tak właśnie im powiedziałem, gdy przedstawili swoje plany.

– Ale się udało – podsumował Treadwell.

– To dlaczego nie rozgryźliśmy dotąd tych złotych dysków?! – replikowała Gale.

– Ależ rozgryźliśmy, droga pani – zapewnił ją Thomas. – Nawiasem mówiąc, większość zasług na tym polu należy przypisać pułkownikowi Henshawowi. To mój stary i bliski przyjaciel. I naszemu rządowi, powinienem dodać. Współpracujemy ze sobą od lat.

– Chce pan powiedzieć – Gale otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia – że wie pan, czym są te dyski? – Zerknęła na Indy’ego. Jego szelmowski uśmiech rozszerzył ją na dobre.

– O, żywiłszy pewne podejrzenia. Od samego początku – rzekł Henshaw. – Mamy paru bystrych chłopaków w wywiadzie technicznym. Badania i eksploatacja. Zajmowałem się tym podczas wojny. Współpracowałem z Francuzem, facet nazywał się Coanda – hm, Henri Coanda – wynalazł działo raketowe do walki w powietrzu. Kilka spraw, o których rozmawialiśmy, przez pewien czas chodziło mi po głowie po tym, jak usłyszałem o tych dyskach. Tylko poskładanie wszystkiego w całość zabrało mi nieco więcej czasu niż powinno. No cóż, czasem nawet uwagi ekspertów umykają rzeczy oczywiste lub uciekają wspomnienia, tak jak to pozornie stało się z moimi. Następnie nasza grupa, kilku z nas, doszło w tym samym czasie do tego samego wniosku. Tak jakby ktoś nas w tej samej chwili stuknął w głowę.

– Co to był za wniosek? – zapytała Gale, pragnąc, by Henshaw się streszczał.

– Broń, jakiej używały te obiekty. Nie jest bardziej zaawansowana od naszego najlepszego uzbrojenia. Ani od broni używanej przez inne kraje. Skontaktowaliśmy się ze starym Treadwellem, i wtedy na serio zaczęliśmy grzebać w dawnych projektach eksperymentalnych.

– I w ten sposób zaczęli znajdować odpowiedzi – Indy przejął wyjaśnienia. – Wprowadzili mnie w sprawę, bym im zaglądał przez ramię. Kiedy znaleźli już coś, co uważali za solidne poszlaki, wtłoczyli mi to do głowy. To właśnie dzięki temu czasami sprawiałem wrażenie dobrze zorientowanego w temacie. To nie były moje własne wnioski, ale to, czego dowiedziałem się od nich.

Sądziliśmy, że jeżeli zaczną się publicznie wypowiadać o dyskach, w połączeniu z artefaktami posłuży to za jeszcze lepszą przynętę. Wydawałoby się, że to ja stoję za odarciem tej grupy z jej tajemnicy.

– Wykonaliśmy sporo zdjęć – dodał Treadwell. – To bardzo pomogło. Przez pewien czas było to dość niepewne, gdyż musieliśmy poczekać na okazję uwiecznienia dysków na filmie. Użyliśmy obrazów statycznych i taśmy filmowej. Dacie wiarę, że z sześćdziesięciu kamer umieszczonych przy współpracy Amerykanów tylko z dwóch dało się coś uzyskać?

– I...? – Gale zawiesiła pytanie.

– Węglowodory – powiedział Treadwell z triumfem. To była wskazówka! Poczułem się jak Sherlock Holmes. Te diabelskie maszyny zostawiają za sobą ślad spalin. Filmy i zdjęcia, które zrobiliście podczas podróży nad Atlantykiem, wyraźnie tego dowodziły. Pamiętacie ten ogromny statek, na który natknęliście się na morzu?

– Raczej nie uda się zapomnieć – mruknęła Gale.

– Wasze zdjęcia potwierdziły nasze przypuszczenia. Ten monstrualny statek macierzysty, mierzący co najmniej czterysta pięćdziesiąt metrów od końca do końca, trudno niestety ukryć w Europie ze względu na gęstość zaludnienia i temu podobne. Kluczem było to, że jakikolwiek rodzaj sterowca takich rozmiarów potrzebuje serwisu, i to niemało. Uzupełnianie paliwa, wyposażenia, gazu, dostrajanie silników. Zajmował się tym ten statek. Kiedy sterowiec lądował na pokładzie, maszt cumowniczy i te wysięgniki na obu burtach unoszono, by go złapać. Widzę po waszych minach, że już sami do tego doszliście.

– Zaraz, zaraz! – wtrąciła Gale. – No dobrze, ma pan dowody na użycie węglowodorów i tak dalej, ale nadal nie rozumiem, jak pan na to wpadł!

– Pomógł mi ten Francuz, o którym wspomniałem – rzekł Henshaw. – Ten cały Coanda. Przypomniałem sobie, że mówił mi, iż gdyby zaprojektowało się silnik, który działa jak wielka lampa lutowicza – zasysa ogromne ilości powietrza z jednej strony, spala je i spręża, a następnie wyrzuca z drugiej strony – można by go zamontować niemal we wszystkim. W samolocie albo w wielkim sterowcu. Silnik tego typu zmieściłby się nawet w pojeździe o kształcie dysku.

– Bez śmigieł? – zapytała ze zdziwieniem Gale.

– Ależ jest pewien rodzaj śmigła, ale znajduje się on wewnątrz silnika – odpowiedział Henshaw. – Nasi ludzie przetestowali różne mieszanki paliwowe, a chemicy stwierdzili, że mamy do czynienia ze spalinami superoczyszczzonej nafty.

– Co obaliło teorię, że to wszystko sprawka złośliwych, brzydkich, zielonych kurdupli z Marsa – dodał Treadwell.

– Dzięki czemu zmusiliśmy ich, by tańczyli, jak im zagramy – rzekł Indy.

– A jak to się stało, Jones? – zapytał gniewnie Pencroft.

– No cóż, zacznę od początku – powiedział delikatnie Indy do swego starszego przyjaciela. – Te artefakty działają w sposób, na jaki liczyłem. Ktokolwiek kieruje tą grupą, lub przynajmniej jest w jej zarządzie, zorientował się, że sześcian i piramidki to falsyfikaty. Ale mógł do tego dojść tylko po zabrnięciu w ślepy zaułek z inskrypcjami klinowymi. Oczywiście nie miały one sensu, ale dołożyłem starań, by wyglądały na prawdziwe. Wie pan przecież doskonale, doktorze, jak wiele czasu trzeba poświęcić odczytaniu nieznanego pisma klinowego. A ktokolwiek badał te falsyfikaty, wyciągnął wnioski o wiele za szybko, jak na przeciętnego badacza.

– Co oznacza – odezwała się nagle Gale – że ma on doświadczenie archeologiczne! To oczywiste!

– To – podjął Indy – i jeszcze decyzja, że mimo niepowtarzalności metalu, który Treadwell kazał wytworzyć w tajnym laboratorium metalurgicznym, mógł on zostać wykonany przez jakichkolwiek kompetentnych ludzi z branży metalowej. Krótko mówiąc, dowiedzieli się zbyt wiele w zbyt krótkim czasie.

– Na scenę wchodzi niejaki Filipo Castilano – dodał Treadwell. – Przypominacie sobie, chociaż mogliście o tym nie słyszeć, wiadomości, które podawano we wszystkich gazetach na temat tego miasta we Francji? Niektórzy bibliści twierdzą, że było ono miejscem ostatniego spoczynku Jezusa.

– Chodzi panu o miasteczko Arques? – zapytał Pencroft.

– Tak. Oczywiście, mamy dokładne mapy tych terenów – rzekł Treadwell – od Jacquesa Nungessera. Jacques rozmieścił także agentów w całej okolicy. Udają rolników, rzemieślników i tak dalej, by obserwować i odnotowywać ruch wszystkiego, co wchodzi lub wychodzi z dwóch miejsc, w szczególności: Rennes-le-Chateau i zamku Blanchefort.

Pencroft mrukiwie wyraził niesmak.

– To niedorzeczne – stwierdził z naciskiem. – Ta historyjka krąży już od lat. Trzeba ją wrzucić, o czym powinniście wiedzieć, do jednego worka z opowieściami o tym, że Chrystus mieszkał przez wiele lat tu, w Anglii. Bawiąc się pysznie z duchem króla Artura, a może i z nim samym we własnej osobie, z Merlinem zabawiającym gawieź. Jest to tak samo wiarygodne jak opowieści o postaci przypominającej Chrystusa, pojawiającej się między Majami i Aztekami i materializującej się przed zdumionymi ludźmi w Chinach. Czy ma to jakikolwiek związek ze sprawą?

Treadwell pozostał cierpliwy i wyrozumiały.

– W Rennes i Blanchefort podjęto rozległe prace budowlane. Czegoś takiego nie da się ukryć. Ludzie Nungessera dokładnie obfotografowali oba zamki. Zlokalizowali niezwykłą antenę radiową, niemal idealnie ukrytą pośród wież i blanków. Kiedy ją zauważyli, natychmiast rozpoczęli nasłuch na wszystkich częstotliwościach, których można by używać do transmisji na duże odległości. Nungesser to bystry facet. Niemal od razu coś znalazł i, postępując roztropnie, nie wykonał ani jednego ruchu, by przeszkodzić czy w jakikolwiek inny sposób dać znać, że miejsca te są inwigilowane. Jednak to za mało, by powziąć poważne podejrzenia czy nawet stwierdzić, że jest to, jeżeli nie kwatery główna, to przynajmniej jedna z najważniejszych placówek grupy stojącej za tymi atakami. Potrzebowaliśmy dostać się do wnętrza.

– A więc do tego wykorzystaliście Castilano – powiedział cicho doktor Pencroft.

– Zgadza się – potwierdził Treadwell. – Na wstępie wywołaliśmy cały ten szum w prasie na temat kości Chrystusa w grobowcu. Watykan poprosił o zbadanie tej sprawy. Dzięki temu kardynał Castilano, z błogosławieństwem udzielonym mu przez rząd francuski, udał się z pielgrzymką do obu zamków i do Arques. Filipo musiał dostać się do środka, by porozmawiać z jak największą liczbą osób, a może i rozpoznać twarz, głos, cokolwiek.

– Wygląda na to, że wysłaliście owieczkę do jaskini Iwa – powiedziała z przyganą w głosie Gale.

– Filipo Castilano jest profesjonalnym agentem wywiadu – dodał szybko Treadwell. – Nie jest wcale owieczką.

– Czy znalazł to, czego szukał?

– Sądźmy, że dokonał przełomu. Najwyraźniej rozpoznał głos pewnego mężczyzny. Udało mu się przesłać notatkę ze swoimi

podejrzeniami przy pomocy jednego z kapłanów, który zachorował i musiał powrócić do Rzymu.

– Kim był ten rozpoznany? – nalegał Pencroft.

– To nadal dość niejasne – odparł Treadwell. – Nazwisko, które otrzymaliśmy, brzmi Cordas. Konstantin LeBlanc Cordas. Bardzo wpływowy człowiek. Wiemy, że jest zagorzałym ewolucjonistą, znawcą nauk społecznych. Zna się też na metalurgii. Jest właścicielem ogromnych stalowni i warsztatów mechanicznych. Pasuje do opisu jak ulał.

– Ale Cordas... zginął w tym straszliwym wypadku w Szwajcarii! – zaprotestował Pencroft.

– Mało prawdopodobne – rzekł Indy. – Zwłaszcza jeżeli zrobił to samo, co my z „Barclayem”. Umieścił w samolocie sobowtóra. Jedyna różnica to to, że Cordas prawdopodobnie uśmiercił przy tym wielu swoich ludzi.

– Przemięły gość – mruknął Pencroft. – Czy otrzymaliśmy jeszcze jakieś wiadomości od Filipa?

Twarz Treadwella spochmurniała.

– Niestety. I nie sądzę, by kiedykolwiek nadeszły. Jeżeli pojawił się choćby cień podejrzenia, wykończyli go. – Treadwell upił łyk wody. – Ale to nam dało poszlakę, jakiej tak bardzo potrzebowaliśmy. Oczywiście, idziemy jej śladem.

– A tymczasem – Indy okazał zniecierpliwienie – mamy jeszcze sterowiec i dyski. I ten ogromny okręt, który widzieliśmy na Atlantyku.

– Tego okrętu już nie ma – włączył się do rozmowy Henshaw.

– Nie ma? – zdziwił się Pencroft.

– Rządy amerykański i brytyjski sądzą, że statek, w złych warunkach pogodowych, prawdopodobnie zderzył się z górą lodową i bez ostrzeżenia poszedł na dno – powiedział Henshaw z powagą.

Twarz starego człowieka zmarszczył uśmiech.

– To się diabelnie dobrze składa – zachichotał. – Dobrze tak draniom.

Indy zwrócił się do Henshawa.

– To chyba nie była jedna z tych gór lodowych, które wystrzelują torpedy, co?

– Trudno powiedzieć – odparł Henshaw, nadal zachowując powagę. – Wygląda na to, że w tym rejonie odbywały się manewry. Multimarynarki, że tak powiem. Amerykańskiej, brytyjskiej,

francuskiej, była chyba nawet jedna lub dwie łodzie z Włoch, o ile się nie mylę. Nikt nie ma całkowitej pewności. Paskudna pogoda, sztorm na morzu i tak dalej.

– Wiesz co, Indy – włączył się Treadwell – wydaje mi się, że złożono raporty o niezwykle silnej eksplozji w tym rejonie. Gdyby góra lodowa rozbiła ścianę maszynowni i zimna woda morska zalała kotły, efekt mógłby być bardzo podobny do działania głowicy bojowej.

– W gorączce manewrów nie jest możliwe ustalenie, gdzie znajdowała się dana łódź w określonym czasie – dodał Henshaw.

Ręka Indy’ego niespodziewanie uderzyła w stół.

– Boże, to doskonale! – wykrzyknął.

– Czasami bywasz zbyt spontaniczny – zganił go Pencroft.

– Chyba ich właśnie dostaliśmy – powiedział z widocznym podnieceniem Indy.

Gale słumiła śmiech. Nawet perspektywa wydostania się z tych sal konferencyjnych i ciągnących się w nieskończoność zebrań wystarczała, by jego krew zaczynała szybciej krążyć.

– Chyba się domyślam, do czego zmierzasz – powiedział Treadwell do Indy’ego.

– Czy ktoś raczy i mnie oświecić? – zapytał z rozdrażnieniem Pencroft.

Indy obrócił się ku siedzącemu obok niego zniecierpliwionemu mężczyźnie.

– Sprawa wygląda tak: jak dowiedział się pułkownik Henshaw, działa tylko jeden z tych gigantycznych sterowców. Teraz, kiedy potwierdził istnienie tego pływającego lotniskowca, który, jak się zdaje – uśmiechnął się – został zatopiony przez bardzo szybką górę lodową, praktycznie poznaliśmy metody ich działania. Nie byłiby w stanie ukryć tego sterowca podczas lądowania w celu uzupełnienia zapasów. Jest zbyt duży, nie można go zamaskować. A zatem zmodyfikowali tankowiec lub jakiś inny duży okręt, by pomieścić sterowiec, uzupełniał mu paliwo i zaopatrywał we wszystko, co potrzebne.

Indy omal nie walnął pięścią w stół.

– Ale teraz stracili swoją pływającą bazę! Muszą gdzieś wylądować, znaleźć jakieś stałe, naziemne schronienie. Wystarczająco duże, by pomieścić sterowiec, by nie było go widać ani z ziemi, ani z powietrza. Czy to brzmi rozsądnie, doktorze Pencroft?

– Trochę zagmatwane jak to zwykle u ciebie – skinął Pencroft. – Ale zaczynam rozumieć, że te łotry tracą pole manewru.

Masz oczywiście rację, Jones. Teraz trzeba jedynie wypowiedzieć jakieś magiczne zaklęcie i dowiedzieć się, dokąd oni polecą.

Gale podniosła rękę do góry, niecierpliwie prosząc o głos.

– Panie pułkowniku, panie Treadwell, wszyscy wiemy, gdzie znajdował się sterowiec, kiedy zaatakował „Barclaya”. Nie można ukryć czegoś tak wielkiego. Dlaczego nie wysłaliście za nim myśliwców, kiedy była na to szansa?!

– Wspaniały pomysł – mruknął Pencroft. – Usmażyć łotrów, a co! – Popatrzył na Treadwella. – Udałoby się. Wodór uwielbia się palić. Buch! Jak kiełbasy nad okopami.

Indy zamrugał. Kiełbasy? Nie wiedział, o co chodzi. Henshaw zauważył jego zakłopotanie.

– Balony zaporowe wspierające artylerię – powiedział szybko. – Przycumowane do ziemi, otoczone ciężką artylerią przeciwlotniczą fryców, więc niebezpiecznie było się z nimi zderzyć. Ale kiedy pruło się do nich pociskami zapalającymi, wybuchały jak sztuczne ognie.

– No to dlaczego nie nafaszerowaliście tej obmierzłej maszyny czymś takim? – Gale napadła na Treadwella. – To by ich wykończyło!

Treadwell zachował cierpliwość. Rozumiał jej rozżalenie, że mogli przegapić okazję zniszczenia wielkiego sterowca.

– Panno Parker, może powinienem wyrażać się jaśniej co do szczegółów. Ma pani rację. Należało wysłać myśliwce za zeppelinem. Utrzymywaliśmy je w gotowości na wielu różnych lotniskach, na wypadek, gdyby nadarzyła się okazja zmierzenia się z nim. I kiedy zaatakowano „Barclaya”, nasze samoloty już startowały. Oczywiście zabrało im trochę czasu osiągnięcie wysokości, na której leciał sterowiec.

Gale zaczerwieniła się.

– Nie... nie wiedziałam. Przepraszam...

– Nie ma za co przepraszać, panno Parker. Powinniśmy już dawno to zrobić. Niestety, czekaliśmy zbyt długo.

– No i co się stało?! – warknął Pencroft.

– Po pierwsze – odpowiedział Treadwell – to okropne podejście. Ta maszyna leciała na wysokości sześciu tysięcy siedmiuset metrów. Nasze myśliwce osiągnęły tę wysokość, ale manewrowanie okazało się nadzwyczaj trudne. Strasznie zimno i tak dalej. Jeden z naszych samolotów był wyposażony w radiotelefon i pozostawaliśmy w kontakcie.



– Czy mieli szansę na dobranie się do zeppelinów? – wtrącił się Indy.

– Obawiam się, że marne.

– Chciałbym się dowiedzieć – powiedział nerwowo Indy – czy trafili w statek pociskami smugowymi. Jeżeli tak, to zakładam, że te pociski mogły dotrzeć do komór gazowych wewnątrz kadłuba?

– Absolutnie – rzekł Henshaw.

– No więc? – Indy naciskał Treadwella.

– Na tej wysokości nasze samoloty miały trudności z manewrowaniem. Poza tym zabrakło aparatów tlenowych. Wygląda na to, że dwóch naszych ludzi zemdląło. Spadli w korkociągach. Na szczęście w porę doszli do siebie. Karabiny innego myśliwca zamarzyły. Pozostali trzej weszli nad sterowiec i zaatakowali z płytkiego lotu nurkowego. Każdy z pilotów wiedział, że ma tylko jedną szansę. Sam też robiłem kiedyś coś podobnego. To paskudny moment, mówię wam. Jak powiedział nam człowiek z radiotelefonem, trzy z naszych myśliwców, włącznie z nim, wpackowały w sterowiec całe magazynki. Zeppelin poleciał dalej, jakby napastowały go komary. Gość z radiotelefonem twierdzi nawet, że przyspieszył.

– Jaki obrał kurs? – zapytał ostro Indy.

– Na wschód, o ile wiem. – Treadwell uważnie spojrzał na Jonesa. – Natrafiłeś na jakiś trop?

– Możliwe. Zaledwie możliwe. Potrzebuję jeszcze kilku faktów. Tom, czy jest coś jeszcze, cokolwiek, co mogliśmy przeoczyć? Choćby wiadomość Castilano o tym mieście we Francji, Arques, i o zamkach. Czy w swej wiadomości mówił coś o jakimś innym miejscu, z którego organizacja może korzystać?

– Hm, właściwie nie. – Treadwell drapał się w podbródek, szpejąc w pamięci. – Było coś jeszcze, ale brzmiało jak majaczenia.

Indy przewrócił oczami.

– To, co dla jednego jest majaczeniem, nie musi nim być dla drugiego – powiedział szybko. – Kto jak kto, ale ty...

– Castilano wspominał o jakimś mieście w niebiosach. O czymś ogromnym na niebie, poza tym sterowcem...

Wszystko zaczęło układać się w głowie Indy'ego w całość z zaskakującą prędkością, niczym trójwymiarowa układanka, i im więcej elementów znajdowało swoje miejsce, tym szybciej nadchodziły wnioski i tym przejrzystszy stawał się obraz.

– Eureka! – wykrzyknął triumfalnie.

## 16.

– Czekaj nas ciężki lot, Indy.

Harry Henshaw zwracał się bezpośrednio do Indiany Jonesa, ale wśród jego słuchaczy byli także pozostali członkowie ekipy, którzy mieli zajmować miejsca w trójsilnikowym fordzie. Cromwell i Foulois siedzieli w milczeniu w mesie brytyjskiej forpoczty, położonej na zachodnim wybrzeżu Anglii; uważnie słuchali i obserwowali. Henshaw miał rację.

– Dlaczego? – zapytał Indy. – Lecimy tą samą trasą, którą tu przybyliśmy. Tyle, że w przeciwnym kierunku.

Henshaw popatrzył uważnie na Indycy i Gale Parker, siedzącą tuż obok niego.

– Pewnie, to ten sam dystans w kilometrach, mierzonych wzdłuż powierzchni ziemi. Latanie wymaga oceny i brania pod uwagę także wiatrów. A możemy mieć wiatr przeciwny. To oznacza dłuższy czas przelotu i mniejszą prędkość.

Indy wytrzymał spojrzenie Henshawa.

– Harry, chcecie dopaść ten sterowiec, czy nie?

– Co za pytanie? – odparł Henshaw, wyraźnie zaskoczony. – Oczywiście, że chcemy, wiesz o tym tak dobrze jak...

Jones przerwał mu gwałtownym, niecierpliwym gestem.

– Więc przestańmy wynajdywać problemy. Do roboty. – Spojrzał ponad Henshawem na dwóch pilotów.

– Will, Rene... damy radę? Wrócić tą samą drogą? Pokonać przeciwny wiatr?

Cromwell wzruszył ramionami.

- Nie jest to może sztorm, chociaż i nie zefirek, ale z pełnymi zbiornikami dalekiego zasięgu...
- Tak czy nie, do licha!
- Tak – powiedział natychmiast Cromwell.
- W takim razie szykuj nas do jak najszybszego startu.
- Jedna rzecz, Indy – wtrącił szybko Rene Foulois. Jones zatrzymał się. – Nalegam, byśmy zaplanowali wszystkie nasze lądowania na czas dnia. Możemy mieć złe warunki i...
- Zróbcie to i powiadomcie mnie, kiedy będziemy gotowi do drogi – powiedział szorstko Indy.
- Wystartujemy w nocy – rzekł spokojnie Cromwell. – Dotrzemy na Islandię ze sporą rezerwą. Sprawdzimy pogodę, wyliczymy czas odlotu i ruszymy na Grenlandię. Tak jak mówiłeś, wrócimy po własnych śladach. – Cromwell zwrócił się do Francuza. – To będzie za jakieś siedem godzin.
- Foulois skinął głową.
- A więc postanowione, Harry – powiedział Indy do pułkownika – masz swoje kontakty. Zajmiesz się zaopatrzeniem.
- Chyba wszyscy zdajecie sobie sprawę, że uważam was za pomyłców – oznajmił z rezygnacją Henshaw.
- Nadal chcesz lecieć z nami? – naciskał Indy.
- Oczywiście – odparł Henshaw. – Nigdy nie twierdziłem, że jestem przy zdrowych zmysłach.

Lot na zachód, pod wiatr, okazał się pod każdym względem tak uciążliwy, a czasem nawet niebezpieczny, jak przestrzegał Henshaw. Pogoda zmieniała się jak w kalejdoskopie. Z rejonów arktycznych nadciągał niż. Zimne powietrze zmieszane z wilgotnym i ciepłym spowodowało, że ford trząsał się i podskakiwał na podniebnych wybojach, dziurach powietrznych i dzikich zawirowaniach.

Podczas pierwszego etapu podróży pogoda okazała się tak nieprzychylna, że Cromwell i Foulois zdecydowali się wylądować na północno-zachodnim wybrzeżu Szkocji, by przeczekać okres ulewnego deszczu i ciemności. Lotnisko, na którym wylądowali, było opuszczone.

Cromwell i Henshaw chodzili od budynku do budynku, próbując znaleźć kogoś na służbie.

– Ani żywej duszy – wymamrotał Henshaw, szczękając zębami.

– Cholerne cmentarzysko – potwierdził Cromwell. – Żadnych światła, ludzi, nic.

– Przycumujemy forda i włamiemy się do środka, żeby nie stać tu na deszczu – powiedział natychmiast Indy.

Ze swoich pojemników ze sprzętem wydobyli grube liny i opasali nimi samolot, a na kokpit zarzucili kawał brezentu. Zabrali śpiwory i poczłapali przez smaganą deszczem noc do punktu kierowania lądowaniami. Na drzwiach wisiała ciężka kłódka. Indy wydobył webleya i oddał do niej jeden strzał.

– Patrzcie – powiedział kwaśno. – Czary. Dużo hałasu i drzwi stają otworem.

– Masz niezły klucz – rzekł Henshaw. – Nie wiedziałem, że należysz do typków spod ciemnej gwiazdy, ale podoba mi się twój styl.

– Mnie też – Gale zadygotała i przecisnęła się obok Jonesa pod dach biura. – Kupię im nawet nową kłódkę.

Pół godziny później w pękatym piecu trzaskał ogień i wkrótce wszyscy smacznie zasnęli.

Deszcz nadal padał, gdy na niebie pojawiła się jutrzienka. Nie przyszedł nikt z obsługi lotniska. Henshaw powrócił do forda i włączył akumulatory, by uruchomić radio. Za chwilę rozmawiał już z pobliskim centrum meteorologicznym. Po skończeniu transmisji wyłączył akumulatory i podszedł do drzwi, by zawołać pozostałych.

– Tu, gdzie jesteśmy, nadal jest paskudnie – wyjaśnił – ale rozmawiałem ze Scottsmoor. Dziś rano nawiązali łączność z wyspami leżącymi na naszym szlaku i im bliżej Islandii, tym pogoda jest lepsza. Sugeruję, byśmy wyruszyli jak najszybciej.

Indy spojrział na Cromwella, który skinął głową. Odezwała się Gale.

– Rene, pomóż mi przy naszym sprzęcie w biurze. Indy, zostawię kartkę i pieniądze za kłódkę. – Popatrzyła w niebo. – Znam taką pogodę. To tak, jakby zbliżały do siebie dwa fronty. Harry, człowiek, z którym rozmawiałeś, nie wspomniał o jednym. Jeżeli nie wystartujemy w ciągu godziny, będziemy uziemieni przez kilka dni.

– Skąd ta pewność? – zapytał Henshaw, traktując zbyt protekcjonalnie kobietę używającą języka pilotów.

– Bo w tym kraju uczyłam się latać – warknęła Gale. – Dzień i noc przez pięć miesięcy. Znam go, a ty nie, więc lepiej bierzmy tyłki w troki, pułkowniku.

Indy roześmiał się.

– Nie widzę przeciwwskazań.

Dwadzieścia minut później potoczyli się z hukiem po pasie trawy i wzbili w powietrze, nabierając wysokości w statecznym zakręcie w kierunku północno-zachodnim. Na wysokości trzystu metrów Foulois wezwał Indy'ego przez telefon pokładowy.

– Rzuć okiem w prawo – powiedział. – Wygląda na to, że nasza mała dama zna tutejszą pogodę lepiej niż ktokolwiek inny.

W oddali, w odległości zaledwie kilku kilometrów, olbrzymia ściana mgły i deszczu przesuwiała się ku lotnisku, które właśnie opuścili.

– Za kilka minut znajdziemy się ponad chmurami – dodał Foulois – i powinniśmy nad nimi pozostać przez całą drogę do Islandii.

– Brawo – odparł Indy.

Lecieli na wysokości dwóch tysięcy pięciuset metrów w oślepiającym słońcu. Gale rozpakowała kanapki i zaniósła je wraz z termosem gorącej herbaty do kokpitu. Ona sama, podobnie jak Indy i Henshaw, wolała kawę podczas lotu. Zebrali się z tyłu kabiny; zdala od śmigieł poziom hałasu był znośny i pozwalał na rozmowę.

– Harry – powiedział Indy pomiędzy ogromnymi kęsami – rzucę w ciebie kilkoma pomysłami.

Henshaw wymachiwał własną kanapką.

– Dalej, słuchamy.

Jones zerknął na Gale.

– Jeżeli zauważysz, że coś opuściłem, skoryguj – poinstruował ją.

Skinęła głową. Na razie nie miała nic istotnego do powiedzenia. Wiedziała, że czeka ją nauka. Potrafiła pilotować samolot, nawet tak duży, jak trójsilnikowy ford. Ale zdawała też sobie sprawę z tego, że wkracza na teren, na którym była neofitką. Cokolwiek Indy zaproponuje, zostanie to oszacowane i rozważone, i spotka się z oceną Harry'ego Henshawa, który jest zarówno specjalistą od wywiadu technicznego, jak i wysoce doświadczonym pilotem wszelkiego rodzaju samolotów, od niewielkich maszyn szkoleniowych i myśliwców po potężne transportowce i bombowce.

– Zacznijmy od zeppelinu – rzekł Indy. – Harry, chciałbym, żebyś traktował każde zdanie, jakie wypowiem, jednocześnie jako

pytanie i stwierdzenie. Ty ucz mnie o skrzydłach i śmigłach, a ja przeprowadzę cię bezpiecznie przez grobowce i piramidy.

Henshaw roześmiał się.

– Umowa stoi.

– W porządku – powiedział Indy. – Zeppelin. Treadwell wyjaśnił, że co najmniej trzy ich myśliwce wchodziły w niego pełne magazynki.

– Zgadza się – potwierdził Henshaw.

– Strzelali też pociskami smugowymi – kontynuował Indy. – Co oznacza, że nie trafili w komory gazowe.

– To możliwe – odparł Henshaw.

– Jeżeli ten statek unosi się za sprawą wodoru, to albo ma solidne opancerzenie, przez które pociski smugowe nie zdołały się przebić...

– Zapomnij o tym – Henshaw machnął ręką. – Ważyłby wtedy tyle, że ledwie mógłby się unieść ponad wierzchołki drzew.

– Jasne – Indy skinął głową. – Albo też myśliwce kompletnie chybiły celu.

– Nie – sprzeciwił się Henshaw. – Sprawdziłem. Piloci widzieli, jak ich pociski trafiają w kadłub.

– W takim razie albo ci na pokładzie mieli niesłychane szczęście – powiedział Indy, zwlekając z dokończeniem kanapki – albo nie używają wodoru ani żadnego innego gazu palnego.

– Przyjmij moje gratulacje – powiedział Henshaw.

– To oznacza, że stosują hel – doszedł do wniosku Indy. – Skąd go biorą?

– Myślałam, że wy, Jankesi, macie światowy monopol na hel – wtrąciła się Gale.

– I owszem – rzekł Henshaw. – Głównym jego źródłem jest... Jones przerwał mu gwałtownym gestem.

– Pozwól, że ja dokończę – zwrócił się do Henshawa. – Był to temat mojej pracy domowej.

Henshaw wydawał się ubawiony zaangażowaniem Indy'ego.

– Droga wolna, profesorze. – Uśmiechnął się.

– Mineral Wells w Texasie.

– Ponowne gratulacje – widać było, że Henshaw jest pod wrażeniem. – Ale są także magazyny helu...

– Za duży ruch w nich panuje – odparował szybko Indy. – Zbyt oczywiste. Nie można przyprowadzić czegoś o rozmiarach niedużej góry tam, gdzie ludzie zaczęliby wariować na widok ogromnego, błyszczącego statku pomykającego po niebie bez silników.

– Czyli muszą mieć bazę, w której można ukryć ten statek? – zapytała Gale.

– Medal dla tej pani – rzekł Indy. – Wiesz co – zwrócił się ponownie do Henshawa – każda wskazówka uchyla drzwi nieco szerzej i widać więcej odpowiedzi.

– Normalne – zgodził się Henshaw. – To tak jak z układanką: obrazek staje się coraz wyraźniejszy z każdym dopasowanym elementem. – Popatrzył na Jonesa z zagadkową miną. – Czy mi się tylko wydaje, czy usłyszałem jedynie część twoich wniosków?

Indy uśmiechnął się.

– Wiem, że to zabrzmiało jak szaleństwo, ale wygląda na to, że poszukiwanej przez nas odpowiedzi udzielił mariaż antropologii i archeologii. To oraz pewne stare, ale silnie zakorzenione przesady, dzięki którym świadkowie utrzymują obecność sterowca w tajemnicy.

– Znacznie mnie wyprzedziłeś – Henshaw zirytował się, że nie nadąża za tokiem rozumowania Jonesa.

– Jeden z najsilniejszych kopniaków w drzwi tajemnicy wymierzył Filipo Castilano – rzekł Indy. – Pamiętacie, kiedy Treadwell powiedział nam, że Filipo robił niejasne aluzje do jakiegoś podniebnego miasta? W najlepszym razie można by to było uznać za mało istotne. Domyślałem się, że Filipo celowo zawoalował swoją wiadomość. Prawdopodobnie sądził, że wyciągnę wnioski z jego aluzji i znajdę właściwą odpowiedź.

– I znalazłeś? – popęczał Henshaw.

– Nie od razu – przyznał Indy. – Miastem w niebiosach mógł być Asgard, siedziba bogów. Mógł nim także być Olimp. Każda kultura ma pewien rodzaj miasta, Edenu czy też raj w niebie. Pamiętałem jednak o tym, że Filipo mógł mówić bardziej dosłownie, niż się spodziewałem.

– Drażnisz się z nami, Indy – poskarżyła się Gale.

– Niezupełnie. Chcę, abyście prześledzili proces myślowy, dzięki któremu uzyskałem prawidłowe rozwiązanie.

Zaczął wylizywać palce.

– Sterowiec nie może używać wodoru. Jego własne silniki dawno wysadziłyby go w powietrze. Poza tym ma – musi mieć – ogromną otwartą rampę na rufie, by dyski miały gdzie lądować. A i one wytwarzają duże ilości ciepła.

– Zgadzasz się – rzekł Henshaw. – Nawet najmniejszy wyciek wodoru skończyłby się katastrofą.

– Okay – podjął Indy. – A zatem potrzebny jest hel. Wywożenie jego dużych ilości ze Stanów zwróciłoby uwagę. Rząd ma fioła na tym punkcie. Jednakże przewożenie helu cysternami na terenie USA nie napotyka żadnych przeszkód. Jeżeli ma się pieniądze, można kupować wszystko, dopóki nikt się nie połapie, że towar płynie za ocean.

– Hel z Mineral Wells w Teksasie. Ale dokąd miałby on podróżować? Jak do tego pasuje podniebne miasto? Jeżeli ono naprawdę istnieje, to z pewnością tylko z nazwy. Nie ma miast żeglujących sobie w najlepsze po niebie. A co, jeżeli jest to nazwa, którą rozpoznalby antropolog, archeolog czy nawet ktoś interesujący się historią? Funkcjonowałyby wyłącznie w unikatowym języku, używanym przez jakąś odizolowaną grupę. I jeżeli Castilano zna historię Hiszpanii tak dobrze, jak mi się wydaje, wskazywał na prawdziwe Podniebne Miasto.

– Wyprowadziłeś nas na jakieś manowce, Indy...

– Niezupełnie. Kiedy zacząłem kombinować w ten sposób, wszystko poukładało się w jedną całość. – Przerwał, delektując się chwilą. – Bo widzicie, chodzi tu o nazwę indiańską. Przez tysiące lat Indianie Acoma utrzymywali potężną redutę. Według ich historii, mieszkali w swoim ufortyfikowanym mieście trzy tysiące lat przed narodzeniem Chrystusa.

– Acoma! Oczywiście! – wykrzyknął Henshaw.

– Co to jest Acoma? – Gale nieomal błagała o wyjaśnienia.

– Acoma to indiańska nazwa naszego Podniebnego Miasta – poinformował ją Indy. – Leży ono mniej więcej na południowy zachód od Albuquerque w Nowym Meksyku. Znajduje się dość blisko rezerwatu Indian Zuni, ale jest niezależne. To rozległa wyżyna, umiejscowiona na wysokości ponad stu metrów i o pionowych ścianach skalnych. Gwoli ścisłości, Podniebne Miasto w języku Acoma oznacza Stare Acoma. Ten szczep ma swój własny, odrębny język.

– Posiada też szczególne wierzenia, mity i tradycje. Indianie Acoma wierzą, że ich szczep pochodzi z głębi ziemi, z ogromnej podziemnej komnaty, którą zwą Shipapu. Ich rasa została zapoczątkowana przez dwie dziewczynki stworzone przez bogów – nazywały się Nautsiti i Iatiku. Kiedy bogowie stworzyli te dwie dziewczynki, pojawili się Indianie Acoma. Ludzie, zwierzęta, domostwa, rolnictwo; wszystko. Indianie zbudowali swe domy wysoko pod niebem – na wyżynie. Powstałe miasto nazwano Pueblem w Niebiosach.

– Podniebne Miasto – powiedziała miękko Gale.



– I jest to naturalna, potężna fortyfikacja, z pieczarami i jaskiniami o rozmiarach pozwalających na ukrycie pół tuzina takich sterowców. W przeszłości Indianie Acoma bronili swego terytorium z wielką zaciekłością. Szczególnie odczuli to Hiszpanie, gdy przemierzali te ziemie podczas swych wczesnych podbojów na północ od Meksyku. Kiedy dotarli do Acomy – co w różnych derywatach lingwistycznych oznacza „miejsce, które było zawsze” – natknęli się na bardzo nieprzyjemnych ludzi broniących swych świętych wyżyn.

Indy odchylił się do tyłu i wyprostował nogi.

– Pamiętam, jak czytałem raporty hiszpańskiego dowódcy ekspedycji, kapitana Hernanda de Alvarado. W tysiąc pięćset czterdziestym roku Coronado wysłał go, by poznał prawdę o miejscu, o którym tyle słyszeli. Alvarado był zdumiony widokiem miasta położonego wysoko nad nimi, z wejściami wąskimi i tak dobrze ufortyfikowanymi, że atak wydawał się niemożliwy. W oficjalnym raporcie przedstawionym Coronado stwierdził otwarcie, że Acoma jest najbardziej niedostępną twierdzą, jaką w swoim życiu oglądał. Nazwał ją fortecą nie do zdobycia i oznajmił, że na wyżynie mieszka ponad osiem tysięcy Indian, gotowych odeprzeć każdy oddział, który udałoby się zebrać Hiszpanom.

Indy potarł podbródek, szperając w pamięci w poszukiwaniu szczegółów.

– To tyle, jeśli chodzi o historię. Jak zatem widzicie, Acoma jest niewątpliwie doskonałą bazą operacyjną dla sterowca. Miejscowi Indianie – a w okolicy bytuje co najmniej tuzin różnych szczepów – od zawsze wierzyli, że są w szczególny sposób połączeni z niebem. Miało miejsce konkretne wydarzenie, hm, wydaje mi się, że było to jesienią tysiąc osiemset czterdziestego szóstego roku. Wtedy już oczywiście Hiszpanie stamtąd zniknęli i armia amerykańska robiła wszystko, by ujarzmić Indian. Ten moment w historii z pewnością utwierdził tubylców w ich wierzeniach. Oddział amerykańskiej kawalerii rozbił obóz w odległości niecałych dwóch kilometrów od pionowych skał Acomy i tej samej nocy spadł z nieba wielki meteoryt. Jego blask był tak jasny, że noc zmieniła się w dzień. Meteoryt nie uderzył w ziemię. Pomknął po niebie równoległe do linii horyzontu, rozświetlił mrok i najwyraźniej poleciał z powrotem w kosmos.

– Fenomen atmosferyczny – rzekł Henshaw. – To się od czasu do czasu zdarza. Zobaczywszy coś takiego, istotnie można się nawrócić.

– Cóż, moim zdaniem – powiedział Indy stanowczo – właśnie tam znajdziemy ten sterowiec. A jeżeli oni naprawdę trzymają rękę na pulsie wydarzeń, z pewnością wiedzą, że ich plany pomału idą w rozsypkę.

Jones nie krył z troskania.

– Ze sposobu, w jaki dotąd działali, wnoszę, że wykonają bardzo poważne posunięcie. Oznacza to, że mogą zniszczyć nawet całe miasto, jeżeli tego zapragną.

– Zniszczyć całe miasto? – zapytała Gale. – W jaki sposób? Jeden sterowiec, a nawet ich tuzin, nie zdołałyby zabrać wystarczającej ilości bomb, żeby...

– Indy ma rację – wtrącił Henshaw. – Oni nie będą zwracać sobie głów bombami, Gale. Są zbyt ciężkie i nieporęczne. Narobiłyby dużo hałasu i ognia i zabiły może kilkuset ludzi, zraniły kolejne kilka tysięcy, ale to jest nic w skali wojny. – Henshaw potrząsnął głową. – W przypadku spraw tego typu przeprowadzamy tak zwane gry symulacyjne, czyli zastanawiamy się, co my byśmy zrobili, będąc na ich miejscu.

– Co byście zrobili? – poganiała Gale.

– Gdyby moim celem był terror i zabijanie na ogromną skalę, jedną z wielu rzeczy, lub, co bardziej prawdopodobne, kombinację ich wszystkich. Po pierwsze, czy to z powietrza, czy z ziemi, można zatruć zasoby wody jakiegoś dużego miasta. Jeżeli trucizna działa powoli, większość ludzi w mieście zdąży przyjąć śmiertelną dawkę jeszcze zanim zacznie ona zabijać. Paraliż, trudności z oddychaniem i tak dalej. Poza tym istnieje broń biologiczna. Mało kto o tym wie, ale co najmniej cztery państwa wyhodowały mutację wąglika, który sieje spustoszenie wśród ludzi wystawionych na jego działanie. Można go rozpylić albo ze sterowca, albo z tych ich diabelskich spodków. Wystarczyłaby nawet niewielka ilość. Anglia, Francja, Niemcy, Rosja, Stany Zjednoczone, my wszyscy zasiedliśmy do tej biologicznej gry. Przyznaję, że to paskudne i okrutne...

– Chciał pan powiedzieć: okropne – rzekła porywczo Gale.

– Nie gorsze, młoda damo, od pocisku zapalającego trafiającego prosto w brzuch – powiedział Henshaw chłodno. – Albo dostania się w zasięg miotacza ognia.

– O Boże – szepnęła Gale.

– Harry ma rację – dodał Indy. – Pozostał jeszcze gaz bojowy. Podczas Wielkiej Wojny używano luizytu, gazu musztardowego,

fosgeny. Pracowano nad innymi typami. Dziesiątki tysięcy żołnierzy zmarło na skutek użycia gazu. Może to właśnie im się poszczęściło. Kolejne dziesiątki tysięcy straciły wzrok, zmysły lub zostały kalekami.

– A miasto, które się niczego nie spodziewa, nie ma przed tym żadnej ochrony – powiedział dobitnie Henshaw. – Obawiam się, że Indy ma w stu procentach rację co do tych ludzi. Posłaliśmy na dno ich lotniskowiec, zatem wiedzą, że jesteśmy gotowi się im przeciwstawić. Zaatakowaliśmy ich sterowiec – bez skutku, przyznaję – ale ci brytyjscy chłopcy wycisnęli wszystko z siebie i swoich maszyn. Polowanie trwa, a im szybciej odnajdziemy ten sterowiec i zniszczymy go, tym szybciej oni stracą przewagę wywołaną strachem przed spodkami i samym statkiem.

– Żaden z was nie powiedział tego, czego się obawiałam najbardziej – rzekła Gale.

– A cóż to takiego? – odparł Indy.

– Jeżeli mogą zaatakować jedno miasto – zaczęła powoli – dlaczego nie mieliby zaatakować kilku lub nawet wielu miast?

– Ależ mogliby to zrobić – odparł pośpiesznie Henshaw. – Ale nie chodzi im o masową zagładę, tylko o strach. O kontrolę umysłów. Chcą zmienić sposób, w jaki ludzie myślą, aby nimi kierować. Jeżeli ludzie wierzą w swoich bogów, bogowie ci istnieją. Jeżeli uwierzą, że są bezsilni...

– Będą bezsilni – dokończył za niego Indy. – Zatem im szybciej znajdziemy ten sterowiec... – Urwał, pozwalając, by reszta mówiła sama za siebie.

Poculi, jak Ford zakołysał się z boku na bok. To zwróciło ich uwagę na to, gdzie się znajdują – lecieli nad północnym Atlantykiem, mieli minąć Wyspy Owcze i wylądować na Islandii. Turbulencje przybierały na sile z każdą chwilą. Foulois zataczając się przyszedł do nich z kokpitu.

– Po co zawracaliśmy sobie głowę, by dać wam hełmofony, pozostaje tajemnicą – rzekł Foulois. – Od dziesięciu minut do was wrzeszczymy!

– Co jest? – zapytał Henshaw. Z jego miny widać było, że nie potrzebuje żadnych wyjaśnień Francuza na temat wstrząsów, które odczuwali.

– Musimy przedrzeć się przez front atmosferyczny – powiedział Foulois. – Właśnie w niego wlecieliśmy. – Wskazał głową w kierunku okien kabiny, smaganych strugami deszczu.

– Będzie trochę trzęsło – mówił dalej Foulois. – Lepiej zapnijcie pasy i umocujcie wszystko, co jest luzem.

– Rene, zastąpię cię w kokpicie, dobrze? – rzekł Henshaw. – Zjedz coś, napij się kawy...

– Rozumiem, że chciałeś powiedzieć „wina”, prawda, pułkowniku?

– Ma się rozumieć. Muszę skorzystać z radia, by porozmawiać z Islandią.

– Przykro mi, przyjacielu. Pogoda nie pozwala. Niedawno straciliśmy kontakt głosowy z Islandią. Ale lecimy, kierując się jednym z nadajników na Wyspach Owczych i wygląda na to, że jesteśmy tam, gdzie trzeba. Ten Cromwell jest w powietrzu jak pies. Chyba węchem odnajduje drogę na Islandię.

– Naprawdę chcesz wina? – zapytała Gale, kiedy Henshaw udał się w kierunku kokpitu.

Foulois zaczął grzebać w swojej torbie, trzymając się fotela. Triumfalnie wznosił do góry butelkę.

– Kawa nigdy nie wygrała wojny, moja droga – powiedział, pociągnąwszy spory łyk. – Ale kiedy pijesz dużo wina, przestaje cię obchodzić, kto wygra. Dodam, że to nader cywilizowana postawa.

W następnej chwili Foulois zawisł w powietrzu, gdyż ford opadł w dół niczym kamień ciśnięty z urwiska. Pilot zwałił się na podłogę kabiny. Kiedy turbulencja ustała, samolot wrócił na poprzednią wysokość.

– Prawdziwy Francuz – zaśmiał się Indy. – Nie uрониł ani kropelki!

Dwie godziny później, przypięty pasami w swoim fotelu, Indy był gotów wyrzec się latania do końca życia. Obietnica, że będzie „trochę trzęsło”, przerodziła się w rzucanie na boki, przedziwne ewolucje i podrzucanie w górę i w dół; przy tym z kokpitu do kabiny wlewały się strużki wody.

– To takie ekscytujące! – Gale przekrzykiwała łoskot silników i wycie wiatru.

Indy starał się utrzymać żołądek na swoim miejscu. Przed oczami tańczyły mu jasne plamki. Nie wiedział już, gdzie jest lewo, prawo, góra i dół. Nagle, tak samo gwałtownie jak się zaczęły, harmider i kotłowanie ustały i niebo pojaśniało. Żołądek Indy’ego zaczął powoli wracać tam gdzie trzeba, a przez wiatrochron w kokpicie, nawet z głębi kabiny, dostrzegł czekające już na nich wulkaniczne garby Islandii.

## 17.

Półtora dnia później wylądowali w Quebecu, zmaltretowani, z obolałymi mięśniami, półprzytomni z powodu braku należytego odpoczynku i snu, i wrogo nastawieni do kanapek. Henshaw udał się do władz kanadyjskich i załatwił, by Amerykański Urząd Celny i Imigracyjny „zapomniał” o standardowej procedurze podczas przekraczania granicy USA, powołując się na to, że jest to oficjalny rządowy samolot, załoga i lot. Mimo że wszyscy padali z nóg i rozpaczliwie pragnęli wziąć prysznic i przebrać się, na odpoczynek nie było czasu. Cromwell zaprzął do pracy przy fordzie wszystkich prócz Henshawa, który zajmował się zadaniami otrzymanymi od Indy’ego. Lecieli długo i w ciężkich warunkach, a lata doświadczeń nakazywały Cromwellowi i Rene zwrócić uwagę na drobne defekty samolotu i silników.

Dwie godziny później zbiorniki paliwa i oleju były pełne, hydraulika i inne sprawy zadbane. Henshaw wrócił do samolotu.

– Will – zwrócił się do Cromwella – czy możemy walić bezpośrednio do Dayton? Kiedy się tam znajdziemy, i tak będziemy musieli zrobić postój, a nasi najlepsi mechanicy obejrzą ptaka od dzioba po ogon.

– Po takiej porcji latania, chłopcze, lot stąd do Dayton będzie jak spacer po parku.

– W porządku – powiedział Indy do całej ekipy. – Siodłać konie i jazda.

Cromwell szturchnął łokciem Francuza.

– Siodłać konie? Czym, według niego, jest nasz ptak? Koniem, do cholery?!

Indy i Gale zapięli pasy w fotelach na tyłach kabiny. Wyczerpana Gale zasnęła niemal natychmiast. Indy odchylił się na oparcie fotela i zamknął oczy, ale był daleki od spania. Przeniósł się myślami w przyszłość, kiedy ten pościg i loty na wielkie odległości już się skończą.

Będą mogli wreszcie wypłoszyć swoją zwierzynę z kryjóWKi.

A zwierzyna, z czego Indy doskonale zdawał sobie sprawę, może czekać gotowa na ich przybycie.

Pułkownik Harry Henshaw rozłożył mapę lotniczą, mapy dróg i zdjęcia lotnicze ciągów komunikacyjnych w Teksasie i Nowym Meksyku. Indy stał po jego lewej ręce, Gale po prawej, a przy ogromnym stole sztabowym było jeszcze paru oficerów wywiadu. Po drugiej stronie stołu czekało kilku cywilów: kierowcy cystern oraz sprawiający wrażenie intruza członek Rady Starszych Indian Acoma. Podczas gdy oni znajdowali się w budynku wewnątrz hangaru na Wright Field, Cromwell i Foulois zajmowali się fordem.

– Oto najświeższe zdjęcia wykonane przez naszych pilotów. – Henshaw zwracał się do Indy’ego, ale mówił jednocześnie do wszystkich. – Zacznijmy od Mineral Wells. – Przesunął mapy, umieszczając zdjęcia tak, by można je było z nimi porównać. – Jak wiecie, tutaj znajduje się główne źródło helu. – Stuknął w mapę wskaźnikiem. – Miasto leży nieco na zachód od Fort Worth. Zazwyczaj hel przewozi się w kolejowych cysternach ze względu na łatwość transportu, załadunku i wchodzące w grę ilości. Jednakże stosuje się też do tego celu samochody-cysterny.

Z naszych obserwacji wynika, że w ciągu ostatnich kilku tygodni ruch na drogach wyraźnie się zwiększył. Te zdjęcia zrobiono w ubiegłym tygodniu nad trzema głównymi autostradami. Samoloty leciały na tyle wysoko, by nie zwracać zbyt wiele uwagi z ziemi. Korzystaliśmy głównie z transportowców z aparatami fotograficznymi zamontowanymi w lukach podłogowych. Nasi ludzie pozaczinali na tych drogach kółkami pojazdy zidentyfikowane jako cysterny. Kółka układają się wzdłuż linii wskazujących dwa główne kierunki. Jedna grupa kieruje się na miasto Lubbock, które jest głównym ośrodkiem transportu, druga zaś duża grupa jeździ drogą do Midland i Odessa, a następnie kieruje się ogólnie na północny zachód, do Nowego Meksyku.

– Ile wozów jeździ do Albuquerque? – zapytał Indy.

Henshaw wskazał na jednego z kierowców.

– Indy, to jest Mike Hightower. Chcesz odpowiedzieć na to pytanie, Mike?

Dobrze zbudowany mężczyzna wysunął się naprzód.

– Jasne, panie pułkowniku. – Skierował wzrok na Indy’ego. – Bardzo rzadko wozimy hel do Albuquerque. Mało kto go tam potrzebuje. Nasi najpoważniejsi klienci to marynarka – potrzebują helu do sterowców wywiadowczych i tych nowych, większych – a poza tym fabryki. Niektóre z nich nie mają bocznic kolejowych, więc korzystają z ciężarówek.

Hightower przesunął mapę tak, by on i Indy mieli przed sobą ten sam obszar.

– Kilka naszych traków wysłali do Santa Fe. To tutaj. – Gruby palec wskazujący dźgnął mapę. – Ale po mojemu to głupota. W Santa Fe nie ma nic, co by potrzebowało tyle helu. Chyba że – zerknął na Henshawa – wojskowi coś tam kombinują. Pan pułkownik mówi, że nie. Nawet dostawa jest porąbana. Znaczy się, dojeżdżamy ciężarówkami, gdzie nam każą, a potem zostawiamy tam ładunek. Razem z ciężarówką. Wściekałem się z tego powodu, ale potem szef mi powiedział, że jakaś duża firma nas wykupiła i używają nowych kierowców na zmiany. Nasze chłopaki wracają do Mineral Wells wynajętym autobusem. Rozumie się, że nie narzekają. Dostają premie za to, co robią, a z takiego szmalu wszyscy są zadowoleni.

– Czy bywają dostawy bezpośrednio do Albuquerque? – zapytał Indy.

Hightower przesunął między zębami niedopałek cygara.

– Nie. Niektóre traki jeżdżą z Mineral Wells prosto do Roswell, o tutaj – ponownie stuknął w mapę – i zostawiają tam swoje ciężarówki. Kilku chłopakom kazano jechać do Las Cruces, to daleko na południe.

Henshaw powiódł palcem po mapie.

– Z Las Cruces droga wiedzie niemal prosto na północ do Albuquerque. To dosyć niegościnna okolica. Przejeżdża się przez Truth or Consequences, potem szosa biegnie równoległe do rzeki Rio Grande, następnie ciężarówki jadą przez pola lawy niedaleko Elephant Butte i dalej do Socorro. W Belen odbijają na skrót w kierunku Acomy.

– To głupia droga – powiedział Hightower. – Znaczy się, kiepskie nawierzchnie. Niewiele z nich jest wyasfaltowanych. Daje

w kość ciężarówkom. Ale, jak mówiłem, ktokolwiek kieruje tą operacją, szasta forszą na prawo i lewo, jakby jutro świat się kończył, więc chłopaki się nie stawiają.

Indy uważnie przyjrzał się mapom.

– Ale wszystkie drogi prowadzą do Acomy, prawda, Harry. – Było to bardziej stwierdzenie faktu niż pytanie.

– Aha – potwierdził Henshaw. – Panie Hightower, czy nie mówił pan, że ci kierowcy, którzy przejmują ciężarówki od pańskich ludzi, odprowadzają je bezpośrednio do Mineral Wells?

– Ano mówiłem. To mordęga, ale tak właśnie robią. Kiedy je odstawiają, wozy są w takim stanie, że wymagają solidnego serwisu. Te drogi dają im niezły wycisk. A jak narzekamy, że ciężarówki są do niczego, każą nam je zezłomować i dają nowe. To najbardziej porąbany sposób prowadzenia interesu, jaki widziałem.

– Chciałby pan jeszcze coś dodać? – zapytał Indy.

– Nie. Po prawdzie to nie powinno mnie nawet tutaj być. Ci goście płacą mi ekstra za trzymanie gęby na kłódkę. Mówią, żeby nie odpowiadać na żadne pytania. A potem kilku facetów, znaczy się, federalnych, składa mi wizytę i pytają, czy chcę zachować licencję i pracę. Jeśli tak, to muszą tylko odbyć małą pogawędkę. Taką jak teraz. Obiecali mi, że wyjadę stąd tak, jak tu przyjechałem.

– Czyli jak?

– Pojechałem do Gainesville. To na północ od Fort Worth, niedaleko granicy z Oklahomą. Do jakiegoś obozu wojskowego. W nocy przyleciał samolot, wsiadłem i zanim się zorientowałem, znalazłem się tu. Tak jak mówiłem, wracam tą samą drogą.

– Panie Hightower, bardzo nam pan pomógł. Proszę zapomnieć o tej małej wizycie, wysadzimy pana w nocy w tym obozie w pobliżu Gainesville i nigdy się nie widzieliśmy.

– Dziękuję, panie pułkowniku. To już wszystko?

– Może pan odejść. Gdyby pan czegoś potrzebował, proszę nam dać znać.

– No, dobra. Czy pańscy ludzie mogliby mnie zabrać do Lawton w Oklahomie? To niedaleko i mieszkają tam moi starzy, więc powiem, że odwiedzałem rodzinę. Nigdy mnie tu nie było. – Uśmiechnął się.

– Wygodnej podróży, panie Hightower. – Henshaw spojrział na dwóch pozostałych kierowców. – Macie panowie coś do dodania?



Obaj mężczyźni potrząsnęli przecząco głowami.

– Nie. Jest tak, jak mówi Mike.

– Wyśmienicie. Dziękuję.

Kapitan wyprowadził trzech kierowców z pokoju.

Henshaw odezwał się do Indy’ego:

– Mamy o wiele więcej szczegółów, obraz jest wystarczająco wyraźny. Ogromne transporty helu bezpośrednio do Acomy.

– Z pewnością mają specjalny rurociąg dla sterowca – rzekł Indy.

– Tak.

Obaj zwrócili się teraz ku Indianinowi, który zachował stoicki spokój i nie odezwał się ani słowem podczas rozmowy. Indy przyjrzał mu się dokładnie. Był wysoki jak na Indianina, miał około metra dziewięćdziesięciu i szerokie bary. Na głowie nosił cylinder, w którym większość ludzi wyglądałaby niedorzecznie, szczególnie z trzema złocistymi piórami zdobiącymi lewą stronę denka. Indy zauważył, że spodnie z kozłej skóry i kamizelkę uszyto ręcznie, podobnie jak pas i kute srebrne ozdoby. Stół nie pozwalał dojrzeć stóp Indianina, ale Indy wyczuł, że na tym polu ustąpił on na rzecz ciężkich traperek białych ludzi. W tej pustynnej, skalistej okolicy było to zrozumiałe.

Obaj mężczyźni wytrzymali wzajemne spojrzenia, obaj przenieśli wzrok z twarzy na broń, którą każdy z nich nosił. Indy’emu zwiślała z biodra kabura kryjąca całkowicie jego webleya. Indianin przypasał swoją broń nisko, jak rewolwerowiec, zaś kaburę miał przywiązaną do nogi dla unieruchomienia broni podczas jazdy i by mógł ją szybko wyciągnąć.

Indy skłonił się lekko. Tutaj ważny był ceremoniał. Wiedział o tym człowieku tylko to, co powiedział mu Henshaw: że jest członkiem Rady Starszych Indian Acoma. Indy szybko odgadł resztę z jego wyglądu oraz manier świadczących o pochodzeniu z długiej i królewskiej linii. To, że pozwolono mu nosić broń na terenie bazy wojskowej, także wiele mówiło.

– Jones – przedstawił się Indy. – Henry Jones. Ale wolę imię Indy.

– Dobre imię. Ja nazywam się Jose Syme Chino. – Głos Chino dobywał się z czeluści jego klatki piersiowej. Indy dostrzegł ciepło w oczach człowieka który, o czym Indy wiedział, kiedy sytuacja tego wymagała, potrafił być groźnym przeciwnikiem. Nadal trwała niezobowiązująca wymiana grzeczności, wzajemna ob-

serwacja. Jeżeli pójdzie dobrze, Indy zyska cennego współpracownika, jakiego poszukiwał. A dyskretne wycofanie się Henshawa z rozmowy powiedziało Jonesowi, że pułkownik rozumiał, iż oni dwaj muszą układać się na równych prawach. Rząd białych ludzi nigdy nie postępował z Indianami uczciwie.

Indy wskazał na tkwiącą w kaburze broń China.

– Można? – zapytał.

Indianin błyskawicznym ruchem dobył ciężkiego rewolweru – sześciostrzałowca o dłuższej lufie kalibru 0.44 – i podał go Indy’emu kolbą do przodu. Indy zważył go w dłoni, popatrzył wzdłuż dłuższej lufy.

– Dobry zasięg?

Chino oszczędnie skinął głową.

– Ciężka amunicja, duża prędkość. Tak. Dobry zasięg.

Indy zwrócił czterdziestkę czwórkę Indianinowi, wyjął z kabury własną broń i, także trzymając ją za lufę, podał mu ją ponad stołem. Miały miejsce podobne oględziny. Chino uśmiechnął się.

– Często używany – powiedział.

– Tak – odparł Indy. Chino dowiedział się tego wszystkiego, dotykając wyrobionej rękojeści webleya. Teraz Chino wskazał na zwinięty bat zwisający z lewego biodra Indiany.

– Tego też pan często używa – rzekł.

– Tak.

– Jestem mistrzem we władaniu batem. Musimy się kiedyś spróbować – zaferował Chino.

Indy uśmiechnął się.

– To by było... interesujące.

Chino wybuchnął tubalnym śmiechem i w tym samym momencie lakoniczna mowa „zacofanego Indianina” zniknęła.

– Domyślam się, że w pewnych okolicznościach, profesorze Jones, pański aparat jest jeszcze bardziej skuteczny niż bicz i rewolwer.

Miałem rację! On prawdopodobnie zaliczył więcej fakultetów niż ja! – pomyślał Indy. Ale pamiętał, by nie okazać zaskoczenia ani nie zwlekać z odpowiedzią.

– Jest pan bardzo spostrzegawczy – zwrócił się do China. – Wielu ludzi bardziej się obawia, że to uwięzi ich duszę – poklepał lejkę – niż zabicia człowieka, który następnie w postaci ducha łączy się z bogami.

– Ostrożnie, profesorze – zaśmiał się Chino. – Mówi pan jak czarownik.

– Za to pan nie mówi już tak, jakby tropił pan łosia na wzgórzach z nożem w rękę.

Tym razem odpowiedział mu uśmiech zrozumienia.

– Tak na marginesie, panie Jose Syme Chi...

– Dla mnie Indy, dla ciebie Joe.

– Super. Tak na marginesie, zanim powrócimy do spraw bieżących, gdzie studiowałeś?

– Jesteś rzeczywiście dobry. Geologia w Montanie, meteorologia i atmosferyka na UCLA, agrokultura w Teksasie... – Chino wzruszył ramionami. – Studiowałem to, co może się najlepiej przyśłużyć interesom mojego plemienia.

– W Teksasie chyba nie było łatwo.

– Dlaczego tak twierdzisz, Indy?

– Jak by powiedzieli twoi przodkowie, Joe, nie możemy rozmawiać z rozdwojonymi językami. Być Indianinem w Teksasie to tak jak być czarnym. To grzech.

– W pewnych wypadkach jest to nawet gorsze. Ale można sobie jakoś pomóc.

– Na przykład?

– Przez cztery lata byłem mistrzem wagi ciężkiej w boksie.

– To rzeczywiście niezły pomysł.

– Przejdźmy teraz do rozpatrzenia twojego problemu, przyjacielu – rzekł Chino. – Masz coraz mniej czasu. Ta organizacja szykuje się do kolejnego posunięcia. Rozpoczęła już działania dywersyjne.

Indy zwrócił się do Henshawa.

– Wiedziałeś o tym? Znaczący, o dywersji?

– To Chino przyniósł nam wiadomości. Przynajmniej znamy początek i wiemy, czego możemy się spodziewać. – Henshaw przesunął mapę na środek stołu. – Spójrz, tu leży Acoma i rezerwat indiański. Na zachód...

– Pozwoli pan, pułkownik? – przerwał mu Chino.

– Ależ bardzo proszę – odparł natychmiast Henshaw.

Chino pochylił się nad blatem. Jego dłoń przesunęła się nad mapą w kierunku zachodnim od rezerwatu Acomów.

– To jest Cibola – wskazał. – Las państwowy. Ale to, co najważniejsze, leży na południe i zachód od Ciboli. Ten teren – stuknął w mapę – to zastęgle potoki lawy. Bardzo niebezpieczne. Często są ostre jak brzytwa. W jeden dzień potrafią pożreć mocne buty. Zaraz za tymi polami lawy leży rezerwat Indian Ramah Navajo.

Czasami mogą stwarzać problemy. Kłania się biały i czerwono-skóry tańczący szaleńczo na jednej patelni. Przy tych wszystkich wygibasach i podskokach zawsze ktoś dostanie po gębie.

Indy zaśmiał się.

– Nikt nie ująłby tego lepiej. Ale mówiłeś, że Navajo nie sprawiają zbyt wielkich kłopotów.

– Zgadza się. To Zuni. Zwykle zachowują się jak większość tutejszych starych plemion. Grzebią w piachu, by związać koniec z końcem. Rolnictwo kuleje, ziemia jest jałowa, susza trwa bez końca i jest za mało inwentarza, głównie owiec i bydła, by odsunąć ludzi od balansowania na krawędzi głodu. Firmy handlowe, które przybyły na miejsce, robią co mogą, by wszystkich wystawić do wiatru. Przez jakiś czas Zuni, jak większość plemion, budowali dość przyzwoity przemysł turystyczny i wyglądało na to, że będziemy mieli system irygacyjny. Cóż, kiedy susza odebrała nam wszystko. Sprzedaż wełny stała się zbawieniem dla większości plemion, a Kompania Handlowa Cubero trzyma je w żelaznym uścisku. Dwa lata temu zaczęliśmy odłączać się od Cubero, ale obecnie dławi nas ta sama ekonomiczna depresja, która opanowała cały kraj.

Chino wziął głęboki oddech.

– Nie bierzcie tego, co powiedziałem, za mowę w obronie biednych Indian. Nie było to moim celem. Widzicie, ludzie ze sterowca, których szukacie, rozumieją sytuację i wykorzystują ją maksymalnie.

Henshaw włączył się do dyskusji.

– Szeryf stanowy – współpracuje z nami, nazywa się Guy Douglas i dobrze wie, co w trawie piszczy – informuje nas o wszystkim. Spójrzcie jeszcze raz na mapę, Navajo, Cibola, Zuni i inne plemiona. Tereny Zuni leżą dość daleko od Acomy, a podczas ostatnich dwóch dni w rezerwatach rozpełtało się piekło. To nie Indianie sprawiają nam kłopoty. Mówiąc „nam” mam na myśli policję w Nowym Meksyku. Zostali opłaceni przez ludzi ze sterowca. Dwa nazwiska, które wypłynęły na wierzch, to Halvar Griffin i Wilhelmina Volkman.

Powróciło wspomnienie. Muzeum Historii Naturalnej... Gale Parker zabrała wtedy głos.

– Indy, czy nie wydaje ci się, że ta Marcia Mason to w rzeczywistości Volkman?

Jones skinął gwałtownie głową, ale natychmiast powrócił do bieżącej kwestii.

– Wszystko to, co obaj mówiliście – zwrócił się do China i Henshawa – zmierza do konkretnego celu. Co to za cel?

– Dwa dni temu Navajowie wpadli w szal – odpowiedział Chino. – Ale był to ostrożny szal. Nie przekroczyli granic swego rezerwatu i nie mam najmniejszych wątpliwości, że wszystko zostało ukartowane. To farsa. Są pijani, zablokowali główne drogi wjazdowe i wyjazdowe do rezerwatu, dzień i noc strzelają i grożą, że zabiją każdego, kto wejdzie na ich teren. To oczywiście dywersja. I do tego skuteczna. Miejscowi policjanci starają się przywrócić spokój w okolicy. Kiedy już myśleli, że opanowali sytuację – nie zdając sobie sprawy, że wszystko zostało zaaranżowane – kilkuset konnych, pomalowanych w barwy wojenne wojowników Zuni opuściło swój rezerwat i wyruszyło na północ w kierunku Gallup. To kolejny upozorowany wypad. Ale odniósł skutek. Zrobiło się tyle szumu wokół tych tak zwanych powstań, że wysłano tam wszystkich stróżów prawa w promieniu kilkuset kilometrów, szczególnie do Gallup. Ludzie odchodzą w tym mieście od zmysłów.

– Wnioskuje z tego coś, o czym jeszcze nawet nie powiedziałeś – Indy zmarszczył brwi.

– Oświeć i mnie – poprosił Henshaw.

– W okolicach Acomy nie ma przedstawicieli prawa – rzekł Indy. – Szeryfowie stanowi i federalni, policja, gajowi, wszyscy są w okolicach Gallup.

– Co oznacza, przyjacielu, że trzymasz to gniazdo os jedynie w swoich rękach. Ten sterowiec w ciągu dwóch dni opuści Acome. Nie później – podkreślił Chino. – Więc jakiegokolwiek masz plany, lepiej zacznij działać natychmiast.

– Panie pułkowniku? – Wszystkie oczy zwróciły się na Gale. – Dlaczego nie wyśle pan tam kilku bombowców i nie uziemi tego sterowca od ręki?

– Dlatego, że Griffin czy ktoś, kto reżyseruje cały spektakl, jest na to przygotowany – odparł Henshaw. – I to bardzo dobrze. Pan Chino może ci powiedzieć, czemu mamy związane ręce.

Wszystkie głowy obróciły się w kierunku wysokiego Indianina. Chino miał ponurą minę.

– Jeżeli wojsko, lub ktokolwiek inny, zaatakuje sterowiec, kiedy jest on w ukryciu, czy nawet uderzy gdzieś niedaleko jaskini, w której się on znajduje, będzie to oznaczało zagładę praktycznie wszystkich Acomów. Widzi pani, ci ludzie przybyli do nas jako

przyjaciele. Nasi potrzebowali żywności, wody, rzeczy niezbędnych do życia. Przybyła grupa obcych, konno i w ciężarówkach. Mieli wszystkie potrzebne papiery. Byli wśród nich archeolodzy i geodeci. Mieli odkopać zawałone jaskinie, w których najeźdźcy z Coronadem na czele ukryli cenne artefakty z zamierzchłych czasów. W zamian za naszą współpracę obiecali jedzenie, wodę, elektryczność dla całej Acomy, punkty medyczne, wszystko, czego naszym ludziom było trzeba. I dotrzykali słowa. Mówiłem, że mieli wszystkie potrzebne papiery. Licencje, zezwolenia, nazwy przedsiębiorstw. Przybywało ich coraz więcej. Jest taka ogromna pieczara, niewidoczna dla postronnych, przy tym dość duża, by pomieścić ich sterowiec.

Obawiam się, że niepotrzebnie tracę czas na gadanie, więc przejdę od razu do meritum. Biali przybysze odcięli kawał urwiska. Dostali od nas na to zezwolenie. Dzięki temu zyskali dość miejsca, by ich sterowiec mógł lądować pionowo. Kiedy ląduje, wyje jak wszyscy diabli. Spaliny drapią w gardle, ale wiatry je rozpędzają. Gdy pojazd się obniża, mocują go do kabli i silniki ostrożnie ściągają go na dół. Po wylądowaniu jest on przycumowywany do ziemi i zabezpieczony. Wtedy przywożą zaopatrzenie i hel. W grotach na wyżynach budują zbiorniki. Mówią nam, że to na hel i paliwo. Nie powiedzieli jednak, że napełnili wiele ukrytych zbiorników naftą i benzyną. Cała Acoma jest nafaszerowana materiałami wybuchowymi.

Powoli obrócił głowę, by spojrzeć w oczy wszystkim słuchaczom.

– Teraz rozumiecie?

Indy przerwał milczenie.

– Siedzicie na bombie.

– Owszem. Jeśli zaatakujecie miejsce cumowania sterowca, zniszczycie Acomę i zabijecie tysiące ludzi. Większość z nich spłonie w potokach ognia ze zbiorników, które ustawione są tak, by ich zawartość wlała się do grot i jaskiń.

Indy zwrócił się do Henshawa.

– Więc nie możemy się do nich dostać tam, gdzie w innym przypadku byłiby bezradni.

– Rozmawiałem z tymi przybyszami – rzekł Chino. – Znam częściowo ich plany, gdyż podsłuchałem, jak kilku z nich rozmawia o tym, co zrobią. Niewiele wiem o lataniu, ale wyraźnie słyszałem, że zamierzają wystartować z Acomy w nocy, gdy nikt ich

nie zobaczy, a wszyscy policjanci są zajęci Indianami w okolicach Gallup. Mówili, że wzniosą się na wysokość nie większą niż dziewięć i pół kilometra i odlecą. – Wzruszył ramionami. – Dokład, nie wiem. Liczyło się dla mnie tylko to, że odlatują. Wtedy pułkownik Henshaw poprosił mnie o spotkanie.

Indy popatrzył uważnie na China.

– Czy wiesz, kiedy dokładnie zamierzają odlecieć?

– Za dwie noce. Mój nowy przyjacielu, nie masz wiele czasu na wykonanie tego, co planujesz.

– Joe, czy możemy liczyć na twoją pomoc?

– Tak.

– Najlepiej byś nam pomógł, gdybyś poleciał z nami.

– Ja miałbym wznieść się w niebo?

– Tak. Ty znasz te tereny. My nie.

– Polecę. Do tej chwili byłem przekonany, że to biały człowiek jest naprawdę szalony. Teraz i ja zwariowałem.

– Harry, możesz sprawdzić, czy cały specjalny sprzęt został załadowany do samolotu?

Henshaw skinął na stojącego w pobliżu adiutanta. Rozkaz nie był potrzebny.

– Tak jest – powiedział oficer. – Natychmiast się tym zajmę.

Henshaw zwrócił się z powrotem do Indiany.

– Jeżeli wzniosą się wyżej niż na dziewięć tysięcy metrów, żaden z naszych samolotów – to znaczy tych gotowych do lotu – ich nie dopadnie. Wasz ford ma specjalne śmigła i broń. Indy, wyłącznie od ciebie i twoich ludzi zależy, czy uda się teraz powstrzymać ten sterowiec. Bo jeśli nie, to będzie z nami krucho.

## 18.

Lecieli przez większość nocy i sporą część dnia, by dotrzeć do Las Vegas w Nowym Meksyku, rozciągniętego szeregu budynków prosto z filmu o Dzikim Zachodzie. Kilka kilometrów na wschód od miasteczka, w pobliżu rzeki Conchas, znajdowała się rozległa pustynia, którą wojsko wykorzystywało jako poligon. Na skraju lotniska stał jeden duży hangar, otoczony namiotami i zabudowaniami zaplecza dla piechoty i personelu naziemnego, dbającego o myśliwce i bombowce, przylatujące tu na ćwiczenia. Odsobnienie okazało się lepsze niż przypuszczali. Pobliski poligon artyleryjski i bombowy był wyraźnym znakiem, że to niezdrowa okolica dla nieproszonych gości. Tyleż bomb kompletnie pułkowało co trafiało w swe cele, oznaczone na pustyni pobielonymi wapnem kamieniami.

– Niech każdy coś zje – zwrócił się Indy do swojej ekipy. – Zorientujcie się, gdzie są latryny, bo lepiej, żebyśmy wszyscy z nich skorzystali tuż przed startem dziś w nocy. Macie godzinę przerwy. Potem spotkamy się przy samolocie i sprawdzimy broń i sprzęt; przy okazji dowiemy się, czy nie zaszło coś nieprzewidzianego.

– Na którą przewidujesz start? – zapytał Cromwell.

– Ile czasu zajmie nam wdrapanie się na dziewięć i pół kilometra?

– Dobry Boże, Indy, nigdy nie leciałem tak wysoko! – wykrzyknął Cromwell.

– Ile czasu, Will?

Cromwell obliczał coś w myślach.



– Będziemy lżejsi niż zwykle – powiedział wreszcie – i...  
– Tylko konkrety, Will – nalegał Indy.  
– Nie, Indy. Tam w górze może być różnie. Musisz zrozumieć, na co się porywamy. Ponieważ nigdy nie wchodziliśmy tak wysoko, nie umiem ci powiedzieć, jaką uzyskamy prędkość wznoszenia. Mamy mechanizację płata i te olbrzymie łopaty, cóż, pokładam w nich ogromną nadzieję. Ale im znajdziemy się wyżej, tym wolniej będziemy się wznosić. Rozumiesz?

Indy słuchał cierpliwie. Nie było sensu spierać się z Cromwellem; w tym wypadku miał rację. Na wysokości, którą chcieli osiągnąć, niezajomość pewnych rzeczy mogła okazać się bardzo szkodliwa.

– Biorąc pod uwagę, że możemy mieć pewne kłopoty i tak dalej – kontynuował Cromwell – myślę, że powinniśmy przeznaczyć dwie do trzech godzin na samo osiągnięcie wysokości, jakiej się domagasz. Powyżej trzech tysięcy pięciuset będziemy już w aparatach tlenowych i na pewno wolelibyśmy, żeby nam one nie pozamarażały. Rzuciłem okiem na mapę. Do tej całej Acomy jest jakieś dwieście czterdzieści kilometrów. A przynajmniej do tej okolicy. Pokonamy ten dystans, jednocześnie nabierając wysokości.

– W porządku – rzekł Indy.

– Nie tak bardzo w porządku – wtrącił się Foulois. – Indy, musisz wziąć pod uwagę to, o czym nikt tu jeszcze nie wspomniał.

– Czyli co?

– Wszystko, co słyszeliśmy o tym sterowcu. Jest bardzo szybki. Tam w górze może się okazać, że jest szybszy od nas.

– Możliwe – przyznał Indy. – Dowiemy się na miejscu.

– Aa, i wtedy dopiero zaczniemy się martwić – powiedział ironicznie Foulois. – Jeżeli tak ma być, to nalegam, abyś ty i mój korpulentny angielski przyjaciel rozważył wejście jeszcze o jakieś pięćset metrów wyżej. Będziemy wtedy mogli nabrać prędkości w płytkim nurkowaniu. Na tej wysokości staniemy się bardzo szybcy.

Cromwell zaśmiał się, ale bez śladu wesołości.

– Nie zapominaj, Indy, że najprawdopodobniej będziemy mieli towarzystwo.

Chino przysłuchiwał się rozmowie z zadziwieniem.

– Towarzystwo? Jakie towarzystwo możemy napotkać wyżej, niż latają orły? – zwrócił się do Gale.

– Dyski.

- Dyski?
- Hm, właściwie kształtem bardziej przypominają półksiężycy. Ale wystarczy powiedzieć „dyski”. Mają silniki odrzutowe, są niezwykle szybkie i prawdopodobnie zrobią wszystko, by nas zestrzelić. Musimy więc dać im popalić, co chyba oczywiste. To dlatego zamontowaliśmy te karabiny maszynowe.
- Wszystko to brzmi jak... no, jak fantastyczne opowieści, które nasi starcy opowiadają dzieciom.
- Ty też odnosisz wrażenie, że ktoś tu kogoś robi w balona? – spytała Gale.

Kapitan Hans Ulrich Günther, pan supersterowca „Asgard”, wysłuchiwał raportów, które nadchodziły kolejno na mostek wielkiego zeppelinu. Jego pierwszy oficer, Richard Atkins, odhaczał punkt po punkcie na długiej liście. „Asgard” był półtora raza dłuższy od największego statku transoceanicznego, jaki kiedykolwiek zbudowano, i w kierowaniu nim nie przewidziano miejsca na błądy. Sterowiec musiał być idealnie wyważony, środek ciężkości zawsze ustalony. Trzej ludzie, którzy przesuwali balast i koordynowali położenie statku w locie, funkcjonowali niczym soliści w orkiestrze. „Asgard” był tak ogromny i tak czuły, jeśli chodzi o wyważenie i bezwładność, że wymagał pracy kilku ludzi, by zawiązywać nim bezpiecznie i gładko.

Do godziny drugiej rano wszystkie czynności przedstartowe zostały wykonane. Günther, patrząc wprost przed siebie przez grube szyby mostkowej gondoli, obserwował jak personel naziemny zajmuje swoje pozycje. Z tej wysokości, mimo przycumowania w ciasnym kanionie tych amerykańskich dzikusów, ludzie wyglądali niczym zabawki. Günther, nie odwracając głowy, powiedział do Atkinsa:

- Cała załoga na pokładzie?
- Jeszcze trzech brakuje, kapitanie. Właśnie wchodzi na pokład. Dwie minuty.

Wkrótce Atkins podszedł do Günthera i podsunął mu listę. Kapitan odsunął ją od siebie niecierpliwym gestem. Miał do swojego pierwszego absolutne zaufanie.

– Panie Burgess! – powiedział Günther podniesionym głosem. Andrew Burgess, najbardziej doświadczony pilot na pokładzie, wystąpił naprzód.

– Słucham, kapitanie!  
– Uruchomić wszystkie silniki.  
– Jest, uruchomić wszystkie silniki – powtórzył Burgess. Podszedł do swojego stanowiska. Miał przed sobą trzy rzędy instrumentów. Z każdej strony stanowiska znajdowały się koła do podnoszenia i opuszczania nosa, do operowania, za pomocą skomplikowanego systemu urządzeń hydraulicznych i linek, sterami wysokości i kierunku, i do zrzucenia balastu, gdyby okazało się to konieczne. Burgess zapiął na sobie uprząż zabezpieczającą; gdyby sterowiec nagle przechylił się pod ostrym kątem, pilot nadal byłby dokładnie w tym samym miejscu, z którego mógł nim kierować.

Za plecami Burgessa, po prawej stronie, stało trzech ludzi z jego zespołu, przekazujących komendy i informacje dla i od pilota. Ich zadaniem było także obserwowanie własnych paneli z instrumentami. System wielokrotnych zabezpieczeń stanowił jedyny właściwy sposób zawiadywania największym statkiem powietrznym na świecie.

Odczuł drgania pod stopami. Silniki ruszyły. Usłyszał ryk, kiedy potężne turbiny silników odrzutowych rozkręciły się do odpowiedniej prędkości i były gotowe do startu. Daleko na przedzie dźwięk ten przypominał głuchy wicher ryczący w tunelu, lecz przytłumiony niczym odległy bas organów.

– „Asgard” gotowy do startu – zakomunikował Atkins.

– Czekać na rozkazy – polecił Günther. Wywołał następane nazwisko.

– Miller!

Odpowiedź nadeszła ze śródokręcia.

– Melduje się dowódca strzelców pokładowych Miller. – Głos brzmiał metalicznie z drgających lekko awiofonów gondoli. Miller znajdował się sto czterdzieści metrów od mostka, w brzuchu „Asgarda”.

– Miller, proszę potwierdzić zabezpieczenie bomb i zapalników.

– Tak jest. Bomby gazowe na zamkach, zapalniki gotowe do uzbrojenia na pański rozkaz, kapitanie. Wszystkie bomby gotowe do zrzutu.

– Doskonale, Miller. Proszę potwierdzić obecność wszystkich strzelców na pozycjach.

– Potwierdzam: wszyscy strzelcy na swoich pozycjach, broń gotowa do strzału.

– Dowódca latających dysków Moldava! Mówi kapitan.  
– Tu Moldava, kapitanie.  
– Jaki jest stan dysków?  
– Cztery dyski zabezpieczone, zbiorniki pełne, uzbrojone i gotowe do startu na pański rozkaz, kapitanie. Służa sprawdzona i gotowa do otwarcia mechanicznego, otwieranie ręczne sprawne.

– Dziękuję.

– Panie Burgess, proszę wydać rozkazy do rozpoczęcia startu – polecił Günther swemu głównemu pilotowi.

– Tak jest. Startuję. – Uruchomiony klakson rozbrzmiał ponuro w jaskini, wydostał się na zewnątrz i dudnił głucho między ścianami kanionu. Był to sygnał dla obsługi naziemnej, by złuzować liny cumownicze. „Asgard” szarpnął swe więzy, jakby pragnął wyrwać się ziemi. Burgess pozwolił statkowi wznosić się pionowo, a dzięki cumom poruszał się on płynnie do przodu. Po wyjściu z jaskini olbrzymi statek znajdzie się w kanionie, skąd będzie mógł rozpocząć pionowe wznoszenie, a liny cumownicze zapobiegą ocieraniu się wielkich, zaokrąglonych burt o skaliste ściany.

„Asgard” wznosił się powoli, unoszony siłą wyporu hydrostatycznego komór z helem. Silniki pracowały na wolnych obrotach czekając, aż sterowiec wzniesie się ponad najwyższy punkt wyżyny Acoma i jej budynków. Wtedy statek znajdzie się na łasce wiatrów, jeżeli silniki nie zwiększą mocy. Potem nadal będzie nabierał wysokości.

– Kierunek wiatru, panie Burgess? – zawołał Günther.

– Prosto na dziób, kapitanie. Dwanaście węzłów. Ustalam minimalną moc, by utrzymać naszą pozycję nad kanionem, dopóki go nie opuścimy. Następnie zrzucimy płynny balast i zwiększymy moc.

– Wyśmienicie, panie Burgess. – Günther chciał dodać coś jeszcze, ale umilkł. Burgess świetnie wiedział, że wychodzenie z kanionu to bardzo niebezpieczny moment, gdyż nagły powiew bocznego wiatru mógł zarzucić statkiem lub nawet podnieść lub opuścić dziób w niezgrabnym myszkowaniu, co mogło się zakończyć zderzeniem z górnymi partiami pionowych urwisk. Musi prowadzić statek pewnie, pionowo w górę, i gdy tylko wydostaną się spośród skał i budynków, zwiększy moc i jednocześnie zmniejszy ciężar sterowca przez zrzucenie balastu. Następnie wejdą w zakręt bojowy i oddalą się od powierzchni. Kiedy już znajdują się w bez-

pieczonej odległości od ziemi, Burgess zwiększył moc silników i rozpoczęł majestatyczne wznoszenie do wysokości przelotowej, zachowując pełną kontrolę nad „Asgardem”.

Zaczną się wznosić powoli, o wiele wolniej, niż pozwala na to wydolność „Asgarda”. Zbyt szybkie nabieranie wysokości spowodowałyby niebezpieczne rozszerzanie się komór z helem, szczególnie jeśli w którejkolwiek z nich wytworzyłaby się podwójna fałda w dźwigarze, co mogłoby spowodować jej rozsadzenie. Dzięki wolnemu wznoszeniu załoga zyska także więcej czasu, by przywyknąć do rozrzedzonego powietrza w dolnej granicy stratosfery. Nałożą swoje ciepłe ubrania – grube kombinezony podbite kożuszkami, buty i rękawice – oraz maski tlenowe. Kiedy znajdą się już na wysokości przelotowej i poza granicami Stanów, członkowie załogi będą na zmianę przebywać w komorze ciśnieniowej w brzuchu „Asgarda”. Jest tam ciepło, więc zdejmą ciężkie kombinezony i maski i spożyją ciepły posiłek.

Pozostała część lotu to obranie kursu prosto na Londyn, na wysokości dziewięć i pół kilometra. Tam zrzucą pierwszą partię bomb gazowych. Druga partia przeznaczona jest dla Paryża, a ostatnia spadnie na Berlin.

Kiedy osiągną wysokość przelotową, już nic ani nikt nie będzie ich w stanie powstrzymać. Kapitan Hans Ulrich Günther był usatysfakcjonowany.

Jose Syme Chino wpadł jak burza do namiotu, w którym Indy i jego ekipa pili gorącą czekoladę i jedli wojskowe racje żywnościowe, by wzmocnić się przed akcją.

– Sterowiec wystartował! – krzyknął.

Wszyscy skoczyli na równe nogi. Zanim Chino zdążył cokolwiek dodać, Indy zapytał.

– Kiedy?

– Godzinę temu.

– Skąd wiesz? – zainteresował się Cromwell.

– Telefon. Byłoby szybciej, ale tutaj połączenia wariują i trwało to całe wieki – wyjaśnił Chino. – Rozmawiałem z jednym z naszych funkcjonariuszy w Acomita. To przy autostradzie, na północ od wielkiego *puebla*. Ustawił kilku ludzi, którzy mieli do niego zadzwonić, gdy tylko sterowiec pojawi się ponad kanionem. Niewątpliwie jest już w powietrzu.

– Stawia to nas na trudnej, ale nie przegranej pozycji, Indy – odezwał się natychmiast Cromwell. – Właśnie straciliśmy od jednej do trzech godzin, a jak ta cholerna machina rozkręci się na dobre, to tylko powąchamy spaliny.

– Wiem... – Indy nie skończył zdania.

– Nie! Zaczekajcie – wtrącił się Chino. – Pamiętajcie, zastanawialiście się, jaką obiorą drogę na wschód? Sądziłście, że ominą Albuquerque, by nie zbliżać się do gęsto zaludnionych obszarów. W takim razie będą musieli zrobić spory objazd w stronę Socorro.

– Dlaczego? – zapytał natychmiast Foulois.

– Z powodu burz. Na północ od rezerwatu Acoma i Laguna rozciąga się nielichy front burzowy. Ciągnie się on daleko na północ od Los Alamos, do Santa Fe National Forest, a to parszywa okolica. Jeżeli zdecydowaliby się ominąć łukiem zalesione rejony Santa Fe, to znaleźliby się w okolicach Wheeler Peak i Brazos Peak...

– Chciałeś nam coś powiedzieć – zniecierpliwił się Cromwell.

– Joe, czyżbyś uważał, że nie polecą na zachód? – zapytał Indy.

– Otóż to! Chyba żeby zwariowali – odparł natychmiast Chino. – Brazos Peak leży na północ od Albuquerque i ma ponad trzy tysiące trzysta metrów wysokości. Jeżeli ominąwszy Albuquerque polecą na północny zachód, będą musieli przelecieć obok Wheeler Peak, ominąć lasy w pobliżu Carson, a ten szczyt ma ponad trzy tysiące dziewięćset metrów. Nie jestem lotnikiem, przyjaciele, ale podczas burz w tej okolicy, ponad tymi górami, nawet wielkie duchy trzymają się blisko ziemi, ponieważ robi się tam naprawdę paskudnie.

– Streszczaj się, Joe – powiedział Indy niecierpliwie. – Znasz ten teren. Jak sądzisz, którądy polecą?

– Najpierw na południe, wzdłuż Rio Grande, miną Socorro, a potem na wschód ponad polami lawy w Dolinie Ognia. To kompletne pustkowienie, a dalej są góry o wysokości tysiąca pięćuset metrów, niektóre trochę niższe. Stamtąd mogą walić na Portale lub Clovis. Praktycznie wszystko jedno. To otwarte przestrzenie i pola lawy, a dalej wydmy i pustynia.

– A do tego czasu – rzekł Foulois, podnosząc do góry mapę, na której śledził opis Chino – osiągną pułap, na jakim im zależy. Więc lepiej...

– W drogę! – wrzasnął Indy. Skinął na porucznika. – Wyprowadzić samolot z hangaru, ale migiem! – krzyknął. – Will, Rene,

jak najszybciej odpalacie silniki. Gale, ty i Joe zróbcie ostatni przegląd ekwipunku w samolocie, żeby się upewnić, że wszystko mamy. Ja chcę jeszcze załatwić kilka spraw. Jak tylko wejdę na pokład, daj sygnał Willowi, żeby startował.

Zwrócił się do innego oficera, którego rozpoznał jako szefa łączności miejscowego garnizonu.

– To pan ma kontakt z pułkownikiem Henshawem?

– Tak jest.

– Za chwilę odlatuję. Proszę natychmiast połączyć się z pułkownikiem i powiedzieć mu, że widział pan, jak startujemy. Niech pan utrzymuje łączność, dopóki nie zobaczy pan, jak koła odrywają się od ziemi, jasne?

– Ale jest środek nocy...

– Kapitanie, chce pan dożyć szczęśliwej starości?

– Oczywiście, ale...

– Więc dzwoń pan! Poza tym, to ranny ptaszek. Ale już!

Indy nie czekał, by zobaczyć, co zrobi kapitan. Puścił się biegiem w kierunku forda. Gale trzymała dla niego otwarte tylne drzwi kabiny. Gdy tylko znalazł się w środku, Gale zatrzęsnęła je i zamknęła na zamek. Will zaglądał przez ramię do kabiny z kokpitu. Indy zacisnął pięść i poruszył nią z góry na dół w powietrzu. Cromwell kiwnął głową i chwilę później jego dłoń popchnęła trzy dźwignie przepustnic do oporu. Trzy silniki firmy Pratt & Whitney zawyły swą znajomą piosenkę i po niecałych dziesięciu sekundach ziemia zaczęła się oddalać.

## 19.

Wznosili się powoli i płynnie w ciemnościach. Widoczne były jedynie samotne światełka rancz lub małych miasteczek daleko w dole. A i te zaczęły znikać pod gęstniejącymi chmurami, które napotkali na wysokości tysiąca dwustu metrów. Cromwell i Fulois utrzymywali forda we wznoszeniu na południowy wschód, w kierunku Puerto de Luna, miasta nad brzegami rzeki Pecos. Co ważniejsze, leżało ono między Las Vegas a Roswell, a obecny kurs poprowadzi ich wzdłuż linii na zachód od Clovis i Portales na granicy Nowego Meksyku z Teksasem. W Puerto de Luna także znajdowała się radiostacja, która nadawała w nocy, i to dało pilotom wsparcie nawigacyjne. Mogli dostroić się do częstotliwości stacji w Puerto de Luna na południu, przełączyć się na całonocną stację nadawczą w Albuquerque na zachodzie, i dzięki rysowaniu linii na mapie z zamiarami pozycji stacji naziemnych, systematycznie kontrolować swoje położenie. Jeżeli Chino znał teren i pogodę tak dobrze, jak myśleli, sterowiec, który powinien się wystrzegać dużych burz, wybierze najlepszą trasę do osiągnięcia pozycji, z jakiej rozpocznie swój lot na wschód. A lot ten będzie przebiegał nad Doliną Ognia, dalej nad Gorzkim Jeziorem, leżącym niedaleko na północ od Roswell a następnie, na ekstremalnej wysokości, jego piloci muszą jedynie utrzymać kurs na północny wschód. Indy zdążył się dotychczas dowiedzieć o dostrajaniu do częstotliwości komercyjnych stacji nadawczych tyle, by wiedzieć, że na ogromnej wysokości, na jakiej sterowiec będzie leciał, jego załoga może skorzystać z ich sygnałów od jed-



nego miasta do drugiego, podążając prymitywną, ale skuteczną powietrzną autostradą radiową.

Indy odłożył to teraz na bok. Cromwell odezwał się przez telefon pokładowy.

– Wskakujcie w kombinezony. Zrobi się okrutnie zimno, i to o wiele szybciej niż sądzicie. Kiedy się już ubierzecie, posprawdzajcie się nawzajem. I upewnijcie się na sto procent, że kiedy temperatura spadnie poniżej minus dwudziestu, co się wkrótce stanie, nie dotykacie metalowych rzeczy gołymi rękami. Jeżeli nie usłuchacie, zostawicie na nich swoją skórę.

– Jasne, Will. A co z wami?

– Jak tylko młoda dama założy kombinezon, przyślij ją do nas. Rene będzie mógł pójść się ubrać, gdy Gale zajmie prawy fotel. Kiedy Rene wróci i przejmie swój fotel, Gale weźmie mój, a ja pójdę się ubrać. Nie zapomnijcie sprawdzić nas. Tam, dokąd lecimy, każda pomyłka może drogo kosztować.

– Rozumiem – potwierdził Indy. Zwrócił się do Gale. – Słyszałaś wszystko?

– Tak. Do roboty – zachichotała. – To bardzo miłe, że jednocześnie dwóch panów będzie mi pomagało się ubierać. Ileż w tym pikanterii.

– Może dla niedźwiedzia grizzly – mruknął Chino. Dziesięć minut później była gotowa przyznać mu rację. W ciężkim kombinezonie z podbitej kozuszką skóry, grubych butach, skórzanym hełmie i goglach czuła się jak przejeżdżony niedźwiedź.

– Ledwie mogę w tym chodzić – poskarżyła się.

– No to pełzaj – odpowiedział jej Indy.

Poczłapała do kokpitu. Chwilę później w kabinie zjawił się Foulois i trzech mężczyźni pomogli sobie nawzajem założyć grube i niewygodne kombinezony. Każdy z nich sprawdził ekwipunek pozostałych i Foulois wrócił do kokpitu, przysyłając Cromwella. Kiedy Gale wróciła do kabiny, założyli maski tlenowe, czerpiące życiodajny tlen z butli przewieszonych przez ramię, zmodyfikowanych przez Sama Browne’a.

– Każdy zbiornik zawiera zapas na dwie godziny – poinformował Indy Gale i China. – Na co najmniej dziesięć minut wcześniej musicie być gotowi do zmiany butli. Will nalega, by przy każdej wymianie zbiornika asystowała druga osoba. Jeżeli którekolwiek z nas namiesza coś przy zaworach lub połączeniu i tlen przestanie dochodzić, na tej wysokości nie będziemy mieli nawet

trzydziestu sekund, by naprawić swój błąd. A jeżeli ktoś jest przy tobie, może od razu włączyć dopływ tlenu.

Chino kiwnął głową na znak zgody.

– Jak zdołamy się porozumieć w takim hałasie, przy ryku wiatru i silników?

– Te maski to najnowszy wojskowy model. Mają wbudowane nadajniki radiowe. Ponieważ zasięg jest mały, akurat wewnątrz samolotu – Indy przekazywał to, czego dowiedział się od Henshawa – system powinien działać bardzo dobrze. Ale – przestrzegł – jeśli którekolwiek z nas wywoła kogoś i nie otrzyma odpowiedzi, niech zaraz odnajdzie tę osobę. Może się zdarzyć, że komuś skończy się powietrze lub puści zawór. Na tej wysokości pięć minut bez tlenu to wyrok śmierci.

Wszystko działało idealnie, choć trudno im się było ruszać w ciężkich kombinezonach i rosnącym zimnie. Wyjrzeni do tyłu, na północny zachód. Ciemne dotychczas niebo przecinały niemalże nieustannie błyskawice, przeskakujące między chmurami we wciąż narastającej burzy. Wielkie pioruny rozbłyskiwały niczym światła latarni.

– Boże, jak to dobrze, że nas tam nie ma – zauważyła Gale. – Mogłoby nas rozerwać na strzępy.

– Dzięki – powiedział Chino, nie kryjąc sarkazmu.

Indy klepnął go w ramię.

– Nie mamy zamiaru się tam zbliżać – zapewnił ogromnego Indianina. – Joe, nadchodzi świt. Lepiej sprawdźmy broń.

Ford został dobrze przygotowany na planowane spotkanie ze sterowcem. Luki bagażowe w środkowej części skrzydeł, zmodyfikowane tak, by pomieścić po jednym karabinie maszynowym z ciężkim ładunkiem amunicji, dały Francuzowi i Cromwellowi możliwość rażenia silnym ogniem na kierunku lotu. Obaj mężczyźni byli doświadczonymi w boju pilotami i to doświadczenie było teraz bezcenne.

Pod skrzydłami, w miejscu zewnętrznych zbiorników paliwa, wojskowi zainstalowali wyrzutnie raketowe. Obudowa miała ten sam kształt i zaczepy co zbiorniki, lecz przewody paliwowe zastąpiło obwodami elektrycznymi do odpalenia rakiet. Na przedzie każdego zbiornika zamiast metalowego panelu znajdowało się wielowarstwowe, grube płótno, polakierowane dla nadania sztywności. Przed zapłonem stałego paliwa silników rakiet niewielki ładunek wysadzi kruchą przednią i tylną ściankę wyrzutni, aby rakiety

mogły wystartować bez przeszkód, a płomień z ich silników buchnął do tyłu bez podmuchu odbitego od tylnej pokrywy. Każda wyrzutnia mieściła trzy rakiety, nowocześniejsze od tych, jakich podczas wojny dwanaście lat temu używali Foulois i Cromwell; Foulois ze swego myśliwca, w którym atakował niemieckie balony obserwacyjne, a Cromwell w swych atakach nurkowych przeciwko niemieckim łodziom podwodnym.

Głowica każdej rakiety była spodziewanym kluczem do sukcesu w walce z potężnym wrogiem. Ładunek wybuchowy usunięto na rzecz mniejszego ładunku, wokół którego upchany był materiał zapalający – biały fosfor. Aby jeszcze zwiększyć efekt, metalowe korpusy głowic raket wykonano z magnezu. Obie substancje, biały fosfor i magnez, potrafią z taką samą łatwością zapalić zarówno materiał, jak i metal, a raz zapalone, cząsteczki magnezu płoną nawet pod wodą.

Oto były kluczowe rozwiązania, dzięki którym Indy i jego ekipa mieli nadzieję spenetrować wnętrze statku, rozcinając go niczym gorący nóż miękkie masło.

Nic jednak nie jest proste. Będą przecież zmagać się z zimnem i aparatami tlenowymi, które nie dopuszczają żadnych pomyłek. Może uda im się nawiązać kontakt wzrokowy ze sterowcem, ich zwierzyną łowną.

Istniało tak wiele niewiadomych! Indy pilnował się, by zachować swe poważne obawy dla siebie. Słuchał opowieści pilotów już wystarczającą ilość razy, by wiedzieć, że wypływali trójsilnikowym fordem na nieznaną wodę. Na tej wysokości po prostu nie sposób przewidzieć, jak zachowa się ich maszyna. W rozrzedzonym powietrzu zmieniają się parametry i osiągi samolotu. Pomimo wspaniałych umiejętności Cromwella i Rene, troje ludzi w kabine, którzy mieli odpierać prawdopodobny atak superszybkich, odrzutowych dysków, miało tyle doświadczenia w obsłudze karabinów maszynowych, co pies w jeździe na motocyklu.

Ich atut stanowiło to, że Indy, Gale i Chino byli doświadczonymi strzelcami i myśliwymi. Podstawy nie ulegną zmianie. Zawsze namierza się z wyprzedzeniem, by pocisk dotarł do celu w odpowiednim momencie.

Foulois poświęcił trochę czasu, by poinstruować Indy'ego odnośnie strzelania z karabinów.

– Wieje potężny wiatr. Czy to ma wpływ na strzelanie? Oczywiście tak. Wiatr zmienia tor lotu twoich pocisków. Nawet karabin

maszynowy może zmarnować całą amunicję z powodu wiatru. Ale dostaniesz pociski smugowe, przyjacielu. Co czwarty nabój jest zapalający, i będziesz go widział jako jasny, oddalający się, świecący punkt na niebie.

– Wiem – powiedział Indy cicho.

– Aha! Zapewne masz doświadczenie w tych sprawach?

– Armia Belgijska. Afryka. Francja – rzekł sztywno Indy. –

Owszem, mam pewne doświadczenie.

– *Voilà!* W takim razie nie muszę ci mówić, żeby strzelać krótkimi seriami. – Foulois chwycił wymaginaną broń i potrząsnął rękami, jakby czuł odrzut karabinu maszynowego. – A nie tak, jak się podlewa trawnik. Żadnego marnowania amunicji, bo jej ilość jest ograniczona. Nawet Belgowie wiedzieli, żeby nie prowadzić ciągłego ognia zbyt długo, by lufy się nie przegrzały, tak?

– Tak.

– Jeszcze jedno, mój prześwietny profesorze. Nigdy nie zapomnij, że zapas amunicji jest ograniczony. Gdy się wyczerpie – Foulois wzruszył ramionami – robi się bardzo cicho, kiedy naciśkasz spust.

– Boże, ale ziąb... – Gale Parker dygotała wewnątrz swojego ciężkiego kombinezonu. – Od dawna jest grubo poniżej minus dwudziestu... Czy może być jeszcze gorzej?

Indy wzruszył ramionami.

– Możesz liczyć na czterdzieści i więcej poniżej zera. Tak powiedział Henshaw. To dlatego właśnie zastosowali specjalne smary do naszego sprzętu. Zwykły smar czy olej zmieniłyby się w mazię.

Cromwell wtrącił się przez telefon pokładowy.

– Poruszajcie się tam trochę – powiedział. – Ruszajcie się jak najwięcej. Kiwajcie palcami w butach. Zabijajcie ręce. Róbcie, co trzeba, by poprawić krążenie krwi. Teraz już wiecie, dlaczego Eskimosi mają na ciele tyle tłuszczu. Panno Parker, nie wołałaby pani być pulchna i tłusciutka?

– Jeśli... jeśli dzięki temu byłoby mi cieplej – powiedziała drżąc – to czemu nie!

Indy spojrzął na Gale i China.

– Wchodzimy na samą górę. W każdej chwili możemy się natknąć na naszych przyjaciół. – Wyrzwał przez okno kabiny. – Je-

steśmy tak wysoko, że wydaje się, iż niemal opuściliśmy świat. – Otrząsnął się. – Sprawdźmy broń.

– Chwileczkę – odezwał się Chino. Indy obrócił się. – Słuchaj, obejrzałem stanowiska strzeleckie. Ty obsługujesz pojedynczy karabin w luku podłogowym, tak?

Jones skinął głową.

– Ta decyzja zapadła w ostatniej chwili. Ludzie Henshawa zamontowali stanowisko z przegubem kulowym. Jeżeli jakiś dysk zaatakuje nas od dołu albo jeśli znajdziemy się dokładnie ponad sterowcem, będzie to pozycja kluczowa.

– Zgadzałem się, Indy. Ale ta podłoga do najmocniejszych nie należy. Weź pod uwagę mój, czy nawet swój ciężar. Naciskałem na nią – wyjaśnił Chino. – Ugina się. A zimno sprawi, że stanie się krucha. Proponuję, byśmy umieścili tam Gale. Przymocujemy ją pasami do nóg foteli, by była bezpieczna, jeśli coś pójdzie nie tak.

Indy zgodził się z obserwacjami China. Uznał je za istotne.

– Coś jeszcze?

– Owszem. Przypisałeś mi ten otwarty luk tuż za kokpitem, z tym samym systemem kulowym, jaki ma karabin w podłodze. Ale sądzę, że lepiej, byś to ty znajdował się bliżej kokpitu. Możemy utracić łączność lub mieć jakieś inne kłopoty, wtedy będziesz tuż obok pilotów, gdyby cię potrzebowali. Ja mogę zająć główną pozycję na ogonie i...

– Czy zechcą panie łaskawie przerwać na chwilę swoje płotechki? – rozległ się głos Cromwella, zniecierpliwionego tą całą gadaniną. – Pięć minut temu powinniście byli sprawdzić swoje aparaty tlenowe. Do dzieła, kwiatuszki!

Indy i Chino wymienili porozumiewawcze gesty, sprawdzili swoje systemy, wymienili niemal próżne butle na pełne zbiorniki i zrobili to samo dla Gale.

– Panowie, myślę, że chcielibyście wiedzieć, iż znajdujemy się na siedmiu tysiącach metrów – poinformował ich Cromwell przez interkom. – Tam do katar, jest już trzydzieści poniżej zera i ciągle spada.

Chino potrząsnął głową, udając niedowierzanie.

– Gdyby tak starzy wodzowie mogli mnie teraz zobaczyć – powiedział zadziwiony. – Im bardziej zbliżamy się do słońca, tym jest zimniej. Pomyśleliby, że świat zwariował.

Niefrasobliwe pogawędki miały się ku końcowi. Było diabelnie zimno i z każdą chwilą robiło się coraz gorzej, podczas gdy ford nieustannie parł ku górze, a jego trzy silniki pracowały na pełnych obrotach. Nawet najmniejsza szczelina w kabinie, która pozwalała na dopływ powietrza z zewnątrz, działała niczym nóż przecinający ciało. Ich zmysły zaczynały zawodzić. Front burzowy był teraz odległym murem, najpierw czerwonym, potem pomarańczowym, a obecnie, gdy słońce wzeszło wyżej, oślepiająco białym. Niebo bezpośrednio nad nimi dziwnie ciemniało, nabierając coraz głębszego odcienia fioletu, a wokół nich rozciągał się stalowy błękit, niezwykle czysty, sięgający aż po horyzont, który wydawał się odległy o tysiąc kilometrów.

Byli zupełnie sami, niczym małe metalowe stworzonko z mazołem i warkotem pnące się w górę. Indy sprawdził po raz czwarty przedni karabin maszynowy, szukając części, które mogły zamarznąć. Kiedy się odwrócił, zobaczył China zwijającego się na podłodze kabiny, z szeroko rozrzuconymi nogami i jedną ręką zaciśniętą na oparciu fotela.

– Chino! – zawołał ostro.

– Ech, słyszę cię. Kto... co... świat się trzęsie... widzę jasne gwiazdy... – głos China załamywał się.

– Idź do tego cholernego Indianina, i to już! – wrzask Cromwella zatrzęszał w ich słuchawkach. – Traci tlen! Szybko!

Indy przeszedł na tył i pochylił się, by sprawdzić wskaźnik tlenu China. Zbiornik był niemal pełen. Indy dostrzegł problem, kiedy Chino przestawał się już ruszać. Nieświadomie trącił ręką kranik zaworu i zmniejszył sobie dopływ tlenu. Miał już pierwsze objawy choroby kesonowej. Pojawiły się objawy niedotlenienia. Indy odkręcił zawór do oporu i złapał China za ramiona.

– Odezwij się – warknął Indy. – Licz do dziesięciu!

– Ech, dobra, dwa, cztery, nie... – Potrząsnął głową. Indy zajął mu w oczy. Traciły nienaturalną szklistość. Szybko z tego wychodził. – W porządku, dzięki, Indy...

– Licz!

Chino odbębnił liczby wzorowo. Indy poklepał go mocno po ramieniu.

– Sprawdź swój karabin. Odzywaj się co pięć minut. To odnosi się również do ciebie, Gale.

– Mam kłopoty z widzeniem, Indy – powiedziała z bólem w głosie.

Sprawdził jej tlen. Wszystko było w porządku, włącznie z dopasowaniem maski. Wtedy dopiero spostrzegł, co przegapił.

– Gogle. Nie możesz ich zdejmować. Oczy ci łzawią, a łyżki zamarzają od razu na policzkach. Gale, proszę... – Włożył jej gogle na twarz. – Nie zdejmuj ich. Tutaj mogą ci zamarznąć oczy.

– Boże, ale boli. Już dobrze. – Odsunęła jego ramię. – Nic mi nie będzie.

Cromwell i Foulois byli lepiej chronieni przed zimnem w kokpicie, gdzie gorące powietrze z upustów rozgałęźnika z silnika dziobowego dmuchało prosto na ich nogi. Mogliby mieć więcej ciepła w samolocie z rozgałęźników z silników na skrzydłach, ale obaj piloci nalegali, by ciepło z tych źródeł skierować do wyrzutni rakiet i karabinów maszynowych zamontowanych pod skrzydłami.

– Osiem tysięcy pięćset – odezwał się z kokpitu Foulois. – Zaczynamy zbierać lód.

Nie przesadzał. Wystarczyło jedno spojrzenie, by dostrzec szron gromadzący się na zastrzałach łoża silnikowego, na oknach kabiny i zewnętrznych linkach sterowych, smaganych przez wichry przypominający rozszalałą antarktyczną burzę.

We wnętrzu kabiny Indy, Gale i Chino rozpaczliwie starali się rozgrzać, zabijając ręce, wymachując ramionami, poruszając palcami w butach. Za każdym razem, gdy sprawdzali swoje karabiny, musieli wystawić niektóre części ciała na działanie wyjącego pędu powietrza. Temperatura na zewnątrz spadła do czterdziestu ośmiu stopni poniżej zera. Ford zmienił się w niezmordowanie prącą w górę bryłę lodu.

– Osiem tysięcy osiemset – obwieścił Cromwell. Jego głos wydawał się zbołały. – Sprawdźcie tlen. Zgłoście się, kiedy odczytacie wskazania przyrządów.

Jakając się, wykonali rozkazy Cromwella.

– Stery sztywnieją – rzekł Foulois.

– Zadziwiająco, jak te silniki pracują – mruknął Cromwell. – Temperatura jak na biegunie.

Między ich raporty wmieszał się głos China.

– Nie musimy wznosić się wyżej – oznajmił.

– Dla-dlaczego n-nie? – wyjąkała Gale.

– Z lewej strony, jakieś sześćset lub dziewięćset metrów niżej – powiedział ostrożnie Chino. – Jest.

Wszyscy spojrzeli na lewo i lekko w dół. Był tam ogromny sterowiec, odbijający słońce niczym wielka podniebna latarnia.

– Chwała wszystkim świętym, że są pod nami – oświadczył Cromwell. – Nie wydaje mi się, by w naszym staruszku pozostało wiele sił. Wyrównujemy, Rene. Delikatnie, delikatnie... Nie, nie, utrzymujemy pełną moc. Będziemy potrzebować wszystkiego, co mamy. Indy, jesteś tam?

– T-tak. Słucham.

– Mamy towarzystwo, chłopcze. Skieruj wzrok poza i nieco poniżej zeppelinu. Widzisz, o co mi chodzi?

– Ee... nie... Widzę ich, Will! – Indy zauważył nagle jasne rozbłyski.

– Są trzy – rzekł Cromwell. – Możesz być pewien, że wpadną z wizytą.

– Tak jest. Gale, Joe... do karabinów. Potwierdzić.

– Na stanowisku. Pasy zapięte. Ilość tlenu siedemdziesiąt procent zbiornika. Zawór otwarty do oporu. – Gale roztropnie mówiła urywanymi seriami.

– Jestem z tobą – zgłosił się Chino.

– Jak twój zbiornik? – zapytał Indy.

– Sześćdziesiąt pięć procent.

– Idź.

– Ale tu zimno. – Chino wystawił głowę i ramiona na działanie strumienia powietrza.

– Za parę chwil zrobi ci się cieplej, stary – powiedział Cromwell. – Indy, nadal masz ich w zasięgu wzroku?

– Tak, Will.

Piloci delikatnie pochylili samolot w stronę wznoszącego się powoli sterowca.

– To ważne, Indy – mówił dalej Cromwell. – Popatrz na te dyski. Nie lecą równo. Chyboczą się. To oznacza, że nie mają zbyt wielkiej siły nośnej.

– Indy, tu Rene. Brytyjczyk ma rację. One nie mogą tu dobrze manewrować. Zobacz, jak skręcają, jakby jechały po blacie stołu. Widzisz?

Jones obserwował, jak dyski zbliżały się szerokimi, bardzo płytkimi zakosami. Oni mają rację, pomyślał. Pojazdy te były straszne na mniejszej wysokości, w gęstym powietrzu, ale w rozrzedzonej atmosferze okazały się ledwie zdolne do lotu.

– Jak myślisz, Will, co zrobią?

– Nie mogą zaatakować nas bezpośrednio od dołu – odparł Cromwell natychmiast.



– Gdyby spróbowali, krawędzią natarcia w górę, silniki by im zgasty wskutek przeciążenia. Nie mogą też robić ostrych zakrętów. Przynajmniej nie w warunkach, w których czują się jak wyjęta z wody ryba. To nasza szansa.

– Indy, tu Rene. Myślę, że zrobią płytkie podejście od tyłu. Dwa z nich. Nieco z góry i z tyłu. Muszą lecieć na pełnej prędkości, bo inaczej spadną.

– Powiedziałaś „dwa”. A trzeci?

– Zaatakuję nas od frontu.

– Joe, słyszysz mnie? – odezwał się Cromwell.

– Tak.

– Kiedy przyjdą po nas od tyłu, zwrócę nos w prawo. Dzięki temu będziesz miał tych drani jak na talerzu.

– Do-dobra.

– Nie tak szybko. W twoim karabinie nie ma mechanizmu zabezpieczającego. Rozumiesz?

– Nie.

– To oznacza, że musisz uważać, żeby nie odstrzelić nam ogona! Jasne!

– Tak. Powiedz im, żeby się pośpieszyli, bo tu zamarznę.

– Wyślę im telegram, Joe.

– Indy, kiedy tylko przelecą te z tyłu – odezwał się Foulois – musimy dalej skręcać, ale pochylić nos do przodu. Dzięki temu będziesz mógł otworzyć ogień do dysku, który nadleci od frontu. Gale Parker, on musi przelecieć pod nami. Masz tylko chwilę na strzelanie, gdy będzie pod tobą przechodził. Nie może się wznościć, więc tak właśnie poleci.

– Czas zakończyć pogawędki, drogie panie! – powiedział głośno Cromwell. – Nadlatują!

Dyski, plując czarnym dymem, kontynuowały swój mozolny zakręt w kierunku forda.

– Przygotować się... – rzekł Cromwell. – Uwaga na tych dwóch z tyłu!

Chino spostrzegł światło błyskające na krawędziach natarcia dysków.

– Strzelają do nas! – wykrzyknął.

Cromwell natychmiast wdepnął prawy pedał orczyka, zwracając nos w prawo, dzięki czemu ogon znalazł się z lewej strony i Chino otrzymał krótką, ale idealną okazję. Wszystko, co mu mówili o krótkich seriach, poszło w niepamięć, gdy wycelował w punkt

przed dyskami i nacisnął spust. Świetliste pociski smugowe pomknęły po łuku przed siebie.

– Krótkimi seriami! – ryknął Indy.

Chino nie usłyszał jego głosu i strzelał dalej. Kilka pocisków trafiło w prawe skrzydło forda, rozrywając metal i wyrzucając w powietrze metalowe strzępy.

– Dostał! Dostał! – wrzasnął Chino. – Dostałem go! Widzę ogień! Jiihaa!

Jego kule roztrzaskały szklaną kopułę dysku i najwidoczniej przeszły przez kokpit do zbiornika paliwa. Dyskiem wstrząsnęła eksplozja. Pilot rozpaczliwie próbował nabrać wysokości, wiedząc że inny dysk miał zaatakować forda z przeciwnej strony. Lecz w dalszym ciągu opadał; wiatr ze świstem wdzierał się do kokpitu, płomienie szarpały pojazd; opadał prosto na trójśilnikowiec.

– Na lewo! Na lewo! – krzyczał Indy. – Nura w dół! Spada prosto na nas!

Na tej wysokości był to niebezpieczny manewr, ale nie mieli wyboru. Natychmiast nos zwrócił się w lewo i uniosło się prawe skrzydło, gdy Cromwell wprowadził samolot w raptowny lewy zakręt z wejściem w nurkowanie. Ryk ich silników został nagle zagłuszony przez straszliwy odgłos. Dysk spadał bezładnie, szaleńczo koziołkując, plując ogniem i odłamkami. Przeszedł ledwie kilkadziesiąt centymetrów pod wzniesionym skrzydłem forda. Podmuchał samolot niczym ogromna dłoń. Cromwell i Foulois walczyli desperacko, by nie stracić kontroli. Stromy przechył na tej wysokości mógł w mgnieniu oka spowodować przeciążenie. Powoli wyprowadzili maszynę z krótkiego zniżania i wyrównali lot.

Samolot zawibrował od karabinowej serii.

– Jest pod nami! – krzyknęła Gale do swojego mikrofonu. Leżąc na brzuchu na podłodze kabiny, zauważyła wchodzący w zasięg jej broni drugi dysk. Zareagowała natychmiastowym otwarciem ognia, strzelając na oślep podczas tej zbyt krótkiej okazji. Dysk wysforował się przed forda i skręcił w lewo, by nie zderzyć się z trzecim dyskiem, srebrzyście połyskującym punktem pędzącym prosto na samolot.

– Ognia! – krzyknął Cromwell do Fouloisa. – Nawet jeśli go nie trafisz, to przynajmniej będzie miał powód do zmartwień!

Karabiny pod skrzydłami forda plunęły ogniem, pociski smugowe pomknęły do przodu, świecąc wokół dysku. W tej samej chwili dostrzegli błyski karabinu maszynowego przeciwnika. Kule zbli-

zały się z olbrzymią prędkością. Zanim zdążyli cokolwiek zrobić, rój pocisków załomotał w prawe skrzydło i powędrował w kierunku kokpitu.

Ford zatrząśił się, jakby zderzył się z ciężarówką.

– Rakiety! Z prawego skrzydła! – krzyknął Indy. – Straciliśmy je! – Kule trafiły w wielką wyrzutnię rakiet pod prawym skrzydłem, rozszarpały złącza i rozbiły cały system. Mieli ogromne szczęście. Siła pędu oderwała rakiety, zanim zapaliła się jedna z głowic. Daleko w tyle pod nimi, wyrzutnia rakiet zamieniła się w kulę ognia. Odłamki związało do tyłu jak confetti w czasie huraganu.

– Will, czas na sterowiec – rozkazał Indy. – Zostały nam tylko trzy rakiety.

– Jakbym nie wiedział – odparł Cromwell, jednocześnie obierając kurs na ogromny statek. – Dopadniemy go, zanim zdąży wejść wyżej. Nadal mamy nad nim jakieś pięćset metrów przewagi... dobry Boże... – Usłyszeli wyraźną zmianę w głosie Cromwella. – To Rene. Oberwał. Mocno. Krew jest wszędzie. Lepiej weźcie go do tyłu, zatamujcie krwawienie i sprawdźcie jego tlen!

– Nadlatuje dysk! – usłyszeli krzyk China. – Za nami i poniżej. Jest poza moim zasięgiem!

– Gale! – zawołał Indy. – Widzę go. Kiedy ci powiem, wycełuj swój karabin do tyłu, dokładnie w linii z kadłubem. Jest szansa, że wleci prosto na twoje kule.

– Ale będę strzelała na ślepo!

– Masz lepszy pomysł? Zamknij się i przygotuj do strzału! Okay, zbliża się... leci tuż pod nami, otwiera ogień...

Poculi, jak pociski uderzają w ogon. Cromwell wdepnął ostro prawy pedał orczyka, potem lewy, lecąc zygzakiem, by utrudnić atakującemu celowanie. Gale krzyczała; ją samą rzucało z boku na bok.

Stanowisko karabinu na przegubie kulowym montowano w pośpiechu. Pod wpływem przenikliwego zimna metal skurczył się i stał się łamliwy. Kiedy Indy wrzasnęła do niej:

– Ognia, teraz! – nacisnęła spust. Nagłe ruchy samolotu, wyśiłki Gale, by zapobiec miotaniu nią na boki mimo uprząży, odrzut karabinu – wszystko to razem okazało się klęską dla prowizorycznej konstrukcji. Metal rozerwał się, wsporniki połamały się niczym gałęzie i karabin wypadł z samolotu.

Gale widziała przez chwilę połyskujący dysk, znajdujący się na linii spadającego karabinu. Z niedowierzaniem obserwowała,

jak roztrzaskał on szklaną kopułę i spadł na pilota. Konwulsyjne szarpnięcie sterami spowodowało, że dysk stracił całą siłę nośną i wirując spadł w dół. Maszyna kręciła się niczym tańczący derwisz, gubiąc po drodze części i paliwo. Daleko pod nimi rozkwitł płomień wybuchu i rozpadający się dysk pomknął ku swojej ostatecznej destrukcji.

– Niech mi ktoś pomoże! POMOCY!

Głos Gale... w jego słuchawkach. Indy obejrzał się w kierunku luku w podłodze. Gale zniknęła! Widać było jej nogi zaplątane w uprzęż bezpieczeństwa. Od kolan w dół nadal była w kabinie, ale reszta jej ciała znajdowała się na zewnątrz, wydana na pastwę bezlitosnego, lodowatego wiatru. Powiew miotał nią dziko, kilkakrotnie ciskając jej ciałem o brzuch samolotu. Indy ruszył w jej kierunku i zauważył Chino gramolącego się z tylnej części kabiny. Ford przechylił się dziko na bok. W swoich niezgrabnych strojach i maskach tlenowych nie mieli szans dotrzeć do Gale. Dziewczyna ponownie wezwała pomocy.

Indy zareagował bez zastanowienia. Została tylko jedna możliwość. Złapał za język suwaka kombinezону i rozpiął go aż do dołu, zyskując dostęp do swojego ubrania pod spodem. Momentalnie wyciągnął bicz zza pasa. Wiedział, że będzie to najważniejsze uderzenie w jego dotychczasowym życiu. Dokładnie wycelował, zebrał się w sobie i rzucił. Końcówka rzemienia owinęła się wokół prawej kostki Gale. Indy, trzymając się fotela, ciągnął z całych sił.

– Joe! Utrzymam ją przez chwilę! Idź jej pomóc! – I dodał jednym tchem: – Trzymaj się, Gale....

Krzyknęła coś niezrozumiale. Indy nie miałby pretensji, gdyby było to najgorsze przekleństwo pod słońcem.

Chino posuwał się po podłodze kabiny na czworaka, starając się jak najszybciej dotrzeć do Gale. Przechyliła się gwałtownie w bok, gdy pękł jeden z ostatnich dwóch podtrzymujących ją pasów. Jej życie wisiało teraz na jednym pasie i biczu Indy'ego. Czasu mieli coraz mniej. Chino złapał się czegoś, chwycił jej lewą nogę i wciągnął do wnętrza jak dziecko, podczas gdy Indy ciągnął za bicz. Dziewczyna znalazła się częściowo w kabinie. Wtedy Chino prawą ręką objął ją w pasie. Ścisnąc kurczowo jej ciało, odturlał się od zięjącego otworu najdalej, jak tylko mógł.

Indy z trudem podszedł do nich, klęknął i chwycił Gale za kombinezon. Razem z Chinem wciągnęli ją do samolotu i powlekli w kierunku kokpitu.

Dziewczyna miała zakrwawioną twarz. Pod czerwonymi smugami i plamami jej skóra była trupio blada od wiatru i zimna.

– Tlen – zwrócił się Indy do Chino. – Szybko! Zgubiła swoją butlę. Przynieś nową.

Chino zniknął. Indy natychmiast wziął głęboki wdech, wstrzymał go i podłączył rurę tlenową Gale do własnego zbiornika. Niemal od razu zaczęło mu się kręcić w głowie. Walcząc, by nie stracić przytomności, przymocował swoją butlę do pasa dziewczyny. Zaczynała go ogarniać ciemność. W następnej chwili jasne światła tańczące przed oczami zblakły; potem u jego boku znalazł się Chino z pełną butlą.

– Joe, idź do kokpitu. Spróbuj przynieść tu Francuza. Gale za moment wróci do formy. Ale co by się nie działo, upewnij się, że Rene ma tlen. Zatamuj krwawienie. Gale ci pomoże; wie, co robić w takich sytuacjach.

Joe poszedł na przód. Indy położył dłoń na twarzy Gale. Ścisnęła ją mocno.

– W porządku. Nic mi nie będzie. Pomóż mi się tylko podnieść, żebym mogła pomóc Rene.

– Indy! Tu Will. Chodź do kokpitu. Joe wyciągnął Rene. Jest poharatany. Potrzebuję cię tu.

Jones przecisnął się obok China, który układał rannego pod ścianą kabiny w pozycji siedzącej. Zasiadł na fotelu Francuza.

– Mów, co mam robić – zwrócił się do Cromwella.

– Zdecydowali się dać drapaka – odparł Cromwell. – Ledwie widać ten trzeci dysk, który chciał nas dopaść. Leci za sterowcem i stara się wrócić na pokład. Mówię ci, to cholernie głupie posunięcie.

Cromwell z całej siły napierał na przepustnice, starając się wycisnąć z forda ostatni gram energii.

– Dlaczego... Chodzi mi o to, co właśnie powiedziałeś – zapytał Indy.

– Ten naleśnik na tej wysokości nie może zwalniać – odpowiedział pospiesznie Cromwell. – Niedawno mieliśmy okazję to oglądać. Leci o jakieś pięćset kilometrów na godzinę szybciej niż ten gazowy pęcherz. Przenicuje go na wylot jak nic. O ile nie myślę się w moich kalkulacjach, ten, kto pilotuje sterowiec, każe dyskowi się odchrzanąć. Inaczej będą musieli strzelać do swojego człowieka.

– Dobra. Co mam robić?

– Indy, mój chłopcze, boleję nad tym, ale możemy tylko raz zaatakować tego spuchniętego brzydala. Popatrz na przyrządy prawnego silnika.

– Które...

– Te z numerem trzy. Ciśnienie oleju, chłopcze. Spada na łeb, na szyję. Co i nas spotka, kiedy ten silnik się zatrze. Muszę zatrzymać sterowiec zanim on wysiądzie, albo możemy mieć do czynienia z pożarem. Zerknij pod prawe skrzydło, Indy.

– Rozumiem cię. – Indy spostrzegł ogromną, czarną plamę pokrywającą spód skrzydła powyżej i za silnikiem. – Trochę oberwaliśmy. Wtedy, kiedy rozwalili nam rakiety. W porządku, Will, załatwmy ten zeppelin.

– To nasze przeznaczenie, mój chłopcze. Widzisz tę czerwoną dźwigienkę pośrodku panelu?

Jones pochylił się do przodu i wyciągnął rękę.

– Nie!

– Co...

– Nie teraz, nie teraz. Pociągnięcie za tę dźwigienkę odpali rakiety spod lewego skrzydła. Wszystkie trzy naraz. Powiem ci kiedy, a będzie to już niedługo, i... Widziałeś tego kretyna?!

Obserwowali, jak dysk zbliża się do zeppelinu od strony rufy. Był niczym wystrzelony pocisk goniący wielkie, ociężałe zwierzę, które robiło wszystko, by zejść mu z drogi.

– Widzisz platformę lądowiska? Na niższej wysokości sprawdza się bez zarzutu, ale tutaj dysk po prostu nie jest w stanie zawisnąć w powietrzu.

– Ani nawet lecieć powoli – zauważył Indy.

– Nie mylisz się. Teraz, jeśli ja także się nie mylę, zwrócą ogon sterowca w górę i na lewo i... A nie mówiłem?

Znajdowali teraz dużo bliżej ogromnego statku i mogli dostrzec więcej szczegółów. Pilot dysku za wszelką cenę próbował bezpiecznie powrócić na pokład zeppelinu. Indy widział chmurę czarnego dymu, która spowiła dysk, zwalniający do podejścia i lądowania na rampie statku.

– Jeśli dobrze zgaduję, to już po nim – rzekł Cromwell.

Dysk kolebał się z boku na bok niczym uciekający krab.

– Traci nośność! – krzyknął Indy.

– I owszem... – mruknął Cromwell.

Dysk gwałtownie zatoczył łuk, próbując dostosować się do nagłego zwrotu sterowca, który przewidział Cromwell. Obie ma-

szyny popełniły błąd. Nie mogąc zachować kontroli i wysokości, dysk ześlizgnął się na bok i otarł o dolny wielki ster kierunku zepelina. Przebił go i rozpoczął długą drogę ku znajdującej się ponad osiem kilometrów niżej ziemi.

– Lepsza okazja nam się nie trafi – rzekł Cromwell. – Musimy zaatakować, zanim wysiądzie nam ten silnik.

– Ile czasu... jak długo jeszcze? – zapytał Indy.

– Zajmuję pozycję. Musimy go oblecieć i zaatakować od przodu. Będziemy mieli tylko jedną szansę. Zanurkujemy w kierunku tego sukinkota i utrzymam kąt nurkowania, żebyś mógł pociągnąć za dźwignię. Wchodzę w zakręt.

Sterowiec wydawał się niewiarygodnie wielki. Ktokolwiek kierował tym potworem, zorientował się w zamiarach pilota forda, gdyż czarny dym za zeppelinem naraz zgęstniał.

– Dali pełny gaz, Indy. Przygotuj się. Teraz albo nigdy.

Zniknęła świadomość dokuczliwego zimna, konającego silnika i innych uszkodzeń. Istniał tylko sterowiec. Szybko rósł w oczach, gdy Cromwell wszedł w nurkowanie i skierował wprost na ogromne cielsko. Gwizd wiatru zwiększył się i nagle zimno stało się wszechobecne; lodowate sople kłuły przez dziury po kulach w wia-trochronie.

Ford leciał coraz szybciej i szybciej; nie mógł zwolnić schodzenia w rozrzedzonym powietrzu na tej wysokości.

– Strzelają do nas! – krzyknął Indy. Ciemne punkty na sterowcu stały się wystarczająco duże, by dostrzec, czym są. Gniazdami karabinów maszynowych! Pociski smugowe świeciły i tańczyły w powietrzu. Wydawało się, że płyną pod prąd ku znajdującemu się wyżej fordowi. Poczuli, jak kule uderzają w samolot. Ford zatrzęsł się i zniosło go na bok; Cromwell z trudem wyrównał.

Anglik wcisnął guzik na drążku sterowym. Dwa karabiny maszynowe zaczęły miotać w kierunku sterowca pociski zapalające, formem wstrząsnęły wibracje.

– To ich powinno zniechęcić! – wrzasnął Cromwell.

Prawy silnik eksplodował. Nagły wstrząs oderwał śmigło od silnika, ciskając nim bardzo daleko na bok. Cromwell krzyknął do Indy'ego:

– Lewy pedał orczyka! Stań na nim, chłopcze, stań na nim!

Indy napał na pedał z całych sił. Obaj mężczyźni wciskali lewe pedały jak tylko mogli najsilniej, by utrzymać samolot na kursie.

Grzbiet zeppelina przesłonił im cały świat; statek był niewiarygodnie wielki. Karabiny maszynowe nie przestawały jazgotać.

– Dźwignienka! Przygotuj się! – krzyknął Cromwell.

Jones wyciągnął rękę przed siebie, gotów pociągnąć ją na sygnał.

– TERAŻ! CIĄGNIJ!

Indy gwałtownie szarpnął do tyłu. Spojrzał obok Cromwella na lewe skrzydło. Przednia pokrywa odskoczyła od wyrzutni, do tyłu buchnęły płomienie silników raket i trzy długie rury pomknęły do przodu, ciągnąc za sobą warkocze dymu i płomieni, prosto w kierunku grzbietu ogromnego statku.

Na błyszczącym materiale pojawiły się czarne plamki, a potem rakiety zniknęły.

– Co się, u diabła, stało? – krzyknął Indy do Cromwella. – Nie było wybuchu!

– Jeszcze będzie... – Cromwell urwał i podciągnął ku sobie drążek. – Opuść ten pedał – zarządził. Ford zatoczył łuk w prawo. Przemknęli obok sterowca, niczym zabawka obok olbrzyma. Gdy go mijali, Indy dostrzegł płomienie wypełzające na burtę zeppelina.

Siedzący z jego lewej strony Cromwell szaleńczo operował przyrządami i przełącznikami, by odciąć dopływ paliwa do zniszczonego prawego silnika.

– U nas też się pali – powiedział ponuro. Sięgnął do panelu i pociągnął kolejną dźwignię.

– Obserwuj prawy silnik – polecił.

Na krótką chwilę silnik spowiła biała mgła, którą wiatr zaraz rozgonił.

– Gaśnica – rzekł Cromwell. – Pomogło?

– Ogień ugaszony – poinformował go Indy. Wycie wiatru było ogłuszające. Cromwell podciągnął drążek i wyprowadził forda z szaleńczego nurkowania. Nadal opadali, ale tym razem pod kontrolą; mogli lepiej manewrować samolotem, by widzieć sterowiec.

– Popatrz, chłopcze – powiedział, tym razem spokojnie.

Burty zeppelina stały w płomieniach.

– Co się dzieje? – zapytał Indy. – Przecież on jest wypełniony helem, a hel się nie pali...

– Zgadza się – odparł Cromwell. – Ale ma też diabelnie duży ładunek paliwa dla swoich silników odrzutowych. A magnez, raz zapalony, będzie się palił dokładnie na wylot przez metalową kon-



strukcję, co oznacza, że pożar przedostał się aż na dół do zbiorników i przeżarł się przez metal. Ten ogień to ich paliwo. Rzekłbym, że odwaliliśmy kawał dobrej roboty, bo...

Dalsze słowa nie były potrzebne. Wzdłuż burt i podbrzusza sterowca pojawił się oslepiający blask. Indy zrozumiał, że płonący magnez spowodował pęknięcie zbiorników. Paliwo chlusnęło na zewnątrz, gwałtownie się zapaliło i płomienie ogarnęły wszystko. Ogromny sterowiec rzucał się niczym ugodzony harpunem wieloryb, zdychający na ich oczach od wybuchów, które wstrząsały jego cielskiem. Wysypywały się z niego odłamki i ludzie. Indy widział, jak członkowie załogi, wymachując bezradnie rękami i nogami, rozpoczynali długi upadek w kierunku ziemi.

Kolejny wybuch, ogromna kula ognia i zeppelin złamał się w połowie. Ogień nadal się rozszerzał i dwie ogromne części kadłuba poleciały w dół; obracały się i skręcały w pozornej agonii, podążając ku ostatecznemu zniszczeniu.

– Potrzebujesz mnie tu jeszcze? – zapytał Indy Cromwella.

– Nie w tej chwili. Zeszliśmy poniżej sześciu tysięcy i nadal będę zjeżdżał nim jak windą, dopóki nie znajdziemy się na czterech. Wtedy wreszcie zdejmujemy z siebie te obmierzłe aparaty tlenowe i znowu zaczniemy oddychać jak normalni ludzie.

Indy wygramolił się z kokpitu. Powróciwszy do kabiny, natychmiast podszedł do Rene. Chino trzymał nieruchomego Francuza w swych ogromnych ramionach. Brak maski tlenowej na twarzy Rene potwierdził najgorsze obawy Indy'ego.

Indy napotkał wzrokiem spojrzenie Chino. Powiedziało mu bez słów, że Rene Foulois nie żyje.

Gale siedziała cichutko po drugiej stronie. Indy zauważył, że płakała. Teraz była sparaliżowana, zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Rene Foulois odszedł, a oni sami balansowali na krawędzi życia i śmierci. Gale miała na twarzy odmrożenia; dręczył ją własny ból. Wreszcie podniosła głowę.

– Czy... – Jej głos się załamał.

– Tak – powiedział tak cicho, jak tylko mógł, by być słyszalnym wśród huku silników i świstu wiatru.

– Możecie zdjąć maski – obwieścił Cromwell z kokpitu. Wszyscy zakręcili zawory i zdjęli z twarzy maski i gogle. Indy odpiął ciężką zasłonę. Na tej wysokości było już dużo cieplej. Gale jednak nadal szczękała zębami. Spojrzał na nią surowo.

– Włóż z powrotem gogle – rozkazał. – Wiatr wdiera się do kokpitu przez dziury po kulach. A teraz idź tam.

Dziewczyna otworzyła szeroko oczy.

– Nie... nie mogę...

– Owszem, możesz. I tak właśnie zrobisz. Jesteś pilotem! Will potrzebuje kogoś do pomocy. Lecimy na dwóch silnikach i nadgryzionym prawym skrzydle, mamy mnóstwo problemów. Marsz do kokpitu!

Gale przez długą chwilę wpatrywała się w Indy'ego. Powoli wyprostowała się i stanęła przed nim.

– Wie pan co, profesorze Jones? Chyba pana kocham.

Musnęła ustami jego usta i poszła.

Jones oparł się plecami o ścianę kabiny. Spojrzał ze smutkiem na ciało Rene.

– Taki dobry człowiek – stwierdził. – As w wojnie z Niemcami. Dziwne, że zginął tu, w taki sposób.

– Nie ma w tym nic dziwnego – rzekł Jose Syme Chino. – Na wszystko przychodzi czas. To także była wojna. Bitwa pomiędzy dobrem a złem. Tak jak wszystkie wielkie wojny. Ten człowiek miał skrzydła; dla takich jak on jest specjalne miejsce u Wielkiego Ducha.

Indy powoli kiwnął głową. Wracali na ziemię.

– Amen – powiedział.

# Posłowie

## OCZYWIŚCIE, ŻE TO MOŻLIWE!

Niedawno – latem 1991 roku – zaproszono mnie na gościnne wykłady w Instytucie Studiów Zaawansowanych w Lincoln w Nebrasce. Tematem budzącym największe zainteresowanie i przyciągającym ogromne tłumy słuchaczy były poważne badania nad UFO. Podczas sesji uczestnicy mogli zadawać dowolne pytania. Padło to nieuniknione: czy kiedykolwiek widziałem UFO? A jeśli tak, jak wyglądało i jak się zachowywało?

Przyznaję, że nieco droczyłem się ze słuchaczami. Podobnie jak wiele osób, widywałem w życiu UFO. Obserwowałem przy różnych okazjach na niebie coś, czego nie potrafiłem rozpoznać: błysk światła, kolorowy promień, obiekt znajdujący się zbyt daleko, by dostrzec jakiegokolwiek szczegółu. To, co widziałem, było po prostu niemożliwe do zidentyfikowania i raczej niezbyt ekscytujące.

Opowiedziałem słuchaczom o pewnej niesamowitej obserwacji sprzed lat, mającej miejsce w środku dnia, przy idealnej widoczności i piekielnym grzmocie przetaczającym się po niebie.

– Był to statek zupełnie dla mnie obcy – opowiadałem – i całkowicie niewiarygodny. Miał prawie trzysta metrów długości! Płynął ponad ziemią na wysokości jakichś pięciuset, może sześciuset metrów, tak ogromny, że częściowo zasłonił słońce. Słyszając jego niski warkot, ptaki i zwierzęta uciekały. Szybował dostojnie w powietrzu, srebrzysty i wspaniały, i obserwowałem go, dopóki nie zniknął za horyzontem.

Cóż, niewiele osób mi uwierzyło. Szczerze mówiąc, wątpię czy ktokolwiek dał wiarę choćby jednemu mojemu słowu. Poprosiłem, by podnieśli ręce ci, którzy myślą, że moja opowieść jest prawdziwa.

Nie podniosła się ani jedna dłoń. Wtedy zdetonowałem moja „bombę na niedowiarków”.

– Nie rozumiem, dlaczego uważają państwo moją opowieść za zbyt fantastyczną, by mi zaufać. To, co widziałem, obserwowały także miliony innych ludzi. Stałem pod „USS Akron”, siostrzanym statkiem równie wielkiego „USS Macon”, dwóch ogromnych sterowców należących do Marynarki Stanów Zjednoczonych, które pełniły czynną służbę we wczesnych latach trzydziestych. I oczywiście, jako że nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem, ani nie wiedziałem o istnieniu tych dwóch olbrzymich sterowców, statek przesłaniający słońce wydawał mi się nie z tej ziemi!

Nawet jeśli zdarzyło się to jakieś sześćdziesiąt lat temu.

Był to jeden z tych wspaniałych momentów, kiedy rzeczywistość okazuje się dziwniejsza od fikcji. I przypomnienie tej chwili – i jej podobnych – takich jak wtedy, gdy odrzutowym myśliwcem ścigałem po niebie inne obiekty, których nigdy nie dogoniłem ani nie zidentyfikowałem – pomogły mi podjąć decyzję, że w książce *Indiana Jones i podniebni piraci* wszystko, co może wydawać się egzotyczne, cudowne, niesamowite – i niewiarygodne – będzie opierać się na twardej, sprawdzalnej rzeczywistości.

Sterowce, owe opasłe, niezgrabne cygara sklecone z prześcieradeł i lin na niekształtnych konstrukcjach, pierwszy raz uniosły człowieka w powietrze ponad sto lat temu. Jedne poruszały się po niebie dzięki ludziom kręcącym szaleńczo pedałami, które wprawiały w ruch śmigła zamiast kół rowerowych. Inne miały niebezpieczne silniki benzynowe; niebezpieczne, gdyż często zapalały się i wybuchaly w trakcie lotu, kończąc obiecujące kariery ognistym finałem. Ogromne sterowce, szczególnie te z niemieckich zakładów Zeppelina, odnosiły w latach 1914-1918 zadziwiające sukcesy. Bombardowały brytyjskie miasta i w odwecie były zestrzeliwane przez artylerię przeciwlotniczą i myśliwce. Niemiecki L-35 stworzył nową erę dzięki zabieraniu ze sobą w górę myśliwca albatross D-111 i wypuszczaniu go w razie niebezpieczeństwa, niczym szybkiego jastrzębia osłaniającego ogromną, tłustą kwokę

na niebie. Wkrótce sterowce brytyjskie także zaczęły brać na pokład myśliwce, wypuszczając je w locie, a także zabierając z powrotem – byli to poprzednicy olbrzymiego sterowca z naszej opowieści. A prawie siedemdziesiąt pięć lat temu niemiecki L-53 wzniósł się na wysokość ponad sześciu kilometrów.

Po zakończeniu wojny w 1918 roku sterowce stawały się coraz większe, szybsze, potężniejsze i zadziwiająco pewne – ponownie przecierając szlak dla kolosa z naszej opowieści. Nawet dziś trudno uwierzyć w chlubne osiągnięcia niektórych statków z przeszłości, takich jak niemiecki „Graf Zeppelin”. W ciągu dziewięciu lat spędził on w powietrzu 17 179 godzin podczas 590 oddzielnych lotów! Sławetny „Graf” latał z Europy do USA, do Ameryki Południowej i na Środkowy Wschód, przeleciał nad Arktyką, co było ekscytującą przygodą dla jego pasażerów, a następnie okrążył świat w nieśpiesznym rejsie, który nawet dzisiaj wydaje się marzeniem. Zanim „Graf Zeppelin” został wycofany z czynnej służby po dziewięciu latach, zdążył zabrać w powietrze, luksusowo i bezpiecznie, ponad 34 000 pasażerów.

Zatem to, co przeczytaliście na tych stronach o olbrzymim sterowcu i machinach latających, które miał na pokładzie, wypuszczał je i odzyskiwał w locie, ma spory „fundament realizmu” w historii lotnictwa.

## SILNIKI ODRZUTOWE W 1930 ROKU?

Jeśli przejrzyte książki na temat historii lotnictwa lub poszperacie w opasłych encyklopediach, czy też obejrzyte dotyczące lotniczych silników odrzutowych ekspozycje w muzeach, z pewnością zostaniecie poinformowani, że pierwszy samolot z napędem odrzutowym wzbił się w niebo w sierpniu 1939 roku. Był to niemiecki heinkel He-178, a jego lot okazał się przełomem w historii lotnictwa.

Nie był to jednakże pierwszy lot z napędem odrzutowym – co stało się kolejnym fundamentem dla naszej opowieści. Tak naprawdę He-178 odbył swój pierwszy lot prawie trzydzieści lat po tym, jak Francuz nazwiskiem Henri Coanda wzbił się w niebo z lotniska w Issy-les-Moulineaux we Francji w 1910 roku. Coanda nie tylko odbył pierwszy lot z napędem odrzutowym (choć krótki i katastrofalny), ale również zaprojektował ów silnik dla własnego, zgrabnego odrzutowego dwupłatowca. Drugi dwupłatowiec zbu-

dowany przez Coandę wystawiony jest w jednym z francuskich muzeów lotnictwa. Pierwsza maszyna tego typu została pokazana publicznie w 1910 roku w „Salon Aeronautique” w Paryżu.

Autor tej książki przeprowadził wiele wywiadów z Coandą, i były to wspaniałe chwile, spędzone z jednym z największych pionierów lotnictwa w historii. Coanda rozpoczął projektowanie swojego silnika w 1904 roku, kiedy studiował we Francuskiej Szkole Zaawansowanych Studiów Aeronautycznych. Dzięki temu okresowi nauki zaprojektował i nieustannie ulepszał silnik odrzutowy, nazywany przez niego turbonapędem. Jego przyjaciel, nazwiskiem Clerget, zbudował na podstawie projektów Coandy silnik, który zainstalowano w zgrabnym dwupłatowcu, zaprojektowanym również przez Coandę.

Ponieważ Coanda latał swoim odrzutowcem w 1910 roku, jakieś dwadzieścia lat przed czasem, kiedy rozgrywa się nasza opowieść, z pewnością wystarcza to, by zamienić pierwotny, prymitywny silnik w potężny i pewny system dla latających dysków, z którymi musiał się zmierzyć Indiana Jones.

Ale dlaczego tak mało słyszy się o Coandzie? Niestety, podczas gdy udało mu się oderwać w swoim odrzutowcu od ziemi, lądowanie skończyło się kraksą. Stało się to w trakcie przeprowadzania testów naziemnych, czyli kołowania odrzutowcem Coandy po pasie lotniska, by przetestować jego moc i hamulce, aby pilot wiedział, czego się spodziewać przed pierwszą próbą lotu. Ku zaskoczeniu Coandy, jego silnik odrzutowy był o wiele potężniejszy, niż przewidywał, i kiedy przesunął dźwignię przepustnicy do przodu, z silnika buchnęły płomienie i zawył on niczym wielki smok. Zanim Coanda zdołał zatrzymać maszynę, ta wzbiła się w niebo. Kiedy konstruktor podniósł wzrok, przed nim wyrosła ściana. Natychmiast wyłączył silnik i przyciągnął do siebie drążek, a odrzutowiec przechylił się na bok i uderzył w ziemię. Coanda został wyrzucony z samolotu i dorobił się jedynie siniaków, ale samolot doszczętnie spłonął.

W naszej opowieści natknęliśmy się na Coandę pracującego nad swoim pierwszym silnikiem odrzutowym i samolotem w 1910 roku, i ponownie wpadliśmy na niego podczas I wojny światowej, kiedy opracował dla Armii Francuskiej działo raketowe. W 1914 roku opatentował swój silnik odrzutowy. Są to wszystko fakty historyczne, i jest to podstawa istnienia silników odrzutowych latających dysków.

Co więcej, Coanda był także autorem kilku projektów latających talerzy, które wiele lat później nazwano soczewkowatymi aerodynami\*. W dodatku talerze te latały. A zatem jeżeli czytelnik przypuszcza, że nawet latające talerze w naszej opowieści są, czy też mogą być, prawdziwe – ma rację!

Silniki odrzutowe występujące w tej książce są oparte na projektach Coandy zbudowanych i testowanych w 1910 oraz opatentowanych we Francji w 1914 roku. Gdyby prace Coandy wsparł rząd francuski lub indywidualni inwestorzy, w I wojnie światowej (1914-1918) mogłyby walczyć odrzutowe myśliwce i bombowce. Jednakże natychmiastowe zapotrzebowanie na samoloty przesłoniło to, o czym większość Francuzów nawet nie słyszała, a przedstawiciele rządu patrzyli podejrzliwie na coś tak rewolucyjnego.

Silnik Coandy, gdyby go usprawnić, byłby idealnym napędem dla gigantycznego sterowca i latających dysków z naszej opowieści. Uruchamiał się jak zwyczajny silnik spalinowy, ale źródłem jego mocy był system obrotowy, działający z ogromną prędkością wewnątrz silnika. Ruch obrotowy wytwarzał podciśnienie, które wciągało ogromne ilości powietrza. Następnie silnik sprężał to powietrze, mieszał je z paliwem i podpalał całą mieszanekę na podobieństwo nieustannych eksplozji. To wprawiało w ruch jeszcze więcej śmigieł, zwiększał się dopływ powietrza i gęstość mieszanki, temperatura w silniku rosła, podobnie jak prędkość gazów wyrzucanych z silnika. No i proszę – mamy nie tylko działający silnik odrzutowy, ale taki, którego moc i sprężanie rosło, im szybciej się poruszał. A im szybciej leciał, tym większą miał moc, tak więc dalsze usprawnianie silnika Coandy dało nam idealny napęd dla dysków i sterowca, wprawiających wszystkich w takie zdumienie.

Oczywiście nadal istniały trudności, z którymi należało się uporać: problemy ze stabilnością i sterowaniem lotem dysków, ale rozwiązanie zrodził ten sam płodny umysł Henriego Coandy. W swoim „Efekcie Coandy” Francuz dowiódł, że silny strumień powietrza skierowany wzdłuż płaskiej powierzchni (lub łopatek silnika) „przyklei się” do tej powierzchni, a nawet zakrzywi się wzdłuż niej, jeżeli przyjmie ona kształt okrągły. Coanda zaprojektował aerodynę, która dzięki temu efektowi wytwarzała podciśnienie ponad skrzydłem (lub dyskiem w formie płata). Pod skrzydłem

---

\* Aerodyna – statek cięższy od powietrza, mogący latać wskutek dynamicznego oddziaływania atmosfery na płaty nośne (przyj. tłum.).

ciśnienie było normalne, dzięki czemu wytwarzała się ogromna siła nośna. Coanda zaprojektował wówczas idealny dysk, w którym umieścił swój silnik, co dało mu, jak to sam określił, napęd trójwymiarowy. Jeśli chodzi o stabilność, powietrze wirujące z ogromną prędkością w ruchu kolistym wokół krawędzi dysku zmieniało cały dysk we wspianą żyroskop. W czasie lotu zawsze pokazywał on północ magnetyczną. Zatem podczas manewrów dysk nie skręcał i nie przechylał się jak samolot, lecz po prostu „ślizgał się” po powietrzu. Kabina pilota obracała się, by pilot zawsze patrzył w kierunku lotu, a poprzez zmianę ciśnienia wzdłuż odpowiednich części krawędzi dysku mógł skręcać w wybranym przez siebie kierunku.

Rezultat: latający talerz. Minęły lata, zanim „Efekt Coandy” i wyjątkowy projekt silnika odrzutowego zostały zbudowane i faktycznie przetestowane w powietrzu, ale rząd Kanady w końcu skonstruował aerodynę – i wiele lat temu rzeczywiście posiadał własny, sprawny talerz latający.

Powróćmy jednak, choć na krótko, do tematu UFO, które widywano od tysięcy lat. Tak, jak stwierdziliśmy w naszej opowieści – a każda wzmianka na temat historycznych obserwacji dziwnych i nie zidentyfikowanych obiektów na niebie jest prawdziwa – cała sprawa UFO jest od lat strefą wielu kontrowersji. Prawda jest taka, że nie ma wątpliwości, iż po naszym niebie latają dziwne obiekty. Widziało je wielu doświadczonych obserwatorów, a od 1947 roku UFO są rejestrowane na filmie, śledzone przez teleskopy i radary. Obiekty te miewają bliskie spotkania z pilotowanymi przez ludzi samolotami.

Może się wydać dziwne, że najbardziej wiarygodne raporty nie są podawane do wiadomości publicznej. Wiele obserwacji UFO dokonanych przez wojsko jest natychmiast utajniane. Nie można ich wytłumaczyć, a rząd amerykański nie lubi znajdować się w opałach z powodu niemożności wyjaśnienia, co śmigła po naszym niebie szybciej i wyżej, niż którykolwiek z samolotów.

Ponieważ wiele raportów po prostu wykpieno, kapitanowie linii lotniczych i najlepsi piloci niemal co do jednego odmawiają publicznych komentarzy w sprawie dysków czy innych pojazdów – nie będących własnością żadnego z krajów na naszej planecie – na jakie natknęli się w powietrzu. Autor tej książki słyszał setki ta-



kich raportów od pilotów. Potrafili oni dostarczyć zadziwiających szczegółów na temat dziwnych obiektów, które ujrzeli podczas lotu.

Ponadto, kiedy służyłem w Amerykańskich Siłach Powietrznych, brałem udział w śledztwie na temat UFO, rozmawiałem z setkami świadków, którzy natknęli się, na ziemi lub w powietrzu, na niezidentyfikowane obiekty. Wiele z raportów okazało się ślepy mi zaułkami. Inne wręcz przeciwnie. Jako pilot, ja także ścigałem UFO latając na szybkich odrzutowcach. Goniłem także zaskakująco duży dysk na niewielkiej wysokości lecąc bombowcem B-25; dysk z łatwością nas wymanewrował, a potem odleciał, jakbyśmy stali nieruchomo w powietrzu. Co to było?

Nie wiem na pewno i nie próbuję wyciągać stanowczych wniosków przy takim braku niezbitych dowodów. Jest to zagadka, której, przynajmniej publicznie, nie wyjaśniono jeszcze w satysfakcjonujący sposób. Jednakże ta zagadka jest prawdziwa; na naszym niebie ukazują się dziwne i nie zidentyfikowane obiekty i musimy po prostu żyć z tą prawdą, dopóki nie dowiemy się wystarczająco dużo, by zrozumieć, co to właściwie jest.

## TRÓJSILNIKOWIEC

Istnieje ogromna różnica między pisaniem o tym, jak samolot lata i jak się zachowuje, a uczuciem, gdy się go pilotuje. Pisanie to jedno, zaś latanie samolotem, który w obecnych czasach jest przedpotopowym trójsilnikowcem, takim jak ford w tej książce, to zupełnie co innego. Sprawia mi zatem ogromną przyjemność przekazanie czytelnikowi, że wrażenia z pilotażu trójsilnikowca w naszej opowieści pochodzą z autentycznych doświadczeń.

Autor tej książki latał niemieckim trójsilnikowym junkersem Yu-52/3m, który spełniał jednocześnie funkcje transportowca i bombowca. Był on dużo większy i cięższy niż ford, ale oba samoloty pod wieloma względami wykazywały zaskakujące podobieństwo. Poza Ju-52 i fordem miałem okazję poznać i „poczuć”, siedząc za sterami, górnopłat stinson, także trójsilnikowiec. Po spędzeniu wielu godzin na lewym fotelu tych wspaniałych maszyn nabrałem przekonania, że są one zdolne do niezwykłych wyczynów, wprawiających w zdumienie nawet współczesnych pilotów. Jeśli chodzi o forda trimotora występującego na kartach niniejszej książki, czytelnika niewątpliwie zaskoczy wiadomość, że dawni piloci-śmiałkowie, którzy objeżdżali miasta pokazując swój „po-

wietrzny cyrk”, w istocie wykorzystywali forda jako samolot akrobacyjny do niebezpiecznych manewrów na minimalnej wysokości! Wykonywali pętlę niemal dotykając brzuchem powierzchni ziemi, po czym wzbijali się wyżej i wchodzili w korkociąg, zadziwiając zdumione tłumy gapiów obserwujących te wspaniałe loty.

Istnieje też inny wymiar zgodności. Fordy trimotory były używane przez Armię Stanów Zjednoczonych. Niektóre z nich wyposażono w karabiny maszynowe, zamki bombowe i inne uzbrojenie i używano w walkach w różnych częściach świata. Wszystko, czego dokonuje ford na kartach tej książki, robił też naprawdę. To kolejny przykład na to, jak rzeczywistość prześciga fikcję.

## PODNIEBNE MIASTO

Czy naprawdę istnieje takie miejsce, jak Podniebne Miasto – Acoma – które raczej wydaje się tworem wyobraźni niż czymś realnym? Całe osiedle na szczycie wielkiej wyżyny pośrodku surowej pustyni, tak rozległej, że miasto wydaje się odizolowane i nieznane – chociaż naprawdę jest najstarszą nieprzerwanie zamieszkaną osadą obu Ameryk?

Ponownie zawędrowaliśmy do krainy, gdzie prawda jest dziwniejsza od fikcji, gdyż starożytne *pueblo* zwane Acoma jest do dziś dnia zamieszkaną i wspiera Indian Acoma z coraz większą witalnością. Acoma leży na południowy zachód od Albuquerque, miasta w Nowym Meksyku, i zgodnie z tym, co opisano w tej książce, otaczają ją tak fascynujące tereny, jak rezerwat Indian Laguna, z zalewem Elephant Butte i położonymi na południu wielkimi polami lawy. Autentyczna jest też społeczność o niewiarygodnej nazwie Truth or Consequences (Prawda lub Konsekwencje). Dalej na południe znajdują się szanice i bliźny współczesności – wielkie wydmy Białych Piasków, gdzie raketowe eksperymenty otworzyły erę lotów kosmicznych, oraz Alamogordo, miasto Świętej Trójcy, miejsce pierwszego wybuchu bomby atomowej.

Gdyby nie Państwowa Fundacja na rzecz Narodowości, która w 1973 roku przyznała dotację na spisanie historii czterech wielkich szczepów indiańskich, w tym szczepu Acomów, ogromna część ich przeszłości mogłaby przepaść bezpowrotnie. Indianie Acoma wierzyli od zamierzchłych czasów, że ich naród został stworzony w głębi ziemi, w ogromnym podziemnym świecie, który zwą Shipapu. W chwili gdy dwie siostry, Nautsiti i Iatiku, wyłoniły się

z podziemnych krain i padło na nie światło słoneczne, pierwsi ludzie i cała Acoma została powołana do życia. Duchy ochraniające Acomę stworzyły mężów dla sióstr i po pewnym czasie ich potomkowie zostali Indianami, zamieszkali w swoim kraju, opiekowali się trzodą i uprawiali ziemię.

Gdy poznaje się historię obszaru leżącego obecnie w sercu Stanów Zjednoczonych Ameryki, dziwnym może się wydać fakt, że „dawne czasy” kilkaset lat temu były zdominowane przez hiszpańskich odkrywców i konkwistadorów. Jednakże stare kroniki ujawniają, iż w 1629 roku Juan Ramirez, ksiądz towarzyszący hiszpańskiej wyprawie, która udawała się by zbadać *pueblo* Indian Zuni, został przez jej dowódcę wysłany w celu zapoznania się z potrzebami Acomów. Stało się tak, gdyż Hiszpanie byli bezzasadnie surowi w swoich pierwszych zetknięciach z Acomami, a w 1599 roku łupieżcza wyprawa pod wodzą Vincente de Zaldivara spustoszyła ich wioski. Kroniki ujawniają, że to, co Hiszpanie niegdyś zniszczyli, następnie odbudowali w ścisłej współpracy z Acomami. Ich miasto stało się silniejsze i rozwijało się lepiej niż przedtem, a na rozległej płaszczyźnie wyżyny, kilkaset metrów ponad pustynią, Indianie stworzyli nową Acomę z dwupiętrowymi domami oraz przejęli hiszpańskie obyczaje i religię.

Lecz na długo przed przybyciem Hiszpanów wielka społeczność na wyżynie Acoma prosperowała przez wiele pokoleń. Kiedy dwadzieścia lat temu rozpoczęto prace nad spisaniem starodawnych dziejów, okazało się, że Acoma to tylko jedna z nazw, pod którą znane były owe ludy; pozostałe to m.in. Acu, Akome, Acuo, Acuco i Ako. Wszystkie te nazwy mają wspólny rdzeń, który w tłumaczeniu oznacza, że osiedle Acomów na szczycie wielkiej wyżyny jest „miejscem, które było zawsze”.

Kiedy pierwszy raz zobaczyłem Acomę, stanowiło to dla mnie ogromne zaskoczenie. Nie miałem pewności, czy to, co widzę, istnieje naprawdę. W tym czasie odbywałem powietrzną podróż po Ameryce jednosilnikowym samolotem beech debonair (N935T), a mój przyjaciel i fotograf, Jim Yarnell, zrobił cudowne zdjęcia okolic, które oglądała ledwie nieliczna garstka Amerykanów. Przelecieliśmy nad poligonem na pustyni, gdzie kiedyś wybuchały bomby atomowe i wyrastały na niebie ogromne grzyby, minęliśmy pola lawy i pustynię, gdy nagle pojawiła się przed nami ogromna wyżyna z rozciągającym się na jej szczycie miastem! Okrążyliśmy to, co, jak się później dowiedziałem, nazywało się Acoma Pueblo, czyli

Podniebne Miasto. Ogromne pionowe ściany skalne wyglądały jak gigantyczne mury wznoszące się pionowo z przestworu suchego oceanu. Łatwo było zrozumieć, dlaczego hiszpańskie ekspedycje nazwały Acoma Pueblo fortecą „najpotężniejszą ze wszystkich” i „nieдоступną twierdzą”.

Wkrótce po mojej pierwszej obserwacji Podniebnego Miasta z powietrza miałem okazję obejrzeć Acomę z ziemi. Mając wciąż do dyspozycji samolot, uzyskaliśmy także zezwolenie na zwiedzenie ziem Indian w krainie wielkiej pustyni. Lądowaliśmy na piaszczystych drogach i odwiedzaliśmy ludzi, którzy nie tak dawno byli jeszcze narodem wielkich wojowników broniących ziem swych ojców.

Wojny odeszły w przeszłość. Acoma Pueblo znowu rozkwita, jak za dawnych lat. Udało się, z pożytkiem dla nas wszystkich, ocalić i zachować jego historię i tradycje.

Ale nie dajcie się oszukać – miasto nadal jest tak samo groźne i potężne jak wtedy, gdy Hiszpanie po raz pierwszy ujrzeli ten starożytny bastion wznoszący się ponad resztą świata.